

Zostawienie na noc otwartego świetlika na płaskim dachu jest niezłym sposobem na ulewę, która zaleje podłogi, albo... zaproszenie dla włamywacza. Szczególnie, jeśli system bezpieczeństwa należy do równie prehistorycznych jak ten w Montgomery High, gdzie tylko jeden samotny strażnik patrolował teren małego kampusu. Traf chciał, że męczącyna przebywał akurat po drugiej stronie, przy balach sportowych.

Zręcznie wślizgnął się przez świetlik i bezgłośnie wylądował na wyłożonej linoleum podłodze. Przybudówka była parterowa, zatem mógł bez problemu wejść do środka przez jedno z okien, ale skoro ktoś okazał się na tyle uprzejmy, że zostawił mu otwartą furtkę, to dlaczego miałby z niej nie skorzystać? Bez wahania ruszył ciemnym korytarzem prosto do sekretariatu. Po drodze minął metalowe szafki, parę oszklonych gablot, w których wystawiono fotografie szkolnych drużyn wraz z trofeami oraz czarną tablicę ogłoszeniową upstrzoną mnóstwem karteczek i plakatów. Dotarłszy na miejsce, nacisnął klamkę, a kiedy ta nie puściła, wyszczerzył zęby. Najwyraźniej pracował w tej szkole przynajmniej jeden odpowiedzialny człowiek. Po niespełna minucie zamek był otwarty i drzwi odskoczyły z cichym szurnięciem.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie mogło uchodzić za wzór szkolnego sekretariatu. Szeroka lada dzieliła je na dwie części: w tylnej stało biurko z komputerem, drukarką, telefonem oraz innymi

7

potrzebnymi sprzętami, a w przedniej, przy najdłuższej ścianie – kilka plastikowych krzesel. Za biurkiem sterczała metalowa szafka na akta. Parę segregatorów dzieliło na niej miejsce z koszem na pocztę przychodzącą i wychodzącą, dwoma stosami podręczników oraz okazałym fikusem. Drugie drzwi z mlecznobiałego szkła, opatrzone elegancką tabliczką z nazwiskiem A.J. Arrons, prowadziły do gabinetu dyrektora. Nie był zainteresowany tym, co się za nimi znajduje.

Bez zapalania światła przeslizgnął się obok lady, wysunął pierwszą szufladę metalowej szafy i dokonał szybkiego rozeznania w systemie archiwizacji. Potem przejrzał akta właściwego rocznika. Dokładnie zapamiętał twarze, które należało wziąć pod uwagę. Dużo ich nie było. Na szczęście, nie będzie musiał szukać igły w stogu siana.

Kiedy w końcu zamknął za sobą drzwi, duża, brązowa koperta leżała już w koszyku na pocztę przychodzącą. Nazajutrz sekretarka otworzy ją, a potem wszystko pójdzie zgodnie z planem.

8

Kot i pies

Do wczoraj wydawało mi się, że nie ma nic gorszego niż klasówka z matematyki. Od dzisiaj wiem, że owszem jest: a mianowicie klasówka z matematyki po nocy pełnej koszmarnych snów, których nie sposób sobie przypomnieć, kiedy człowiek wstaje z tępych bólem głowy i zębów oraz z wrażeniem, że nie zmrzyzył oka. A na dodatek stwierdza, że zasnął. I to całkiem niezłe.

W łazience pobijałam wszystkie dotychczasowe rekordy, chociaż suszyłam jeszcze włosy. Stanąwszy przed szafą na ubrania, z przykrością omiotłam wzrokiem moje koszulki z półtrękawkiem i letnie bluzki, a następnie wybrałam T-shirta z nadrukiem głowy lwa oraz dżinsy. Wprawdzie świeciło słońce, ale dzień zapowiadał się chłodny i jesienny, czyli tak czy owak musiałam założyć kurtkę. Jeszcze raz pospiesznie przesunęłam dłońmi po moich półdługich, ciemnoblonde włosach, a potem pędem zbiegałam po schodach. W kuchni o mało nie przewróciłam Elli, gospodyni wuja. Jednym haustem opróżniłam filiżankę herbaty i jedynie rzuciłam okiem na świeżo upieczone, czekoladowe muffinki, za które normalnie gotowa jestem zabić. Ella chciała zaprotestować, ale usłyszałam tylko „Ależ Dawn...” i mnie nie było. Pokonałam schody ze zbyt wielkim impetem, ponieważ zamierzałam pobiec sprintem do ga-

9

rażu, i o mały włos nie wylądowałam brzuchem na masce srebrno-niebieskiego audi. Po stronie kierowcy stał Simon, szczerząc zęby.

– Dzień dobry. Dawn. Zasnęło się, co? Odwieźć cię rollsem?

Simon był ostatnim ze sporej rzeszy nudziarzy, których wuj zatrudnił dla mnie. Ten muskularny Hun o krótko przystrzyżonych włosach pełnił funkcję gospodarza, szofera i ochroniarza w jednej osobie, ale przynajmniej miał więcej poczucia humoru niż koleś, którzy pilnowali mnie wcześniej. I na szczęście na luzie przyjął fakt, że nie może lazić za swoją podopieczną 24 godziny na dobę albo wozić mnie do szkoły tą czarną, połyskującą chromem kobyłą, która – jak trudno było zauważyć – stała zaparkowana za moim audi.

Kilka miesięcy temu ostro ścięłam się z wujem na ten temat. Przejął nade mną opiekę po śmierci rodziców, którzy zostali zamordowani podczas napadu rabunkowego. Mama była jego młodszą siostrą przyrodnią, musiał ją ubóstwiać, ponieważ wybaczył jej nawet to, że uciekła z jakimś „podejrzanym cudzoziemcem”, bo tak nazywał mojego ojca. Po ich śmierci zabrał mnie do siebie i próbując uchronić przed wszelkim złem tego świata, wynajął całą masę opiekunów do dzieci oraz ochroniarzy. Aż w końcu nie wytrzymałam, puściły mi nerwy.

Samuelowi Gabbronowi zwykle sprzeciwiali się tylko desperaci, których nękały myśli samobójcze. Ale tamtego dnia, jakiś rok temu, po prostu wszystko się we mnie zagotowało. Bo przecież to nie na niego krzywo patrzyli inni uczniowie, to nie on musiał wiecznie znosić docinki i cierpieć z powodu braku przyjaciół! Wuj bywał w domu jedynie gościem, ciągle podróżował, dbając o swoje milionowe interesy. Przez telefon zarzucał mi, że traktuję mnie jak więźnia, krzyczałam, że go nienawidzę i wykorzystam pierwszą lepszą okazję, żeby stąd uciec. Potem odłożyłam słuchawkę i bałam się ponownie do niej podejść. Jeszcze tej samej

10

nocy niespodziewanie zjawił się przy moim łóżku. Przeprowadziłyśmy ze sobą dość długą rozmowę. Rozumiałam jego argumenty: po prostu umierał ze strachu, że mogę podzielić los mamy, ale ostatecznie zdołałam go przekonać do własnych racji. Bądź co bądź zwracałam na siebie znacznie większą uwagę, jeśli w pobliżu mnie bez przerwy, choćby z pozoru najdyskretnej, kręcili się jacyś pakery. I co najważniejsze: nie nosiłam jego nazwiska, tylko nazwisko mamy. Krótz więc miałby skojarzyć Dawn Warden właśnie z nim, nadzianym przemysłowcem? Miałam siedemnaście lat. Marzyłam o tym, żeby posiadać przyjaciół. Może nawet tego JEDNEGO jednego... Chciałam wreszcie żyć normalnie!

Było tuż przed wschodem słońca, kiedy wszedł do swojego helikoptera, który czekał za domem. Nazajutrz przed drzwiami stanęło audi, żeby od tamąd mogła sama jechać do szkoły. Jeszcze tej samej nocy wyjechali wszyscy ochroniarze poza Simonem. Moje życie w końcu, powoli zaczęło się normalizować. Od tamtej pory widziałam wuja zaledwie dwa, może trzy razy. Ku mojemu zaskoczeniu w ubiegłym miesiącu został na dwa pełne tygodnie. Ale nawet w tym czasie nie spotykałam go zbyt często. Zamykał się na całe dni w swoim gabinecie, ba, również posiłki kazał sobie tam przynosić.

– Dzięki, ale pojadę sama.

Simon otworzył mi drzwi i poczekał, aż obejdę audi. Wrzuciłam torbę na siedzenie pasażera. Połowa podręczników wypadła z niej, lądując na podłodze. „Świetnie!” – podsumowałam w duchu i odjechałam z piskiem opon.

Droga do szkoły jeszcze bardziej utwierdziła mnie w przekonaniu, że jestem żywym dowodem na działanie praw Murphy'ego¹. Skoro tylko podjeżdżałam do światła, natychmiast zmieniały się do założenia, że rzeczy pójdą tak źle, jak to tylko możliwe. (przyp. tłum.)

11

się na czerwone. „Przeprowadzaczki” w jaskrawych kamizelkach jakby specjalnie przede mną wylęgali na jezdni z całymi hordami maluchów i na domiar złego o mało nie wymusiłam pierwszeństwa na jakimś ścigaczu. Na szczęście koleś pognął dalej jak szalony, nie zwróciwszy na mnie najmniejszej uwagi. Mój poziom adrenaliny przekroczył jednak najwyższą normę.

Miejsce do parkowania znalazłam oczywiście na drugim końcu kampusu. Wepchnęłam podręczniki z powrotem do torby i pognałam na przelaj przez trawnik do płaskiej przybudówki, gdzie mieliśmy matematykę. Zdyszana wślizgnęłam się do klasy i opadłam na krzesło tuż przed wejściem pani Jekens. Elizabeth Ellers, z którą siedziałam na tej lekcji, jedna z garstki osób, jakie zaliczałam do grona swoich przyjaciół, uśmiechnęła się zachęcająco. Znała moje problemy z matką lepiej niż ktokolwiek. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, nauczycielka przesadziła mnie do innej ławki, zakazała dalszych rozmów i rozdała klasówki. Przez następną godzinę walczyłam z zadaniami. Kiedy przeraźliwy dzwonek wreszcie obwieścił koniec lekcji, a tym samym kres mojej męki, poczułam ulgę, że mam to już za sobą. Wsadziłam kalkulator i długopisy do torby, a następnie pospiesznie opuściłam klasę. Klapnęłam na jednej z metalowych ławek rozstawionych pod ścianami korytarza i podciągnęłam nogi.

– Tak źle przecież wcale nie poszło. Przynajmniej skończyłaś. Nasza wczorajsza nauka najwyraźniej pomogła – Elizabeth usiadła obok mnie i zaczęła gładzić swoją spódnice.

Jak zwykle była ubrana cała na czarno, używała nawet czarnej pomadki i kredki do oczu.

Zamiast odpowiedzieć, przewróciłam tylko oczami. Żadne słowa pocieszenia nie mogły teraz poprawić mojego minorowego nastroju. Jeśli nie dostanę z tej kartkówki przynajmniej tróji, to będą musiały zaliczyć dodatkowy kurs w czasie ferii. Porażka!

12

Głośny śmiech wyrwał mi z rozmyślań. Podniosłam wzrok. Śledząca obok Beth pochyliła się do przodu, żeby móc lepiej widzieć, co się dzieje przy stojących w głębi korytarza szafkach.

– Ojej! Cynthia już go ma! Jak myślisz, ile czasu potrzebuje, żeby pożyć nową ofiarę? – przekrzywiła nieco głowę. – Może należałoby wyrwać go z jej szponów? – zastanawiała się głośno.

Choć większość ludzi nie spodziewałaby się tego po kruchej dziewczynie o bladej, ślicznej twarzy i dużych, niewinnych, ciemnych oczach, to jeśli szło o Cynthia Brewer, Beth potrafiła pokazać pazury. A co ciekawe, rudowłosa, szkolna piękność była jej daleką kuzynką. W podejściu do chłopaków różniły się jednak diametralnie, Elizabeth zachowywała na tym polu daleko idącą powściągliwość, Cynthia przypominała natomiast prawdziwą modliszkę. Jej ostatnia ofiara nazywała się Julien DuCraïne i uczęszczała do Montgomery od niespełna trzech tygodni.

Był to wysoki, szczupły chłopak, który poruszał się z pewną niebezpieczną elegancją. Jego ciemne, niemal czarne włosy, nieco przydługie na karku, ostro kontrastowały z zaskakująco jasną karnacją. Nosił przyciemnione okulary, których nie zdejmował nawet podczas lekcji, ale nie zdołały one ukryć faktu, że miał urodę hollywoodzkiego amanta, a nie ucznia przeciętnej szkoły średniej. Julien DuCraïne był piękny w sposób klasyczny, a zarazem niepokojący. Sprawiał wrażenie dwa lub trzy lata starszego niż reszta naszego rocznika. Jeśli wierzyć krążącym na jego temat plotkom, to wyleciał już z paru różnych szkół i kilka razy powtarzał klasę. Niektórzy twierdzili nawet, że przez pewien czas siedział w więzieniu dla młodocianych przestępców i dlatego zawałił szkołę. Ani ja, ani Beth nie miałyśmy z nim wspólnych lekcji, ale zdaniem Neala, chłopaka z naszej paczki, który chodził z DuCraïne'm na fizykę, historię oraz WF, koleś był odpychającym i aroganckim odludkiem. Większość kolegów traktowała go z ostrożnym

13

respektem, po tym jak na pierwszych zajęciach wychowania fizycznego, podczas gry w siatkówkę załamał Mike'owi Jamisowi nadgarstek. Sam poszkodowany uznał to za zwykły wypadek. Próbował przyjąć zagrywkę Julienu, jednak siła uderzenia piłki złamała mu przegub. Od tamtej pory podczas serwów nowego, przeciwna drużyna chowała się po kątach. Poza tym mówiono, że DuCraine był zdolnym szermierzem i nawet trener nie dorównywał mu pod względem umiejętności, odrzucał jednak wszystkie propozycje przystąpienia do szkolnej drużyny. Zresztą ku wielkiej uldze Neala, który dotychczas uchodził za niepokonanego mistrza fechtunku. Osobiście spotkałam DuCraine'a ledwo parę razy na korytarzu i nie zamieniłam z nim ani słowa. Nie jadłam nawet obiadów w kafeerii. Najwyraźniej chciał mieć z nami jak najmniej do czynienia.

Chociaż swoim odpychającym sposobem bycia zraził do siebie wszystkich uczniów Montgomery, to w przypadku Cynthii Brewer ta strategia zupełnie zawiodła. Jak tylko go zobaczyła, natychmiast trafił na listę rzeczy, które koniecznie chciała mieć. I to na sam szczyt. Jeszcze tego samego dnia rozpoczęła polowanie. No i wreszcie go dopadła. Przynajmniej tak to teraz wyglądało. Na drugim końcu korytarza stał oparty plecami o swoją szafkę, a Cyn sterczała tuż przed nim. Ramiona, którymi opłota książki, dzielił ledwo centymetr od jego piersi. Odgarniając z czoła ciemną grzywkę, zaśmiała się tak głośno, że usłyszałyśmy to razem z Beth.

W przeciwieństwie do mojej przyjaciółki nigdy nie wpadłabym na pomysł, żeby ratować DuCraine'a przed Cynthią. Oboje byli siebie warci! W ciągu tych trzech tygodni, które spędziłam w Montgomery High, chodził już z dwoma dziewczynami z naszego rocznika, a każdą porzucił po paru dniach ze złamanym sercem.

Przed ławką stanęło dwóch chłopaków i zasłoniło nam widok.

– Jak ci poszło na matmie? – zapytał Neal, wyższy z nich i ciągnąc za pasek swojego plecaka, wyszczerzył do mnie zęby.

Stojący obok Mike bawił się temblakiem, na którym spoczywała jego zagipsowana ręka. Był prawie dziesięć centymetrów niższy od przyjaciela, ale bardziej barchysty. Pozdrowił nas skinieniem głowy i rzucił na powitanie:

– Cześć!

Jednocześnie na widok przechodzącego obok kolegi z drużyny siatkarskiej podniósł dłoń.

– A niby jak miało pójść. Oczywiście, że źle.

Wyciągnęłam ramiona ponad kolanami i urażona spojrzalam w bok.

Neal – nasz matematyczny i komputerowy geniusz – mlasnął językiem. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z liczbami i logiką, było dla niego dzieciinną igraszką, podczas gdy ja absolutnie nie mogłam pojąć na co mi wiedza, w jakim miejscu na układzie współrzędnych znajduje się dany punkt krzywej i kiego grzyba wyprowadzać to jeszcze z x^2 . Do Neala moje argumenty nie docierały!

– Myślałam, że uczyłyście się razem z Beth – oznajmił z wyrażoną dezaprobatą w głosie.

Już w zeszłym roku szkolnym okazało się, że nie jest dostatecznie cierpliwy, żeby udzielać korepetycji. Nasze spotkania, kończone zwykle wybuchami złości, zarówno z jego, jak i z mojej strony, były totalnym niewypałem.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, Beth przyszła mi z pomocą.

– Owszem, uczyłyśmy się wspólnie. Dawni przesadza, bo tym razem zrobiła wszystkie zadania. A teraz przesuń się łaskawie w lewo, bo zasłaniasz mi widok.

Nieco oszołomiony posłusznie wykonał polecenie, po czym spojrział w tym samym kierunku, w którym patrzyła Beth. Ułamek sekundy później wybałuszył ślepią. Stojący obok niego Mike głośno wziął oddech. Sama również gapiałam się w tamtą stronę, nie wierząc własnym oczom. O ile wcześniej to DuCraine stał oparty plecami o szafkę, o tyle teraz przyciskała się do niej Cynthia. Była uwięziona między jego długimi nogami i tak kurczowo obejmowała książki, jakby od tego zależało jej życie. Chłopak oparł jeden łokieć o metalowe drzwiczki, głowę położył na dłoni i pochylił się tak nisko nad Cyn, że jego twarz od jej twarzy dzieliło zaledwie parę centymetrów.

Drugą ręką wykonywał jakieś ruchy ponad książkami, tuż przy szyi i dekolcie jej bluzki. Co dokładnie robił, tego nie można było zobaczyć. Najwyraźniej mówił coś do Cyn, ponieważ poruszała ustami, a ona patrzyła na niego jak urzeczona i chyba kilka razy z trudem przełknęła ślinę. Kiedy DuCraine jeszcze bardziej nachylił się nad nią, zbliżając swoją twarz do jej twarzy, zamknęła oczy i oparła głowę o szafkę. Jednak zamiast ją pocałować, czego zapewne oczekiwała, nagle odepchnął się od drzwi szafki i cofnął. Wykrzywiając twarz w na pół pogardliwym uśmiechu, patrzył, jak Cynthia zmieszana ponownie uniosła głowę i spojrziała na niego, a następnie wykonał mały, drwiący ukłon, odwrócił się na pięcie i odszedł. Przechodząc obok, nie zaszczycił nas nawet spojrzeniem. Z jego twarzy zniknęła pogarda. Odniosłam wrażenie, że widzę na niej mieszankę goryczy i frustracji. A także złości. Już sam sposób, w jaki stawiał kroki, zdradzał gniew.

Huk, który dobiegł z okolicy szafek, skierował moją uwagę z powrotem w tamtą stronę. Na podłodze obok Can leżały rozrzucone książki. Musiały wypaść jej z ręki. Patrzyła za odchodzącym DuCraine'm, głośno sapiając, jakby wcześniej zupełnie zapomniała o oddychaniu. Potem pospiesznie omiotła wzrokiem korytarz,

pochyliła się nadzwyczaj opieszale, żeby zebrać książki i odeszła w przeciwnym kierunku. Odkąd jestem w tej szkole, jeszcze żaden chłopak nie potraktował Cyn w ten sposób.

– Cholera! – wyrwało się Mike'owi. – To wyglądało tak, jakby miał ją zaraz tutaj... – zaczerwienił się i urwał w połowie zdania.

Beth skinęła głową. Sprawiała wrażenie nieco oszołomionej.

– Co wyglądało tak, jakby ktoś miał zaraz tutaj?

Susan, przyrodnia siostra Mike'a właśnie wyłoniła się zza rogu, od strony przejścia do biblioteki, i dołączyła do nas. Chłopak obrócił się ku niej. Chociaż pochodzili od różnych ojców, byli do siebie podobni jak bliźnięta. Oboje mieli proste, ciemne włosy i jasne, piwne oczy. Susan zwykle spinała swoje loki w koński ogon, co jeszcze bardziej uwydatniało jej wąską twarz. Swego czasu należała do grona najbliższych przyjaciółek Cynthii, ale traf chciał, że kiedy Nealowi minął młodzieńczy trądzik, ta wybrała go sobie za ofiarę. Sposób, w jaki traktowała, a w końcu rzuciła chłopaka, doprowadził do rozpadu przyjaźni między dziewczynami.

– DuCraine prawie Cynthię... – Mike zawałał się. – No wiecie!

Spojrziała na niego pytającym wzrokiem.

– Nie, nie wiem. Co takiego?

Chłopak odwrócił się.

– To wyglądało tak, jakby miał ją zaraz... – chrząknął i spojrział błagalnie na Neala.

– Przycisnął do szafki, jakby zamierzał coś więcej niż tylko pocałować ją na oczach wszystkich – wyręczył go przyjaciel.

Susan zrobiła wielkie oczy.

– Oh! – jęknęła. – Oooohh...

Omiotła wzrokiem korytarz i nie ujrawszy ani DuCraine'a ani Cynthii, ponownie skierowała spojrzenie na Neala i Mike'a.

– I co się wydarzyło? – drażyła temat.
– Nic – Neal z pozorną obojętnością wzruszył ramionami. – Zbajerował ją i zostawił na środku korytarza.

Oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze większe. Jej usta przez chwilę pozostały otwarte, a następnie wykrzywiła je w złośliwym uśmiechu.

– I wszyscy to widzieli? Biedna Cynthia. Chyba już lubię tego koleśka.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta złośliwej satysfakcji. Chrząknęła nieco przesadnie.

– Ok, teraz do rzeczy! Jest pewien mały problem – spojrzała na brata. – Właśnie dostałam od mamy SMS-a. Ma dzisiaj migrenę i pyta, czy możemy spotkać się wieczorem u kogoś innego.

Mike zaklął cicho, a Susan powiodła po nas wzrokiem. Termin ustaliliśmy już ponad tydzień temu. Nikt nie chciał teraz z niego rezygnować.

Beth pochyliła się nieco do przodu.

– Babcia na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyśmy spotkali się u mnie! Tak czy owak wychodzi wieczorem z przyjaciółkami. Sęk w tym, że mamy tylko mały telewizor.

Od rozvodu rodziców mieszkała z babcią, bardzo bezpośrednio, starszą panią, która kochała wnuczkę nade wszystko. Jej mały domek stał na skraju miasta, pośrodku nieco zdziczałego ogrodu. Beth trzy razy w tygodniu pracowała jako kelnerka w otwartym przed paroma miesiącami klubie *Ruthvens*, żeby zarobić trochę pieniędzy i dołożyć się do babcinej emerytury.

– Jeśli taki wystarczy...

– Możemy spotkać się u mnie. Rodzice znowu wyjechali służbowo – zaproponował Neal. – A rzutnik komputerowy ojca właśnie wrócił z naprawy.

Mike wydał okrzyk zachwytu i kuksnął go w bok.

– No to ustalono! W takim razie co oglądamy?
Spojrzelśmy po sobie. Neal wzruszył ramionami.
– Co powiecie na noc horrorów? Zbliża się Halloween – zasugerowała Susan.

– Świetny pomysł! Załatwię parę filmów na DVD – Mike zerknął na mnie i jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. – Może *From Dusk Till Dawn*², co wy na to?

Zdjęłam nogę z ławki i ruszyłam w jego stronę, ale odskoczyłam rozbawiony. Westchnęłam wkurzona.

– Susan, czy twój brat ma gdzieś przycisk „Wyłącz”?

Czasami naprawdę zastanawiam się, co skłoniło moich rodziców do tego, żeby dać mi na imię Dawn³.

Potrząsnęła głową z miną cierpiennika.

– Wierz mi, kochana, sama też go szukam.

Mike uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie macie nic przeciwko temu, żeby Ron i Tyler też przyszli? – zapytał Neal.

Ron był starszym o rok bratem Cynthii. Obu chłopaków łączyła zażyła przyjaźń, każdą wolną chwilę spędzali, grzebiąc w komputerach. W przeciwieństwie do siostry, która uchodziła za arogancką żołąć, chłopak należał raczej do osób małomównych i lubianych. Kiedy się uśmiechał, człowiekowi po prostu miękły nogi. Dotychczas skutecznie stawiał opór Cynthii, która za wszelką cenę usiłowała go zeswatać z jedną ze swoich przyjaciółek.

Tyler pełnił funkcję drugiego po Neal-u kapitana drużyny florecistów. Był średniego wzrostu, niezbyt zgrabny i miał wisiel-

² Ang. Od zmierzchu do świtu, amerykański film z 1996 roku wyreżyserowany przez Roberta Rodrigueza, do którego scenariusz napisał Quentin Tarantino. (przyp. tłum.)

³ Ang. świt. (przyp. tłum.)

cze poczucie humoru. Cynthia wybrała go na swoją ofiarę, zanim w szkole zjawił się Julien DuCraigne.

Przerazliwy dzwonek obwieścił koniec przerwy i korytarz dość szybko opustoszał. Pospiesznie zakończyliśmy rozmowę dotyczącą planów na wieczór. Oczywiście nikt nie miał nic przeciwko obecności Rona i Tylora. Ustalono, że spotkamy się o siódmej u Neala. Dziewczyny wzięły na siebie upieczenie muffinek i przyrządzenie sałatek, a chłopcy mieli załatwić DVD, napoje i coś do chrupania.

Pognałam jak szalona, żeby zdążyć na fizykę. Niestety, kiedy wpadłam do klasy, pan Horn już kładł teczkę na pulpicie i posłał mi karzące spojrzenie.

Kiedy po ostatniej lekcji wracałam do samochodu w pełnym świetle popołudniowego słońca, nieprzyjemne swędzenie odsłoniętych ramion przypomniało mi, że rano zostawiłam kurtkę na siedzeniu pasażera. Wiedziałam, że jeśli nie zachowam należytej ostrożności, do wieczora skóra będzie wyglądać jak poparzona. „Lekka odmiana alergii słonecznej” – taką diagnozę postawił lekarz, do którego zabrała mnie Ella. Przy okazji usłyszałam pocieszenie, że bąble wypełnione płynem surowiczym nie pojawią się, o ile alergii nie ulegnie nasileniu. Uczucie gorąca i nadmiernej wrażliwości na dotyk mogłam jeszcze jakoś przeboleć. Ale nie to piekielne swędzenie! Może powinnam być wdzięczna, że wuj przeprowadził nas tutaj, do Ashland Falls, a nie na przykład na Florydę albo jakiegoś innego słonecznego zakątka.

Nawet jeśli miasteczko leżało na skraju cywilizowanego świata, to jednak oferowało mi – abstrahując od małego centrum handlowego, gdzie można było spokojnie pobuszować po sklepach, paru klubów z dobrą muzyką oraz kina, które ze swoim programem nie pozostawało daleko w tyle za metropoliami – dokładnie

to, co najbardziej kochałam: nieskończone polać leśne, jakby stworzone do długiego trekkingu.

Nasz dom stał na obrzeżach miasta, a tym samym bezpośrednio graniczył z lasami. Dalej leżała tylko stara, opuszczona posiadłość. Na rozległej działce, sąsiadującej bezpośrednio z naszą parcelą, znajdowało się jezioro okolonie przez stuletnie klony, w jego talli można było oglądać płynące chmury. Latem chodziłam tam regularnie popływać. Sam dom miał chyba ze sto lat, a od prawie dwudziestu pozostawał niezamieszany, opowiedziała mi o tym Elizabeth, która znała całą historię od swojej babki. Wyglądało na to, że nie ma właściciela, a nawet jeśli go miał, to ten najwyraźniej nie dbał o swoją własność i rezydencja stopniowo popadła w ruinę. Na samą myśl o tym bolało mnie serce, ponieważ uwielbiałam jej ponadczasową elegancję; wysokie okna na obydwu piętrach, okazałą werandę otaczającą cały budynek wraz ze swoim dachem podtrzymywanym przez tłoczone kolumny – wszystko to emanowało niesamowitym urokiem.

Wracając ze szkoły, nadłożyłam nieco drogi i zabrałam jeszcze do warzywniaka, w którym Ella zwykle robiła zakupy. Kupiłam parę rzeczy na sałatkę i ruszyłam do domu.

Na podjeździe przed garażem stała nasza kolumbryna, czyli rolls-royce, z którego wuj korzystał zawsze, kiedy wpadał tutaj na parę dni. Przez otwartą bramę ujrzałam błyszczącą granatową maskę mercedesa zakupionego na potrzeby Elli i Simona.

Simon, jak co tydzień, mył i polerował rollsa. Wyciągnąwszy przez dach rękę, skinął w moją stronę i wskazał na audi.

– Zostaw tam samochód. Kiedy skończę, wezmę się za niego.

– Ale potrzebuję auto dziś wieczorem.

– Bez obaw, maleńka. Bobasek raz dwa będzie przewinięty i gotowy do wyjścia. A co w planie?

– Wieczór filmowy u Neala. Mogę wrócić późno.

Hun zmarszczył swoje jasne brwi.

– Mam cię zawieźć?

– Dzięki, ale nie – odmówiłam zdecydowanym tonem, przeczuciłam przez ramię pasek torby i zabrałam z tylnego siedzenia papierowy worek z zakupami.

– Jak chcesz.

Miałam absolutną pewność, że Simon mimo wszystko pojawi się w pobliżu domu Neala.

Otworzyłam drzwi i weszłam do holu. Pół parteru naszej willi zajmowała nowocześnie urządzona kuchnia, w której dominowały chrom i stal, dostatecznie obszerna, aby pomieścić stół jadalny z tuzinem krzeseł. Wprowadzi obok mieliśmy jeszcze jadalnię, ale jakoś nigdy z niej nie korzystano, wołałam jadać posiłki z Simonem oraz Ellą w kuchni. Dalej był pokój dzienny wyłożony grubymi, orientalnymi dywanami, gdzie stało wielkie, czarne, jednonoskrzydłowe monstrum, na którym nikt nie potrafił grać, oraz pokój i łazienka Elli. Simon miał własne, malcrikie mieszkanie nad dobudowanym do domu garażem.

Z holu prowadziły drzwi do prawego skrzydła budynku, w którym znajdowały się salon oraz gabinet wuja. Te pomieszczenia były połączone kręconymi schodami z jego sypialnią i łazienką na pierwszym piętrze. Z kolei łukowate schody w holu wejściowym wiodły do drugiej części pierwszego piętra. Tam właśnie urządziłam moje małe królestwo z łazienką i dwoma pokojami gościnnymi, które jak dotąd stały nieużywane. Wuj Samuel nie znosił obcych w domu, nawet wspólnicy, jeśli już wpadali tutaj podczas jego rzadkich wizyt, nigdy nie zabawiali dłużej niż trzy lub cztery godziny. W swojej chorobliwej nadopiekuńczości posunął się tak daleko, że wyraźnie zabronił mi sprowadzać przyjaciół. Bóg jeden wie, dlaczego.

Rzuciłam torbę na najniższym stopniu schodów i poszłam z zakupami do kuchni. Stojąca przy gazówce Ella uśmiechnęła się na powitanie. Z naprzeciwka doleciał mnie zapach świeżo pieczonego chleba. Na kredensie czekała już filiżanka ulubionej herbaty. Wuj Samuel kupował ją specjalnie dla mnie. Gdzie – pozostawało jego słodką tajemnicą. Nikt więcej nie lubił tej lury, ale ja wręcz uzależniłam się od jej smaku, który w połączeniu z ciemnym, pełnym aromatem tworzył przepyszną całość; co najważniejsze – stanowiła ona jedyne antidotum na mój poranny ból zębów, a siekacze bolały mnie często tak bardzo, jakby leczono je kanałowo i to bez znieczulenia.

Ella posiekała paprykę i ogórki na sałatkę. Z wdzięcznością przyjął fakt, że wzięła na siebie także krojenie cebuli, ponieważ od pewnego czasu jej zapach przyprawiał mnie o dziwne mdłości, które doprowadzały nawet do wymiotów.

Następnie poszłam na górę do mojego pokoju i przystąpiłam do odrabiania lekcji. Wyjątkowo dużo czasu zabrał mi referat z biologii.

Było już krótko po wpół do siódmej, kiedy wyjechałam do Neala. Sałatkę zabezpieczyłam przed wywróceniem, stawiając ją na podłodze, tuż przed siedzeniem pasażera.

Jako pierwsi na miejscu pojawili się Mike'a i Susan. Przed imponującym zestawem kina domowego, przedmiotem wielkiej dumy pana domu, leżał stos płyt DVD. Kredens z wypolerowanego drewna wiśniowego, na którym ktoś przewidująco położył beżowy obrus, wbrew swojemu przeznaczeniu posłużył nam za ładę – postawiliśmy na nim talerze i szklanki. Właśnie zmierzałam z kuchni do salonu, niosąc piramidę utworzoną z upieczonych przez Susan jabłkowych muffinek, kiedy w otwartych drzwiach wejściowych ukazał się Ron. O mały włos taca nie wypadła mi

z rąk – za jego plecami stała Cynthia! Twarz chłopaka wyrażała skrajną rozpacz. Neal, który szedł z mną obladowany napojami, głośno westchnął na widok Cyn.

– Ron powiedział, że nie macie nic przeciwko temu, jeśli będę mu towarzyszyć – oznajmiła, przeciskając się obok brata, wyszczerzyła zęby i ruszyła w stronę pokoju dziennego.

Przechodząc obok, wzięła muffinkę z tacy.

Razem z Nealem równocześnie spojrzeliśmy na Rona. Ten jakby ugiął się pod ciężarem naszego wzroku.

– Nie przeciwko? – fuknął na niego Neal. – Porząbało cię, człowieku?

Ron podniósł ręce, jakby próbował się bronić.

– Nie mogłem nic zrobić, naprawdę. Ona mnie ... – przeknęła głośno slinę i spojrzła na drzwi pokoju, w których wcześniej zniknęła Cynthia. Teraz wybiegła stamtąd wściekła Susan. – Proszę, zrozumcie ludzi... – jęknęła, zanim również ona zdążyła na niego naskoczyć – nie chciałem jej zabierać, ale zaszantażowała mnie.

– Zaszantażowała? – Susan przystanęła i spojrzała na niego spod przymrużonych oczu.

Zza pleców siostry wyglądał oparty o balustradę schodów Mike.

– Owszem – Ron przytaknął nieszczęsny głosem, a potem popatrzył na Neala. – Pamiętasz tego wirusa, którego stworzyliśmy? Zagroziła, że powie o wszystkim mamie. I Arronsowi.

Spojrzaliśmy z Susan po sobie, a potem jednocześnie skierowaliśmy wzrok na Neala i Rona. Kilka tygodni temu nieznaną wirus spowodował zawieszenie systemu we wszystkich szkolnych komputerach. Wprawdzie nie doszło do utraty danych, ale cały system był sparaliżowany przez prawie trzy dni, zanim technik wykrył błąd i usunął szkodę. Winnych nie znaleziono. Dyrektor

szkoły, delikatnie mówiąc, wpadł w szal i zagroził, że wyciągnie wobec osób odpowiedzialnych za ten incydent poważne konsekwencje.

Jeszcze raz spojrzałam na Rona, a potem na Neala. Wiedziałam, że są dobrzy, ale żeby aż tak...!

– Skąd ona do diabła... – Neal wykonał przesadnie głęboki oddech i poprawił butelki, które obejmował rękoma, ponieważ o mało nie spadły na podłogę. – Ok. A czego ona tutaj chce?

– Nie wiem – Ron potrząsnął głową. – Ale myślę, że to ma chyba coś wspólnego z DuCraine'm. Cyn totalnie oszalała na jego punkcie. Zmusiła mnie, żebym włamał się do szkolnego komputera i zdobył dla niej adres gościa. – Wyszczerył zęby w niepewnym uśmiechu, a następnie wzruszył ramionami. – Poczuwa pani Nienhaus najwyraźniej nie zdążyła jeszcze wprowadzić jego danych do systemu. Przynajmniej nie zdołałam ich znaleźć. – Cyniczny uśmieszek ustąpił miejsca złości. – Nawet w sieci musiałem go szukać! Szkoda, że nie widzieliście, jak się wściekła, kiedy usłyszała, że są tylko dwa albo trzy artykuły poświęcone jakiejś parze XIX wiecznych linoskoczków o takim nazwisku.

– Nie powiedziałaś jej, że DuCraine tu nie przyjdzie? – Neal zmarszczył czoło, jakby nic z tego nie rozumiał.

– Chyba wiedziała – chrząknął nieswojo Ron. – Obawiam się raczej, że przyłazała za Tylerem. A przynajmniej zaczęła mnie nagabywać wtedy, gdy mama zapytała, kto jest zaproszony i wymieniłem jego imię.

– Tylerem? – mina Neala wyrażała bezbrzeżne zdumienie. – Sądziłem, że ostrzy sobie zęby na DuCraine'a?

Susan mlasnęła językiem, a następnie wzięła od Neala kilka hutelek, ocalając je przed niechybnym upadkiem.

– Owszem, ale w ten sposób chyba chce wzbudzić w DuCraine zazdrość. To typowe dla Cynthii.

Spojrzeliśmy po sobie. Na twarz Rona wkraśl się szyderczy uśmiech.

– Tylko ciekawe, dlaczego coś mi mówi, że DuCraine nie da się złapać na haczyk? – zapytał głośno.

Zamiast odpowiedzieć Neal poklepał go po ramieniu. Razem poszliśmy do pokoju, gdzie Cynthia zdążyła już wygodnie rozsiąść się na sofie. Wszyscy jakby za milczącym porozumieniem byli dla niej nad wyraz mili, w końcu chodziło o głowę Neala i Rona, a zarazem skutecznie ją ignorowaliśmy.

Tyler, który zjawił się jakieś dziesięć minut później, został przy drzwiach przechwycony przez Neala i uprzedzony o obecności Cynthii. Teraz brakowało jedynie Beth. Kiedy wybił kwadrans po siódmej, zaczęłam się martwić. Nie należała do późnialskich. Tylko Cyn nie wyglądała na zaniepokojoną. Krótco po wpół do ósmej Neal zadzwonił do Beth. Nie odebrała połączenia. W komórcie włączyła się poczta głosowa. Powoli zapadał zmrok. Usiadłam przy jednym z wychodzących na ulicę okien i w napięciu zaczęłam obserwować światła nadjeżdżających samochodów. Wszystkie przemykały obok domu. Susan zaproponowała, żeby wybrać DVD, a wtedy, skoro tylko zjawi się Beth, będziemy mogli rozpocząć projekcję. Jednocześnie zagłosowaliśmy na *Drakulę*, film w reżyserii Francisca Forda Coppoli.

Dochodziła prawie ósma. Neal poszedł na górę po kluczyki do samochodu i był już w połowie drogi z powrotem, kiedy niespodziewanie jakiś pojedynczy reflektor oświetlił podjazd. Wraz z Susan ruszyliśmy pędem ku drzwiom wejściowym, a potem na dwór. Po chwili Neal, Mike, Ron i Tyler wpadli prosto na nas, zupełnie nie spodziewając się, że staniemy jak wryte na najwyższym stopniu. Cała nasza gromadka wyglądała niczym stado lunatykujących baranów. Z konsternacją patrzyliśmy, jak krucha Beth zsiada z siedziska czarnego motocykla i odbiera od kierowcy

miszkę z sałatką, którą ten trzymał z przodu. Motocyklista wskazał na swoją głowę, a wtedy wyciągnęła coś z ucha i podała mu. Obróciła się w naszą stronę – sprawiała wrażenie bladej i osobliwie rozmarzonej; kiedy jednak niepewnym krokiem podeszła nieco bliżej, posłała nam typowy dla siebie uśmiech, cała Beth!

– Mój garbus nie chciał zapalić – wyjaśniła przepraszającym tonem.

Zaczęła gestykulować w kierunku ubranego na czarno człowieka. W końcu ten zdjął kask i... wybałuszyliśmy gały!

Beth jakby wcale tego nie zauważyła. Trajkotała dalej:

– Julien uratował mnie od długiego spaceru. Właśnie przejechał obok, kiedy chciałam ruszyć pieszo, i zaferował podwiezienie – na moment zmarszczyła czoło, jakby próbowała sobie coś przypomnieć, potem jednak potrząsnęła głową; cokolwiek to było, widać ostatecznie uznała, że jest nie dość istotne. – Powiedziałam mu, że może z nami zostać.

Niemal równocześnie skierowaliśmy wzrok na DuCraine'a. Nawet o tej porze miał na oczach przeciwnione okulary. Położył nonszalancko dłoń na błyszczącym, czarnym kasku i zdawał się odpowiadać na nasze spojrzenie swego rodzaju drwiną, tak jakby był pewien, że zignorujemy słowa Beth i odprawimy go grzecznym, aczkolwiek stanowczym: „Dzięki, no to pa!”.

Neal jako pierwszy ocknął się z odrętwienia.

– Jasne, może zostać, jeśli nie nudzą go stare filmy o wampirach – odparł ze zdumiewającą łaskawością.

Zaskoczona spojrzałam na niego, ale zaraz pojąłam, w czym rzecz: przy odrobinie szczęścia dzięki DuCraine'owi pozbędziemy się Cynthii. Trzeba przyznać, że ten plan nie był fair wobec chłopaka, ale mimo to miałam nadzieję, że wypali.

Julien podniósł kącik ust w pół cynicznym uśmiechu i zgasił silnik.

– A jaki film chcecie obejrzeć? – zapytał.

Jego głos brzmiał mrocznie i miękko. Pasował do wyglądu. Nagle poczułam suchość w gardle i uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie słyszałam, jak mówi. „Mów dalej!” – błagała ta część mnie, która wcale nie była przekonana do pomysłu, żeby rzucić go Cynthii na pożarcie.

– *Drakulę* Coppoli – odparł Neal, krzyżując ręce na piersiach.

– Dobry film! – przybysz lekko skinął głową. – Zwłaszcza to: *Daj mi pokój* na końcu – zaskrzeczał ochryple dokładnie niczym Gary Oldman w tej scenie. Potem śmiech przeszedł w cichy rechot, jakby powiedział jakiś tylko sobie zrozumiały dowcip.

– Człowieku, to cacko naprawdę należy do ciebie? A już zastanawiałem się, kto u nas w szkole jeździ prawdziwym firebladem. Myślałem, że któryś z nauczycieli. – Tyler przesunął się obok Neala i zszedł po schodach. Na jego twarzy malował się barani zachwyty.

Trwał dobrych parę sekund, zanim zrozumiałam, że mówię o motocyklu. Również DuCraine przez moment zdawał się zaskoczony.

– Tak, to mój ścigacz – potwierdził potem i niemal czule przesunął dłoń po baku.

Zmarszczyłam czoło. Najwyraźniej rodzinka miała dosyć kasy, żeby sfinansować taką zabawkę i nie przeszkadzało jej, że synus kręci szwindle.

– Ile wyciąga maksymalnie? – Mike przecisnął się między Susan a mną i razem z Ronem ruszyli śladem Tylera. Po chwili wahania dołączył do nich Neal.

– Według danych producenta 287 na godzinę, ale jak jest w rzeczywistości, nie potrafię ci powiedzieć. Niestety prędkościomierz liczy tylko do 299.

Tyler, Mike, Ron i Neal równocześnie wzięli głęboki oddech.

DuCraine kopnięciem zsunął nóżkę, postawił na niej motocykl i wyprostował się.

– Chyba nieźle przy nim pomajsterkowałeś, co nie? – wzrok Tylera wędrował z podziwem po czarnej, połyskującej, karbonowej obudowie.

– Tak – DuCraine powoli skinął głową i usadowił się jeszcze wygodniej, rozprostowując nogi po obu stronach maszyny.

Mike przesunął dłoń po przeciwnym wiatrochronie.

– Szyba wyścigowa. *Cool!* Z którego biegu możesz nim ruszyć i miejsca?

– Z drugiego, ale parę razy dałem już radę z trzeciego.

Mike, Tyler, Neal i Ron ponownie, jakby na komendę wciągnęli powietrze w płuca. Jeszcze przez dłuższą chwilę rozmowa toczyła się wokół przełożenia, przyspieszenia, układu wydechowego, linki w przewodzie hamulcowym, opon i pokancerowanych podnóżek. Bóg raczy wiedzieć, co w tym takiego ekscytującego! Chłopcy rozprawiali o sprawach technicznych tak zażyłe, jakby od wielu lat byli bliskimi przyjaciółmi. Nawet Neal uczestniczył w tej dyskusji. Wyglądało na to, że całkowicie zapomnieli o naszych planach na wieczór. Wreszcie, kiedy w jednym zdaniu padły słowa laptop i tuning, a Ron pochylił się do przodu, żeby dokładniej zbadać kokpit, Susan i Beth, z dezaprobatą potrząsając głowami, zniknęły w domu. W zamyśleniu wbiłam wzrok w czarną maszynę. Dzisiaj rano wymyśliłam pierwszeństwo na koleśku, który jechał takim cackiem. Czyżby to był on?

Dopiero, kiedy DuCraine nagle podniósł głowę i ominął mnie wzrokiem, a jednocześnie uciхло mamrotanie chłopaków, uświadomiłam sobie, że ktoś za mną stoi. Po wyrazie twarzy Neala i Tylera widziałam, że nie chodzi o Beth ani o Susan.

– Witaj, Julenie – Cynthia wyminęła mnie z gracją królowej.

DuCraine w milczeniu obserwował, jak zbliża się do niego. Przez ułamek sekundy na jego ustach zadrgał złośliwy uśmiech, wyglądał niczym kot, który zamierza sobie poigrać ze schwytaną myszką.

Cynthia zdawała się tego nie zauważać. Tyler, Mike i Neal zrobili jej miejsce, kiedy podeszła do motocykla i położyła dłoń na prawej ręczce.

– Cześć! – odpowiedział DuCraine z pewnym opóźnieniem, po czym strącił jej dłoń z rączki. Przez chwilę dziewczyna przybrała obrażoną minę, a potem przesunęła palcami po kierunkowskazie.

– Zostaniesz, żeby obejrzeć z nami parę filmów? – zapytała, uśmiechając się.

Ton jej głosu przypominał mruczenie kotki. Podeszła do niego jeszcze bliżej.

– Chcesz, żebym został? – odmruczał, ponownie splatając dłoń na kasku.

– Naturalnie... – odgarnęła sobie za ucho kosmyk włosów.

– Wprawdzie...

– Wprawdzie? – jego głos był przynajmniej o kwintę niższy i teraz zaczął przypominać czarny aksamit.

– Jeszcze nigdy nie jechałam na takiej maszynie.

– Ach! Naprawdę? Masz ochotę na małą rundkę?

Dopiero kiedy Cynthia odwróciła się i wbiła we mnie gniewne spojrzenie, zrozumiałam, że pytanie DuCraine'a nie było skierowane do niej.

– Mnie pytasz? – pisałam zdumiona.

Czyżbym faktycznie zapomniałam o oddechu? Wielkie nieba, zachowywałam się jak głupia koza.

– Nie, tę ciemną blondynkę o szaropiwnych oczach, która stoi tuż za tobą – odparł z tak śmiertelną powagą, że faktycznie obróciłam się.

BYŁAM głupią kozą! Wściekła ponownie spojrzałam na Juliana. Ciekawe, kiedy zbliżył się do mnie tak bardzo, żeby dostrzec kolor oczu? Podniósł jedną brew i pochylił głowę. Miałam wrażenie, że Cyn zaraz skoczy mi do gardła.

– Jasne. Dlaczego nie? – przytaknęłam i siłą się na możliwie jak największy luz, zeszałam ze schodów.

DuCraine pogłaskał dłonią kask.

– Jeśli masz kurtkę, to chyba powinnaś ją założyć. No wiesz, przed powietrzem i w ogóle może być trochę zimno.

Wykonałam zwrot i potykając się, weszłam po schodach do domu. Głupia koza! Głupia koza! Głupia koza! Niemal wyszarpałam kurtkę z garderoby i starałam się nie biec z powrotem na słuchanie karku. Neal patrzył pełnym niedowierzania wzrokiem. DuCraine wyszczerzył tylko zęby – wszystkie idealnie równiutkie i białe – a następnie podał mi tę samą małą rzecz, którą wcześniej nosiła Beth. Przez moment wbiłam w nią zdumione spojrzenie, a potem rozpoznałam zestaw słuchawkowy. Umieściłam zausznik za uchem i wyjustowałam mikrofon. Kiedy DuCraine zakładał kask, wgramoliłam się na miejsce pasażera. Właściwie miałam zamiar trzymać się tylko jego paska, ale pociągnął moje dłonie do przodu, tak że objęły go w pasie i koniec końców zmusił, bym przygłębiła doń całym ciałem. Cynthia przeszyła mnie wzrokiem, od którego właściwie powinnam była paść trupem.

Maszyna z rykiem obudziła się pod nami do życia. DuCraine sprawnie zawrócił na podjeździe i odjechał z piskiem opon. Przestraszona mocniej wczepiłam się w niego. Pędził jak szalony, ale szybko odgryzłabym sobie język niż poprosiła go o to, żeby zwolnił. Wiatr targał mi włosy i sprawiał, że łzy napływały do oczu. Na głównej drodze dodał jeszcze gazu. Skurczyłam się tak bardzo, jak to tylko było możliwe, oparłam głowę o jego plecy i zacisnęłam wargi, przygotowując się na śmierć.

– Wyluzuj! – kilka sekund później usłyszałam w słuchawkach głos.

Julien pogłaskał moją dłoń. Przy tej prędkości puścić kierownicę! Co za wariat! Cudem zdołałam podnieść głowę i wyglądniełam zza jego pleców. Uderzył mnie silny podmuch wiatru. Blyskawicznie schowałam się z powrotem. Drzewa przemykały obok nas. De facto wyjechaliśmy już z miasta.

– Dokąd? – zapytał po dłuższej chwili.

– Co: dokąd? – nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Dokąd mamy jechać?

– Przez moment zaważałam się.

– Byłeś już na szczycie?

– Gdzie to jest?

Wyjaśniłam mu. Maszyna zawyła nieco głośniejsz. Zmniejszył prędkość dopiero wówczas, kiedy skręciliśmy w słabo utwardzoną drogę gruntową i uczynił to prawdopodobnie tylko przez wzgląd na kiepską nawierzchnię, niemniej jednak dziękowałam niebiosom! Nadal pędziliśmy na złamanie karku, tak szybko, że na ostrych zakrętach żwir rozpryskiwał się na wszystkie strony. Raz nawet tylne koło zabuksowało i DuCraine musiał wyhamować maszynę przez położenie stopy na ziemi. Chyba krzyknęłam ze strachu, ponieważ usłyszałam jego śmiech. Ten koleś najwyraźniej był zmęczony życiem.

Zatrzymałam się na plateau⁴. Silnik terkotał jeszcze na biegu jałowym, kiedy na miękkich nogach zsunęłam się na ziemię i zatoczyłam w bok. Teraz wiedziałam, dlaczego Beth była taka biała i szła jak pijana.

⁴ Płaskowyz (plateau) – obszar wysoko położony o płaskiej lub lekko falistej powierzchni i o stromych stokach, będący fragmentem uniesionej powierzchni lub równiny wulkanicznej. (przyp. red.)

– Totalnie ci odbilo! – fuknęłam na niego, ledwo zdążył wyłuszczyć silnik i zdjąć kask. Na wpół rozbawiony, a na wpół udając, że nie wie, o co chodzi, potrząsnął głową i kopnięciem zsunął nóżkę motocykla, po czym ostrożnie postawił maszynę na pokrytym liśćmi i igliwem grysie.

– Nie żołądkuj się tak. A może coś ci się stało?

Zaklął kilka razy, zanim był na tyle zadowolony z ustawienia maszyny, że zszedł z siodełka i odłożył na nim kask.

Przez kilka sekund milczałam jak zakłeta. Ruchem ręki nakazał zwrot zestawu słuchawkowego, schował go w kurtce i rozejrzał się dookoła.

– Calkiem, całkiem – skinął głową.

Podszedł do skraju plateau, które z trzech stron było gęsto otoczone drzewami, zaś z czwartej, tam, gdzie właśnie stanął, rozciągał się wspaniały widok na Ashland Falls. Rozpostarte u stóp wzgórza miasto przypominało morze złotych ogników. Dołączyłam do DuCraine'a i również spojrzałam w dół. Z czystego przyzwyczajenia wyszukałam wzrokiem błyszczące światelko mojego domu. Głęboko wciągnęłam w płuca powietrze, które pachniało lasem i ziemią, to pomogło mi się uspokoić. Przez dłuższy czas stałam obok siebie w milczeniu.

– Zawsze tak jeździsz? – zapytałam w pewnej chwili, siadając na oddalonej o kilka metrów od skraju plateau, gładko wypolerowanej przez wodę skale.

Wiatr zaszeleścił w drzewach i wbił w powietrze parę opadłych liści.

Spojrzał na mnie. Zauważyłam, że zdjął okulary, było jednak zbyt ciemno, abym mogła dostrzec coś więcej niż tylko niewyraźny zarys twarzy.

– Bez obaw. Mam dobry refleks – jego głos zabrzmiał tak, jakby uśmiechał się szyderczo. – A co to jest? – zapytał, wska-

zując ruchem dłoni całe plateau. – Punkt widokowy dla zakochanych?

Teraz byłam wdzięczna Bogu za te ciemności. Przynajmniej DuCraïne nie widział moich rumieńców.

– Latem czasami tak – wyznałam. – Ale moim zdaniem tutaj jest po prostu ładnie. Cicho i spokojnie. No i ten bajeczny widok!

– Aha. A dlaczego chciałaś mi to pokazać? – podszedł bliżej i przystanął jakiś metr przede mną. Jego twarz odcinała się upiorną białością na tle ciemności.

– To przecież ty zapytałaś, czy chcę z tobą zrobić rundkę – odparowałam. – Nie wnikam w powody.

– A jak myślałaś, dlaczego zapytałem?

Szczerze mówiąc, w tamtej chwili wcale nie myślałam. Tylko... no tak, właściwie co?

Kiedy nie odpowiedziałam natychmiast, roześmiał się. Mroczno i gromko.

– Żeby uniknąć nieporozumień, Warden, chciałem dać nauczkę Cynthii. To wszystko. Kobieta działa mi na nerwy.

Złośliwość w jego głosie ukłuła mnie równie mocno jak fakt, że zwrócił się do mnie pogardliwie po nazwisku. Skąd w ogóle je znał? Wścieklałam się.

– Czy to znaczy, że tylko mnie wykorzystałeś?

– Naturalnie. A może wyobrażałaś sobie, że zapytałem z innego powodu? – pokonał dzielący nas dystans szybciej niż zdążyłam mrugnąć okiem i pochylił się. Gwałtownie zrobiłam krok do tyłu.

– Masz pietra, Warden? – w ciemności błysnęły jego białe zęby.

– Przed tobą na pewno nie. Wara ode mnie, gnojku! – obiema dłońmi odepchnęłam go od siebie. A przynajmniej spróbowałam odepchnąć, bo równie dobrze mogłabym walczyć ze skałą. Pierś DuCraïne'a była twarda i nieustrasliwa niczym marmur.

– Nie? – ponownie zaśmiał się.

Ton jego głosu przyprawił mnie o gęsią skórę, a zarazem spowodował przyjemne łaskotanie w żołądku.

– Przyznaj, Warden, robiłaś sobie te same nadzieje, jak każda inna w szkole. Dlatego nie odmówiłaś, kiedy zapytałem, czy chcesz ze mną jechać – w jego głosie pobrzmiwała jawna drwina.

– Wszystkie jesteście podobne. Tak żałośnie przewidywalne. Wystarczy, że chłopak dobrze wygląda, a już zamieniacie się w hieny, które myślą tylko o jednym.

– Proszę, proszę i kto to mówi! – odcięłam się. – A niby kto zaliczył trzy dziewczyny w ciągu trzech tygodni?

– Dwie. Dwie dziewczyny – poprawił mnie beznamytnym tonem, a potem wyjaśnił z pobażaniem: – Już w Biblii napisano: *Pocię, a będzie wam dane.*

Widok szyderczego uśmiechu na jego twarzy rozjuszył mnie, najchętniej dałabym gościami w dziób. Znowu uderzyłam dłońmi o jego piersi.

– Ty arogancki idioto!

Zimny wiatr owionął mnie po karku i dmuchnął włosy w twarz. DuCraïne skamieniał. W ułamku sekundy w jego rysach na przemian widać było zaskoczenie i strach, a potem zastąpiła jełość. Mamrocząc pod nosem coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, odskokzył ode mnie tak gwałtownie, jakbym faktycznie go spoliczkowała. Przez chwilę gapił się na siebie w ciemnościach, a potem urywaniem ruchu przejechał dłońmi po swojej czarnej grzywie.

– Wiesz co, Warden, rozejrzyj się lepiej za jakimś transportem do domu! – oświadczył nagle, odwrócił się i pomaszzerował długimi krokami z powrotem do motocykla. Nałożył kask, wskoczył na siodełko i gwałtownym kopnięciem podniósł nóżkę.

Słyszając ryk silnika, uświadomiłam sobie, że faktycznie zamierza odjechać i zostawić mnie tutaj. Zerwałam się na równe nogi, żeby go zatrzymać, musiałam jednak odskokić na bok, ponieważ podczas zawracania maszyny ziemia i kamienie rozprysły się pod buksującym tylnym kołem. Sekundę później czerwone światło zniknęło między drzewami. Zaczęłam bezradnie miotać za nim przekleństwa.

W końcu ochłonęłam. Pewnie zjechał tylko kilkaset metrów i czekał poza zasięgiem wzroku, aż do niego dobiegnę. Takie zagrożenie byłoby całkiem w stylu DuCraïne'a. Wątpiłam, żeby faktycznie zostawił mnie tutaj samutką w środku nocy. Może i był kopnięty, ale nie do tego stopnia. A w ogóle, do diabła, co właściwie w niego wstąpiło?

Ściągnęłam wokół siebie mocniej kurtkę chcąc zatrzymać ciepło, a potem zaczęłam maszerować w tę i z powrotem. Jeśli nie przyjdę, to pewnie wróci po mnie, jak tylko odreguje. Gryś chrząknął pod stopami. W ciemnościach coś zaszleściło między drzewami. Gdzieś w pobliżu rozległo się długie wycie. Co chwila zamierałam w bezruchu, nasłuchując kroków albo innych odgłosów, które zdradziłyby DuCraïne'a, koleś pewnie chciał mi wyciąć jakiś głupi numer. A jednak wciąż panowała cisza i nic się nie wydarzyło. W końcu zdecydowałam ruszyć w drogę powrotną.

Dlaczego nagle tak się wściekła? Zdanie: *Wszystkie jesteście podobne*, zabrzmiało, jakby miał serdecznie dosyć faktu, że dziewczyny szaleją na jego widok. Ale ja wcale nie należałam do tych, które usychają za nim z tęsknoty, a zresztą – nawet gdyby tak było, to w ciemnościach nie mógł tego zauważyć.

Co rusz zerkałam na zegarek. Minuty ciągnęły się jak flaki z olejem, a po DuCraïne nie było ani śladu. Powoli zaczynałam mieć dosyć tego żartu. Rozszoszczona wsadziłam rękę do kieszeni

kurtki i ruszyłam w kierunku szosy. Jeśli myślał, że będę na niego czekała całą noc, to grubo się pomylił.

W ciemnościach trudno było rozpoznać podłoże drogi. Kilka razy potknęłam się o dziury i kamienie. Raz omal nie skręciłam nogi. Zabolalo jak diabli. Z każdym krokiem ogarniało mnie coraz większe rozdrażnienie, a zarazem niepokój. Im bliżej było do drogi, z tym większym napięciem nasłuchiwałam warkotu silnika. Jednak poza szeleszczącym w liściach wiatrem i dobiegającym od czasu do czasu pohukiwaniem puszczyka, panowała głucha cisza.

Sytuacja nie zmieniła się nawet wówczas, kiedy dotarłam do szosy. Przystanąłam, czekałam, nasłuchiwałam, liczyłam na to, że usłyszę jego mroczny i szyderczy śmiech albo ryk motocykla. Ale nic z tych rzeczy. Żadnego pisku opon, ani błysku reflektora. Zero życia! Ten kopnięty idiota rzeczywiście mnie tutaj zostawił. Pogrzebałam w kieszeni kurtki, szukając telefonu komórkowego. W pewnej chwili zaważałam się, kogo miałabym poprosić o to, aby mnie stąd zabrał. Simona? Jeśli będę miała pecha, to wuj dowie się o wszystkim i już nigdzie nie puści mnie samej. Zatem do Nieba. Zdążyłam już wystukać jego numer, kiedy uświadomiłam sobie, że jeszcze jest tam Cynthia. Na wieść o tym, że DuCraïne zostawił mnie w szczerym polu, umrze ze śmiechu i na dodatek zrobi wszystko, żeby jutro do drugiej lekcji trąbiła o tym cała szkoła.

Nie! Nie, wolałam uniknąć wstydu. Skasowałam numer Neala i przyparta do muru wybrałam Simona. Jakoś go przekonałam, żeby nie mówił o niczym wujowi Samuelowi.

Odebrał już po drugim dzwonku. Dlaczego nie zdziwiło mnie, że w tle słyszę warkot silnika? Pokróćcie wyjaśniłam, w czym rzecz i gdzie czekam, po czym zakończyłam rozmowę. Oczyma wyobraźni widziałam jego szyderczy uśmiech. Ponownie wsunęłam rękę do kieszeni kurtki i ruszyłam skrajem dro-

gi w kierunku miasta. Nie miałam najmniejszej ochoty sterczeć w miejscu jak palant i marznąć. Zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu ujrzałam numer Neala i odrzuciłam połączenie. Nawet jeśli Cynthia nie dowiedziałaby się o tym, co zaszło, to w tym momencie nie miałam ochoty odpowiadać na żadne pytania. Nie dał za wygraną. Zadzwonił ponownie. Fakt, zapomniałam już, jak bardzo potrafił być natarczywy. W końcu po prostu wyłączyłam komórkę.

Zdumiewająco szybko pojawiły się przede mną reflektory mercedesa. Simon musiał być gdzieś w pobliżu. Prawdopodobnie widział, jak odjechałam z DuCraine'm i ruszył za motocyklem, lecz zgubił nas po drodze. Nic dziwnego, zważywszy z jaką prędkością gnał ten szaleniak!

Usiadłam na siedzeniu pasażera i zapięłam pasy. Simon pokręcił ogrzewanie, ale nie odezwał się ani słowem. Skinął jedynie głową, kiedy poprosiłam go, aby nie mówił o niczym wujowi. Podczas jazdy co jakiś czas zerkał na mnie kątem oka. Wtuliłam się w fotel i udawałam, że niczego nie widzę. Dlaczego to wszystko tak mocno mnie zraniło? Co miałam wspólnego z tym głupkiem? Nie! Wściekła na samą siebie spojrzałam przez okno. Oby niebiosza uchroniły mnie na przyszłość przed tym idiotą, Julianem DuCraine'm!

Młody mężczyzna o jasnych włosach, w ciemnym skórzanym ubraniu wiał się pod spojrzeniem tówki niczym piskorz. W końcu zdobył się na odwagę i jęknął żałośnie:

– Człowieku, podobne pytania zadawałeś mi już cztery tygodnie temu.

– W takim razie nie będzie ci ciężko jeszcze raz na nie odpowiedzieć. Może w międzyczasie przypomniałeś sobie o czymś, co mogłoby

mnie zainteresować – skrzyżował ramiona i wbił w niego surowe spojrzenie.

Blondyn unikał wzroku obcego, desperacko rozglądając się po zaułku, jakby szukał drogi ucieczki.

Oczy mężczyzny przypominały wąskie szparki. Wieczór nie rozpoznał się szczególnie przyjemnie. Był zmęczony i sfrustrowany, a jego niechęć do wielu tygodniach bezowocnych poszukiwań powoli wyszerpywała się, zwłaszcza w stosunku do takich szumowin. Bez wątpienia ostrzeżenia wtargnął do jego ducha, uderzył i natychmiast wycofał się.

Blondyn gwałtownie drgnął, krzyknawszy jęklawie, po czym chwycił się za głowę.

– Chłopie, co ty wyprawiasz?

– To tylko przestroga. Następnym razem naprawdę zaboli.

A zatem?

– Wciąż te same plotki. Ponoć to dość upływowy stworzony, który produkuje sobie własny pomiot i gwizdże na to, co mówią Książęta.

– Ile ma lat?

– Nie wiem. Sądzę, że jest dosyć stary.

– Ma w tym mieście jakiś ulubiony rewir?

Kiedy blondas wykrzywił twarz, mężczyzna podniósł górną wargę jednoznacznie szczerząc zęby.

– Niech zgodzę: nie wiesz.

– Powiedziałem ci to już ostatnim razem, Vourdnaj. Tak samo, jak to, że mówią, iż większość czasu spędza poza miastem.

– Kiedy był tutaj ostatnio?

– Stary, krótko potem, jak zadałeś mi te same głupie pytania.

Zanim koleś zdołał mrugnąć okiem. Chwycił go za gardło i przeparł do stojącego w wąskim zaułku kontenera na śmieci.

– Kiedy dokładnie?

W ciemności błyszczały jego zęby.

Typak dawał się i jęczał pod wpływem mocnego uścisku, na próżno ciągnąc go za rękę.

– Kiedy dokładnie?

Pozwolił mu złapać nieco powietrza.

– Cholera, człowieku, chcesz mnie zabić? – wyrzucił z siebie blondyn.

– Kiedy dokładnie?

– Dwa dni po naszej rozmowie. Musiał być dziewiąty albo dziesiąty.

– Skąd to wiesz? – nieco bardziej poluzował uścisk, pozwalając tamtemu zsunąć się po ścianie kontenera tak nisko, że stopami znówu sięgnął ziemi.

Milczenie, które mu odpowiedziało, było nader wymowne. Palce ponownie zacisnęły się na szyi ofiary. Fukuła i wyszczerzył zęby.

– Nawiazales kontakt ze stworzonym i powiedziales mu, że ktos go szuka.

– Postuchaj, to nie bylo tak...

Słowa nie przebiły się przez falę złości i bólu, która nagle zalała go w głębi ducha.

– Przeklęty pomiot!

Rzucił typa tak mocno o metalową ściankę kontenera, że rozległ się huk i odgłos pękających kości.

– Zdrójca!

Chwycił go i błyskawicznym ruchem skrzył mu kark, mężczyzna nie zdążył nawet krzyknąć. Pusił ofiarę i odsunął się. Przez sekundę czuł, że uzyskał zadośćuczynienie, ale po chwili znowu ustąpiło ono miejsca bólowi. Spojrzał na wykrzywione zwłoki, po czym odwrócił się i opuścił zaułek. Pozostawienie ciała w miejscu publicznym było wbrew prawu. Jednak do tej pory złamał tak wiele zakazów, że ten fakt nie ogrywał już żadnej roli.

Dopiero na następnym skrzyżowaniu przystanął, odchylił głowę do tyłu i spojrział na nocne niebo. Zaczęło lekko mżyć. Chłodna wilgoć pomogła mu ochłoniąć. Powoli wykonał wydech. W tej całej złości wspominał o zleceniu Książąt. W ciszy przeklął sam siebie. Jeśli się nie opamięta, to jeszcze bardziej splanii honor rodziny. Na jego wargi wstąpił gorzki uśmiech. Ale przecież zawsze to robił. A co się tyczy rodziny... Uśmiech zbladł. Z każdym dniem, ponieważ jego bezskuteczne poszukiwania już trochę trwały, coraz bardziej obawiał się, że jej nie ma. Gwałtownie potrząsając głową, odpedził od siebie tę myśl. Powiadają: Kto traci nadzieję, ten traci życie. Niczego podobnego nie zamierzał.

Ostry poryw wiatru cisnął mu w twarz potok zimnych kropli. Długo przybrał na sile i z każdą sekundą był coraz bardziej gwałtowny. Noc zapowiadała się nad wyraz nieprzyjemnie. Zaciśnął zęby, podnosząc kombinez kurtki. Ci, od których ewentualnie mógłby jeszcze dostać jakąś wskazówkę, pewnie jak wszyscy pozostali zaszyli się w jakimiś suchym i ciepłym miejscu, żeby przeczekać ulewę. W takiej sytuacji każda kolejna godzina spędzona na ulicy byłaby stracona, a przecież nie miał zbyt wiele czasu.

Sfrustrowany i jednocześnie poirytowany oderwał się od lichej pobny jak dawała ściana domu, przed którym stał, i pobiegł kilka przecznic dalej, w kierunku obrzeży miasta, gdzie w jednej z ciemnych, bocznych uliczek zaparkował samochód. Wsiadł do czarnej sportowej sting ray i wrócił do swojej aktualnej kwatery. Zaparkował wóza w szopie, którą zaadoptował na garaż. Skrupulatnie pozamykał wszystkie zamki i ruszył do domu. Bezgłośnie otworzył drzwi, ale przystanął tuż za progiem i w napięciu zaczął nasłuchiwać. Nie, w środku nikogo nie było. Bez zapalania światła przemierzył kuchnię i wkradł się do pustej jadalni. Grube deski skrzybiały pod jego stopami. Stamtąd zszedł do piwnicy, gdzie spał. Z czystego przyzwyczajenia watarasował ciężką belką drzwi, oparł się o framugę i wbił

wzrok w ciemności. Po lewej mysz czmychnęła do dziury. Na kilka sekund zastępnął w bezruchu, a potem odepchnął się i przemaszerował przez pomieszczenie, w którym nie było niczego poza krzesłem, staroświecką skrzynią, materacem i paroma rzeczami, jakie zabrał ze sobą w wysłużonym plecaku marynarskim.

Zdjął nie swoje ubranie, złożył je w kostkę, a następnie ubrał własne. Grali w tę grę już niezliczoną ilość razy, lecz nigdy nie przepuszczał, że kiedyś przyjdzie mu to robić z takiego powodu.

Jego ramiona opadły. Obiema dłońmi przesunął po twarzy, poczapał w kierunku materaca, który leżał w kącie naprzeciwko, a następnie opadł na skotowane koce. Przez kilka minut siedział w kucki ze wzrokiem wbitym tępo między stopami w starą, popękana, drewnianą podłogę, potem położył się. Zwróciwszy twarz w stronę ściany, zamknął oczy. Czekał na głuchy sen, który dla niego nie miał żadnych marzeń.

Skrzypce w nocy

Nazajutrz, jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, dopadli mnie Neal z Tylerem. Martwili się, ponieważ nie reagowałam na telefon. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że popełniłam błąd, odruchowo odrzucając połączenia. Gdybym je odebrała, pewnie Neal nie nalegałby tak uparcie na relację z przebiegu wczorajszego wieczoru, a przede wszystkim na wyjaśnienia, co się ze mną stało. Trudno było nie zauważyć, że nie jestem w najlepszym humorze. W końcu, przyparta do muru musiałam wyznać, że DuCraine ustawił mnie na szczycie. Tym samym palnęłam kolejne głupstwo, ponieważ od tej chwili Neal, Tyler, Ron i Mike wkroczyli z Julienem na wojenną ścieżkę.

Na początek zażądali od niego wyjaśnień – idioci! Ciekawe, kto ich upoważnił do stawania w obronie mojego honoru! Też mi spierze od siedmiu boleści! Oczywiście koleś zareagował z typową dla siebie obojętnością i arogancją. Potem doszło do przepychanek na korytarzu i ostatecznie na treningu florecistów Neal postawił z DuCraine'm na matę. Chciał go załatwić na oczach szkoły, a poniósł sromotną klęskę.

Neal był naprawdę dobry i znał całą masę trików, które wykorzystywał, balansując na cienkiej granicy tego co dozwolone

ne. Jednak Julien pokazał mi jeszcze parę innych. Trener musiał ich rozdzielić, zanim sprawy zaszyły za daleko. Narobili przy tym tyle hałasu, że słyszałam wszystko na drugim końcu hali sportowej, gdzie razem z Beth miałyśmy WF. Teraz Neal dodatkowo poczuł się dotknięty na honorze, co bynajmniej nie załagodziło sytuacji.

Na domiar złego Cynthia uznała, że Julien splawił mnie już po jednej nocy i nie omieszkała podzielić się swoją wiedzą z całym światem. Informowała o tym fakcie każdego, kto chciał jej słuchać, a także tych, którzy słuchać jej nie chcieli.

DuCraine'a chyba to wszystko w ogóle nie interesowało. W ciągu kolejnych czterech tygodni dwie dziewczyny z naszego rocznika i jedna rok starsza zdążyły nazwać siebie jego przyjaciółkami, a potem każdą z nich znajdowano w toalecie, zapłakaną z powodu nagłego zerwania. Sama byłam nieco przerażona swoją reakcją, kiedy skonstatowałam, że wcale mi ich nie żal. Może dlatego, że powinny już były wiedzieć, z kim mają do czynienia. Bądź co bądź koleś powoli wyrobił sobie pewną opinię.

Zauważyłam jednak, że ilekroć pojawiał się na horyzoncie, ukradkiem podążałam za nim wzrokiem. Fascynowała mnie niebezpieczna gibkość jego ruchów i wiele dałabym za to, żeby choć raz zobaczyć Juliana w dziennym świetle bez okularów. Kiedy słyszałam jego głos na korytarzu, nogi po prostu ugiwały się pod mną. Raz przy bocznym wejściu do skrzydła przyrodniczego stanęliśmy naprzeciwko siebie i dosłownie zapało mi dech w piersiach, lecz spostrzegłam to dopiero wtedy, gdy już przeszedł. Spojrzenie, jakie mi przy tym posłał było – oględnie mówiąc – zabójcze. Nie rozumiałam, dlaczego jest na mnie taki wściekły. Bo chyba nie z powodu tego incydentu na szczycie?

W ostatnim tygodniu września wrócił pan Barrings, nasz nauczyciel literatury angielskiej. Krótko po rozpoczęciu roku szkol-

nego miał poważny wypadek samochodowy, po którym długo leżał w szpitalu. Do tej pory wciąż jeszcze chodził o kulach.

Lekcja odbyła się w innej sali niż te na początku. Przekroczyłam próg klasy jako jedna z ostatnich, a ponieważ nie miałam najmniejszej ochoty siadać w pobliżu Cynthii i jej świty, wybrałam miejsce w przedostatnim rzędzie.

Pan Barrings usiadł już za biurkiem, kiedy ponownie otworzyły się drzwi. Do środka wszedł Julien DuCraine, mamrocząc pod nosem jakieś przeprosiny. Nagle poczułam suchość w ustach. Poza ostatnim, całkowicie pustym rzędem było tylko jeszcze jedno wolne miejsce – obok mnie. Najwyraźniej zauważył to, ponieważ gwałtownie przystanął, potem jednak zagryzł zęby i ruszył dalej, kierując kroki do ostatniego rzędu. Słyszałam jak Cynthia szeptała coś ze swoimi przyjaciółkami. Ktoś prychnął. Ze wstydłu dotarłam rumieńców i wbiłam wzrok prosto przed siebie.

– Chyba się jeszcze nie znamy – powiedział pan Barrings, układając równo dokumenty.

DuCraine przystanął tuż za moimi plecami.

Faktycznie. Nazywam się Julien DuCraine. Jestem uczniem Montgomery dopiero od dwóch miesięcy.

– W takim razie serdecznie witamy. Proponuję jednak, Julienie, aby usiadł pan obok Dawn. Wtedy nie będę musiał zdzierać garbla. Jestem pewny, że pana nie ugryzie.

Spojrzałam za siebie. Gapił się na mnie. Nie, ja jego nie ugryzę, ale sądząc po minie, on najchętniej ugryzłby mnie.

Zapadło napięte milczenie. Dopiero po dłuższej chwili wzruszył ramionami, a następnie usiadł na stojącym obok krześle. Jego wzrok, który mimo przeciwnych okularów poczułam na sobie, przebiegł po moim ciele. Nie, nie zamierzałam zbliżyć się do tego koleśka bardziej, niż to było konieczne.

Skrzyżował ręce na piersiach i wyciągnawszy nogi, oparł się plecami o oparcie krzesła. Wbił spojrzenie w jakiś bliżej nieokreślony punkt za panem Barringsem i zastygł w bezruchu. Swoją postawą zdawał się mówić: „Jestem tutaj tylko dlatego, ponieważ muszę tu być. I lepiej zostawcie mnie w spokoju”. Nie było drugiej takiej rzeczy, którą uczyniłabym z większą przyjemnością.

Na początku roku szkolnego zaczęliśmy omawiać *Portret Doriana Gray’a*, Oskara Wilda. DuCraine nic o tym nie wiedział albo zapomniał swojego egzemplarza książki albo po prostu nie zadał sobie trudu, żeby go zdobyć. Zważywszy luzackie podejście do szkoły, jakie ostentacyjnie demonstrował na krzesle obok, to ostatnie było całkiem możliwe.

Pan Barrings kazał nam teraz odczytywać fragmenty powieści, które następnie omawialiśmy. W końcu przyszła kolej na Julię. Podsunęłam moją książkę na środek biurka, aby mógł do niej zajrzeć; uczyniłam to mniej więcej z taką ostrożnością, z jaką podaje się drapieżnikowi kawał mięsa, wsuwając pomiędzy kraty gołą rękę. Z sykiem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Powoli i sztywno wyprostował się na krześle, po czym o jakiś centymetr przechylił w moją stronę. Dłonie wciąż trzymał pod stołem, widziałam, że leżą na udach zaciśnięte w pięści.

Czytał wolno i wyraźnie, a na dźwięk jego głosu mrowie przeszło mi po karku i musiałam zadać sobie wiele trudu, żeby spokojnie wysiedzieć na miejscu. Przewracanie kartek należało do mnie. Za pierwszym razem zagapiłam się, ale nawet nikt tego nie zauważył, bo wszyscy słuchali jak urzeczeni. Dopiero wtedy zwróciłam uwagę na fakt, że mówi z ledwo słyszalnym, miękkim akcentem, który w miarę czytania stał się nieco bardziej wyraźny. Kiedy pan Barrings w końcu ocknął się z odrętwienia i podziękował DuCraine’owi, ten usiadł we wcześniejszej pozycji. Znowu

przybrał obojętną i niechętną minę, ale miałam wrażenie, że słyszę, jak zgrzyta zębami.

Pod koniec lekcji nauczyciel poprosił, abyśmy wszyscy zostali jeszcze przez chwilę.

– Jak wam wiadomo, – zaczął – w przyszłym miesiącu odbędzie się bal z okazji Halloween.

Po sali przeszedł pomruk.

– Dzięki ojcu Cynthii w tym roku możemy go zorganizować w starym variété’s przy Merillstreet.

Pomruki przemieszały się z jękami i pan Briggens podniósł rękę, żeby uciszyć klasę.

– Byłem tam wczoraj. Wnętrze jest dosyć zakurzone i zanim przystąpimy do dekorowania, musimy je wysprzątać. Dlatego zespół dekoracyjny spotka się dzisiaj po południu o piętnastej przed wejściem do teatru celem rozpoczęcia prac porządkowych.

Ponownie rozległo się głośnie westchnienie, tym razem z ust członków wspomnianego zespołu. Byłam jednym z nich. Pan Barrings ze zrozumieniem skinął głową.

– Wiem, ale kiedyś w końcu trzeba zacząć. – Powędrował wzrokiem po klasie. – Ponieważ Mike ma złamany nadgarstek i nie może niczego podnosić ani dźwigać, potrzebujemy dla niego zastępstwa. – Spojrzył na DuCraine’a i uśmiechnął się. – Co pan powie na taką propozycję, Julienie? Jakby nie było – z tego, co słyszałam, – jest pan odpowiedzialny za wypadek kolegi.

DuCraine otworzył usta i dałabym sobie głowę uciąć, że chciał zaprzeczyć, jednak pan Barrings nie pozostawił mu najmniejszych szans.

Bardzo ładnie. W takim razie wszystko jasne – nauczyciel skinął do niego głową, a potem potoczył wzrokiem po klasie. – Zatem widzimy się o piętnastej – zakomunikował i puścił nas do domów.

Dotyknęłam ciche warknięcie. Ukradkiem zerknęłam na mojego sąsiada. Jego zaciśnięte usta przypominały wąską, cienką kreskę. Kipiał ze złości i gotowa byłam iść o zakład, że raczej wybierze nagana za nieobecność, niż zjawi się po popołudniu w wyznaczonym miejscu.

Pomyliłam się. Przyszli Mike i Neal, również należący do zespołu dekoracyjnego, nie wyglądali na szczególnie zachwyconych tym faktem.

Merillstreet, przy której stało variété’s³, była małą przecznicą od Riverdrive, czyli głównej ulicy Ashland Falls. Tutaj czas jakby zatrzymał się pomiędzy wysokimi budynkami z cegły klinkierowej, wszystkie one miały schody wejściowe na zewnątrz i okna w obramowaniach z piaskowca. Uliczka wyglądała niczym kulisy filmu o Al Capone albo przeniesiona żywcem z początku XX wieku, bo właśnie wtedy powstało variété’s *Bohema*. O ile mi wiadomo budynek uległ niemal całkowitemu zniszczeniu w trakcie pożaru, który wybuchł w latach 50-tych. Wprawdzie właściciel zlecił jego odbudowę, ale koszty najwyraźniej były zbyt wysokie, aby mogły się zwrócić, ponieważ wkrótce potem teatr znowu został zamknięty. Tym razem na zawsze. Od tamtej pory parokrotnie zmieniał właścicieli i aktualnie należał do ojca Cynthii.

Do wejścia wiodły szerokie schody. Obok nich stała czarna honda fireblade, a DuCraine opierał się plecami o jedną ze spiralnie skręconych, piaskowcowych kolumn, które dźwigały dach a’la pagoda. Z całej naszej ekipy jedynie Beth uznała za godną powitania krótkim skinieniem głowy. We mnie jak zwykle wbił złowrogie spojrzenie. Jeśli w ten sposób chciał mnie trzymać na dystans, to gotowa byłam wyświadczyć mu tę przysługę. Neala

³ Variété’s – teatr o repertuarze rozrywkowym, złożonym z piosenek, monologów, tańca i popisów akrobatycznych. (przyp. red.)

i Mike’a ledwo musnął wzrokiem, aczkolwiek kąciaki jego ust miały się przy tym w aroganckim uśmiešku.

Czy pan Barrings potrafił wyczuć panujące między tą trójką napięcie, czy też doszły go słuchy o kłótni między chłopcami, tego nie wiedziałam. W każdym razie zadbał o to, żeby w czasie, gdy otwierali drzwi, stali rozdzieleni, po jego lewej i prawej stronie.

Z miejsca uderzyło nas przesycone kurzem, szchtë powietrze. W obitym aksamitem holu, który niedługo musiał służyć za scianę, panowały nieprzejrzone ciemności, jedyne światło spadało przez otwarte teraz drzwi. Powoli weszliśmy do środka. Wysoka, szczupła jasnowłosa dziewczyna, jedna z pierwszych osób DuCraine’a, kilka razy pisnęła przeraźliwie. Pan Barrings, oświetlając sobie drogę lampką kieszonkową, zniknął za ciężką, bordową kotarą. Jakiś zgrzybiały mól wyfrunął z materiału i przez chwilę krążył bez celu, aby w końcu zanurkować w cieniach, które gnieździły się pod krętymi, prowadzącymi na górę schodami. Czuło głośnie huknęło, a potem nad naszymi głowami rozbłysnął srebrny szary od kurzu kandelabr. Najwyraźniej pan Barrings znalazł główny bezpiecznik.

Gęściego przeszliśmy przez kotarę, starając się zbytnio nie poruszyć materiału. Nie chcieliśmy wzbijać tumanów kurzu ani ryzykować, że tkanina rozpadnie się ze starości. Ogonek zamykali DuCraine i Beth.

Po drugiej stronie naszym oczom ukazało się wnętrze *Bohemy* w całym jej dawnym przepychu. Była to półokrągła sala aż do samej sceny wypełniona stolikami, przy których stały krzesła. Ściany wpięły posagi muskularnych herosów. Każdy z nich dźwigał na plecach łożo okoloną delikatnym, złożonym ornamentem ścielono-roślinnym. Właściwy sufit widowni stanowiła kopuła z matowego szkła. Fakt, że przetrwała te wszystkie lata w nieporuszonej formie, należało uznać za istny cud. Przykrywała ją

tylko warstwa liści i ptasich odchodów. Światło słoneczne wpadało zaledwie przez kilka szpar na obrzeżach, a w jasnych smugach tańczył kurz. Pośrodku sali wisiał potężny kandelabr, jego facetki były jednak zmatowiałe i mętne, podobnie jak w przypadku licznych ściennych lamp. Sama scena znajdowała się około metr nad widownią. Po jej obu stronach zwisała z sufitu lekko spięta po bokach, granatowa kurtyna. Pokrywająca wszystko gruba warstwa kurzu skutecznie przesłaniała dawną świetność pomieszczenia. Słumiłam westchnienie. Potrwa chyba całą wieczność, zanim doprowadzimy *Bohemę* do jako takiego stanu!

Pan Barrings zdecydował, że na początek uprzątniemy graty zalegające na widowni i w przedniej części sceny. Wyznaczona przez niego grupa miała zestawić przy ścianach stoliki z krzesłami, a reszta usunąć pajęczyny i kurz z żyrandoli oraz ściennych świeczników. Wszystkie rzeczy zepsute lub niezdatne do użytku mieliśmy złożyć przy wejściu, aby potem łatwiej było je wynieść. Nauczyciel postanowił, że dopiero po wykonaniu tych prac, przystąpimy do gruntownych porządków. Ze spojrzenia, którym omiół *Bohemę*, wnioskowaliśmy, że zdaje sobie sprawę z tego, iż nastąpi to nie wcześniej niż przy kolejnym spotkaniu, o ile w ogóle nastąpi...

Podzielił uczniów na kilka mniejszych zespołów, pamiętając o tym, żeby trzymać Neala i Mike'a z dala od DuCraine'a. Najwyraźniej nie zauważył, że Julien pije również coś do mnie, gdyż razem z Beth, Lilly i Ramonem trafiliśmy do jednego teamu, któremu zlecił uprzątnięcie sceny, a dodatkowo zdjęcie i wytrzymanie wielkiej kurtyny, o ile – rzecz jasna – zdołamy znaleźć odpowiednio długą drabinę. DuCraine w milczeniu wysłuchał polecenia, wykrzywił usta we współczująco-drwiącym uśmiechu i bez słowa wyniósł się na skąpo oświetlone zaplecze.

Chwyliłam jeden z worków na śmieci, które pan Barrings wspaniałomyślnie rozdzielał na prawo i lewo, i zaczęłam toro-

wać sobie drogę przez leżące na scenie połamane rekwizyty, stare papiery, skrawki materiału oraz kawałki drewna. Lilly robiła to samo, idąc od drugiej strony. Beth i Ramon próbowali w tym czasie zdjąć kurtynę – z miernym skutkiem. Z tyłu sceny co rusz dobiegało nas stłumione szuranie i brzęki, od czasu do czasu wyłaniał się stamtąd DuCraine obładowany rupieciami, które wrzucał do worka Lilly.

Beth i Ramon zaniechali swoich daremnych wysiłków i włącznie usiłowali dostać się na zawieszony pod sufitem pomost, aby tam spróbować szczęścia, kiedy szuranie i brzęki zagłuszył straszliwy huk, po którym dobiegł zdławiony kaszel. Podniosłam wzrok. Albo pozostali niczego nie słyszeli albo po prostu nie zwrócili uwagi na ten hałas. Fakt faktem, panował tutaj wielki rumor, non stop coś upadało albo tłukło się.

Lilly poszła odstawić swój wypełniony śmieciami worek, kiedy ponownie gzmotnęło. Postanowiłam sprawdzić, skąd dobiegają te dźwięki. Znalazłam DuCraine'a w maleńkiej komóreczce spowitego chmurą kurzu. Wokół niego leżały resztki czegoś, co wcześniej musiało być regałem ściennym. Najwyraźniej – z bliżej nieokreślonych powodów – ów regał spadł na niego. Poza tym wszędzie wałaly się stare rekwizyty, które do tej pory stały zapewne na półkach. Julien, wciąż jeszcze kaszając i przeklinając w jakimś nierozumiałym języku, uklękł obok góry desek, ostrożnie rozsunął kilka z nich i wyciągnął coś spod spodu. Zrobiłam krok w jego kierunku i zajrzałam mu przez plecy. Trzymał w dłoniach stare skrzypce i ścierał z nich kurz. Z boku instrumentu, w wyblakłym lakierze widniała głęboka rysa.

Wszystko w porządku?

Chyba oszalałam! Co mnie podkuśliło, żeby o to pytać? Przecież było do przewidzenia, że jego odpowiedź pójdzie mi w pięty! Najwyraźniej nie zauważył dotychczas mojej obecności, ponieważ

obrócił się z warknięciem i wbił we mnie wściekłe spojrzenie. Po nad jego brwią widniało głębokie zadrąśnięcie.

– Przecież ty krwawisz!

Wstał dosłownie w tej samej chwili, kiedy wyciągnęłam dłoń w kierunku jego czoła. Nie wiedziałam, jak się poruszył, ale pochwyciłam moją rękę zaledwie parę centymetrów przed swoją twarzą i ścisnął przegub jakby stalową kłamrą. Jego brwi ściągnęły się gniewnie nad górnym brzegiem przyciemnionych szkieł.

– Spadaj stąd, Warden!

– Ale ty... Au!

Odepchnął mnie tak gwałtownie, że plecami uderzyłam o framugę drzwi.

Podszedł powolnym, zatrważającym krokiem i stanął tuż przede mną. W dłoń wciąż trzymał skrzypce.

– Czy na szczyt nie wyraziłem się dostatecznie jasno? Trzymaj się ode mnie z daleka! Zrozumiano?

– Z wielką chęcią, idioto! – pchnęłam go w pierś. Z tym samym skutkiem co onegdaj, ale teraz dobrowolnie zrobił krok w tyłu. – Mam nadzieję, że te deski zabiją cię następnym razem!

W odpowiedzi wykrzywił drwiąco usta, potem przeciśnął się obok mnie i wyszedł ze składziku. Patrzyłam, jak przemierza w poprzek scenę i z boku zeskakuje na widownię. Jeśli sądził, że posprzątam za niego ten cały burdel, to był w wielkim błędzie.

Odepchnęłam się od framugi i wróciłam do mojego worka na śmieci.

Na podłodze leżał kawałek sklejkki z przyklejonym doń skrawkiem starego plakatu. Właśnie zamierzałam się pochylić, żeby go stamtąd zabrać i wyrzucić, kiedy usłyszałam nad głową huk i trzask. Spojrzałam w górę... Potem wszystko wydarzyło się jakby równocześnie. Patrzyłam niczym zahipnotyzowana na spadające liny oraz deski, a zarazem miałam wrażenie, że ogarniam

wrokiem całą przestrzeń dookoła, czyli pełny 360 stopni. Wiedziałam, jak inni z przerażeniem w oczach spoglądają to na mnie, tu na sufit, widziałam stojącego w cieniu z boku sceny DuCraine'a, który odwrócił się z typową dla siebie niebezpieczną gibkością i słyszałam niepokojący dźwięk szybko odkraczającej się na wieloboku liny. Przez cały czas coś we mnie krzychało: „Uciekaj!”, natomiast rozum zupełnie nie pojmował, czego ten głos chce. Tak więc bezmyślnie gapiałam się na ciemny twór, który leciał prosto na moją głowę. W ostatnim ułamku sekundy, zanim monstrum pogrzebało mnie pod sobą, zostałam odciągnięta na bok. Rąbnęłam z całej siły o podłogę. Coś albo ktoś przygniotło mnie swoim ciężarem, ochraniając dłońmi moją i swoją głowę przed deszczem spadających kawałków drewna i metalu. Znowu rozległ się huk, po którym nastąpiło złowieszcze szuranie i pozostała część scenicznej maszyneryi zaczęła niebezpiecznie ruszać się nad nami. Tym razem zdołałam krzyknąć. Bardzo głośno i przenikliwie. Kilka chwil później, przyciśnięta do twardej piersi, przetoczyłam się po deskach sceny. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżeliśmy, runął cały pomost. Po jego obydwu stronach dyndały liny. Krzyknęłam ponownie, ponieważ nagle twarde gruntu zniknęło pod nami i miałam wrażenie, że spadamy w nicość. Nicość skończyła się po około dwóch metrach, na posadzce widowni, pomiędzy brzegiem sceny a murem utworzonym ze spiętrzonych krzeseł. Podo mną leżał Julien DuCraine i ścisnął mnie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. W przyciemnianych szklach okularów zobaczyłam odbicie mojej przestraszonej twarzy. Oprawki były nieco zsunięte z nosa. Spojrzałam mu prosto w oczy. Miały szary kolor. Dziwnie polykająca i żarząca się szarość, która nieustająco zmieniała swój kształt. Przypominała rtęć. Odważajmniej moje spojrzenie. Czas przysunął się – ot tak, po prostu. Przesunął ręką w górę po moich plecach, położył ją na karku, pociągnął mnie głębiej...

– Coś wam się stało? Jesteście ranni?
Kiedy pan Barrings pospiesznie przykużył do nas, czas dłużej przetrzymać, niż przestraszony zając i szybko zaczął tykać dalej, aby nadrobić straty.

DuCraine wydał z siebie ryk, z którego mógłby być dumny każdy rozgniewany lew, zabrał ręce z moich pleców, poprawił na nosie okulary, a następnie brutalnie zepchnął mnie z siebie. Wyładowałam pomiędzy spiętrzonymi krzesłami i o mały włos nie przewróciłam całej konstrukcji. Za panem Barringsem stanęła reszta grupy. Ludzie rozmawiali podekscytowani, przekrzykując się nawzajem, jednak moja uwaga była skupiona na scenie. A mówiąc dokładniej na deskach, linach i metalowych częściach, które tworzyły jedno wielkie rumowisko w miejscu, gdzie stałam jeszcze kilka sekund wcześniej.

– Na pewno wszystko w porządku? – nauczyciel powtórzył swoje pytanie.

W odpowiedzi lekko skinęłam głową, wygramoliłam się pomiędzy krzesła i spojrzałam na DuCraine'a. On również przytaknął i wstał z taką elegancją, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Anglista odetchnął z ulgą.

Powolutku zaczęłam rozumieć, że JULIEN WŁAŚNIE, OCALIŁ MI ŻYCIE.

DuCraine jakby czytał w moich myślach, ponieważ zanim zdążyłam otworzyć usta, żeby mu podziękować, potrząsnął głową.

– Tylko niczego sobie nie wyobrażaj, Warden. Byłaś moim dobrym uczynkiem na dzisiaj. Nic więcej. Dlatego będzie najlepiej, jeśli szybko o tym zapomnisz! – burknął cicho, a potem przecisnął się obok mnie i utorował sobie drogę przez zebrany tłumek.

Wyraźnie zdumiony pan Barrings odprowadził Juliana wzrokiem, dopóki chłopaka nie pochłonęły cienie po przeciwległej stronie sceny. Następnie, z niedowierzania potrząsając głową, od-

wrócił się w moją stronę i wymamrotał: „Szok” czy coś w tym rodzaju.

– Naprawdę dobrze się pani czuje, Dawn?

Tak – powtórzyłam.

Neal i Mike wzięli mnie między siebie. Beth stanęła częściowo za moimi plecami, pewnie na wypadek gdybym z jakichś powodów zamierzała jeszcze zemdleć.

– Dobrze – spojrzał na rumowisko, a potem zakomunikował wszystkim zebranim: – Po pierwsze przerywamy dzisiejsze porządki. Zanim na nowo podejmiemy pracę, ktoś z nadzoru budowlanego musi obejrzeć *Bohemę*. Podobny incydent nie może się powtórzyć. Proszę iść do domu. Do zobaczenia w szkole.

Ludzie z szmeraniem pozbiierali swoje kurtki oraz torby i ruszyli ku wyjściu, ukradkiem lypiąc na mnie okiem. Jutro będzie o tym gadać cała szkoła. Już teraz ze wstydu o mało nie zapadłam się pod ziemię. Może powinna pod pretekstem bólu głowy zostać przez kilka dni w domu?

Pan Barrings też jeszcze raz zlustrował mnie, a potem spojrzał na Mike'a, Neala i Beth.

– Zatrzaszczycie się o Dawn, tak? – wcisnął Mike'owi do ręki dłoń dołców. – Proszę iść się czegoś napić, zanim państwo pojedziecie do domu. I zabierzcie ze sobą Juliana, jeśli będzie miał ochotę. Pewnie jest w takim samym szoku jak Dawn.

Cała trójka wymamrotała, że owszem, tak właśnie uczynią. Neal i Mike popchnęli mnie w kierunku wyjścia, a Beth – ku mojemu wielkiemu oburzeniu – ruszyła na poszukiwanie DuCraine'a. Kiedy chwilę później zjawiła się za nami, niosąc swoją kurtkę oraz torbę, była sama. Wcale mnie to nie zaskoczyło.

Mimo usilnych zapewnień, że nic mi nie dolega, zaciągnęli mnie do małej kawiarni za rogiem i zmusili do wypicia czekolada-

dowego szejka. Beth zamówiła sobie latte z karmelem, a chłopcy po coli.

Nie uczestniczyłam w ich konwersacji. Intensywnie myślałam o tym, co się wydarzyło. Nie dość, że zostałam uratowana przez koleśka, który szczerze mnie nienawidził, to jeszcze dałabym sobie głowę uciąć, że w tamtej chwili Julien stał po przeciwległej stronie sceny i dzieliła nas przynajmniej połowa jej długości. Zatem jakim cudem zdołał dobiec w porę i odciągnąć mnie na bok?

Powoli zapadł zmrok. Gapiłam się w moje lustrzane odbicie, które było wyraźnie widoczne w szklanych drzwiach wejściowych, próbując odtworzyć w myślach tę odległość. Nie potrafiłam, przynajmniej na tyle, żeby odrzec czyn DuCraine'a z aury nierealności.

– Widzieliście, gdzie on stał, kiedy runął pomost? – zapytałam z zienacka, przerywając ich rozmowę.

Popatrzyli na mnie skonsternowani.

– Kto? – Mike zamieształ słomką w coli.

– DuCraine.

Wymienili ze sobą pytające, za zarazem zamyślane spojrzenia.

Neal zmarszczył czoło.

– Nie, ale zakładam, że musiał być gdzieś blisko. Ni stąd, ni zowąd pojawił się obok ciebie, potem spadło to całe cholerstwo i sekundę później leżeliście już poza sceną.

Mike skinął głową, a Beth, kiedy na nią spojrzałam, wruszyła ramionami.

– Też widziałam tylko tyle, że wyrósł nagle jak spod ziemi. Skoczył na ciebie niczym puma, a zaraz potem spadłście ze sceny. Pomyślałam jeszcze, że uderzyła cię któraś z tych metalowych albo drewnianych części, bo krzyknęłaś. A dlaczego pytasz?

No tak, dlaczego pytałam? Ponieważ wyczyn Juliana właściwie należał do gatunku niemożliwych. Ale jeśli powiem to głośno, gotowi są uznać, że podczas incydentu zostałam ranna w głowę i będą chcieli zaciągnąć mnie do lekarza. Albo co gorsza – do szpitala.

Pomyślałam tylko... no cóż, to wszystko działo się tak szybko, że właściwie niczego nie pamiętam. Pomyślałam, więc że może moglibyście powiedzieć mi nieco więcej. Zresztą nieważne, że niepewnym uśmiechem na ustach potrząsnęłam głową.

Mike i Neal przytaknęli ze zrozumieniem, a Beth pogłaskała mnie po ramieniu. W efekcie poczułam się jeszcze gorzej, bądź to bądź właśnie ich okłamałam. Wzięłam łyk szejka. Zrobił się ciepły i mdły. Odsunęłam go od siebie. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać, iż w tamtej sekundzie po prostu oszukały mnie zmysły. Ukradkiem zerknęłam na zegarek. Minęła ósma. Może pan Barrings był jeszcze w *Bohemie*? Musiałabym naprawdę mieć szczęście, ale postanowiłam przynajmniej spróbować. Kiedy wstałam, cała trójka obrzucała mnie zdumionym wzrokiem. Neal, uznawszy, że chcę wracać do domu, zaproponował mi odwiezienie, ale grzecznie odmówiłam. Miałam inne plany.

Kiedy dotarłam do *Bohemy* budynek tonął w ciemnościach (1911). Również w oknach pozostałych domów nie paliło się światło. Oczywiście pana Barringsa już nie było. Z typową dla siebie dokładnością zamknęłam drzwi. Włączyłam latarkę MagLite, którą ja dłużej zabrałam z samochodu i powędrowałam strumieniem światła po fasadzie budynku. Może jednak poczekać do jutra i oczywiście poprosić o wydanie klucza?

Odrzuciłam tę myśl, kiedy snop światła padł na stojący przy drzwiach wejściowych motocykl. Fireblade DuCraine'a! Czyli Ju-

lien musiał gdzieś tutaj być. Tylko gdzie? W *Bohemie*? Budynek przynajmniej na zewnątrz wyglądał na ciemny i opuszczony. Czy w pobliżu jest coś innego, co mogłoby go zainteresować? *Ruthem* znajdowało się zaledwie kilka ulic dalej. Ale gdyby zamierzał tam iść, to przecież nie zostawiłby swojego motocykla. A może jednak...? Okolica klubu nie cieszyła się najlepszą sławą. Natomiast tutaj – o ile mi wiadomo – raczej nikt nie zaglądał. Nawet odgłosy śmigających po Riverdrive samochodów docierały do tego miejsca nieco przytłumione, zaś fireblade stał po stronie wejścia niewidocznej od ulicy. Trzeba było obejść półkolem schody, żeby w ogóle go zauważyć. Powoli cofnąłem się i nastawiając uszu, jeszcze raz powiedziałam wzrokiem po fasadzie *Bohemy*. Ciemno i cicho. Poza mną nie było tutaj żywego ducha. Może faktycznie będzie lepiej, jeśli sobie pójdę? Co ja właściwie tutaj robię? Równie dobrze mogę zapytać jutro DuCraine'a, jakim cudem tak szybko zjawił się przy mnie albo poprosić pana Barringsa o kluczce.

Doszłam już prawie do wysokości Riverdrive, kiedy nagle przystanąłam. Nie! Ta cała historia za bardzo nie dawała mi spokoju. Po prostu muszę poznać prawdę! Teraz! Wykonałam nagły zwrot i pomaszero wałam z powrotem.

Powtórnie powędrowałam snopem światła po fasadzie *variétés*. Tuż pod samym dachem było kilka wąskich świetlików, znajdowały się jednak zbyt wysoko, abym dotarła tam bez niczyjej pomocy. Snop światła musnął ciemne przejście między *Bohemą* a sąsiednim budynkiem. Może na tyłach teatru stoi drabina pożarowa? Jeszcze raz rozejrzałam się dla pewności, że nikogo nie ma w pobliżu. Oczywiście wyobraźni widziałam już nagłówki w jutrzejszych gazetach: *Nocne włamanie do teatru Bohema. Podopieczna przemysłowca, Samuela Gabbrona przyłapaną na gorącym uczynku*. Za taki numer wuj wysłał mnie za karę do pipidowy sto razy nudniejszej od Ashland Falls i będę tam kisać do końca życia.

58

Wszknułam w duchu, po czym... weszłam w uliczkę. W świecie latarki wynurzyły się staroświeckie pojemniki na śmieci. To tu watałam za uliczkę, de facto było jedynym dojściem do podwórka. W kącie stał wgnieciony metalowy kontener. Z oddali usłyszałam ciche dudnienie. Prawdopodobnie dobiegało z *Ruthem*. Fasady domów po tej stronie były szare. Gdzieniedzie odpryskiwał z nich tynk. Coś poruszyło się za kontenerem. Kiedy przestraszona skierowałam tam snop światła, rozbrzmiał czyjś mruk. Sekundę później z ukrycia wyskoczył kot i zniknął w ciemnościach. Wypuściłam wstrzymane powietrze i powędrowałam dalej za wiązką światła. Na tyłach *Bohemy* faktycznie stała drabina pożarowa. Była jednak stara i zardzewiała, szybko bym się po niej wciągnęła, niż zaufała temu, że utrzyma mój ciężar.

Bezpośrednio pod drabiną ujrzałam wąskie okienko, nie większe niż świetliki. Było uchylone na szerokość kilku centymetrów, herce zaczęło mi walić jak szalone, a dłonie zrobiły się zimne i mokre. Czyżby któryś z uczniów otworzył je, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza i w tym całym zamieszaniu zapomnieli zamknąć? Miałam nadzieję, że tak, bo w przeciwnym razie za chwilę groziła mi konfrontacja z podejrzаныmi typkami. Zignorowałam lekkawy głosik w głowie, który proponował – mimo wszystko – odczekać do jutra i rozejrzałam się za czymś, co mogłoby posłużyć za podest. Jeden z pojemników na śmieci idealnie nadawał się do tego celu. Usiłując nie narobić za wiele hałasu, zaślizgnęłam go pod wąskie okienko, weszłam na pokrywkę i przebiegłam się tak mocno, jak to tylko było możliwe. Oświetliłam znajdujące się za szybą pomieszczenie. Było po brzegi załadowane szafkami i meblami, a wszystko okrywały zakurzone prześcieradła. Ostanie wahanie, rzut oka na podwórze, potem odłożyłam książkę na parapacie i z trudem przecisnęłam się przez uchyloną szparę. O mały włos nie utknęłam w luźniku, mój strach przed

59

podejrzаныmi typkami zniknął w mgnieniu oka. Gdyby ktoś miał nieco większy obwód w pasie, już by się nie zmieścił. Dokładnie pod oknem stało coś, co w dotyku przypominało sofę z babilońskich czasów, dzięki temu moje zejście głową do przodu okazało się prostsze, a przede wszystkim bardziej wygodne niż sądziłam.

Ostrożnie sięgnęłam po leżącą na parapacie lampkę i jeszcze raz powędrowałam snopem światła po pomieszczeniu. Faktycznie. Nie było tutaj niczego innego poza skrzynkami i meblami. Drzwi znajdowały się dokładnie na drugim końcu tej całej gaciarni. Przecisnęłam się między dwoma krzesłami i zaczęłam sobie torować drogę do wyjścia. Błysk światła i jakieś dziwne poruszenie naprzeciwko, sprawiły, że zrobiłam krok w tyłu. Z moich ust wyrwał się przestraszony pisk. Dopiero po chwili zrozumiałam, że powodem paniki było oparte o skrzynkę lustro, którego nie zakryto w całości prześcieradłem. Po prostu ujrzałam własne odbicie oraz błysk latarki. Skarciwszy siebie w duchu za nadmierną strachliwość, wspięłam się na kolejny mebel i ruszyłam ku wyjściu.

Drzwi nie były zamknięte i otworzyły się bezgłośnie do środka. Najpierw przez wąską szparę zaczęłam nasłuchiwać dobiegających z ciemnego korytarza odgłosów. Albo faktycznie uderzyłam się w głowę i miałam halucynacje albo ktoś... grał na skrzypcach? Nicco szerzej uchyliłam drzwi. Rzeczywiście. Z oddali dobiegała muzyka – ledwo słyszalna, lecz niesamowicie łagodna, słodka i wypełniona jakąś bolesną tęsknotą. Najpierw delikatnie kołysała, wznosiła się i opadała, potem w silnym crescendo nabrzmiała do tonów pełnych złości, goryczy i zwątpienia, budząc we mnie lęk i pragnienie ucieczki – jak najdalej stąd! Następnie przeszła w niemal całkowitą bezdzźwięczność, żeby na koniec wrócić w łagodną, tęskną melodię, aż w końcu zupełnie ucichła.

Stałam tam, wsłuchując się w upiorną ciszę, która w jednej chwili zaległa nad wszystkim. Gdyby w *Bohemie* straszyla, wie-

60

działabym o tym. Beth nie przepuściłaby takiej okazji i już dawno zastępnęłaby mnie tutaj nocą. W takim razie kto o tej godzinie grał na skrzypcach? Chyba nie Julien DuCraine! Na samą myśl o tym o mało nie umarłam ze śmiechu. Z drugiej strony: właśnie w korytarzu za sceną przyłapałam go z instrumentem w dłoniach, a fireblade wciąż stał przed drzwiami. Kiedy znowu rozległo się głośnie, moja ciekawość definitywnie wzięła górę nad resztką ostrożności i zdrowego rozsądku. Zakotyłam latarkę. W razie potrzeby posłużę za broń.

Powolutku otworzyłam drzwi na oścież i wyjrzałam na zewnątrz. Było ciemno jak w grobie. Przez chwilę dla orientacji oświetliłam ścianę. Światło mogło zdradzić moją obecność, a jeśli to nie grał DuCraine, wówczas wolałabym zmyć się niezauważona.

Musiałam stać gdzieś za sceną, zapewne w miejscu, gdzie aktorzy mieli wcześniej swoje garderoby. Wąski korytarzyk prowadził w kierunku, w którym – jak przypuszczałam – była widownia. Po jego obu stronach znajdowały się drzwi. Wszystkie zamknięte. Również na końcu nie dostrzegłam żadnego światła. Inną raz zaświeciłam latarkę, próbując zapamiętać ewentualne przesłady, a potem wsunęłam się do korytarza i idąc ostrożnie, pomackałam, wzdłuż ściany, skierowałam kroki w stronę sceny.

Wciąż panowały egipskie ciemności. Również, kiedy skręciłam za rogiem było ciemno, przeczuwałam tylko, że na końcu korytarza ziele czarna otchłań widowni. Nie odważyłam się jednak ponownie włączyć latarki, choćby na jedną sekundę, ponieważ światło rzuciłoby ogromny cień w przedniej części *variétés*.

Im bliżej byłam wyjścia na widownię, tym wyraźniej zarysowywały się przede mną cienie spiętrzonych krzesel i stołów. Przez oklaną kopułę przenikało do środka słabe światło księżycowe, wyszczerzało jednak zaledwie na tyle, żeby rozproszyć zalegające pod

61

nią mroki. Prawie dotarłam już do celu, kiedy gra nagle ucichła. Przystanąłam i z zapatrzonym tchem zaczęłam nasłuchiwać. Panowała kompletna cisza. Żadnego skrzywienia podłogi, żadnych kroków, ani nawet oddechu. Ostrożnie ruszyłam dalej. Nagle jakaś dłoń chwyciła mnie za gardło i przycisnęła do ściany. Moje nogi zadyndały w powietrzu. Zawieszony obok przedmiot spadł i pęknął z donośnym brzękiem. Próbowałam uderzyć napastnika latarką, ale przechwycił ją i mocno ścisnął mój nadgarstek. Ręka na gardle zwarła się jeszcze bardziej. Krzyknęłam, lecz przypominało to raczej zdławione sapnięcie, które zostało zagłuszone przez trzask szkła – lampka kieszonkowa uderzyła o podłogę.

Tuż przy moim uchu ktoś prychnął, potem padło stłumione przekleństwo. Po chwili puszczono mnie i znowu stanęłam na ziemi.

– To ty, Warden? Cholera, czy człowiek już nigdzie nie jest przed tobą bezpieczny? – mruknął w ciemnościach znajomy głos.

Zakaszlałam i potarłam zmaltretowaną szyję.

– Idioto, totalnie padło ci na mózg? Chciałeś mnie zabić?

– Tak. Co ty do diabła tutaj robisz?

– O to samo mogłabym zapytać ciebie.

Wścickła zaczęłam po omacku szukać lampki. Znalazłszy ją, wstałam, sunąc ciałem po ścianie. DuCraine nie był dżentelmenem i nie zamierzał mi pomóc. Wręcz przeciwnie, cofnął się i parsknął głośno.

– Co ty sobie myślałaś, Warden, że schowasz się przede mną?

– Haha! Dobry żart, pośmiej się później – powiedziałam chrapliwie.

– Proszę bardzo, ale najpierw spadaj.

Doszedł mnie odgłos oddalających się kroków. Jego cień zamajaczył jeszcze na szarej widowni, a potem zniknął. Podłoga sceny zaskrzypiała niemiłosiernie. Dlaczego nie słyszałam, jak nad-

chodził? Lampka najwyraźniej dokonała żywota, ponieważ, kiedy próbowałam ją włączyć, żeby przynajmniej zobaczyć, dokąd idę, nie zareagowała. Nie miałam innego wyboru, jak tylko w niemal kompletnych ciemnościach ruszyć po omacku za Julienem.

W końcu dotarłam do brzegu sceny i wdrapałam się na nią. Kilka metrów dalej mignął jakiś cień.

– Co ty tutaj robisz? – mój głos odbił się upiornym echem w ciemnościach.

– Nie twoja sprawa, Warden! Znikaj! Grzeczne dziewczynki siedzą o tej porze z mamą i tatą przed telewizorkiem, a nie wlatują się do teatru.

Jego słowa sprawiły mi ból. Nie miałam szansy spędzić z rodziną choćby jednej wspólnej minuty, a przynajmniej nie potrafiłam sobie tego przypomnieć. DuCraine był jednak ostatnią osobą, której chciałam opowiadać o własnych problemach.

Nie wlamalam się – wyjaśniłam.

– Czyby? Ale nie weszłaś głównym ani tylnym wejściem! Hej, gadaj!

Weszłam pewnie tą samą drogą co ty – rzuciłam zjadliwie.

Hyknął śmiechem.

– W to akurat nie uwierz! Spadaj i pobaw się ze swoimi przyjaciółmi.

Ok, ale wcześniej odpowiesz na kilka pytań.

Zamiast odpowiedzi słyszałam dźwięk skrzypiec. Co za dupek! Wzając w dłoniach MagLite, zaczęłam się zastanawiać, ile lat można żyć za zabicie kogoś latarką kieszonkową? Czy uwierzą, kiedy powiem, że roztrzaskałam mu łeb w afekcie? A może wcale nie będą mnie podejrzewać? W końcu zdążył sobie narobić masę wrogów.

Ułkholko wciągnęłam powietrze w płuca. Postanowiłam zmienić taktykę, gdyż niewykluczone, że odrobiną uprzejmości i wdziękiem wskóram nieco więcej.

– Dobrze grasz.

Nie zareagował na komplement.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – Wykonałam krok w stronę, skąd dobiegała muzyka. Moja stopa natrafiła na jakiś przedmiot, który z głuchym łoskotem poturlał się dalej, spadł ze sceny i roztrzaskał w drobny mak. – Widzisz w ogóle struny w tej ciemności?

Gra na skrzypcach ustawa.

– Co mam uczynić, żebyś zostawiła mnie w spokoju, Warden?

– Chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś?

– Co?

– Widziałam ciebie, kiedy to ... – pomachałam ręką w kierunku, gdzie, jak mi się zdawało, leżał zwalony pomost – to całe cholerstwo spadało. Stałeś obok sceny. Byłeś za daleko, żeby w porę dobiec i odciągnąć mnie na bok. A mimo to udało ci się. Wyjaśnij, jakim cudem!

Milczenie, które nagle między nami zawisło, miało w sobie coś zatrważającego. Nie wiedziałam, czy się poruszył, czy tylko patrzył na mnie. Mimo to poczułam nagle gęsią skórkę i silną potrzebę cofnięcia się. Zupełnie wyschło mi w ustach. W końcu przemówił, jakby skierowany w moją stronę.

– A poza tym to wszystko porządku, Warden? Czy ty czasami słuchasz tego, co sama wygadujesz? – zapytał rozłoszczony. – Ci za brednie! Gdybym nie znajdował się dostatecznie blisko, byłoby już po tobie. Ładnie podziękuj, dygnij i spadaj.

– Nie! – zaprotestowałam, ściskając mocniej latarkę. – Stałeś obok sceny. Wiem, co widziałam.

Znowu zapadła cisza. Przez moment odniosłam wrażenie, że Julien stoi tuż przede mną. Wzdrygnęłam się. Kiedy jednak przemówił chwilę później, jego głos dobiegał z tej samej strony co wcześniej.

– Ok, Warden, zagram w twoją grę. Może w ten sposób cię przestraszę. Owszem, stałem obok sceny. I jaki stąd wniosek? Do diabła skarbie: nie żyjesz! Lecz twoja dusza tego nie zrozumiała, dlatego błąka się tutaj i działa mi na nerwy!

Zaraz go ukatrupię! A potem będę wnosił żeby zakwalifikowano ten czyn jako zabójstwo w afekcie.

– Wiem, co widziałam – uparcie obstawałam przy swoim, ale nie potrafiłam się na niego rzucić.

– To niby jak twoim zdaniem uratowałem ci życie? Mam nadzieję, że właśnie do ciebie dotarło, powtórzę jeszcze raz powoli, żebyś mogła to sobie zanotować: uratowałem ci życie, Warden. Był wścibę za kogoś mnie uważasz? Za supermana? Copperfielda? Wiesz, ci coś, naogładałaś się za dużo *Strefy mroku* albo *Z archiwum X*. A teraz wynocha. Uważam rozmowę za skończoną!

Znowu zaczął grać. Brzmiało to tak, jakby był niezłe rozjużony i instynkt samozachowawczy ponownie podpowiadał mi, że powinnam brać nogi za pas. Zdecydowanie zacisnęłam dłoń na pigułce. Nie dam się zastraszyć. Zamiast zwiać, zrobiłam krok w jego stronę.

– Jeśli nie masz odwagi powiedzieć mi, jak to zrobiłeś, to bierzcie mnie i zabijcie. Musisz coś ukrywać.

– Nie zareagował, z kamienną twarzą grał dalej, pozwalając mi wygłaszać monolog, czym jeszcze bardziej mnie rozwścieczył.

– Wiesz, co mam na myśli, wystarczy popatrzeć: siedzisz tutaj w środku nocy, po ciemku i grasz na skrzypcach. A potem wpatujesz na mnie znieczeka. O tej historii dzisiaj w szkole już nie wspomnę – zrobiłam kolejny krok w jego stronę.

– Oski zaskrzypiały pod moimi butami. Cholera! W napadzie złości i frustracji ponownie potrząsnęłam latarką. Nieoczekiwanie natrafiliła się. Snop światła padł prosto na DuCraine'a. Szarpnął nitkami struny, wydając przy tym bolesne, niemelodyjne

dźwięki. Z głośnym fuknięciem podniósł ramię, żeby zasłonił oczy przed jaskrawym światłem. Automatycznie opuściłam lampkę, ale natychmiast podniosłam ją z powrotem. Zmrużył powieki i zwiesił głowę.

– Zgaś to! – warknął na mnie.

– Co za freak⁶ z ciebie? – zapytałam, kierując snop światła w dół. – Chyba nie powiesz, że jesteś zupełnie normalny! Ciągłe nosisz te swoje okulary przeciwsłoneczne... – zawiesiłam głowę, próbując wyczytać coś z jego miny. On jednak milczał i gapił się na mnie z wściekłością. Po paru sekundach podniósł skrzypiec i podjął grę. Gnojek!

– Może powinnam zasięgnąć języka wśród twoich byłych dziewczyn? Pewnie wiedzą coś więcej na ten temat, nieprawdaż? Idę o zakład, że te dziwactwa bardzo je zainteresują, podobnie jak resztę szkoły.

Pogięło mnie czy co? To brzmiało jak szantaż. Byliśmy tutaj sami. Nie dzieliły nas żadne kraty ani przegroda. A ja jeszcze celowo go drażniłam! Jeśli następnym razem będą szukali ochotnika gotowego wsadzić głowę w paszczę lwa, to chyba powinnam się zgłosić! Po prostu igrałam z ogniem. Jednak Julien wciąż mnie ignorował.

Nagle poczułam się jak totalna kretyńka. W samym środku nocy stałam w ciemnym, opuszczonym teatrze i usiłowałam wydusić odpowiedź z kolesia, który po prostu nie chciał ze mną konwersować i którego żadnym sposobem nie mogłam zmusić do rozmowy. Próbuując ocalić resztkę godności, z wyraźną obojętnością wzruszyłam ramionami.

– Jak uważasz.

⁶ Ang. *freak* [wym. fri:k] – osoba zachowująca się dziwnie i niekonwencjonalnie, dziwolak. (przyp. tłum.)

skierowałam snop światła na podłogę i ruszyłam w kierunku sceny, po czym zeszałam z niej.

Czekaj, Warden!

Wzruszyła za moimi plecami ucichę. Obróciłam się zdziwionym i sfrustrowanym tonem jego głosu. W półmroku przeszedł scenę, zeskokczył z niej zwinnie jak kot i bezgłośnie wślizgnął obok mnie.

Posłuchaj, i tak już dosyć gadają w tej powalonej szkole, nie mam warzyć sobie dodatkowego piwa... – zawiesił głos.

Wybaluszyłam oczy. Dodatkowego piwa!? Naprawdę zakładał, że mogłabym to wszystko rozplątać? Opowiedzieć o jego doświadczeniach?

Zatkalo mnie. Chyba oczekiwał natychmiastowej reakcji i miał błędnie zinterpretować moje milczenie, ponieważ dodał:

Chcę tylko jednego, żeby zostawiono mnie w spokoju. Co mam zrobić, żebyś nie... żebyś nie dostarczyła im jeszcze więcej powodów do gadania? – jego słowa zabrzmiały jak prośba.

Byłam kompletnie skonsternowana.

Warden?

Wyjaśnij mi po prostu, jak to się stało – zażądałam, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

Właśnie zamierzasz mi odpuścić, co?

Nie.

Ok. Skoro sobie życzysz: jestem dość dobrym sprinterem.

Wykrzywiłam usta w szyderczym grymasie, który oznaczał ni mniej, ni więcej tylko: „No jasne, już ci wierzę”.

Dobra, to dopiero połowa prawdy – przyznał niechętnie. – Faktycznie słyszałam, jak zrywa się jedna z podtrzymujących lin. Chybaż nie znam ten dźwięk i po prostu wiedziałam, że zaraz coś spadnie. Mam szybki refleks, nie zmroziło mnie tak jak pozostałych. Dlatego dobiegłam, zanim ten cały majdan spadł ci na głowę.

– A skąd wiesz, jaki dźwięk wydaje pękająca lina? – zapytałam nieufnie.

Przewrócił oczami i spojrzał ponad moją głowę gdzieś prosto w ciemność.

– Pochodzę z rodziny linoskoczków. W tej branży trzeba rozróżniać takie dźwięki, żeby w razie potrzeby móc szybko zareagować.

– Pracowałeś w cyrku?

– Można tak powiedzieć.

– A dlaczego przestałeś?

– Miałem wypadek, który położył kres karierze. Nie chcę o tym rozmawiać, Warden. Dlatego daj sobie spokój i nie drąż temat – ponownie spojrzał na mnie. – Zadowolona? Koniec przesłuchania?

– Niezupełnie. Dlaczego ciągle nosisz te okulary? Co z twoimi oczyma? – wiedziałam, że niegrzecznie jest pytać go o to, ale ciekawość wzięła górę.

– Jakaś wada genetyczna, moje oczy nie tolerują jasnego światła. Za to dość dobrze widzę nocą. Coś jeszcze?

– Tylko jedno!

– Co do diaska? – mruknął zdenerwowany.

– Przestań mówić do mnie Warden, mam na imię Dawn.

– Wiem – zawahał się. – Dawn – powtórzył cicho.

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, przyprawił mnie o dreszcze. Spojrzeliśmy na siebie. Nagle odniosłam to samo wrażenie co popołudniu – miałam uczucie, że czas stanął w miejscu. W końcu Julien odwrócił wzrok i odsunął się ode mnie. Za nic nie chciałam pozwolić mu odejść, dlatego szybko wyciągnęłam rękę.

– Zgoda?

Spojrzał na moją dłoń, potem na mnie i zagryzł zęby. Próbowałałam nie dać po sobie poznać złości i rozczarowania. Czy

naprawdę wierzyłam, że przystanie na rozejm i przybije piątkę? Chyba nie. Bądź co bądź odpowiedział na pytania tylko dlatego, ponieważ obawiał się, że rozpuszczę w szkole kolejne plotki na jego temat. Już miałam cofnąć dłoń, kiedy ją chwycił.

Zgoda – potwierdził, ale brzmiało to tak, jakby postępował tylko własnemu przekonaniu.

Nie był to prawdziwy uścisk, powierzchnie naszych dłoni ledwo musnęły się, po czym Julien znowu wykonał krok w tyłu. Chyba byłoby pomysłem, że brzydzi się mnie dotknąć albo zbliżyć bardziej niż to konieczne. Powstrzymałam się przed złośliwym komentarzem, który już miałam na końcu języka. Między nami zapadło milczenie. Dostałam odpowiedzi na zadane pytania, nie było więc powodu, żeby dłużej tu zostać. A właśnie tego pragnęłam najbardziej: zostać i rozmawiać z nim, obojętnie o czym.

Julien jakby czytał w moich myślach.

Wiesz, co chciałaś wiedzieć. Zatem możesz iść do domu. Brodina na pewno już czeka – wskazał brodą na ciemny korytarz, którym przyszedłam.

Bardziej jednoznacznie nie można kogoś wyrzucić.

Wzruszyłam głowę i skinęłam głową.

To do jutra – obróciłam się i odeszłam.

W mętym, migającym świetle latarki ujrzałam teraz wiszące na ścianach, oprawione w ramki plakaty. Jeden z nich leżał na podłodze, wokół walało się rozbite szkło. Zrobiłam wielki krok, żeby nad nim przejść. Najwyraźniej jednak nie zauważyłam wszystkich odłamków, ponieważ znowu coś zgrzytnęło. Próba przebrnięcia przez nieoczekiwaną przeszkodę omal nie kosztowała mnie utraty równowagi. Automatycznie podparłam się ręką ściany. Pech chciał, że właśnie w tej ręce trzymałam MagLite. Nastąpiło głuche uderzenie i zaległy głębokie ciemności. Zakląłam, potrząsając latarką w nadziei, że przywróci ją jeszcze do życia. Na próżno.

Jak spod ziemi wyrósł obok mnie Julien. Znowu nie słyszałam jego kroków, chociaż na podłodze leżały kawałki szkła. Nawet jeśli to brzmiało absurdalnie – było w nim coś dziwnego.

– Króredy weszła? – chwycił mnie za łokieć.

– Jakoś dołem – próbowałam wyjaśnić, gestykułując w ciemnościach. – A dlaczego pytasz?

– Wyprowadzę cię stąd, zanim skręcisz sobie kark. Oświadczył i pociągnął mnie do przodu.

Z trudem dotrzymywałam mu tempa. Bynajmniej nie przesadzał, twierdząc, że dobrze widzi w nocy. Sprawnie omijałam wszystkie przeszkody, których sama nie byłabym w stanie rozpoznać, a przy tym ani na chwilę nie zwolniliśmy kroku. Natychmiast odnalazł drzwi prowadzące do składziku. Również drogę przez meble pokonałam dzięki niemu bezboleśnie.

Zatrzymał się przed starą sofą i spojrzał w górę na lufcik.

– Tędy weszłaś?

Skinęłam głową, patrząc zaskoczona jak wskazuje na sofę i chwytając okienną ramę.

– Co to ma znaczyć?

Skierował na mnie wzrok.

– Odprowadzę cię do samochodu.

– Niby dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Sądziłam, że chcesz tu trochę dłużej zostać.

Wzruszył ramionami.

– Tak czy owak mam dziś w nocy jeszcze coś do załatwienia. Czy wyjdę teraz czy później, jest mi to obojętne.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, zwinnie i bez najmniejszego wysiłku, co – przynajmniej – zauważyłam z zaskoczonością, przesłiznął się przez lufcik. Dziwne skrobanie i kilka słów w niezrozumiałym dla mnie języku, brzmiących jak przekleństwo, przypomniały mi

pojemnika na śmieci. Może powinnam była uprzedzić Juliana, że go tam podstawiłam?

– No chodź już – syknął niecierpliwie.

Wpięłam się na sofę i wygramoliłam przez okno.

DuCraine'owi moje ruchy musiały zapewne wydać się nieobliczne, ponieważ chwycił mnie i bezceremonialnie przeciągnął na drugą stronę. Tylko dzięki jego mocnemu uściskowi nie zjechałam twarzą po ścianie. Chcąc wrócić do pozycji pionowej, musiałam jednak objąć szyję Juliana. Jedyne tym sposobem mogłam mu pomóc ostatecznie wydostać mnie i postawić na ziemi. Był wspaniały, toteż przez sekundę moje nogi znowu zadyndały w powietrzu, po raz drugi w krótkim czasie. Gwałtownie wyswobodził się i odsunął na pewną odległość. Zaskoczona, próbując zachować równowagę, wykonałam krok do tyłu i wpadłam na pojemnik ze śmieciami. Pokrywa zsunęła się na ziemię i z hukiem potoczyła po brukowanym podwórku.

Oboje zastaliśmy w bezruchu. Wstrzymałam oddech i ponownie powiodłam wzrokiem po fasadach pobliskich kamienic, widząc, że zaraz ujrzę w oknach zapalające się światła. Odczekaliśmy chyba z pół minuty, wciąż było ciemno, dlatego odetchnęłam z ulgą. Albo w tej okolicy nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w sąsiedztwie, albo po prostu nikt tutaj nie mieszkał.

DuCraine posłał mi rozniewiane spojrzenie, potem ponownie przykrył pojemnik, wszedł na niego i próbował jak najbardziej przysnąć. W końcu uznał efekt swoich starań za satysfakcjonujący. Trzeba było naprawdę bardzo dokładnie się przyjrzeć, żeby zauważyć, że okienko nie jest zupełnie zamknięte. Chcąc zatrzeć wszystkie ślady, odstawiliśmy jeszcze pojemnik na miejsce. I tak skończyliśmy, Julien gwałtownie podniósł głowę. Zdawał się nasłuchiwać odgłosów dobiegających z wylotu uliczki.

Nie minęła nawet sekunda, a ponownie zostałam przyparta do ściany. Aby stłumić mój przerażony pisk, zakrył mi ręką usta. Poczulałam narastającą panikę. Próbowałam odepchnąć go od siebie, ale oczywiście bez skutku. W tym samym momencie usłyszałam głos mężczyzny. Miałam wrażenie, że stoi zaledwie parę metrów za DuCraine'm. Mój sprzeciw osłabł w mgnieniu oka i teraz mocno uczepliłam się koszulki Juliana. Nie rozumiałam, co mówił obcy, ale mój towarzysz najwyraźniej nie miał z tym żadnych problemów, ponieważ odwrócił się nieco i odpowiedział coś w tym samym języku. Dziwne, lecz trzymał przy tym opuszczoną głowę. Stał teraz dokładnie między mną a tym typem.

Nagle pojęłam, w czym rzecz! Nie chciał, żeby facet mnie zobaczył, a przynajmniej, rozpoznał moją twarz, co więcej – miał również nie widzieć JEGO twarzy.

Mężczyzna znowu coś powiedział, a DuCraine udzielił mi odpowiedzi. Tym razem obcy zarechotał. Jego śmiech przyprowadził mnie o głębię skórkę. Potem zapadła cisza. Julien jeszcze przez pół minuty nasłuchiwał dobiegających odgłosów, zanim gwałtownie uwolnił się ode mnie i odsunął na pewną odległość.

– Co to był za typ? Czego chciał? – odepchnęłam się od ściany.

– Pytał czy nie chciałbym się podzielić – wyjaśnił, wciąż patrząc w napięciu w stronę wylotu uliczki.

– Podzielić?

– Podzielić!

Sposób, w jaki wypowiedział to słowo, uświadomił mi, co miał na myśli. Nogi ugięły się pod mną. Chwycił mnie za ramię i pociągnął w stronę ulicy.

– Skąd znasz tego typu? – zapytałam, idąc chwiejnym krokiem.

– A kto powiedział, że go znam?

– Rozmawialiście w tym samym języku.

– Tu jeszcze o niczym nie świadczy.

Na końcu uliczki przystanął i bacznie rozejrzył się po Mieście. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że jest bezpiecznie, i postanowił pociągnąć mnie dalej.

– Gdzie zaparkowałaś samochód?

Wydukałam mu drogę. Kiedy stanęliśmy przed wejściem do *Robbery*, trzymał już w rękach kluczyki do swojego fireblade'a. Wskazał je do stacyjki, kopniemem podniósł nóżkę, zawrócił mały silnik i wskoczył na siedelko.

– Władaj! – rozkazał.

Silnik motocykla zaryczał nisko, budząc się do życia.

Potoczyłam dookoła wzrokiem, a następnie wgramoliłam się na niego.

Niezależnie od tego, kim był ten koleś, to na myśl o tym, że DuCraine uznał go za dostatecznie niebezpiecznego, aby odwieźć mnie do auta, zamiast kawałek podprowadzić, dostałam mdłości.

Z włączonym silnikiem przystanął tuż przy drzwiach audi. Kluczyki zsiadłam, nachylił się w moją stronę.

– Jedź prosto do domu. I więcej nie przyjeżdżaj tutaj sama, zwłaszcza po zmroku.

– Co to ma znaczyć? Kim był ten typ? Nie mówiłbyś tak, gdybyś go nie znał! – Mdłości przybrały na sile.

Zanim odpowiedział, powiódł wzrokiem w górę, a potem w dół ulicy.

– Widywałem go w *Ruthvens*. Nie ciesz się najlepszą opinią. Zwłaszcza jeśli idzie o kobiety i rozumienie słowa „nie”. Ktoś taki jak ty nie powinien spotykać go częściej niż to naprawdę konieczne – palce Juliana zacisnęły się wokół krawędzi drzwi. – Najlepiej trzymaj się z dala od *Ruthvens*. To niebezpieczna okolica.

Zdecydowanie potrząsnęłam głową.

– Jeszcze czego! Beth pracuje tam jako kelnerka. A może jej też poradziłeś to samo?

– Beth sama potrafi zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Czyżym słyszała złość w jego głosie?

– Ach tak, a ja niby nie?

– Nie, ty nie.

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

– A co zrobisz, jeśli cię nie posłucham?

Puścił krawędź.

– Nic.

– Świetnie. W takim razie będę dalej tam chodzić. Widzimy się w szkole.

Trzasnęłam drzwiami i odjechałam z piskiem opon. Nawet gdyby faktycznie – jak twierdził – ochronił mnie przed tym typem, to jakim prawem chciał decydować, gdzie wolno mi chodzić, a gdzie nie? Arogancki dupek!

W domu czekali na mnie Ella i Simon, oboje bardzo zadowoleni. Beth zadzwoniła, żeby zapytać, jak się czuję, dlatego wiedzieli już o wszystkim. Powitanie przebiegło stosownie do okoliczności, Simon posłał mi milczące spojrzenie, Ella była wyraźnie rozdzarta między poczuciem ulgi a gniewem. Wysłuchałam kazania, a następnie wycofałam się do mojego pokoju.

Od tygodni szukał noc w noc. Bez skutku. I to go rozwścieczało. O starym stworzonym wiedział tylko tyle, że rzadko bywa w mieście, o ile w ogóle się tutaj zatrzymuje, że z ukrycia pociąga za sznurki i każe innym wykonywać dla siebie brudną robotę.

Cholera! Przecież musiała istnieć jakaś możliwość, żeby wywabić go z kryjówki! Wepchnął pięści głębiej do kieszeni kurtki, zmierzając pustymi ulicami w stronę corvetty. Za kilka godzin uszej-

...do słońce. Pora wracać na kwatery. Nagle zatrzymał się, odwrócił głowę i wbił wzrok w wystawę lombardu, przed którym stał. Leżał tam słoty medalion, mniej więcej wielkości srebrnej jednodolówki, a wizerunkiem konnego rycerza, który przebijął lancą smoka. Święty Jerzy. Męczennik i patron żołnierzy, rolników, kowali, bednarzy, rycerzy i artystów. Odruchowo przesunął ręką pod kołnierzem. Ostrzywane kontury wbiły się w powierzchnię jego dłoni, kiedy ścisnął spoczywający na piersi medalion. Z trudem przemógł się i rozwarł palec, a następnie wyjął rękę. Chwycił za kłamek. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu lombard był o tej porze otwarty. Przywitało go zimne światło neonu. Połowę sklepu zajmowała szklana gablota, która najwyraźniej służyła za ladę. Wystawiono w niej najróżniejsze ozdoby, zegarki i kilka pistoletów małego kalibru. W najlepszym wypadku była to broń drugiego sortu. Wzdłuż ścian stały regały zapchane rękopisami, starymi wieżami stereo i sprzętem elektronicznym. Młoda kobieta za ladą podniosła wzrok znad książki i z uśmiechem skinęła do niego głową.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała, odkładając na bok lekturę.

– Interesuje mnie medalion świętego Jerzego z wystawy. Chciałbym go obejrzeć.

Oznajmił spokojnym i beznamiętnym tonem, chociaż w środku drżał jak osika.

– Oczywiście. Nie ma problemu.

Wygrzebała z szuflady klucz, obeszła ladę, przechodząc obok niego aż nabył blisko, po czym otworzyła szybę ze szkła zbrojonego siatką drucianą, dzielącą wystawę od sklepu. Ostrożnie zdjęła medalion z wyłożonej aksamitem tacy, na której leżały również pozostałe wisioriki, i podała mu. Od razu odnalazł kreskę z boku. Niechcący porysował wtedy złoto.

– Wezmę go. Ile kosztuje? – skinął głową, wciąż próbując zachować spokojny ton.

Młoda kobieta obrzuciła go nieco zdumionym wzrokiem. Pewnie z reguły klienci najpierw pytali o cenę, a potem tłumaczyli, że chcą coś kupić. Wyjęła mu medalion z ręki i spojrzała na zawieszony na cienkiej czerwonej nitce etykietkę.

– Sto dziesięć – pytając przechyliła głowę.

Bez słowa sięgnął do kieszeni, wyciągnął plik banknotów i odliczył sto dziesięć dolarów. Odebrała pieniądze, szeroko otwierając na zdumienia oczy.

– Szybko go panu w coś zapakuję – chciała wrócić za ladę, lecz potrząsnął głową i odebrał medalion.

– Nie trzeba. Wezmę tak, jak jest. Ale może mogłaby mi pani powiedzieć, skąd go macie?

Po chwili wahania przytaknęła.

– Sprawdzę w księżce.

Pospiesznie zamknęła szybę ze zbrojonego szkła i wróciła za ladę. Klucz ponownie zniknął w szufladzie, a w jego miejsce pojawił się zniszczony notes. Przez minutę przerzucała kartki, aż w końcu znalazła stosowny wpis. Podniosła wzrok.

– Przyniósł go Willi. Jakies dwa miesiące temu.

– Czy powiedział, skąd to ma? – zapytał.

Wrzucił medalion do kieszeni spodni i podszedł do lady.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, chciał go tylko spieniężyć.

– A gdzie mieszka ten Willi?

– Jest bezdomny – Zamknęła notes i odłożyła go na miejsce.

– Zwykle zbiera pusзки za galerią handlową. Przypuszczam, że właśnie tam go znalazł. – Spojrzała nieufnie. – Chyba nie jest pan z policji czy coś w tym rodzaju?

Z pewnym odcieniem gorzkiego rozbawienia uniósł brew.

– Nie.

– Dobrze – odetchnęła z ulgą.

Oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że mogłoby mieć wiele problemów, gdyby zaszło choć podejrzanie, że którakolwiek z obronionych rzeczy pochodzi z kradzieży.

– Jestem pewna, że go nie ukradł. Willie to poczciwina. – Najwyraźniej jednak klient nie wzbudził w niej zaufania, ponieważ zapytała: – Dlaczego chce pan koniecznie wiedzieć, skąd pochodzi ten wisior?

Przez ułamek sekundy przycisnął pięść do szklanej lady, ale potem na pozór nonszalancko wzruszył ramionami.

– Interesuje mnie wszystko, co ma związek ze świętym Jerzym. Pomyślałem, że poprzedni właściciel może posiadać jeszcze więcej rzeczy, które chciałby sprzedać.

Jej wzrok powędrował teraz w stronę kieszeni, w której schował plik banknotów. Pewnie żałowała, że nie wymieniła wyższej ceny za medalion. Uśmiechnął się, powiedział „dobranoc” i wyszedł.

Na dworze przyspieszył kroku, niemal zaczął biec. W końcu dotarł do corvetty. Ręka mu drżała, kiedy próbował trafić kluczem do zamka. Wreszcie drzwi otworzyły się, usiadł do środka, zamknął je i wydobyl medalion z kieszeni spodni. Zza koszuli wyciągnął cienkutki, złoty łańcuszek, na którym wisiał jego własny egzemplarz i porównał je z sobą. Wiedział! Udręczony zamknął oczy, kurczowo objął dłońmi kierownicę i przycisnął do niej czoło.

Nie! To niemożliwe! To po prostu niemożliwe!

Nie dopuszczał do siebie myśli o najgorszym. Adrien nigdy nie rozstałby się ze swoim amuletem!

Deszczowa rozmowa

Nazajutrz przeraźliwy dźwięk budzika wyrwał mnie ze snu. Śniłam, że DuCraïne skrada się wokół łóżka, przyczojony w cieniu, pod postacią wielkiego, czarnego drapieżnego kota i szerzy ostre kły – cudownie piękny, a zarazem niebezpieczny. Przez cały czas czułam na sobie hipnotyzujące spojrzenie jego ręciovych, połyskujących oczu, które wpatrywały się we mnie w ciemnościach, dopiero budzik uwolnił mnie od jego uroku.

W łazience z przerażeniem stwierdziłam, że uścisk Juliana pozostawił na mojej szyi ciemne plamy. Ukryłam je pod swetrem z wysokim golfem. Nieco później zaczęło lać jak z cebra i nie przestało już do wieczora, dlatego mój ubiór nie wzbudzał żadnych podejrzeń.

Ani tego ani następnego dnia DuCraïne nie zjawiał się w szkole. Tym samym oszczędził sobie ciekawskich pytań ze strony tych wszystkich, którzy koniecznie chcieli poznać szczegóły wypadku w *Bohemia*. Ilekroć sama opowiadałam tę historię, łapałam się na tym, że relacjonuję ją zgodnie z wersją, którą Beth, Neal, Mike przyjmowali za prawdziwą, to znaczy, twierdziłam, że Julien faktycznie stał na scenie, a nie obok niej. To było niepojęte: kłamałam dla niego!

78

Na moje szczęście tydzień dobiegał końca. Zresztą w piątek, po czwartej lekcji wszystko tak czy owak przestało mieć znaczenie i nie mogło mi zepsuć dobrego humoru. Skakałam pod słońcem i radości! Pani Jenkins oddała klasówki. Dostałam trzy. Byłam uratowana!

Sobota zapowiadała się niezbyt ekscytująco. Beth do późnego popołudnia miała pomagać babci w ogródku, a potem szła do pracy w *Rubbens*. Susan jechała z mamą do Houlton na zakupy; spytała, czy chcę im towarzyszyć, ale grzecznie podziękowałam. Natomiast chłopcy zamierzali wziąć pod lupę komputer Mike'a. Zatem wyglądało na to, że będę miała cały dzień dla siebie.

Poranek zaczął się dość pochmurnie, ale już około południa niebo wypogodziło się i złociste słońce zapowiadało ciepły, późnoliesny dzień. Zaopatrzona w koc i torbę, do której zapakowałam czekoladowe ciastka, dzbanek ulubionej herbaty oraz ręczniki, wyruszyłam po obiedzie nad jezioro. Wzięłam ze sobą również książkę do historii i jakieś długopisy, ponieważ część popołudnia chciałam przeznaczyć na napisanie referatu o templatariuszach. Dodatkowo na wierzch wrzuciłam jeszcze *Kobietę w białej Wilkie'go Collinsa*⁷.

Woda w jeziorze okazała się zbyt zimna na pływanie, tak więc rozłożyłam się wygodnie na brzegu. Z uwagi na alergię słoneczną musiałam jednak pozostać w cieniu prastarych drzew. Usiadłam na jego skraju i dzięki temu mogłam zakosztować choć odrobinę ciepłych promieni, które obficie spływały z nieba. W dobrym postanowieniu dotyczącym pisania referatu wyrwałam dwie godziny. Potem popełniłam błąd, ponieważ pozwoliłam sobie na prze-

⁷ Wilkie Collins – angielski powieściopisarz, dramaturg, autor opowiadań. Syn malarza Williama Collinsa. Za życia cieszył się ogromną popularnością. Jest uznawany za prekursora powieści detektywistycznej. (przyp. tłum.)

79

rwę; popijając herbatę i podgryzając ciasteczka, zaczęłam czytać powieść Collinsa.

Po prawie stu stronach zostałam wyrwana z lektury. Niebo zakryło się ciemnymi, ciężkimi chmurami. W każdej chwili mogło lunąć. Poczulałam na skórze pierwsze chłodne krople. Pospiesznie zebrałam rzeczy i wepchałam je do torby. Nieliczne i pojedyncze kropelki szybko przeszły w regularną ulewę. Wiedziałam, że jeśli wrócę tą samą trasą, którą tutaj dotarłam, to już w połowie drogi będę przemoczona do suchej nitki. Zatem postanowiłam iść na przelaj przez pola, tuż obok starej posiadłości, a potem kawałek przez las – na pewno będzie szybciej, a drzewa osłonią mnie przed deszczem. Narzuciłam na plecy jeden z ręczników, wcisnęłam torbę pod pachę, skuliłam głowę i ruszyłam w drogę.

Z minuty na minutę krople zdawały się coraz grubsze i cięższe. Przyspieszyłam kroku, przechodząc w jogging. Zanim dotarłam do wysokości opustoszałego domu, zdążyłam jednak zmoknąć jak kura. Deszcz zamienił się w mętny welon, który spowił wszystko szarością i beznadzieją. Ujrzałam stary budynek i powiodłam wzrokiem po jego fasadzie. Biec dalej czy przeczekać ulewę pod dachem? Zadaszona weranda, która okalała domostwo, wyglądała nader zachęcająco, co pomogło mi podjąć decyzję. Pognałam w jej stronę.

Nagle stanęłam jak wryta – za jedną ze staroświeckich okien nic przez moment zamigotało światło. Posiadłość była przecież opuszczona! Przynajmniej do tej pory nie słyszałam, żeby ktoś znowu tutaj zamieszkał. Światło błysnęło ponownie. Tym razem przemieściło się od jednego okna do drugiego, po czym znowu zniknęło. Czy pochodziło z latarki kieszonkowej? Kto się tam zatrzymał? Nowy właściciel? A może tylko ktoś, kto schronił się przed deszczem? Światło znowu mignęło i powróciłszy do okna, w którym ujrzałam je po raz pierwszy, przestało wędrować. Czy

80

sprawiało tylko takie wrażenie z tej odległości, czy faktycznie świeciło jakoś niespokojnie? A może to wcale nie była latarka tylko świeczka? Następną myśl bynajmniej nie przypadła mi do głowy. Halloween tuż tuż! Czyżby jakieś dzieciaki kręciły się tam i wyprawiały głupstwa? Dom był naprawdę stary, a podłogi i dach miał z drewna. Chociaż od dawna stał opuszczony, w środku wciąż znajdowały się meble. Wystarczy, że upadnie jedna świeczka, a wszystko pójdzie w dymem. Wprawdzie to nie moja sprawa, ale nie zaszkodzi rzucić okiem. Dla spokoju własnego sumienia. Jeśli tego nie zrobię, a dojdzie do nieszczęścia, to nigdy sobie nie wybaczę.

Ruszyłam z miejsca. Kiedy dotarłam do pierwszych stopni werandy, spowolniłam kroku i ostrożnie weszłam na górę, starając się nie narobić hałasu. Pod dachem ściągnęłam z głowy ręcznik i przystanąłam, nastawiając uszu. W środku panowała kompletna cisza. Czy rozrabiające dzieciaki zachowywałyby się tak spokojnie?

A może to wcale nie dzieci? Wsunęłam rękę do torby i zaczęłam w niej grzebać, szukając sprayu pieprzowego, który leżał gdzieś na samym dnie. Chłodny dotyk metalowej puszki zadziałał daleknie uspokajająco. Powoli obezłam dom, wciąż starając się zachowywać jak najciszej. Wszędzie panowała ciemność. Gotowa byłam pomyśleć, że po prostu uroiłam sobie to światło. Wreszcie dotarłam do okna, w którym zajaśniało po raz ostatni. Przez spary w okiennicach zajrzałam do środka. Na skos, naprzeciwko okna stała ciężka, skórzana sofa. Obok leżało niedbale zmięte, białe pokrycie. Na prawo, przed czarnym od sady, otwartym kominkiem dojrzałam jeszcze toporną drewnianą skrzynkę. Stała na niej świeczka umieszczona na podstawku, a właściwie małym talerzyku. Jej płomień migotał niespokojnie w przeciągu, który nie wiadomo skąd pochodził. Na podłodze leżało coś, co wyglądało na papier oraz kilka książek.

81

Kto był na tyle nieodpowiedzialny, żeby zostawić zapaloną świeczkę bez żadnego nadzoru?

Wróciłam ostrożnie w stronę frontu, zadając sobie w duchu pytanie: Co to mnie właściwie obchodzi? Odpowiedź nie miała jednak znaczenia, po prostu kochałam ten dom! Dlaczego – trudno powiedzieć. Nawet jeśli do tej pory podziwiałam jego wnętrze tylko przez szybę, to bliskość samego budynku dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Nie pozwolę na to, żeby spłonął przez czującą lekkomyślność!

Ze sprayem pieprzowym w dłoni ostrożnie przekroczyłam gankę w drzwiach wejściowych. Poruszyła się bezgłośnie, jakby całkiem niedawno została naoliwiona i drzwi lekko odskoczyły do wewnątrz. Stałam cicho, nasłuchując. Żadnych odgłosów. Jeszcze ostatnie wahanie i powoli przekroczyłam próg. Deski podłogowe skrzypiały pod stopami. Ciągnąc się przede mną korytarz wiódł w głąb domu. Na jego końcu migotał wąty cień zapalanej świecy. Poza tym otaczał mnie posępny półmrok. Przejście po lewej prowadziło do nieco starszowiecko urządzonej kuchni, zaś po prawej przechodziło w swego rodzaju pokój dzienny. Wszystkie meble zakrywały pokrowce, a mimo to na podłodze nie było grama kurzu, przynajmniej nie dostrzegłam go we wpadającym przez okno, ponurym świetle. Na ścianie obok mnie znajdował się włącznik. Myśl o tym, że miałabym go użyć, przyprawiła mnie o mdłości, dlatego ruszyłam w półmroku ku zapalanej świecy. W końcu korytarz rozszerzył się, zamieniając w swego rodzaju mały hol. Wiodły stąd schody na pierwsze piętro. Obróciłam się, wodząc dookoła oczami. Pomalowane na ciemno ściany jakby pochłonęły resztki jasności. Tylko jedna z nich była biała. Szpecąca ją czterokątna, wielka plama świadczyła o tym, że wcześniej musiał tu wisieć jakiś obraz. Wokół wciąż panowała upiorna cisza.

82

Właściwie wypadało, abym głośno oznajmiła swoją obecność, ale nawet proste zawołanie typu: „Halo” albo „Czy jest tu ktoś?”, nie mogło mi przejść przez gardło. Postanowiłam zająć się zapaloną świecą, a potem zniknąć. Nie chciałam, aby osoba, która tu przebywała, kimkolwiek była, pomyślała, że w tym domu straszy, w każdym razie historii o duchach pasowały do tego miejsca jak ulał.

Podążając w kierunku świecy, weszłam do następnego pokoju, nieporównywalnie większego od tego przy wejściu. Wyjąwszy skórzaną sofę, którą widziałam przez okno, dwa krzesła i jedną, nieco mniejszą sofę, pomieszczenie właściwie było puste. Meble miały na sobie jeszcze białe pokrowce i stały rozmieszczone wokół kominka, w którym dogasały resztki ognia. Z przodu, przed nim leżała zauważona już wcześniej skrzynka. Stojąca na niej świeczka migotała, poruszana chłodnym ciągiem wpadającego przez kominek powietrza. Rzucona obok skrzynki skórzana poduszka najwyraźniej stanowiła komplet ze sofą. Wokół bezładnie walały się książki.

Przeszłam powoli między krzesłami, w napięciu rozglądając się. To co wcześniej uznałam za luźne karki papieru, okazało się notesem. Do niego przyklejony był długopis. Podeszłam na taką odległość, że mogłam odczytać tytuły książek. Nachyliłam się nad nimi, nie dowierając własnym oczom. Biologia, historia, matematyka – w środku wsadzony kalkulator, – fizyka oraz... *Dorian Grey*, totalnie zaczytany i naszpikowany maleńkimi fiszkami, które sterczały na zewnątrz niczym zęby.

– Do diabła... Znowu ty?

Dysząc ze strachu, wykonałam szybki obrót w kierunku dochodzącego zza moich pleców głosu i wbiłam zdumione spojrzenie w rzęciowe oczy DuCraine'a.

– Co... co ty tutaj robisz? – wykrztusiłam z trudem.

83

Pomacałam dłonią gardło, jakby na wspomnienie jakiegoś traumatycznego przeżycia.

– Zadania domowe. A ty czego do diabła tu szukasz? – wściekły lustrował mnie wzrokiem.

Uczyłam krok do tyłu i o mały włos nie nadepnęłam na znajdujący się w podręczniku do matematyki kalkulator.

– Ja... to znaczy... Mieszkasz tutaj?

Tak dyskretnie jak to tylko było możliwe, wsunęłam spray z powrotem do torebki.

– A jak sądzisz? Urządzam jednoosobowe party? Oczywiście, że mieszkam.

– Tutaj? Sam?

Zakłopotana potoczyłam dookoła wzrokiem. Czy w tym domu w ogóle było ogrzewanie i prąd? A bieżąca woda?

– Tak, tutaj. Tak, sam. A zatem do rzeczy: czego tu szukasz?

A może włamania do obcych domów to twoje hobby?

Szyderczy ton jego głosu wystarczył, żeby się we mnie zagołowało i wyparowały resztki wyrzutów sumienia.

– Zobaczyłam światło. A ponieważ byłam przekonana, że dom wciąż jest niezamieszany, postanowiłam sprawdzić, kto się tutaj kręci.

Gwałtownie podniosłam brwi.

– Chciałaś... – powtórzył zdumiony i zamilkł.

Widok oniemiałego DuCraine'a był najlepszym zadośćuczynieniem za wszystkie doznane krzywdy i z lubością zamierzałam go potem wspominać.

Nagle ryknął:

– Zgłupiałaś? Nie przyszło ci do głowy, że mogą się tutaj szwendać jakieś świry? Albo tyпки takie jak ten z *Bobem*? Dziewczyno, nie masz za grosz zdrowego rozsądku?

84

Zaszokowana tym nagłym wybuchem, stanęłam jak wryta, gapiąc się na niego. Rany boskie, to brzmiało tak, jakby się o mnie martwił. On! O mnie!?

Wciąż jeszcze rozszokowany mruczał coś pod nosem, z niedowierzaniem kiwając głową.

– Chciała zobaczyć, kto się tutaj kręci? – warknął w moją stronę, po czym machnął ręką. – Chyba naprawdę postradałaś umysł.

Powoli zaczerpnęłam powietrza i próbowałam nadać mojemu głosowi możliwie jak najspokojniejszy ton.

– Lubię ten dom, kapujesz. Nie chciałam patrzeć, jak płonie tylko dlatego, że paru idiotów postanowiło odprawić sobie czarną mszę. To wszystko. Przecież ostatecznie nic się nie stało. Więc wrzucić na luz. A w ogóle to gdzie byłeś, kiedy weszłam? Cały dół mógł pójść z dymem.

– Nawet jeśli tak, to nic ci do tego. Byłam na strychu, żeby zobaczyć czy gdzieś nie przecieka. Dach nie jest w najlepszym stanie – ponownie otaksowałam mnie wzrokiem. – Przemokłaś do suchej nitki.

– Pada, jeśli nie zauważyłeś – odciąłem się kąśliwie.

– A dlaczego łazisz po deszczu?

– Zaczęło kropić, kiedy byłam nad jeziorem. Niestety, teleportacja do domu nie wypaliła – wyjaśniłam z cynicznym ubolewaniem w głosie.

Jego oczy zwięzły się.

– Tylko nie mów, że chciałaś iść na przełaj przez las? – z niedowierzaniem pokręcił głową. – Naprawdę nie masz za grosz rozsądku. Przyniosłeś ci ręczniki.

Zdumiona patrzyłam, jak znika w ponurym korytarzu. Ręczniki? Odbiło mu? I ciekawe skąd wie, gdzie mieszkam?

85

Kiedy po chwili wrócił, miał ze sobą nie tylko ręczniki, ale również sweter w kolorze piaskowym i parę spranych, czarnych dżinsów. Wcisnął mi to wszystko do ręki i natychmiast odsunął się na pewną odległość.

– Jak tylko przestaniesz padać, odwieżę cię do domu – na jego ustach zagościł mały uśmiech. – Oczywiście, o ile zechcesz jeszcze wsiąść na mój motor.

Po prostu mnie zamurowało. W końcu zdołałam skinać głowę. Jego troskliwość powoli przejmowała mnie grozą. Julien obrócił się i zaczął zbierać leżące na podłodze książki.

– Nie ma tutaj elektrycznego światła? – zapytałam spod ręcznika, wycierając włosy.

– Normalnie jest, ale podczas czwartkowej ulewy woda wdarła się do skrzynki rozdzielczej i spowodowała spięcie. Dopóki jakiś fachowiec nie obejrzy szkód, muszę radzić sobie bez prądu. Na szczęście, jak wiesz, doskonale widzę w ciemnościach.

– A co z gorącą wodą?

– Jeśli pytasz, bo chciałaś wziąć prysznic, to nic z tego. Jak daleko jesteś z tym suszeniem?

Spojrzałam przez ramię. Stał przy oknie w najdalszym kącie pokoju, zwrócony do mnie plecami.

– Zaraz skończę.

Prędko zdjąłam koszulkę i cisnęłam ją na podłogę. Kontakt z mokrym materiałem na pewno nie wyszedłby skórzaną sofie na dobre. W ekspresowym tempie jeszcze raz wytarłam się ręcznikiem, a potem założyłam sweter.

– Można by pomyśleć, że znowu chcesz się mnie pozbyć.

– Bo tak jest. Im szybciej, tym lepiej – odpowiedział nie-wzruszonym tonem.

Ugryzłam się w język, zdjąłam spodnie i ubrałam jego dżinsy. Nogi Juliana były przynajmniej pięć centymetrów dłuższe od mo-

ich. U tego typu troskliwość bynajmniej nie szła w parze z uprzejmością.

Odwrócił się w chwili, kiedy skończyłam zapinać zamek.

– Jednak będę musiał jeszcze trochę znieść twoje towarzyswo. Leje jak z cebra i wygląda na to, że jeszcze przez pewien czas nie przestanie.

Jego oczy lustrowały mnie w taki sposób, że jednocześnie robiło mi się zimno i gorąco. Pod wpływem nagłego ataku dreszczy zaczęłam pocierać ręce. Zacinawszy usta, zerwał biały pokrowiec ze stojącego przy kominku fotela i ruchem głowy wskazał na niego.

– Zaraz wracam. Usiądź! – polecił, wychodząc z pokoju.

Odprowadziłam go wzrokiem. Co ten arogancki, despotyczny gnojek znowu zamierza? Wściekła, że tak mną komenderuje, zacisnęłam dłoń w pięści i rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłabym rozwiesić mokre rzeczy. Nie znalazłam nic odpowiedniego, wpechałam je w takim stanie, w jakim były, do torby. Miejmy nadzieję, że książki jakoś zniosą wilgoć. Boso podreptałam do okna, przy którym wcześniej stał DuCraigne i wyjrzałam na zewnątrz. Faktycznie lało jak z cebra... Z zamknięcia wyrwał mnie huk spadającego drewna, wzdrygnęłam się i odwróciłam. Julien kłęczał przed kominkiem, układając wokół polana stos z papieru i cieniutkich gałązek. Znowu nie słyszałam, jak wszedł!

Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, dobył z kieszeni spodni zapalniczkę i w kilku miejscach zapalił papier. Początkowo płomienie trawiły go opieszale, potem z trzaskiem przeskoczyły na gałąź i w końcu zaczęły lizać również korę polana. Kilka minut później w kominku buzował już ogień. DuCraigne przykucnął przed nim z zamkniętymi oczami i opuszczoną głową. Potem raptownie wyprostował się, dołożył jeszcze dwa kawałki drewna, po-

czym otrząpiał z brudu ręce. Dopiero wówczas skierował na mnie wzrok. Unikając jego spojrzenia, przeszłam obok i podciągając nogi, usadowiłam się w fotelu, który wcześniej specjalnie uprzątnął. Chociaż nic nie powiedział, czułam wyrzuty sumienia. Przez kilka sekund spoglądał na mnie z góry, a potem usiadł na sofie w przeciwległym rogu pokoju, odsuwając się ode mnie tak daleko, jak to tylko było możliwe. Żeby nie musieć na niego patrzeć, wyciągnęłam ręce w stronę ognia.

– Lepiej? – zapytał po paru minutach.

Skinałam głowę.

– Tak – i dodałam jeszcze po cichu: – Dziękuję!

Mruknął coś i odsunął leżący obok przedmiot. W blasku ognia błysnęło ciemne, wypolerowane drewno. Skrzypce! Głęboka rysa z boku wyraźnie zniekształcała lśniący lakier. Zaskoczona rozpoznałam instrument z *Bohemy*.

– Ukradłeś je?

Spojrzałam na niego przestraszona. Po twarzy Juliana przemknęła złość.

– Poważnie sądzisz, że ktokolwiek zauważy ich brak? A nawet gdyby tak było, to człowiek, który pozwala, żeby taki wspaniały instrument niszczał w kurzu, nie zasługuje na jego posiadanie.

– Jeżeli to odkryją, będziesz miał kłopoty – ostrzegłam go bezradnie.

Zaśmiał się głośno i dziwnie gorzko.

– Gdyby kłopoty z powodu skradzionych skrzypiec były całym moim zmartwieniem... – pogardliwie wzruszył ramionami.

– A poza tym, jak ktoś miałby to odkryć? Chyba że mnie wydasz... – w tonie jego głosu nie pobrzmiwała żadna podstępna nuta, ani tym bardziej groźba. Mówił z całkowitym spokojem.

Przesunęłam wzrok na skrzypce, a potem z powrotem na DuCraigne'a.

– Nikomu nie pisnę ani słówka.

Lekko skinałam głowę na znak, że zrozumiałam. Opuszkami palców delikatnie pogładził błyszczący lakier. Porównując aktualny wygląd skrzypiec z tym, jak wyglądały jeszcze parę dni temu, było niewyiste, że DuCraigne musiał poświęcić wiele godzin na czyszczenie i polerowanie instrumentu.

– Czy dlatego poszedłeś wieczorem do *Bohemy*? Chciałeś je... przynieść? – obserwowałam, jak wodzi dłonią po skrzypcach.

– Takie było pierwotne założenie. Ale *Bohema* ma genialną akustykę. I kiedy już miałem ją tylko dla siebie, po prostu nie mogłem oprzeć się pokusie. Chciałem usłyszeć, jak naprawdę brzmi.

– Lubisz grać, prawda?

– Lypnął na mnie kątem oka.

– Tak.

– Gdzie się tego nauczyłeś? To znaczy tak wspaniale grać...

– Zamilkłam.

Banalne pogawędki nie były moją najmocniejszą stroną.

Na moment zamknął oczy, potem podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Ojciec mnie tego nauczył. Mama twierdzi, że dostał talent od samego diabła i po nim go odziedzyczyłem.

W głosie Juliana było coś niepokojącego.

– Czy twoi rodzice mieszkają gdzieś niedaleko?

– Moi rodzice nie żyją.

Zakłopotana wbiłam wzrok w podłogę.

– Przykro mi.

– Nie ma potrzeby. Zmarli dawno temu.

Zdjął dłoń ze skrzypiec i zwrócił się w stronę kominka. Między nami zapadło milczenie. Przycisnęłam nogi jeszcze bardziej do siebie i usiłowałam nie patrzeć na niego. Od czasu do czasu, kiedy

zaciskał wargi albo zagryzał zęby, kąciaki jego ust drgały. Płomień świecy tańczył na knocie. Julien kilka razy musnął mnie spojrzeniem rzuconym spod na wpół przymkniętych powiek. W kominku przyjemnie trzaskało drewno. Za oknem dudnił deszcz.

– Dlaczego tak mnie nie znosisz? – zapytałam w pewnej chwili, przerywając ciszę.

Podniósł wzrok.

– Nie powiedziałem, że ciebie nie znoszę. Chcę tylko, żebyś nie zbliżała się za bardzo. Prychnęłam.

– A co to za różnica?

Jego ręcione oczy błyszczały mrocznie i tajemniczo, nieustająco mnie lustrując.

– Jedno jest związane z emocjami, a drugie z przestrzenną odległością – przechylił nieco na bok głowę. – Moim zdaniem istnieje jednak pewna różnica.

Czyżby to znaczyło, że...? Nagle serce zaczęło mi walić jak szalone.

– W takim razie wyjaśnij, z jakiego powodu nie chcesz mnie widzieć w pobliżu?

Nie rozumiałam, dlaczego jakaś dziwna rozpacz ścisła mi pierś.

Pochylił się wprzód, wsparł łokcie na kolanach i splótł dłonie, prostując palce tak że sterczały niczym kolce skierowane w moją stronę. Z lekko opuszczoną głową przyglądał mi się zza długich, ciemnych rzęs swoimi tajemniczymi oczami.

– Może dlatego, że tak będzie dla ciebie lepiej – oznajmił w końcu cicho i odwrócił wzrok.

Poczułam ścisł w gardle. Pozornie bez powodu, pomijając fakt, że Julien nie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

– Chcesz powiedzieć, że zbliżając się do ciebie, naraziłabym się na zbyt duże niebezpieczeństwo? Dlaczego? Cierpisz na jakąś

parazyllwą chorobę albo coś w tym stylu? Mafia siedzi ci na karku i została objęta programem ochrony świadków?

Buchnęłam gorzkim, krótkim śmiechem, który właściwie miał zabrzmieć drwiąco. Dlaczego wszyscy uważali, że wiedzą, co jest dla mnie „lepsze”? Również pochyliłam się do przodu.

– Dziękuję, ale naprawdę sama potrafię decydować o tym, co dla mnie dobre.

Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

– W tym przypadku najwyraźniej nie, bo inaczej nie laziłabyś za mną.

– Nie łażę za tobą!

Uniósł brew, ale nic nie powiedział.

– Ok, dobrze! W takim razie będzie najlepiej, jeśli natychmiast stąd zniknę i oszczędzę ci mojego towarzystwa, nie mówiąc już o facytze odwożenia do domu.

Wściekła, a zarazem dotknięta do żywego przysunęłam do siebie torbę i zaczęłam ją przetrząsać w poszukiwaniu komórki. Było mi obojętne, że przy okazji rozrzucam wokół mnóstwo rzeczy. Poproszę Simona, żeby mnie stąd odebrał. Tylko dlaczego do diabła, nagle zebrało mi się na płacz? Zakląłam, nie mogąc znaleźć telefonu. Wszystko rozmazało mi się przed oczami. Coraz gwałtowniej przewracałam w torebce. W pewnym momencie *Kobieta w biele* wyśladowała z głośnym plaśnięciem na podłogę.

– Cholera! – przekleństwo zabrzmiało jak szloch.

Schyliłam się po powieść. Obok mnie jak spod ziemi wyrósł DuCraïne. Jego szczupłe, blade palce również zacisnęły się wokół książki. Przestraszona podniosłam wzrok. Jeszcze ani razu nie zauważyłam, jak się przemieszcza. Nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości, oddalone od siebie o niespełna dziesięć centymetrów. I tak jak wtedy w *Bohémie* czas po prostu stanął w miejscu. Widziałam tylko oczy Juliana. Ciemne, tajemnicze, poważne,

przecudne. Puścił Collinsa. Jego dłoń niczym chłodny podmuch wiatru musnęła mój policzek i spoczęła na nim. Najwyraźniej musiałam nieznacznie się poruszyć, ponieważ zaraz zsunęła się dalej i zatrzymała na szyi. Poczułam, że kciukiem niemal dotyka żyły, która pulsowała jak szalona. Powędrował spojrzeniem po mojej twarzy i wpił się w gardło. Jego oczy nagle nabrały innego wyrazu. Jeszcze bardziej pociemniały, a ich kolor uległ zmianie. Widziałam, że ciężko przełknął ślinę, jednocześnie zagryzając zęby. Nagle zaczął oddychać w szybki, urywany sposób. Usta Juliana drgnęły, a górna warga uniosła się odrobinę. Nieoczekiwanie wyprostował ciało i wykonał krok w tył, tak nagle i gwałtownie, że przestraszyłam się.

Wbiłam w niego oczy. Odpowiedział na moje spojrzenie, cofając się aż do samego kominka, po czym wykonał gwałtowny zwrot. Słychać było jedynie odgłos trzaskającego ognia. Nie odważyłam się przerwać milczenia, które ponownie zawisło między nami. Czułam suchość w ustach, a w brzuchu osobliwe motylki. Jedną część mnie usilnie próbowała zrozumieć to, co się przed chwilą zdarzyło, drugiej serce waliło jak oszalałe, trzecia uparcie twierdziła, że musiałam się pomylić, a czwarta walczyła z głupkowatym chichotem. Niemal podskoczyłam na krześle, kiedy nagle przerwał ciszę, oznajmiając:

– Przestało padać. Wyprowadzę fireblade'a z szopy. Spakuj swoje rzeczy i przyjdź zaraz, będę czekał na zewnątrz.

Po tych słowach zostawił mnie samą. Czułam się, jakby obudził mnie z głębokiego snu wiadrzem lodowatej wody. Patrzyłam za nim dziwnie oszołomiona. W duchu zastanawiałam się, dlaczego mam wrażenie, że właśnie zostałam wepchnięta w głęboką dziurę, a DuCraïne ucieka przede mną.

Kiedy nieco później wyszłam z domu, stwierdziłam, że faktycznie przestało padać. Julien czekał już z motocyklem przy

wchodach wejściowych. Kamienie brukowanej drogi dojazdowej błyszczały od wilgoci. Niebo wciąż jeszcze zakrywały szare, ciężkie chmury. Słońce seszło już nisko i na zachodzie zaczęło powoli powlekać się kolorem pomarańczy.

Spojrzałam zaskoczona na kurtkę i kask, który mi podał.

– Co mam z tym zrobić?

– Załóż, a co innego? Nie chcemy przecież, żebyś po deszczowym prysznicu nabawiła się przeziębienia.

Udałam, że nie słyszę drwiny w jego głosie, chwyciłam kurtkę i wsunęłam dłoń w rękawy. Oczywiście była o kilka dobrych numerów za duża.

– A co z tobą?

Jakimś sposobem zdołałam zapanować nad głosem, tak że nie zadrażał. Cokolwiek między nami zaszło, skończyło się.

Niedbale wruszył ramionami.

– To ty byłaś przemoczona do suchej nitki, nie ja. Możesz trzymać swoją torbę, czy mam ją wziąć?

Znając styl jazdy Juliana, wolałam pozostawić rzeczy jemu. Wskoczył na motocykl i sprawnym kopnięciem podniósł nóżkę. Nie zdążyłam dobrze wgramolić się na tylne siedzenie, kiedy silnik z rykiem obudził się do życia. Pospiesznie objęłam DuCraïne'a w pasie i mocno wczepiłam się w niego. Wciąż jeszcze byłam kompletnie oszołomiona. Jak to możliwe, że nagle zupełnie... zobojętniał? Zachowywał się tak, jakby jednym kliknięciem myszy zmieniono mu program albo jakby chodziło o dwie różne osoby. Coś w rodzaju doktora Jekylla i Mr Hyde'a. Może cierpiał na rozdwojenie jaźni. Czy dlatego uważał, że jego bliskość może być dla mnie niebezpieczna? Co za bzdura!

Mokra od deszczu nawierzchnia bynajmniej nie przeszkadzała mu pędzić na złamanie karku. Ledwo skręciliśmy z wybrukowanej drogi dojazdowej na ulicę, dodał gazu. Ukryłam się za nim i po-

cieszałam myślą, że dzisiaj przynajmniej mam na głowie ochronę. Dopiero, kiedy dotarliśmy do wjazdu na teren naszej posiadłości, ograniczył prędkość. Przed schodami zatrzymał maszynę i zsiadłam. Trzymał już w pogotowiu moją torbę, podczas gdy ja powoli zdejmowałam kask, potem wymieniliśmy jedno za drugie. Przez ułamek sekundy jakby się zawahał, po czym założył kurtkę.

– Dzięki za odwiezienie – odstałam krok od motocykla.

Skinął głową. Już trzymał w górze gotowy do nałożenia kask, ale ponownie go opuścił.

– Posłuchaj... – chrząknął. – Byłbym wdzięczny, gdybyś nie opowiadała nikomu o tym, gdzie mieszkam.

Zmrużyłam oczy. To brzmiało jak prośba. Niespodziankom dzisiaj najwyraźniej nie było końca. Przechyliwszy głowę, spojrziałam na niego.

– Nie chciałbyś zobaczyć Cynthii przed drzwiami? Albo jednej z twoich eks? – zapytałam z wyszukaną uprzejmością.

Wykrzywił usta i przesunął dłonią po włosach.

– Również – przyznał. – I? Będziesz trzymała język za zębami?

Zlustrowałam go. W przytłumionym wieczornym świetle oczy Juliana sprawiały wrażenie ciemniejszych i bardziej tajemniczych, poza tym miały ciemne obwódki. Wydawał się bledszy niż zwykle.

– Nic nikomu nie powiem, na mur beton.

Ledwo wymówiłam te słowa, stała się rzecz niewiarygodna: uśmiechnął się. Nie złośliwie czy arogancko, lecz z wdzięcznością i serdecznie, a zarazem dziwnie zmęczony. Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. DuCraine skinął głową.

– Dzięki.

Nie wiedząc czemu jego proste „dzięki” sprawiło mnie w zakłopotanie. Starłam się nie dać nic po sobie poznać i wzruszyłam ramionami.

– W porządku. Widzimy się w poniedziałek?

– Poniedziałek?

– W szkole. Na literaturze angielskiej.

– Ach tak, jasne.

Zamilkł, wykonał półobrót i powiódł wzrokiem w dół podjazd, skąd docierało światło reflektorów. Poznałam ciemnoczerwonego mustanga Neala. Zatrzymał samochód pół metra za nami i zgasił silnik. Poczulałam się jako niezręcznie. DuCraine musnął mnie spojrzeniem, założył kask, jeszcze raz skinął głową i odjechał.

Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknęło tylne światło motocykla. Dziwne, ale nagle poczułam strach przed lekcją pana Barlingsa.

– Czy to nie był DuCraine? – usłyszałam za plecami głos Neala. Obróciłam się.

– Cześć, Neal! Tak, to był Julien.

Obszedł otwarte drzwi i nagle stanął jak wryty, dopiero po chwili ruszył dalej, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów: ciemne, sprane dzinsy, które były wyraźnie za duże, jasny zbyt luźny sweter z rękawami sięgającymi za dłonie... Na skutek pochopnie wyciągniętych wniosków jego zaskoczenie ustąpiło miejsca jawnej dezaprobacji. Zaczęła mnie palić twarz, mocniej przycisnęłam torbę do piersi.

– To nie to co myślisz.

Ponownie przeslizgnął się po mnie spojrzeniem, a następnie wyciągnął kilka płyt CD.

– Znaleźliśmy pod biurkiem Mike'a. Są twoje. Prosił, żebym podrzucił je w drodze do domu.

– Dzięki! – zakłopotana odebrałam płyty.

Znowu mnie zlustrował.

– Masz ochotę na wieczorny wypad do kina? – zapytał nagle.

Zaskoczona przez sekundę zatrzymałam na nim spojrzenie, a potem z przykrością potrząsnęłam głową.

– Nie gniewaj się, ale dziś wieczorem nie. Ja... nie czuję się za dobrze – odparłam. Poniekąd była to prawda.

Rzucił okiem w kierunku, gdzie zniknął Julien. Jego usta przypominały teraz wąską, bladą kreskę. Znowu skierował na mnie spojrzenie. Skinął głową, lecz uśmiech, który temu towarzyszył, sprawiał wrażenie wymuszonego.

– Ok, no to innym razem. Do zobaczenia w poniedziałek!

Wrócił do swojego mustanga. Zapalił silnik i odjechał. Odprowadził wzrokiem znikający samochód, a potem weszłam do domu. Starając się nie spotkać Elli, cichutko wbiegłam po schodach i zaszyłam się w moim pokoju. Lepiej, żeby nie widziała mnie w ciuchach Juliana. Nie potrzebowałam zbędnych pytań, pytań, na które w tym momencie nie miałam najmniejszej ochoty odpowiadać i – co ważniejsze – nawet nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Dopiero, gdy zamknęłam drzwi, odważyłam się spokojnie odechnąć. Nagle poczułam, że mam nogi jak z waty. Opadłam na łóżko i przez kilka minut po prostu patrzyłam przed siebie. W moim żołądku tkwił ogromny, drżący supeł, który rósł z każdą sekundą rozmyślań o tym, co zaszło w starej posiadłości. Mimo usilnych starań nie mogłam uporządkować panującego w głowie chaosu. Na dodatek było mi zimno. Zatręskniłam za gorącym prysznicem. Może ciepła woda pomoże odzyskać jasność myśli.

Wrzuciłam mokre ciuchy do kosza na pranie, zdjęłam z siebie rzeczy Juliana i zaszyłam się w łazience. W pewnej chwili zauważyłam, że poprzez kłęby pary gapię się tępo na kafelki. Supeł wciąż tkwił w moim brzuchu, a towarzyszyły mu ścisiskające za gardło mdłości. Zakreśliłam wodę, wytarłam się i włożyłam szlafrok. Owinąwszy włosy grubym ręcznikiem, wróciłam do poko-

ju. Machinalnie wsunęłam płytkę CD do odtwarzacza, a potem opadłam na środek łóżka i objęłam rękoma poduszkę. U moich stóp leżały rzeczy Juliana. Wlepiłam w nie wzrok. Gapiłam się tak i gapiłam. W pewnej chwili przyciągnęłam do siebie jasny sweter i trzymając go w rękach, zaczęłam gładzić wełnę. Byłam jak zahipnotyzowana.

Ella zawołała mnie na kolację. Półprzymtomnie odkrzyknęłam, że nie jestem głodna.

Panujący w mojej głowie chaos w końcu ustąpił miejsca przekonaniu, że straciłam głowę. Dla Juliana DuCraine'a. Chłopa, który nie chciał mnie widzieć w pobliżu. Noc spowiła pokój w ciemnościach, a ja wciąż siedziałam na łóżku ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie.

Poranek nie przyniósł żadnych zmian. Obudziłam się z rękoma oplecionymi wokół poduszki oraz mglistym wspomnieniem mu. Śniłam, że Julien stoi tuż obok i wpatruje się we mnie dziwnie błyszczącymi oczyma.

Moje ciało zakrywał tylko róg kołdry, reszta pościeli pozostała mocno uwieczniona pod mną. Szlafrok podciągnął się aż do kolan, a stopy były lodowato zimne. Znowu bolały mnie zęby, w żołądku czułam dławiący supeł, a lustro zdemaskowało głębokie cienie pod oczami.

Niczym duch zesłałam do kuchni, zaparzyłam sobie filiżankę herbaty, natychmiast wycofałam się z powrotem do pokoju i wpełzłam pod kołdrę. Na szczęście Ella jak w każdy niedzielny poranek pojechała na targ w poszukiwaniu małych, porcelanowych lalek, które tak bardzo kochała. Za nic w świecie nie chciałam jej teraz spotkać.

Rzeczy Juliana wciąż leżały na łóżku, bezlistnie przypominając mi o mojej rozpacz. Byłam w nim zakochana, a on mnie nie chciał i nie wiedziałam, jak to zmienić. Zapewne nie wie-

działabym również, co robić, gdyby odwzajemniał moje uczucia, ponieważ coś podobnego przytrafiło mi się po raz pierwszy.

Popijając drobnymi łykami herbatę jeszcze przez dłuższą chwilę gapiłam się na sweter i dzinsy, w końcu zdecydowanym ruchem odstaawiłam filiżankę na nocnym stoliku. Muszę wybrać sobie z głowy! Im wcześniej, tym lepiej. Pozbierałam ubrania i zaniósłam na dół do pralki. Chciałam wykorzystać nieobecność Elli, żeby je wyprać, wsadzić do suszarki, a potem możliwie jak najszybciej oddać właścicielowi. Nikt w tym domu nie musi wiedzieć, że wróciłam wczoraj w męskich rzeczach. Wystarczy, że Neal to widział i dorobił sobie historyjkę. Jeśli wuj Samuel dowie się o wszystkim, będzie katastrofa... albo gorzej!

Właśnie zamknęłam za sobą drzwi pokoju i zamierzałam się ubrać, kiedy zadzwonił telefon. To była Susan. Chciała, żebym wpadła do niej i obejrzała trofea upolowane podczas wczorajszego zakupowego szaleństwa. Zgodziłam się, chociaż nie miałam specjalnej ochoty na paplanie o ciuchach. Liczyłam jednak, że ta wizyta odwróci moją uwagę od Juliana.

Gdy przyjechałam, stół był już nakryty. Jej mama przyrządziła pastę i oczywiście zaproszono mnie na obiad. Mike akurat wybył, ponoć pojechał coś „załatwić” z Nealem i Tylerem, co – tego nie wiedziały ani Susan, ani jej mama. Z grzeczności przełknęłam kilka farfalle z sosem szpinakowo-czosnkowym. Jednak już po paru kęsach zebrało mi się na mdłości i musiałam wyjść do toalety. Kiedy wróciłam, gospodyni zmierzyła mnie wzrokiem i ze współczuciem stwierdziła, że wcale jej się dzisiaj nie podobam. Zaproponowała mi odwiezienie do domu, ale grzecznie podziękowałam. Dostałam więc kilka kropli na uspokojenie żołądka i wraz termoforem, opatulona w wełniany koc trafiłam na sofę w pokoju Susan. Chcąc odwrócić moją uwagę od cierpienia, przyjaciółka szczegółowo zrelacjonowała swój wczorajszy wypad,

98

a następnie zaprezentowała po kolei wszystkie nowo nabyte fatalski, obracała się przy tym i przechadzała niczym modelka na wybiegu.

Sluchaliśmy płyt, które kupiła, przeglądaliśmy magazyny i planowałyśmy, jakie kostiumy założymy na bal z okazji Halloween, który – jako że ostatecznie odrzucono *Bohemę* ze względów bezpieczeństwa – podobnie jak w latach poprzednich miał się odbyć w sali gimnastycznej. Słowem, zwyczajne, babskie popołudnie. A jednak przez cały czas błądziłam myślami gdzieś daleko. Susan przyłapała mnie nawet na tym, jak tępo zagapiłam się przed siebie. Ale ilekroć pytała: „O co chodzi?”, odpowiadałam: „O nic” i mimo wszystko pąsowiłam. Kiedy w pewnej chwili rozmowa przeszła na chłopaków i to, z kim każda z nas pójdzie na bal, zdecydowałam, że najwyższa pora się pożegnać. Jej mama jeszcze raz zapytała, czy aby na pewno czuję się na tyle dobrze, żeby sama jechać do domu, ale zdołałam ją przekonać, że z żołądkiem już wszystko w porządku i nie potrzebuję pomocy.

Z powrotem wybrałam drogę obok starej posiadłości. Wcześniej wzięłam ze sobą rzeczy Juliana z mocnym postanowieniem, że oddam je jeszcze dzisiaj i definitywnie zakończę całą historię. Zaparkowałam przy ulicy i zeszedłam drogą podjazdową na dół. Była to stara, klonowa aleja, obrośnięta krzakami, za którymi rozpościerała się okazała posiadłość, mały lasek. Kilka razy odniosłam wrażenie, że w gęstwinie mignął jakiś cień, lecz zniknął zanim zdolałam określić, do kogo należał. Dom ukazał się już po paru metrach. Z każdym krokiem serce coraz bardziej podchodziło mi do gardła. Mocniej przycisnęłam do piersi torbę. Poczulałam dziwne mdłości. Z jednej strony żywiłam nadzieję, że zastanę Juliana i w końcu będę do miała za sobą, z drugiej zaś modliłam się w duchu, żeby go nie było, ponieważ myśl o spotkaniu napawała mnie strachem.

99

Posiadłość stała pośrodku polany pogrążona w kompletnej ciszy i ciemnościach. Brama szopy była zamknięta i zabezpieczona łańcuchem. Jeszcze ostatnie wahanie, a potem weszłam schodami na górę i zapukałam do drzwi. Żadnego poruszenia. Zrobiłam krok w tyłu i zerknęłam przez okno. Zero oznak życia. Zrobiłam zapukałam i odczekałam kilka chwil. Cisza. Nacisnęłam na klamkę, ale nie ustąpiła. W napięciu obezłam dom i zajrzałam przez okno do pokoju, w którym siedziałam wczoraj wieczorem z Julianem. Skrzynka stała w tym samym miejscu, białe pokrowce znówu okrywał fotel, na sofie połyskiwały drewniane skrzypce, ale w środku nie było nikogo. Z poczuciem dziwnej ulgi wróciłam do samochodu, może trochę szybciej niż należało. Byłam już w połowie drogi, kiedy zauważyłam, że wciąż mam przy sobie torbę z dzinsami i swetrem. Jednak zamiast zawrócić i po prostu położyć rzeczy przed drzwiami, pojechałam do domu. Postanowiłam, że zostawię je w aucie i oddam jutro w szkole.

Tej nocy znówu śniłam o Julianie. Stał u stóp mojego łóżka i nieruchomo wpatrywał się we mnie.

◆
Mężczyzna z wahaniem wszedł za nim w uliczkę. Trwało zaskakująco długo, zanim odnalazł Williego w Mallu, a potem jeszcze dłużej zanim namówił go, aby zdradził miejsce znalezienia medalionu świętego Jerzego. Dopiero, kiedy zafundował staremu biedakowi o nieco przereźdzonej już czuprynie kawę i coś do zjedzenia, wymachując przy tym odpowiednią ilością pieniędzy, ten stał się rozmowniejszy. Zawikłana historia, jaką opowiedział Willie, jeszcze bardziej wzmożła strach, który odczuwał. Jednocześnie wzbudziła rozpaczliwą wściekłość. Obiecał dać więcej pieniędzy, jeśli bezdomny zaprowadzi go na miejsce, gdzie znalazł medalion. Willie wzbraniał się, dopóki własnoręcznie nie przeliczył pliku banknotów. Ustąpił

100

w chwili, kiedy ten był już zdecydowany wydobyć informacje siłą, w taki czy inny sposób. I teraz znaleźli się tutaj, w wąskiej, bocznej uliczce, skąpo oświetlonej u wejścia przez jedną latarnię, która świeciła się po paru metrach, przed zasiekami. Przystanął kawalek od nich i odwrócił się w stronę Williego. Pomimo dzielącej ich odległości, od razu wyczuł zapach wódki i potu. Skierował twarz w drugą stronę i sphytł oddech tak bardzo, jak to było możliwe, chociaż woni wisząca między murami nie należała do dużo przyjemniejszych. Posiadanie delikatnych zmysłów drapieżnika czasami niezmiernie utrudniało życie.

– Czy to było tutaj? – zapytał, w napięciu przesuwał wzrokiem po murach.

Tylko jeden z sąsiednich domów miał okna wychodzące na tę lepą uliczkę. Z boku piętrzyły się worki na śmieci, pomiędzy którymi wisi suszeć. Może szukający jedzenia szczur albo głodny kot. Po drugiej stronie stały resztki zardzewiałego samochodu. Sam szkielec i wiszące w połowie drzwi. Zaledwie parę przecznic stąd, w bocznej uliczce, znalazł wtedy corvette.

Willie szedł obok, powłócząc nogami. Lekko rozejrzął się wokół.

– Tak, mister, ano tutaj. Dokładnie – potwierdził po chwili.

– A co pan widział? – dyskretnie odsunął się, aby między sobą i mężczyzną zachować dystans jednego kroku.

– Jak czterech albo pięciu typa spuściło jednemu gościu niezłe mamro. Szczupły był, na tyle, na ilem widział. Ciemne włosy. Dość dobrze ubrany. Nie pasił do okolicy. – Willie zmierzył wzrokiem swojego rozmówcę. – Jeśli dobrze pomyśle, to nawet bardzo podobny do szanownego pana.

Zignorował tę uwagę i zapytał:

– Gdzie dokładnie go pobili?

101

– Naprawdę, przy tym starym rzęchu, ciepły nim o dezel. Cud, gdyby nie pogruczotał sobie wszystkich kości. I tam znalazłem wision. Leżał pod spodem.

Wsunął dłoń do kieszeni spodni i przez kilka sekund z całej siły ścisnął kurczowo medalion świętego Jerzego.

– Widział pan, czy... złamali mu kark?

Willie prychnął głośno.

– Nie mam pojęcia, człowieku! Mister, przywarłem do rogu przy workach i modliłem się, żeby mnie nie wyczaili, bo bym skończył jak przyjaciel szanownego pana. Mieli noże, łańcuchy i inne cholerstwo. Nie widziałem, czy skręcili mu kark. Zresztą czy ja tam lekarz, nie znam się.

– Niech pan spróbuje sobie przypomnieć!

– To chyba ważne, cnie? No, pomyślmy... Może i tak. Głowa gościa tak śmiesznie dyndała, jak go stąd wywlekli. W każdym razie już się nie ruszał. Min też nie robił.

– Widział pan, gdzie go zabrali? – ponownie rozejrzał się wokół. W żadnym oknie nie paliło się światło. Prawdopodobnie mieszkania stały puste. A nawet, jeśli było inaczej, to nikomu w tej okolicy pewnie nie przyjdzie do głowy sprawdzać, co się dzieje na podwórzu. Stojący obok mężczyzna potrząsnął głową.

– Wielki Boże, nie mister. Widziałem, że w dół ulicy, tylko tyła. Chociaż... slyszalem, że zara po tym, jak go zabrali, ktoś niedaleko odpalił silnik. Pracował bardzo głośno. To mogła być jaka ciężarówka. Wi pan, takie auto z powierzoną ładunkową. Może pojechali na wysypisko śmieci albo gdzieś. Ten inny typ powiedział, że jak skonczom, to majom posprzątać, żeby już nikt go nie znalazł.

Obrócił się jednocześnie zaskoczony i strużony.

– Jaki „inny typ”?

– No, ten eleganck. Picuś glancuś. Jeszcze lepiej odstawiony niż pański przyjaciel. Uprzedzam pytanie, mister – nie wiem, jak wy-

glądał. Widziałem go tylko od tyłu. Mniej więcej mojego wzrostu. Ciemne włosy. Stał z boku, co by se rączek nie ubrudzić. Ino patrzył. Wznie szef czy coś. Co teraz z moją kasą, mister? Powiedziałem, co widziałem. To wszystko.

Bez słowa wyciągnął banknoty i wręczył je Williamu.

Ten wyszczerzył zęby.

– Dziękuję, mister. Wychył kielonka za pańskie zdrowko.

Skinął tylko głową i w milczeniu odczekał, aż tamten się oddali, dopiero potem podszedł do wraku samochodu. Nawet jeśli były tu jakieś ślady, to już dawno zostały zmyte przez deszcz. Mimo to bał się, że znajdzie jeszcze coś, co nie zostawi już żadnej wątpliwości, chociaż opowieść Williego była właściwie jednoznaczna. Nie! Bez konkretnego dowodu nie dopuszczał do siebie myśli o najgorszym!

Przesunął dłońmi po metalu, starając się dociec, które ugniecenia są starsze, a które stanowią pozostałość po owym tragicznym wieczorze. Na ostrym kancie odkrył strzępek czarnego materiału. Ściągnął go i potarł nim między palcami. Ścisnęło go w gardle. Ukląkł i spojrzął pod wrak. Jeśli zsunął się tutaj medalion świętego Jerzego, to może leżało tam coś jeszcze, co mogłoby go upełnić, że jest na właściwym tropie.

Światło latarni nie sięgało aż dotąd. Zmrużył w ciemności oczy: puste puszki, odłamki szkła, podarta gazeta, wszelkie możliwe śmieci, odpadki oraz kot, który nieruchomo patrzył na niego. Nagle zwierook obrócił się i uciekł. Stara butelka po piwie poturlała się po ziemi w głuchym brzękiem, a następnie zatrzymała na strzępkach papieru. Pochylił się nieco mocniej wprzód i jeszcze bardziej wyciągając wzrok, zaczął wpatrywać się w panującą pod wrakiem ciemność. Leżało tam coś, co wyglądało jak... Pospieszenie ustał, wgramolił się do środka i przelał na drugą stronę. Próg znajdował się tak blisko ściany budynku, że ledwo usadził rękę w szczelinę. Przez kilka sekund macał ścianę, przycisnąwszy plecy do muru, aż w końcu natrafił na butel-

kę po piwie oraz papier. Pogrzebał głębiej, dwoma palcami chwycił przedmiot i ostrożnie wyciągnął go.

Była to komórka. Podrapana i rozbita. Ten sam model co jego. Chwycił ją w dłoń. Zobaczył czarny wyświetlacz. Albo wyczerpała się bateria albo, zanim spadła pod wrak, w ogóle nie była włączona. Uruchoił aparat. Wyświetlacz zamigotał. Kiedy wklepywał numer PIN, trzęsły mu się dłonie. Nawet jeśli miał nadzieję, że jest niewłaściwy i wszystko okaże się tylko zwykłym przypadkiem, to jednak w głębi serca już w to nie wierzył. Ciche piknięcie potwierdziło poprawność kodu. Zamknął oczy i zanim je otworzył, powoli policzył do dziesięciu. Koperta widoczna w dolnym rogu wyświetlacza informowała o nieprzeczytanych SMS-ach. Wywołał ją. Okazało się, że są dwie wiadomości. Pierwsza brzmiała następująco: „Gdzie jesteś? Odezwij się!”.

Druga była nieco dłuższa: „24 godziny! W przeciwnym razie przyjadę. Bez względu na konsekwencje!”.

Przez kilka sekund tępo gapił się na wyświetlacz. Sam wysłał te SMS-y. Do tej pory nie zostały odczytane! Krzyk uwiązł mu w gardle. Przelknął go z trudem i zachowując przesadną ostrożność, wyłączył komórkę, a następnie kurczowo ścisnął ją w dłoń. Czy potrzebował więcej dowodów? Medalion, komórka, opowieść Williego... Głęboko wciągnął powietrze w płuca. Nawet jeśli wszystko na to wskazywało, to jednak wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że jest za późno, że z całej rodziny pozostał już tylko on. Przywdzieje żałobę, kiedy zdobędzie ostateczny dowód na to, że Adrien nie żyje. Teraz trzeba znaleźć tego, który za tym wszystkim stoi, i wziąć odwet. A co do zlecenia Książąt... zobaczy się. Wsunął komórkę do kieszeni spodni, ugramolił się z wraku i ruszył z powrotem do samochodu.

Kto igra z ogniem

Następnego dnia mój plan zwrócenia rzeczy Julienowi jeszcze przed lekcjami wziął w łeb. Julien po prostu nie pojawił się. Nie przyszedł na literaturę angielską i w ogóle pozostawał nieuchwytny. A przecież musiał być w szkole, skoro fireblade stał na parkingu. Po przerwie obiadowej zacząłem się na niego przed gabinetem fizyki, ale nie przyszedł. Za to uczęszczający na ten sam kurs Neal, kiedy zobaczył, że stoję przy drzwiach i wyraźnie rozglądam się za kimś, rzucił mi sfrustrowane, a zarazem jakby rozniewiane spojrzenie. Obiecał jednak, że jeśli tylko spotka DuCraine'a, to przekaze mu, że go szukam. Ton, jakim to powiedział, nie podobał mi się. Już wcześniej nie mógł znieść Juliana, ale od wczoraj najwyraźniej pałał do niego niechęcią. Z nieprzyjemnym ścisnięciem łądka ruszyłam na historię tylko po to, żeby usłyszeć, iż pan Taylor wpadł na genialny pomysł, abym już za tydzień wygłosiła mój referat o krzyżakach i absolutnie nie dał sobie nic powiedzieć.

Następna była chemia. Sfrustrowana zajęłam miejsce obok Susan, kiedy pani Squires wyszła z kantorka, niosąc tacę pełną butelek z chemikaliami i przyrządami laboratoryjnymi. Powitała nas uśmiechem, po czym rozłożyła na kafłowym blacie część utensyliów potrzebnych do przeprowadzenia pierwszego ekspery-

mentu. Rozległo się pukanie do drzwi. Nieco niechętnie spojrziała w tamtą stronę, wołając:

– Proszę!

Do środka zajrzała nasza sekretarka i ruchem dłoni przywołała ją do siebie. Nauczycielka, zanim podeszła do drzwi, powiedziała wzrokiem po klasie, nakazując spokój. Pani Nienhaus przez chwilę mówiła coś do niej, kilka razy wskazując ręką w stronę korytarza. W końcu chemiczka przytaknęła ruchem głowy, a sekretarka zniknęła. Pani Squires wróciła na swoje miejsce i spojrziała na nas.

– Jak wam zapewne wiadomo córka pana Harlena od pewnego czasu nie czuje się szczególnie dobrze – zaczęła. Mruknęliśmy potwierdzająco. Pan Harlen uczył matematyki i fizyki, był jednym z najbardziej lubianych nauczycieli w naszej szkole. Oczywiście wiedzieliśmy o jego dziecku, przy czym określenie „nie czuje się szczególnie dobrze” było niezbyt fortunne. Dziewczynka chorowała na białaczkę w końcowym stadium. Na domiar złego żona matematyka zginęła trzy lata temu w wypadku samochodowym. Od ponad pół roku jego świat ograniczał się wyłącznie do szkoły i szpitala.

Pani Squires podniosła rękę, nakazując milczenie.

– Właśnie dostał telefon ze szpitala, że stan jej zdrowia pogorszył się. Oczywiście natychmiast tam pojechał. Ponieważ w tej chwili nie ma żadnego wolnego zastępstwa, a nasz kurs nie jest zbyt liczny, pani Nienhaus poprosiła mnie o przejęcie nadzoru nad kursem matematyki. Dlatego będziemy mieli gości. Proszę, ściśnijcie się nieco. Może uda się zwolnić dwa ostatnie rzędy? Żeby jednak nie było nieporozumień – mój kurs przeprowadzę zgodnie z planem.

Na dźwięk tych słów paru uczniów głośno westchnęło, ale posłusznie wzięliśmy swoje rzeczy i usiedliśmy w pierwszych rzędach. Po chwili rozległo się ponownie pukanie do drzwi i do klasy

wkroczyła zapowiedziana grupa. Ich miny mówiły same za siebie, co sądzą o tym, że zamiast wolnej godziny, będą mieli z nami chemię. Wśród ostatnich, którzy przekroczyli próg sali, był Julien DuCraine. W tej samej sekundzie, kiedy go zauważyłam, odwrócił głowę i nasze spojrzenia skrzyżowały się. Widziałam, jak zaciął usta w niechętnym grymasie, a potem wraz z pozostałymi uczestnikami swojego kursu wszedł po schodach, żeby zająć miejsce w jednym z ostatnich rzędów. Zdawał się bledszy niż zwykle i dziwnie napięty. Z tyłu dobiegł nas odgłos odsuwanych krzesel i mamrotanie. Ponieważ przy stolikach nie wystarczyło miejsca dla wszystkich, część osób usiadła na schodach. Rzut oka przez ramię wystarczył, żebym dostrzegła, iż był wśród nich Julien.

Przybycie gości bynajmniej nie przeszkodziło pani Squires w przygotowaniach do eksperymentu. Spoczywający na trójnogu trójkąt do tygli przytrzymał doniczkę z dziurką na spodzie, która unosiła się nad wypełnioną piaskiem porcelanową salaterką. Z mieszanki w doniczce wystawało coś na kształt lontu. Chemikalia, których użyła nauczycielka, wróciły znowu na swoje miejsce i mogliśmy jedynie domyślać się składu mieszanki oraz rodzaju doświadczenia. Chemiczka podłączyła palnik Bunsena do gazu, a potem odwróciła się do nas. Podeszła do stojących na zwykłych stolikach i powędrowała wzrokiem po dwóch ostatnich rzędach.

– Wyjaśniłam już mojej klasie, że lekcja chemii odbędzie się zgodnie z planem – poinformowała gości. – Jednak, jak widzę, większość z was uczęszcza na mój drugi kurs, dlatego przeprowadzimy wspólne zajęcia. – Zignorowała głośny jęk, który dobiegł z tylnych rzędów. – A paru pozostałym nie zaszkodzi, jeśli sobie popatrzą, a przy tym nauczą się czegoś nowego. – Uśmiech, który na krótką chwilę zagościł na jej twarzy, natychmiast znowu ustąpił miejsca chłodnej powadze. – Potrzebuję ochotnika do zaprezentowania pierwszego eksperymentu.

Cała klasa zamarła. Wszyscy milczeli, unikając wzroku panu Squiters. Nikt nie garnał się do tego, żeby przeprowadzić doświadczenie, a potem jeszcze robić z siebie głupka i objaśniać coś, o czym nie mieliśmy zielonego pojęcia.

– I jak? Nie ma chętnego?

Popeliłam błąd, podnosząc wzrok. Chemiczka uśmiechnęła się do mnie, ale zamiast kiwnięciem wywołać na środek, jak to zwykła czynić, rozejrzała się za inną ofiarą.

– Julienie! Proszę, niech pan podejdziesz! – zażądała niespełna minutę później.

Dwa pierwsze rzędy obróciły się jak na komendę. DuCraine ani drgnął. Spoglądał tylko to na Squires, to na sprzęt laboratoryjny. W końcu potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żebym chciał robić za ochotnika.

Siedzący bezpośrednio za mną i Susan chłopak z jego kursu matematycznego, który najwyraźniej uczęszczał również z DuCraine'm na kurs chemiczny, wciągnął głęboko powietrze w płuća.

– Nie może dać sobie na wstrzymanie – wymamrotał.

– Co? – odwróciłyśmy się w jego stronę.

Pochylny, nie spuszczał pani Squires i DuCraine'a z oczu, wyszeptał:

– Na pierwszej lekcji zażądała, aby zdjął okulary. Wzbraniał się. Od tamtej pory ma na niego oko, a on ją prowokuje. Za każdym razem. Tylko czekamy na to, aż chemica w końcu wpadnie w furję.

Wymieniłyśmy spojrzenia. Zazwyczaj pani Squires była do rany przytóż, ale święty Boże nie pomoże temu, kto odmówiłby wykonania jej polecenia albo kogo po prostu nie lubiła.

Najwyraźniej zdecydowała, że tym razem nie odpuści.

– A więc Julienie, nie interesuje mnie, czy pan chce czy nie. Przyjdzie pan teraz na środek, odkręci gaz, zapali palnik Bunsena

oraz lont wystający z mieszanki reakcyjnej – sposób, w jaki się uśmiechnęła, przypawił mnie o skurcz żołądka.

Dopiero po paru sekundach DuCraine podniósł się z podłogi i pomaszerował do stołu ze sprzętem laboratoryjnym. Krytycznie skustrował całą konstrukcję, powędrował wzrokiem w kierunku chemikaliów znajdujących się na drugim końcu stołu, a potem odwrócił się.

– Co jest w doniczce?

Uśmiech pani Squires wyrażał nieustępliwość.

– Julienie, proszę najpierw zaprezentować kolegom doświadczenie. Następnie podam panu stosowne równanie i pozwolę obłąknąć, jakie chemiczne reakcje zaszły.

Znowu zastygł na dłuższą chwilę, po czym w milczeniu wykonał polecenie. Palnik z głośnym przyknięciem obudził się do życia.

– Julienie.

Odwrócił się niechętnie.

– Proszę nałożyć okulary ochronne.

– Mam własne – poprawił je demonstracyjnie na nosie, choć wcale nie było takiej potrzeby.

Pani Squires położyła dłoń na kancie stołu, o który się opierała.

– Nałóż pan teraz okulary i nie znoś żadnego sprzeciwu! Przepisy stworzono również dla pana. Będzie pan ich przestrzegał tak jak wszyscy inni.

Widziałam, jak się napina. Potem odwrócił się do nas plecami, zdjął okulary i nałożył na nos plastikowe obrzydlistwo.

– Proszę stanąć za stołem Julienie, żeby pańscy kolezdy również mogli coś zobaczyć – zażądała chemiczka ostrym tonem.

Julien wykonał jedynie krok na bok. Potem przystawił płomień palnika Bunsena do lontu, rozbiły się białe światło, a po

chwili naszym oczom ukazała się jeszcze bardziej jaskrawa, wielka, świetlista kula. W tej samej sekundzie klasę przeszył krzyk, potem usłyszeliśmy huk i odgłos roztrzaskujących się naczyń. Zauważyłam, że Julien słaniając się, ruszył ku drzwiom, przez moment macał je rozpaczliwie, w końcu gwałtownie otworzył i jak z procy wypadł z sali. Siła wybuchu dosłownie zmiotła chemikalia ze stołu i rozrzuciła po podłodze.

Patrzyłam za nim równie oszołomiona jak cała reszta, dopiero po chwili uświadomiłam sobie, co zaszło. Nosił przyciemnione okulary, ponieważ jego oczy nie tolerowały światła. Rany boskie! Nie wiedział, co się stanie i pewnie spojrzął prosto w jaskrawy płomień. niewiele myśląc, wyskoczyłam z ławki i ruszyłam pędem za nim. Pani Squiers kazała mi wrócić na miejsce, ale zignorowałam jej polecenie.

Znalazłam Juliana w przejściu prowadzącym do gabinetu biologicznego. W opuszczonym, cichym korytarzu jego bolesne sapanie brzmiało niewiarygodnie głośno. Klęczał z twarzą zwróconą ku ścianie, przyciskając dłoń do oczu. Kiedy podeszłam bliżej, zamarł w bezruchu.

– Spadaj! – fuknął.

– To ja, Dawn – nie zamierzałam tak łatwo dać się zastraszyć. Przycupnęłam obok niego.

– Spadaj! – powtórzył równie gwałtownie jak poprzednio, próbując mnie odepchnąć.

Nadal pozostawał zwrócony twarzą ku ścianie, a jego dłoń nawet nie zbliżyła się do mnie. Rany boskie, zupełnie oślepił! Jęcząc, ponownie przycisnął ręce do oczu.

Ostrożnie chwyciłam go za ramię.

– Chodź, zaprowadzę cię do pielęgniarki.

Poczułam, że drży, i nawet nie usiłowałam sobie wyobrazić, jak bardzo musi cierpieć.

– Nie! – wyrwał się ze złością i ponownie odwrócił do ściany. Odgłos kroków na korytarzu przybierał na sile. Naprężył ciało. Nagle oślnięło mnie i zrozumiałam w czym problem! Znowu chwyciłam go za ramię i próbowałam podnieść.

– Chodź! Znam miejsce, gdzie jest ciemno. No, chodź już! Nikt cię nie zobaczy. Będę trzymała ich od ciebie z daleka, obiecuje! – nalegałam.

Przez jakieś pół sekundy stawał jeszcze opór, a potem uległ i stanął na chwiejnych nogach. Pociągnęłam go za sobą w dół korytarza, prosto do składziku na narzędzia. Weszliśmy do środka, po czym pospiesznie zamknęłam drzwi. Przez szczelinę wpadała jedynie wąska smuga światła, moje oczy potrzebowały dłuższej chwili, żeby przywyknąć do ciemności.

W kącie sterczały oparte o drabinę mioty i mop. Przy ścianie stało stare nauczycielskie biurko, przy drugiej, na metalowym regale piętrzyły się czyste rolki z bawelnianymi ręcznikami.

Panowała taka ciasnota, że ledwo można było się ruszyć. Przejrzałam się obok Juliana, który dysząc boleśnie nagle przystanął w bezruchu, wyciągnęłam z regału kilka rolek i rzuciłam je w kąt między biurkiem a ścianą. Potem ponownie chwyciłam go za ramię i zaprowadziłam w to miejsce. Widząc, jak obmacuje rękami kolejne sprzęty, żeby wyczuć rodzaj przeszkody tarasującej przejście, poczułam ścisk w gardle. Bez stawiania oporu opadł na rolki i wcisnął się w kąt. Zakurzony półmrok chyba dobrze mu robił. Po chwili wahania uklękłam obok niego, stosując łagodną perswazję odsunęłam mu dłoń od oczu i spróbowałam podnieść jedną z powiek. Odrzucił do tyłu głowę, wydając dźwięk, który po części przypominał warczenie, a po części jęk, odepchnął mnie od siebie i ponownie ukrył twarz w dłoniach. Zdażyłam ledwo zerknąć na jego oczy, jednak to wystarczyło, aby nawet w takim świetle zobaczyć, że gałka jest krwistoczerwona, a źrenica i tęczówka zupełnie niewidoczne.

Z trudem podniosłam się z podłogi.

– Zapomnij o szkolnej pielęgniarce. Zabieram cię natychmiast do lekarza!

– Nie! – podskoczył gwałtownie, z całej siły uderzając o róg stołu.

Najwyraźniej wcale tego nie zauważył, ponieważ z mocno zacisniętymi oczami, wyciągnawszy ręce, zaczął mnie szukać po omacku.

– Bądźże... Au! – po głosie dokładnie zlokalizował, gdzie stoję, ponieważ natychmiast doskoczył, lekko musnął dłonią moje ramię, a potem ścisnął je jakby stalową kłamrą tuż przy łokciu.

– Żadnego lekarza, zrozumiano! Spadaj! Sam sobie poradzę.

Popchnął mnie w kierunku, gdzie – jak przypuszczał – znajdowały się drzwi.

Pech chciał, że mylnie ocenił swoje położenie i z całej siły grzmotnęłam o metalowy regał.

– Dlaczego nie? – zapytałam, pocierając bolące plecy. – Twoje oczy wyglądają strasznie. A jeśli są poważnie uszkodzone?

– Lekarz nie może mi pomóc – wyjaśnił po chwili wahania, wciąż kipiąc złością.

Drzwi stłumiły dobiegające z korytarza odgłosy. Julien skierował twarz w tamtą stronę.

– Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to spław chemiczkę i szkolną pielęgniarkę – ton jego głosu wyraźnie zdradzał, że ta prośba z trudem przeszła mu przez gardło.

Skinęłam głową, ale zaraz uzmysłowiłam sobie, że przecież tego nie widzi, dlatego dodałam:

– Ok, ale potem odwiozę cię do domu.

Zacisnął mocno usta.

– A co z motocyklem?

– Zostanie tutaj.

Jego cholerny motocykl obchodził mnie w tej chwili tyle, co zeszlaczony śnieg. Opuściłam składzik, zanim Julien zdążył otworzyć usta.

Na zewnątrz zobaczyłam Susan, która właśnie zniknęła w dole korytarza. Prawdopodobnie usłyszała trzaśnięcie drzwi, ponieważ odwróciła się i, rozpoznawszy mnie, zawróciła.

– Ach, nareszcie cię znalazłam! Czy DuCraïne jest w środku? Co się stało? Jest ranny? Pani Squiers o mało nie oszalała ze strachu – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Szukała was do tej pory, ale nie chciała zostawiać dłużej klasy bez opieki, dlatego zaproponowała, że sprawdzę kilka miejsc.

Mogłam to sobie wyobrazić, nauczycielka musiała się bardzo denerwować. Bądź co bądź Julien został ranny na jej lekcji – no i co z tego, że nie miała pojęcia o wadzie genetycznej jego oczu! Z drugiej strony nie zamierzałam nikomu o tym opowiadać, a już na pewno nie chemiczce. Jeśli wrócę teraz na lekcję, będzie nalegać na zaprowadzenie Juliana do pielęgniarki, w razie potrzeby nawet wbrew jego woli. Na szczęście nie musiałam tego robić, ponieważ los zesłał mi Susan.

– Zawiozę DuCraïne'a do domu. Zabierzesz nasze rzeczy z gabinetu? W międzyczasie przyprowadzę samochód pod boczne wejście.

Julien nie chciał, żeby w takim stanie widział go więcej osób niż to naprawdę konieczne.

– Spotkamy się tutaj. A jeśli Squires zapyta o nas, powiedz, że nie wiesz, gdzie jesteśmy. Aha, jeszcze jedno: nie zapomnij o jego okularach!

Susan rzuciła okiem na drzwi kantorka, które miałam za plecami, a potem skinęła głową i pognała do gabinetu chemicznego. Ruszyłam pędem na szkolny parking, dziękując niebiosom za to,

że zawsze noszę kluczyki w kieszeniach spodni. Dzięki temu nie musiałam czekać, aż przyjaciółka wróci z naszymi rzeczami.

Niestety dojazd do bocznego wejścia w skrzydle przedmiotów ścisłych wymagał objechania połowy kampusu. Na dodatek musiałam zaparkować dwadzieścia metrów od drzwi, ponieważ do budynku prowadził cementowy chodnik. Starając się nie biec, możliwie jak najszybszym krokiem pokonałam odcinek między autem a oszklonym wejściem. Korytarz prowadzący do gabinetów był pusty. Prawdopodobnie przyjaciółka czekała już w kantorku. Otworzyłam drzwi i zamarłam w pół kroku. Julien znowu siedział w kącie na rolkach ręczników, przyciskając do oczu coś jasnego, a Susan pochylała się nad nim dość nisko. Widok ich obojga tak blisko siebie przyprawił mnie o ścisk żołądka.

Rany boskie, chyba nie byłam zazdrośna?

Owszem, byłam!

– Wszystko w porządku? – zapytałam. Musiałam wcześniej chrząknąć, żeby wydobyć z siebie jakiś sensowny dźwięk.

Susan wyprostowała się i odwróciła w moją stronę. Zachwiała się lekko, jakby wstała za szybko. Zamrugła kilka razy, a potem skinęła głową.

– Wszystko w porządku. Zmoczyłam mu ręcznik dla ochłody, może dodatkowo złagodzi również ból.

Oczywiście! Najchętniej dałabym sobie w dziób za to, że sama nie wpadłam na ten pomysł – atak zazdrości wydał mi się teraz skończonym kretynizmem.

– Samochód stoi niedaleko. Zaparkowałam tak blisko, jak mogłam. Ale mamy do przejścia ponad dwadzieścia metrów – spojrzałam na Juliennę: – Dasz radę?

Wstał, lekko kołysząc głową. Jedną ręką przyciskał chusteczkę do oczu, drugą położył na kancie biurka, jakby musiał się przytrzymać.

– Nawet jeśli w tym momencie nie widzę, to moim nogom nie dolega – mruknął. – Nie ma potrzeby, żebyś...

– Żebyś odwoziła cię do domu. Jasne. Mimo to odwożę.

Przewiesiłam przez ramię swoją torbę i pasek jego plecaka, a Susan zabrała nasze kurtki. Przecisnęłam się obok niej, chwyciłam Juliennę za łokcie i zdecydowanym ruchem pociągnęłam do przodu. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, tylko: Idziemy! Ruszył za mną niechętnie, wyciągnawszy przed siebie rękę, jakby chciał po omacku wybać drogę. Zauważyłam, że zaraz po opuszczeniu kantorka, wyraźnie napiął ciało.

– Wszystko w porządku? – zapytałam stroskana.

Odpowiedział burknięciem.

Idąc z przodu Susan otworzyła nam szklane drzwi. Kiedy opuściliśmy budynek, Julien z głębokim westchnieniem jakby zapadł się w sobie. Przestraszona faktem, że mimo zakrycia oczu chustką może odczuwać ból w kontakcie ze światłem słonecznym, przypominałam ostrzec go przed schodami. Dlatego o mało nie skręciliśmy karku, potykając się o kolejne stopnie.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce, rzuciłam Susan kluczyki do samochodu i poprosiłam, aby otworzyła drzwi po stronie pasażera. Julien oparł dłoń o brzeg dachu i ostrożnie wsiadł do środka. Jego gibka elegancja zniknęła gdzieś bez śladu. Wpakowałam nasze torby na tylne siedzenie, na którym leżały już kurtki, wsiadłam, zatrzasnęłam drzwi i jeszcze raz, szybko pomachałam przyjaciółce. Odjechałam, udając, że nie słyszę jej prośby: Zadzwoń do mnie!

Przez całą drogę Julien siedział w milczeniu i ani drgnął. Oparł głowę o boczną szybę, jedną dłonią przyciskał do oczu chusteczkę Susan, a drugą kurczowo obejmował klamkę.

W końcu skręciłam w drogę dojazdową do starej posiadłości i zatrzymałam wóz tuż przed schodami.

– Gdzie masz klucze?

Na dźwięk tych słów wzdrzygnął się jak rażony prądem i z głośnym sapaniem wyrzucił z siebie powietrze.

– W lewej kieszeni kurtki – odpowiedział potem zdławionym głosem.

Dałam nura między siedzenia i usłyszałam, jak Julien znowu ciężko oddycha. Spojrzałam na niego z troskanyim wzrokiem. Siedział sztywno, odchyłony tak mocno ode mnie, jak tylko się dało. Przywarł teraz całym ciałem do drzwi, szukając po omacku klamki.

– Wszystko w porządku? – usłyszawszy moje pytanie, zastygł w bezruchu. Widziałam, jak zagryzł zęby, a potem w napięciu przytaknął skinieniem głowy.

– Tak – odpowiedział jakby na wstrzymanym oddechu. – Po prostu pospiesz się!

Oszczędziłam sobie złośliwego komentarza, ponownie odwróciłam się w stronę tylnego siedzenia i wyłowiałam jego kurtkę. Pęk kluczy złożony z kółka i czterech kluczyków leżał dokładnie we wskazanym miejscu. Z drugiej kieszeni sterczyły okulary.

Pospiesznie przecisnęłam się z powrotem pomiędzy siedzeniami, wysiadłam i obeszłam samochód, żeby pomóc Julienowi. On jednak zdążył już otworzyć sobie drzwi, przytrzymując się ich górnej krawędzi, podciągnął do góry ciało i z trudem stanął na nogach. Przestraszyłam się, widząc, jak szaro wygląda jego twarz w słonecznym świetle.

Ostrożnie chwyciłam go za łokcie, ignorując fakt, że wzdrzygnął się w pierwszej chwili, i zaprowadziłam do domu. Rzeczy mogły na razie poczekać. Kiedy dotarliśmy do schodów, nauczona doświadczeniem, w porę zawołałam:

– Ostrożnie, stopień!

Za drugim razem znalazłam właściwy klucz i otworzyłam drzwi.

– To byłoby na tyle. Dzięki za dowieszenie! – Julien wyciągnął lekko trzęsącą się rękę po klucze. Najwyraźniej oczekiwał, że bez słowa sprzeciwu pozostawię go samemu sobie.

– Zapomnij! – zacisnęłam palce na pęku i ponownie chwyciłam jego ramię. – Gdzie jest twój pokój?

Zastygł, zamieniając się w słup soli.

– Nie musisz...

– Wiem – przerwałam mu zimno. – Ten temat już dzisiaj przerabialiśmy. Lecz pójdę dopiero wtedy, kiedy uzyskam pewność, że czujesz się lepiej. A może jednak dasz się zawieźć do lekarza?

– To wygląda na zmuszanie do określonego zachowania – zaciśnął dłoń w pięść, ale nawet jego złość brzmiała jakoś słabo.

– Zwał jak zwał – odparłam niewzruszona. – Zatem: dokąd?

– Nie wiesz, co czynisz – ostrzegł mnie cicho, nieco opuszczając głowę.

Zachwiał się lekko. Podeszłam kawalek bliżej, żeby w razie potrzeby móc go podeprzeć.

– Masz rację. Poza podstawowym kursem pierwszej pomocy nie mam żadnego...

– Nie o to chodzi – niespodziewanie wpadł mi w słowo, jakby nagle jego cierpliwość się wyczerpała.

Ale ze mną było podobnie.

– Oh, kurcze, przepraszam. Zapomniałam, że będzie dla mnie lepiej, jeśli nie zbliżę się znowu – odparowałam. – Ale do cholery jasnej, to mój problem, kapujesz? – Zrobiłam głęboki wdech, powstrzymując się przed tym, żeby nie ukłucieć mi łba. – A teraz powiedz w końcu, gdzie cię zaprowadzić?

Przez kilka sekund stał całkiem cicho. Potem wciągnął powietrze w płuca i skinął głową.

– Do pokoju na tyłach – oznajmił ze zmęczoną uległością.
Bez słowa ruszyliśmy korytarzem. Julien szedł tak sztywno, jakby połknął kij. Nie stawiał oporu, kiedy zmusiłam go do położenia się na sofie, ba, nawet bezwładnie opadł na oparcie. Szybko rozzejrzałam się po pokoju. Wszystko wyglądało tak samo jak dwa dni wcześniej, za wyjątkiem ciepłego światła słonecznego, które teraz wpływało do środka przez okna. Zaczęłam po kolei zamykać okiennice, aż w końcu całe pomieszczenie pograżyło się w złotym, ciężkim półmroku. Leżący na sofie za moimi plecami Julien westchnął z ulgą i wyszeptał:

– Dziękuję.

Kiedy podeszłam bliżej i pochylona nad nim zapytałam:

– Gdzie jest łazienka? – w jego ciele znowu pojawiło się napięcie.

– Dlaczego pytasz? – nagle sprawiał wrażenie zatrwożonego.

– Ponieważ jeszcze raz chcę to namoczyć – ostrożnie zdjęłam mu z oczu chusteczkę. Natychmiast mocno zacisnął powieki i zakrył je dłonią.

– Zaraz przy drzwiach wejściowych jest kuchnia...

Zrozumiałam. Nie chciał mnie wpuścić do łazienki. Najwyraźniej wyglądało tam mniej więcej tak jak u Neala, czyli chaos do kwadratu. A w przeciwieństwie do mojego przyjaciela Julien nie miał matki, która w regularnych odstępach czasu sprzątałaby ten cały bajzel.

– Ok, niech będzie.

Zostawiłam go samego.

Chociaż ciemne, drewniane fronty szafek z wypukłymi uchwytnymi wyglądały nieco staroświecko, to jednak kuchnia miała w sobie coś przytulnego i domowego. Pod oknem, które wychodziło na główne podwórze, znajdował się zlew. Ponad kuchenką wisiała pusta półka na przyprawy, a w rogu, obok lodówki

stała mikrofalówka. Chociaż nigdzie nie było ani grama kurzu, to jednak nie wyglądało na to, żeby Julien szczególnie często tutaj przebywał. Bezwiednie zadałam sobie pytanie, czy on w ogóle potrafi gotować czy też odżywia się tylko gotowym jedzeniem.

W jednej z szafek wiszących najbliżej zlewu, znalazłam ręczniki do wycierania naczyń. Wyciągnęłam jeden z nich, odkręciłam kurek, wsadziłam chusteczkę Susan pod strumień zimnej wody, po czym lekko ją wykręciłam. Żeby nie zostawić na całym korytarzu śladów po kroplach, podłożyłam pod spód ręcznik.

Julien opadł bokiem na sofę. Jego głowa leżała na bocznej poręczy, oczy jak poprzednio były ukryte pod ramieniem, ale stopy wciąż spoczywały na podłodze. Pozycja sprawiała wrażenie dosyć niewygodnej. Kiedy podeszłam bliżej, znowu wzdrygnął się i zestywniał. Pozwolił jednak odsunąć swoje ramię i położyć sobie na oczach chusteczkę. Z ręcznika wykonałam coś na kształt zaimprovizowanego opatrunku, potem podniosłam jego nogi na sofę i usiadłam obok. Odsunął się w stronę oparcia tak daleko, jak to tylko było możliwe.

– Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze? – odezwałam się po kilku minutach napiętej ciszy.

– Jeśli powiem: nie, to pójdziesz sobie? – zapytał. Ton jego głosu zdradzał, że Julien nie łudził się, iż odpowiem twierdząco.

Potrząsnęłam głową, a ponieważ nie mógł tego zobaczyć, dodałam po chwili:

– Nie.

Obrócił twarz w stronę oparcia i ponownie zapadło milczenie. Ale im dłużej trwało, tym trudniej było mu uleżeć spokojnie. Co rusz zaciskał dłonie w pięści albo z całej siły napierał nimi na skórzaną oparcie sofy. Odnosiłam coraz większe wrażenie, że dokuca mu ból, ale za wszelką cenę próbuje to przede mną ukryć.

Pochyliłam się nieco do przodu i położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Może jednak powinnam... – reszta zdania uwięzła mi w gardle.

DuCraine podniósł się i wykonał szybki półobrót w moją stronę. Jego palce zacisnęły się ze zdumiewającą precyzją na przegubie mojej dłoni i cicho krzyknęłam. Oboje zastygliśmy w bezruchu. Ja ze strachu, on, ponieważ najwyraźniej dopiero teraz w pełni uzmysłowił sobie gwałtowność własnej reakcji. Powolotku rozwarł palce i wyglądało na to, że toczy wewnętrzną walkę, żeby mnie puścić. Opadł na sofę równie szybko, jak się podniósł, zupełnie odwrócił plecami i wsunął dłonie pod pachy. Wykrzywiłam twarz, jakby bolały mnie zęby. Ostrożnie potarłam nadgarstek.

Poczułam coś w rodzaju lęku.

– Możesz coś dla mnie zrobić, jeśli za wszelką cenę chcesz tutaj zostać – oznajmił nagle z twarzą wciąż zwróconą w stronę oparcia. Jego głos brzmiał przerażająco surowo, niemal jak warknięcie.

– Co? – pozwoliłam dłoniom swobodnie opaść.

– Przynies mi coś do picia.

Nawet jeśli sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać, możliwość zrobienia czegoś dla Juliana, a zarazem zachowania dystansu wobec niego, wydawała mi się w tej chwili bardzo kusząca.

– Jasne. Co chcesz? – zapytałam, zdumiona tym, jak bardzo spokojnie brzmi mój głos.

Zawahał się, przez sekundę poruszył niespokojnie na sofie, potem przygłąnął czołem do skórzanego obicia, wykonał kilka głębokich oddechów i w końcu oświadczył:

– W lodówce stoi mała, metalowa puszka z pastą. Nabierz z niej dwie łyżki i rozpuść w filiżance gorącej wody. – Na moment nacisnął szczękę. – I proszę, pośpiesz się! – dorzucił ochryple.

Coś w tonie jego głosu skłoniło mnie, żeby bezzwłocznie wypełnić tę prośbę. W kuchni najpierw gorączkowo szukałam odpowiedniego garnka, w duchu przeklinając DuCraine'a za to, że nie sprawił sobie jeszcze czajnika elektrycznego. W jednej z dolnych szafek znalazłam w końcu staroświecki czajnik z gwizdkiem. Szybko go wyptukałam i postawiłam na kuchence, aby zagotować trochę wody. Potem zabrałam się za poszukiwanie kubka. W jednej z górnych szafek natrafiłam na bezładną zbieraninę około dziesięciu talerzy, a w szafce obok – na pięć filiżanek, każda z innej bajki.

W kuchni Juliana naczynia ewidentnie stanowiły towar deficytowy. Łyżkę zlokalizowałam w szufladzie obok kuchenki. Dzieliła lokum z dwoma innymi łyżkami, czterema łyżeczkami do kawy, pięcioma widelcami, taką samą ilością noży i jednym długim nożem do krajania, który wyglądał na wyjątkowo ostry. Żaden ze sztućców nie pasował do pozostałych.

Metalowa puszka była jedynym produktem w lodówce. Wyglądała jak typowa, hermetycznie zamknięta puszkę na kawę ze stali szlachetnej. W środku skrywała czerwono-brunatną substancję przypominającą przesłodzony miód; była równie gęsta jak on, przekonałam się o tym, kiedy próbowałam odmierzyć dwie łyżeczki.

Czekając na zagotowanie wody, nerwowo przemierzałam kuchnię w tę i w powrót. Nie wiedziałam, co mnie tak bardzo niepokoi. Usłyszawszy przenikliwy gwizd czajnika, prędko doskoczyłam do kuchenki, zdjęłam naczynie z palnika, o mało nie poparzywszy sobie przy tym płaców napelniłam filiżankę wrzątkiem. Czerwono-brunatna masa zdumiewająco szybko uległa roz-

puszczeniu. Po parokrotnym zamieszaniu parująca ciecz przybrała konsystencję maślanki i miała całkiem niezły zapach.

Zaniosłam ją Julienowi. Musiał mnie usłyszeć, ponieważ, gdy weszłam do pokoju, właśnie siadał na sofie. Odebrał napój drżącymi dłońmi.

– Ostrożnie, wrzątek! – ostrzegłam go.

Skinął głową, ale zaczął pić, ani razu nie podmuchał, gorąco chyba w ogóle mu nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, trzymał filiżankę oburącz, jakby chciał się ogrzać. Z każdym łykiem sprawiał wrażenie coraz bardziej rozluźnionego i ze zdumieniem skonstatowałam, że opróżnił ją niemal jednym haustem. W końcu opuścił puste naczynie i cichutko westchnął. W jego głosie słychać było drżenie, a zarazem ulgę.

– Dziękuję – wymamrotał jeszcze raz.

Wciąż trzymając filiżankę w dłoniach, oparł się o oparcie sofy. Wyglądał na dziwnie odprężonego... Myśl, która nagle przyszła mi do głowy, nie należała do pokrzepiających. Przypominała ćpuna po strzale. Zmierzyłam go wzrokiem. Myślałam się, czy szarość jego skóry faktycznie zaczęła powoli ustępować miejsca normalnej bladoci?

– Co to było za świństwo? – zapytałam, nie będąc wcale taka pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

Nagle w ciebie Juliana wróciło napięcie. Wyprostował się.

– Gotowa zupka – odparł po chwili wahania, odrobinę za szybko, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że kłamał.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć albo co myśleć. Może ten brak reakcji zdradził mu, że coś tu nie gra, ponieważ wyciągnął rękę. Chciałam odsunąć się do tyłu, zanim mnie dotknie, ale najwyraźniej dokładnie wiedział, gdzie siedzę, bo chwycił moje ramię. Jego uścisk był zaskakująco łagodny. Mimo to nie pozwolił mi się wyrwać.

122

– Co jest? – zapytał natarczywie.

– Nic.

– Nic? Kłamstwo musisz jeszcze trochę poćwiczyć.

– Tak samo jak ty – znowu powiedziałam coś szybciej, niż się chciałam pomyśleć.

Przeżona zasłoniłam dłonią usta, lecz wypowiedzianych słów nie sposób cofnąć.

Julien wykonywał powolne wdechy i wydechy. I chociaż w tej samej sekundzie niemal gwałtownie odchylił się ode mnie, to jednak nie puścił uścisku.

– Ok, powiedz, dlaczego sądzisz, że kłamałem. A przede wszystkim: niby kiedy miałem skłamać?

– Właśnie przed chwilą – moja głowa, a raczej dokładnie rzecz biorąc ręka, tkwiła już w szponach lwa. Wykręty nic by nie pomogły, przede wszystkim dlatego, że miał rację: byłam nędzną kłamczuchą.

Na jego czole pojawiły się ostre bruzdy.

– Nie wierzysz, że to zupa? Dlaczego? Chyba słyszałaś o produktach instant, które wystarczy zalać wrzątkiem i gotowe?

Jasne, że słyszałam. Czasami Ella używała ich do wzmocnienia smaku sosów albo zup.

– A zatem? – zagadnął, kiedy zbyt długo zwlekałam z odpowiedzią.

– Dziwnie się zachowywałaś. Jak... – nie miałam odwagi głośno wypowiedzieć tego słowa. Pomyśleć to jedno, ale rzucić mu prosto w twarz, to coś zupełnie innego. Powinnam była o tym wiedzieć, zanim otworzyłam usta.

– Jak...? – drążył.

Zagryzłam wargi i jeszcze raz spróbowałam uwolnić rękę. Nie puścił.

– Jak...? – powtórzył z uporem.

123

– Jak ćpuna – wyszeptałam, opuszczając głowę.

Na parę sekund Juliana dosłownie zamurowało, a potem się zaczęło. Na początku było ledwo zauważalne drżenie, które przeszło w cichy gulgot, aby w końcu z bezradnym parsknięciem zamienić się w szmatywny śmiech.

Wbiłam w niego zdumiony wzrok. Dopiero po paru minutach zdołałam ochłonąć.

– Wiele mi zarzucano i niejedną z tych rzeczy faktycznie mam na koncie, ale żeby coś podobnego! – potrząsnął głową. – Owszem, nie jestem niewiniątkiem, lecz z narkotykami nigdy nie miałem nic wspólnego, ani jako diler ani jako ćpuna. Przystąpiłam – zapewnił mnie, wyraźnie siłując się na powagę.

Dlaczego – tego nie potrafiłam wyjaśnić – ale wierzyłam mu. Przynajmniej w kwestii narkotyków, bo co do zupy wciąż miałam wątpliwości. Być może indagowałabym dalej, zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, podsunął mi filiżankę pod nos, przechylił nieco głowę i lekko uśmiechając się, zapytał.

– Zrobisz mi jeszcze jedną?

Bez słowa wzięłam kubek i wróciłam do kuchni. Woda w czajniku była gorąca, dlatego potrzebowałam znacznie mniej czasu na jej zagotowanie. Podobnie jak poprzednio odmierzyłam dwie łyżeczki gęstej masy. W stanie rozpuszczonym znowu przypominała ciemną, czerwono-brunatną maślankę. Powąchałam napój, próbując po aromacie ustalić jego skład. Pachniał całkiem niezłe, bez dwóch zdań, ale co zawierał – mimo najlepszej woli – nie potrafiłabym powiedzieć. Przez moment zaważałam się, a potem polizałam łyżeczkę. Jeśli faktycznie mówił prawdę, to nigdy nie kosztowałam równie egzotycznej zupy instant. Poniekąd przypominała troszkę moją ulubioną herbatę, tyle że miała znacznie bardziej intensywny, słony, nieco metaliczny, a zarazem

124

słodki smak. Co dziwne, na chwilę dał o sobie znać również ból zębów – krótkim rwaniem, jakbym ugryzła lód.

Wróciłam do pokoju. Julien wciąż siedział oparty plecami o oparcie sofy. Zdjął zaimprovizowany opatrunek. Trzymał go w dłoniach, zmięty w kulę razem z chusteczką Susan. Miał zamknięte oczy. Na szczęście, bo w przeciwnym razie zobaczyłby, że stoję w progu i gapię się na niego jak ciele na malowane wrota.

Fakt, już parę razy widziałam DuCraine'a bez przyciemnionych okularów, ale jakoś... nigdy nie byłam tego do końca świadoma. Teraz odniosłam nagle wrażenie, że mam cały czas tego światła, aby sobie na niego popatrzeć.

Okulary pozwalały przypuszczać, iż kryją się za nimi rysy klasycznej, a zarazem niebezpiecznej urody. I nawet gdybym nie widziała go bez nich, to nie uszłoby mojej uwadze, że wygląda powalająco, ba – nawet lepiej niż powalająco! Ale na coś TAKIEGO nie byłam przygotowana. Może sprawiły to opadłe na jego czoło, lekko zmierzwiłe włosy bądź dziwnie blada skóra albo ciężkie, złote światło, które właśnie załało pokój... niemniej jednak zdałam sobie sprawę, że siedzi przede mną czarny, bladolicy anioł. Nie jakaś łagodna, słodka istota z harfą w rękach i aureolą wokół głowy, lecz jeden z tych, którzy ognistymi mieczami walczą przeciwko demonom – straszliwy, piękny anioł zemsty!

– Dawn?

Drgnęłam, kiedy niespodziewanie ocknął się ze swojej katalipsji i wypowiedział moje imię. Gorąca ciecz poparzyła mi palce, o mały włos nie wypuściłam filiżanki z dłoni.

– Tutaj, proszę. – Jakimś cudem zdołałam nadać mojemu głosowi normalny ton, otrząsnąć się z odrętwienia i podać mu napój.

Podobnie jak za pierwszym razem chwycił filiżankę obiema dłońmi, teraz jednak, zanim wziął łyka, podmuchał ją przez kilka

125

sekund. Trochę niezdeterminowana stałam obok i zastanawiałam się, czy zauważył, jak wlepiam w niego gały.

– Wszystko w porządku? – zapytał w przerwie między dwoma łykami, kierując twarz w moją stronę.

– Oczywiście – zapewniłam pospiesznie. Chyba zbyt pospiesznie, ponieważ ostra bruzda przecięła jego czoło, jednak nie otworzył jeszcze oczu.

– Na pewno?

– Oczywiście! – powtórzyłam.

Rany boskie, miałam wrażenie, że policzki palą mnie żywym ogniem. Potrzebowałam świeżego powietrza. I to natychmiast.

– Przyniosę twoje rzeczy z samochodu.

Wprawdzie wyglądała na nieco zaskoczona, ale kiwnął głową na znak, że przyjmuje moje słowa do wiadomości, i ponownie przystawił filiżankę do ust. Miałam tylko nadzieję, że odgłos moich oddalających się kroków nie brzmi jak uciezka.

Na dworze oparłam dłonie o dach audi i wykonałam kilka głębokich oddechów. Plan wybicia sobie DuCraine'a z głowy całkowicie nie wypalił. Byłam zakochana w Julienie. Koniec. Kropka. Finito. A on? Niestety nie! Ale czego właściwie oczekiwałam? Że padnie przede mną na kolana i wyzna wieczną miłość? Romantyczne bzdury! Muszę się obudzić! Nie prosił o odwieszenie. Wręcz przeciwnie. Nie prosił też o to, abym weszła z nim do środka. Po prostu nie pozostawił mi wyboru. Na dodatek nazwał mnie go kłamcą i ćpunem. Totalna kretynka!

Wściekła uderzyłam pięścią w dach samochodu. Powinno być poprosić Susan, żeby odwiozła go do domu. Znowu zrobiłam głęboki wdech. Odniosę teraz Julienowi jego rzeczy, także te, które pożyczył mi w sobotę, upewnię się, że już trochę wydobrza i poradzi sobie sam, a potem odjadę.

Zdecydowanym ruchem otworzyłam drzwi, wyciągnęłam z wozu jego plecak, torbę ze swetrem i džinsami oraz kurtkę, a potem pomaszerowałam z powrotem prosto w paszczę lwa.

Ten leżał w bezruchu wyciągnięty na sofie, oczy ponownie zakrył ramieniem. Filiżanka stała na podłodze, obok niej zmięty ręcznik i chusteczka. Cicho podeszłam bliżej. Jeśli spał, to nie chciałam go budzić, ale w takim razie również nie będę mogła ot tak, po prostu odejść. Położyłam rzeczy na krześle przy kominku i pochyliłam się nad Julienem. Poruszył się, jakby wyczuł moją obecność, a następnie zdjął rękę z oczu. Jego skóra definitywnie straciła przerażający, szary kolor. Rozwarł powieki w maleńką sparkę. Oczy wciąż jeszcze były czerwone, lecz z daleka nie wyglądały już tak źle jak na początku. Nawet tęcza i źrenica odznaczały się ciemnym konturem. Zamrugał, ale było oczywiste, że znowu może rozpoznawać kształty. Spojrzył na mnie w milczeniu. Przelknęłam suchość w gardle.

Dokładnie w chwili, kiedy zamierzałam mu oznajmić, że wychodzę, drgnął. Nie widziałam tego. Błyskawicznie wyprostował się na łokciu i nagle jego dłoń spoczęła na moim karku, a usta na moich ustach. Były jednocześnie miękkie i silne. Miałam wrażenie, że wciąż jeszcze czuję na nich połączenie soli, czegoś lekko metalicznego i odrobiny słodkiego. Czas stanął w miejscu. Po prostu. Ruszył do przodu dopiero wówczas, kiedy Julien powoli oderwał się ode mnie. Wtedy do głosu doszedł również rozum, sądząc, żebym natychmiast zaczęła oddychać. Tak też uczyniłam, po czym dziwnie oszłamiona opadłam na krawędź sofy. Ręka Juliana zniknęła z mojego karku.

– Już lepiej z tobą – usłyszałam swój głos.

Wzdrygnęłam się w środku. Chyba zupełnie zwariowałam! Chłopak, w którym byłam zakochana, pocałował mnie, a ja nie

potrafiłam wykrztusić z siebie nic więcej poza głupim: „Już lepiej z tobą?”

Spojrzał na mnie swoimi zaczerwienionymi oczyma i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz żalu. Leciutko dotknął moich policzków.

– Dawn... ja... – zaczął, ale zaraz zamilkł.

Wiedziałam, co powie. I nie chciałam tego słyszeć. Nie chciałam słyszeć, jak mówi: „Przykro mi, Dawn”. Nie teraz!

Zanim zdążył ponownie zaczerpnąć powietrza, podskoczyłam z sofy jak oparzona. Rzuciłam rozpaczliwie:

– Muszę lecieć!

Potknęłam się i zatoczyłam do tyłu, wyciągając ręce tak, jakbym chciała zatrzymać go od siebie z daleka.

– Dawn...

– Nie!

Obróciłam się na pięcie i dałam drapak. Kiedy zatrząskiwaliśmy za sobą drzwi wyjściowe, zdawało mi się, że słyszę w korytarzu jego kroki. Znowu zawołał moje imię. W oczach paliły mnie łzy. Zdyszana wpadłam do samochodu, włączyłam silnik i odjechałam z piskiem opon. Zaryzykowałam jeszcze rzut oka w tylne lustro i zobaczyłam w drzwiach postać Juliana. Podniosłam rękę, żeby zasłonić oczy przed słońcem, a potem, zataczając się, wróciłam do środka. Gnałam jakby gonili mnie sam diabeł.

W nocy znowu mi się przyśnił. Tym razem przycupnął jednak na skraju łóżka i spoglądał z góry. Kiedy się poruszyłam i kosmyk włosów opadł mi na twarz, odgarnął go delikatnie. Zaspasana usiadłam i rozejrzałam się po pokoju. Byłam sama.

◆
Po zachodzie słońca pragnienie wypędziło go z kryjówki. Niepokojnie błąkał się po mieście, zbył na cały świat i na samego siebie.

Przystanął przy rogu budynku i zaczął obserwować mężczyznę, którego niczego nie przeczuwając, wraz ze swoim czworonogiem jeszcze nie okrążył przecznicy. Łatwy łup. Ale pies może zaatakować. Ani drgnął, kiedy mężczyzna minął go po drugiej stronie ulicy, a potem zniknął w bramie.

Z bocznej uliczki za jego plecami dobiegało dudnienie basów. Dźwięk na moment wzmożł się, ale zaraz wrócił do poprzedniego natężenia, sintoniony przez zamykane drzwi wejściowe. Stamtąd nadchodziła właśnie rozśmiana grupa młodych ludzi. Z powrotem obrócił się w cieniu bramy. Zastygłszy w bezruchu, patrzył za nimi, śmiechy nie zniknęły w dole ulicy. Zawahał się, spojrzał w stronę, skąd nadawali, a potem usadził ręce do kieszeni spodni i ruszył w kierunku źródła hałasu. Ten dobiegł z Ruthvens, klubu mieszczącego się przy końcu bocznej ulicy. Z każdym krokiem czuł pod stopami coraz mocniej wibrujące dudnienie basów.

Przed ciężkimi, metalowymi drzwiami stała grupka ludzi w najróżniejszym wieku, czekając na wejście. Przesunął się w cieniu obok nich, kiwnął bramkarzowi głową i podniósł w pewien określony sposób rękę. Mężczyzna wyszczerzył zęby, otworzył mu drzwi i nie stawiając na protesty oburzonych dzieciaków, gestem zaprosił go do środka. Za progiem powitała go dudniąca muzyka, tak donośna, że można było ogluchnąć. Jedynym światłem pochodziło z niebieskich neonowych rur osadzonych w betonowych ścianach, tuż nad podłogą. W półmroku zaczął przeciskać się do korytarza pomiędzy innymi ludźmi. Większość z nich miała blade twarze, obrysowane ciemną brzołką oczy i czerwone albo czarne usta. Ubrani w spodnie z metalu i golf wyglądał dziwnie pośród tego całego towarzystwa w falbanianych, czarnych koszulach, jakby wyjętych prosto z babcięgo filmu, wąskich, skórzanych spodniach i długich sukniach. Nie był jednak jedynym gościem spoza goryckiego światła. Ruthvens należał

teraz do najmodniejszych klubów w okolicy i przyciągał ludzi z pobliskich miejscowości.

W końcu korytarz przeszedł w dużą, przestronną piwnicę, w której panował nie mniejszy ścisk. Szare, betonowe ściany zdobiło graffiti. Czarne świetlówki i neonowy reflektor rzucały mroczne światło. Wzdłuż ścian pomieszczenia ciągnęła się szeroka, metalowa galeria. Stały na niej pojedyncze stoliki, przy których siedziała sącząca trunki młodzież. Większość ludzi tłoczyła się jednak przy stalowej balustradzie i obserwowała parkiet. W pulsującym świetle strobooskopów tańczący wyglądali jak roboty.

Z galerii na dół prowadziły schody ze stalowej kraty. Wszystkie stopnie okupowały nastolatki – matolaty siedziały na nich albo stały nonszalancie oparte o balustradę. Jeśli ktoś chciał wejść na górę albo zejść, musiał z trudem torować sobie między nimi drogę. Jedyным przynajmniej częściowo oświetlonym miejscem był bar, który ciągnął się pod galerią na długości całej jednej ściany. Przy nim również panował ścisk i to tak niemiłosierny, że kelnerzy obsługujący gości na sali nie mogli dojść do lady. Wraz z każdą spędzoną tutaj minutą paliło go coraz większe pragnienie.

Kiedy schodził, zalegająca na schodach młodzież nieświadomie robiła mu miejsce, również cała reszta towarzysztwa jakby rozstępowała się przed nim, gdy przemierzał klub. Stare instynkty samozachowawcze wciąż były żywe, chociaż ci ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy.

W połowie schodów przystanął i przesunął wzrokiem po tańczących na parkiecie. Jego oczy tak bardzo przywykły już do migoczącego światła, że potrafił nawet rozpoznać twarze albo szczegóły w rodzaju kolczyków.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, które nurtowało go od paru tygodni: czy aby nie zaczął tego wszystkiego źle? Kiedy tutaj był, nie miał jednak nic poza dwoma informacjami: Ashland Falls

i Montgomery High. Zagryzł zęby. Jego ofiara przebywała gdzieś w tym mieście, może wręcz była wśród tańczących? Nawet jeśli w ostatnim czasie karygodnie zaniedbał zlecenie Książąt, to jednak znalazł ją i doprowadzi sprawę do końca, a tym samym przywróci rodzinie dobre imię.

Muzyka zmieniła się i dudnienie basów przeszło w głuche pulśnięcie – bardziej wyczuwalne niż słyszalne. Znał tę piosenkę, przynajmniej oryginał i melodia obudziła w nim bolesne wspomnienia. Nagle pożalował decyzji o przyjeździe tutaj. Pragnienie mógł zaspokoić w równie dyskretny sposób w innym miejscu. Obrócił się z zamiarem ponownego wejścia po schodach i opuszczenia klubu, kiedy wpadła na niego jakaś nastolatka z zafarbowaną na czarno grzywką. Jedno, krótkie spojrzenie w podkrążone oczy dziewczyny wystarczyło, żeby przekonać się, iż mała ma we krwi coś więcej niż tylko alkohol. Puls w tętnicy szyjnej był zbyt szybki. Uwodzicielski uśmiech, jaki posłała mu, już otrząsnął z szoku, zaważył na decyzji. Oduwajemnit go i chwycił jej rękę. Żeby z nią porozmawiać, musiałby krzyknąć na całe gardło, dlatego po prostu pociągnął dziewczynę za sobą po schodach na dół. Trochę się chwiała, kiedy prowadził ją przez tłum i chyba nie zauważyła, że skręcił tuż przed parkietem, a następnie wciągnął w ciemność za ogromnym głośnikiem. Dopiero, kiedy przystanął małą do ściany, pisnęła zaskoczona, oplótła jednak dłońmi jego kark i zaśmiała się cichutko. Miała na sobie czarną sukienkę z bardzo głębokim dekoltem. Stał tuż przed nią, przesunął opuszkami palców po nagich plecach, potem po szyi i odgarnął do tyłu włosy. Jej dłonie wędrowały niespokojnie po jego karku. Ujął podbródek dziewczyny i zmusił ją do tego, żeby spojrzała mu prosto w oczy. Oblizła językiem usta. Jej oddech przyspieszył, krew zaczęła gorączkowo pulsować pod cienką skórą, a oczy zaszyły mgłą.

Puścił podbródek. Wtedy jej dłonie przesliznęły się w górę i zamurczyły w jego włosach. Z natarczywym jęknięciem przylgnęła doń

całym ciałem. W górnej szczęce poczuł dobrze znany, niejasny ból. Bez pośpiechu nachylił się nad nią, musnął ustami jej szyję, szukając miejsca, w którym tętno było najbardziej wyczuwalne pod skórą. Nie mogąc złapać tchu, wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk i najpierw odrzuciła głowę do tyłu, a potem opuściła na bok. Kiedy zatopił zęby, przez ułamek sekundy zeszywniała, po czym wymiękła w jego ramionach. Krew dziewczyny wypełniła mu usta, a potem – ciemna i ciężka – spłynęła przez gardło. Pił powoli i koncentrując się na słono-słodkim smaku miedzi, ignorował stęchłą gorycz narkotyku, jaka z niego przebijała. Ciemność, panujący wokół ścisk i drgające światło sprawiały, że nie musiał nadmiernie zważać na otoczenie, ponieważ nawet gdyby ktoś zdołał rozpoznać coś więcej niż tylko dwie przytulone do siebie postacie, to i tak nie podejrzewałyby, co się tutaj dzieje. Wyjątek stanowili ci, którzy WIEDZIELI, ponieważ byli tacy sami jak on. Dawno temu jeden z Książąt wyraził opinię, iż to właśnie oświecenie niechący powierzyło jemu podobnym klucze do tego świata. Miał rację. W swojej bezpodstawnej arogancji ludzie zaprzeczali, że na końcu łańcucha pokarmowego jest jeszcze ktoś nad nimi. Na przestrzeni stuleci ta prawda stopniowo uległa zapomnieniu albo trafiła między bajki. Dziś już nikt o niej nie pamięta.

Przestał pić, gdy ciepłe pulsowanie w ustach zaczęło słabnąć, a dziewczyna opadała na niego całym ciężarem. Jej ramiona już kilka minut wcześniej zsunęły się z jego pleców i teraz wisiały luźno po bokach. Powoli odsunął wargi od skóry. Nieznajoma zaprotestowała cichym jęknięciem. Nogi ugięły się pod nią. Przytrzymał nastolatkę, liżąc dwie małe, okrągłe nany po ugryzieniu. Otwórki natychmiast zamknęły się, pozostawiając po sobie tylko ślad w postaci małych, zaczerwienionych plamek, które do jutra zupełnie znikną.

Wszychając, przytuliła się do jego ramienia i posłusznie pozwoliła zaprowadzić do wolnego stolika. Parka, która właśnie zmierziała w tym samym kierunku, odwróciła się rozczarowana. Posadził ją

na krzesło i zadbał o to, aby w razie jakiegos niezgrabnego ruchu nie upadła od razu na podłogę. Ktokolwiek ją znajdzie, winą za odurzenie na pewno obarczy nadmierną ilość wypitego alkoholu albo narkotyki. Ona sama również nie będzie pamiętać tego, co naprawdę pasło. Zadbał o to.

Odwróciwszy się, zobaczył stojącą przed sobą bladą, młodą kobietę. Oblizła wargi, patrząc na niego w milczeniu. Pochylił głowę w niemym pytaniu, a wtedy wzdrygnęła się z poczuciem winy.

– Mój pan chciałby z panem porozmawiać, Vourdranj. Oczekuje w swoim gabinecie – delikatnym ruchem ręki wskazała ciężką kuturę obok baru, za którą, jak wiedział, znajdowały się grubo obite ściany drzwi.

Dał do zrozumienia, aby poszła przodem i ruszył za nią, przedzierając się przez tłum. Przesliznęła się obok kotary i otworzyła drzwi. Po drugiej stronie powitało go przyjemne, przytłumione światło. Przy końcu krótkiego, wykafelkowanego korytarza zapukała do kolejnych drzwi. W środku rozległo się:

– Proszę!

Otworzyła i oznajmiła:

– Vourdranj.

Kiwnęła głową na znak, aby przeszedł obok niej.

Pomieszczenie, do którego wkraczał, było pogrążone w miękkim półmroku. Ściany pokrywały gustowne tapety z materiału. Ciężkie dywany skrywające pod sobą lekko poyskujący parkiet, stłumiony odgłos jego kroków, gdy podchodził do eleganckiego biurka z chromu i szkła. Z przodu stały dwa ciężkie skórzane krzesła, a naprzeciwko, po drugiej stronie blatu – fotel z wysokim oparciem. Dudnienie muzyki było tu prawie niesłyszalne. Migoczący monitor oświetlał siedzącego mężczyznę, który na widok gościa ustął zza biurka.

Ciemnoniebiesze włosy miękko spływały na jego ramiona, nadając mu wygląd świętego. Wydawało się, jakby właśnie zstąpił z ja-

kiego renesansowego obrazu. Tylko jasne niebieskie oczy nie pasowały do tego wizerunku. Patrzyły chłodno i pogardliwie z bladej twarzy, która wydawała się dla nich zbyt młoda.

– Miałem nadzieję, że znowu zaszczytysz nas swoją wizytą, Vourdranj. Dowiedziałem się paru rzeczy, które mogą cię zainteresować – mężczyzna pozdrowił go uśmiechem i zapraszającym gestem wskazał krzesło. – Come sta? Usiądź. Co dla ciebie? To co zwykle!

Powstrzymał się od zapytania, kiedy dokładnie był tutaj po raz ostatni i po chwili wahania skinął głową. – Cokolwiek miało znaczenie „to co zwykle” – a następnie usiadł.

Mężczyzna ominął go wzrokiem i spojrzął na młodą kobietę.

– Słyszałaś, Kathy. Moje życzenia znasz.

Potwierdziła skinieniem głowy, drzwi zamknęły się i znowu zostali sami. Gospodarz również usiadł.

– Jak słysz, wciąż zadajesz te same pytania, Vourdranj. I wciąż bez skutku – rozpoczął, nie owijając w bawełnę. – Ale może mam coś dla ciebie: krząją plotki, że stworzony, którego szukasz, w najbliższych dniach ponownie zawita do Ashland Falls.

– Skąd te plotki? – pochylił się do przodu.

Mężczyzna parsknął.

– Wybacz, Vourdranj, lecz moje źródło ufa, że go nie zdradysz i dobrze to wiesz. Ale zapewniam, że jest absolutnie wiarygodne.

– A skąd twoje źródło może wiedzieć, że stworzony przybędzie do miasta.

– Widziałno tutaj paru zabijaków należących do jego sztytu. A skoro pojawił się pomiot, to pewny znak, że i sam pan wkrótce nas odwiedzi.

– A ty jeszcze nigdy go nie widziałeś? – oparł się plecami o oparcie fotela.

Tamten ponownie potrząsnął głową.

⁸ Wł. Jak się czujesz? (przyp. tłum.)

– Nigdy, powiedziałem ci to już za pierwszym razem. On zlecał mi tylko brudną robotę.

– W takim razie, skąd wiesz, że to na pewno on zatrzymuje się w mieście.

Mężczyzna zaskoczony uniosł brwi.

– To pytanie też już mi zadałeś. Jeden z moich przyjaciół pracuje w szpitalu. A kiedy twój stworzony i jego pomiot pojawiają się w okolicy, nagle wyjątkowo wielu mieszkańców Ashland Falls zaczyna chorować na anemię.

– Czy ten przyjaciel wie...

– Naturalnie, że nie! Nie ryzykuję... – Pukanie do drzwi przewodziło wypowiedź. Zawołał: – Proszę!

Do środka weszła Kathy. Postawiła przed swoim panem kieliszek z jasną, różową cieczą, a przed nim kieliszek do czerwonego wina wypełniony rubinowym płynem, po czym oddaliła się, ponownie zostawiając ich samych.

Powoli wziął kieliszek do ręki i wypił łyk. Zaczął kaszleć. Chybota! Powinien był wiedzieć, co zamawiał! To paskudztwo wypaliło mu całą przełyk, pozostawiając na języku nieprzyjemny smak zimnej miedzi.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna wbił w niego spojrzenie, po chwili naptownie wstał i obszedł biurko. Sam również podniósł się z miejsca, ani na ułamek sekundy nie spuszczał gospodarza z oczu. Ten wciąż gapił się na niego i w końcu z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Per Dio⁹, nie wierzę. Od razu zauważyłem, że – scusi!¹⁰ – wyglądał pan młodziej niż poprzednim razem, ale pomyślałem, że po prostu pił pan w ostatnich dniach nieco więcej – wykonał krok do przodu i ponownie go zlustrował. – Teraz rozumiem, dlaczego padły te

⁹ Wł. Na miły Bóg! (przyp. tłum.)

¹⁰ Wł. przepraszam (przyp. tłum.)

same pytania. – Po jego ustach przemknął szyderczy uśmiech. – Powinno być „diavolo”, wystrychnął pan na dudka całe miasto! – Potem znowu spoważniał. – Przypuszczam, że Książęta nie anulowali wygnania, ponieważ w przeciwnym razie cała ta maskarada nie byłaby chyba potrzebna, prawda? – Opadł na drugie, stojące po tej stronie biurka krzesło. – Co się stało z pańskim bratem?

– Zniknął – odparł po chwili wahania i powoli również usiadł. Mężczyzna przycisnął rękę do uda.

– Przypuszczam, że to ma jakiś związek ze stworzonym, za którym pan tutaj przybył, nieprawdaż?

– Tak, najprawdopodobniej.

Gospodarz milczał przez chwilę.

– Zależy pan sobie sprawę z tego, że informacja o pańskim powrocie mogłaby przedstawiać dla Książąt pewną wartość?

Pochylił się do przodu.

– Czy zamierza pan sprawdzić, ile dokładnie byłaby warta zapytał z pozorną nonszalancją w głosie.

– Per Dio, oczywiście, że nie! Będę rad, jeśli ktoś usunie mi z drogi tego stworzonego. Poza tym mam dług wdzięczności wobec pańskiego brata.

Zlustrował gospodarza, a potem skinął głową i wstał z zamiarem opuszczenia gabinetu.

– Teraz ja będę pańskim dłużnikiem.

Mężczyzna również podniósł się z miejsca.

– Jeśli o czymś usłyszę, zgłoszę się, zarówno w sprawie stworzonego, jak i brata. Mam nadzieję, że pańskie starania zakończą się sukcesem. W obu przypadkach.

Skwintował te słowa ponownym skinieniem głowy i podszedł do drzwi.

¹¹ Wł. A niech to diabli!! (przyp. tłum.)

Szybko, aczkolwiek bez nadmiernego pośpiechu opuścił Rudolfa i ponownie zanurzył się w ciemnościach. W głębi serca przebiegał ten dzień. Wydarzyło się za wiele rzeczy, które nie powinny były się wydarzyć.

Honor i sumienie

– Julien cię szuka! – zakomunikowała mi na dzień dobry Beth, kiedy nazajutrz spotkałyśmy się przy szafkach. Potem do rzuciła – Chce z tobą porozmawiać.

Na dźwięk tych słów aż skręciło mnie w środku. Doskonale wiedziałam o czym i podobnie jak wczoraj absolutnie nie miałam ochoty drążyć tego tematu. Wystarczy, że szeptano na mój widok i śledzono mnie wzrokiem. Zadawałam sobie pytanie, jakie plotki po tym incydencie na chemii krążą teraz o mnie i o Julienie?

W drodze do gabinetu geograficznego Beth wyjaśniła, że DuCraïne zadzwonił do niej dziś rano, prosząc o podwiezienie do szkoły, ponieważ jego ścigacz nadal stał na szkolnym parkingu. Niczego nie podejrzewając, podczas jazdy zdradziła mu mój dzisiejszy plan zajęć. Postanowiłam, że w miarę możliwości spróbuję uniknąć tego spotkania; zamierzałam celowo spóźnić się na poszczególne lekcje albo wymykać się z nich wcześniej pod pierwszym lepszym pretekstem, a na czas przerw zaszyć w jakimś ustronnym miejscu. Do tego celu doskonale nadawała się żenska toaleta.

Po trzeciej lekcji stwierdziłam, że wprawdzie DuCraïne mógł się przede mną ukryć, jeśli chciał, ale ja przed nim już nie potra-

Włapał mnie przed gabinetem biologii, chociaż zerwałam się z lekcji niemal pięć minut przed końcem, mówiąc, że jest mi niedobrze, i chwycił za ramię w sposób łagodny, ale zdecydowany unikając:

– Musimy porozmawiać.

Następnie zaciągnął mnie bez ceregieli do mieszczącej się nieopodal małej sali komputerowej. Sprzeciw i syczące protesty z mojej strony po prostu zignorował.

W środku panował półmrok. Żaluzje były opuszczone, zapewne dlatego, żeby słońce nie świeciło prosto w monitory. Trójka obecnych tam dzieciaków podniosła na nas zdumiony wzrok. Miały chyba okienko i właśnie przepychały się o miejsce przed klawiaturą.

– Przyjdźcie za kwadrans – warknęła na maluchy, a ponieważ te nieco się guzdrały, dorzucił ostrym tonem – Długo jeszcze?

Z przesadną starannością zamknął za nimi drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie. Stałam ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i odpowiedziałam na jego spojrzenie.

– Musimy ze sobą porozmawiać – oświadczył w końcu, przerywając ciszę. – To co wczoraj między nami...

– Nie, nie musimy – wpadłam mu w słowo, kategorycznie potrząsając głową. – Wiem, co chcesz powiedzieć. Jest Ok! Zapomnijmy o całej sprawie. To nic nie znaczyło, dlatego daruj sobie... – chciałam minąć go i wyjść z sali.

Oparł rękę o drzwi i zamknął je przede mną. Szybciej odsunęłabym na bok słonia niż DuCraïne'a.

– Co to ma znaczyć? Muszę iść na historię. Wypuść mnie!

– Chętnie, ale po rozmowie – ryknął jakby z głębi krtani.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Puszczaj! – szarpałam daremnie za klamkę.

Ani drgnął.

– Ok, w takim razie ja będę mówił, a ty posłuchasz.

– Obejdzie się. Powiedziałam już, wszystko w porządku, a teraz zejdź mi... – nie zdążyłam dokończyć zdania, ponieważ chwycił mnie w pasie i posadził na najbliższym stole, jakbym ważyła tyle co małe dziecko.

W pierwszym momencie po prostu zdębiałam.

– Neandertalczyku! – fuknęłam, kiedy już doszłam do siebie.

Puścił wyzwicko mimo uszu i zbliżył się do rogu stolika. O ucieczce mogłam zapomnieć.

– Słuchać możesz również na siedząco – oznajmił, wyraźnie siłując się na spokój.

Zdjął okulary i ostrożnie położył je obok mnie. Czy Juliana znowu były jasne i rześciewe.

– Musimy wyjaśnić sobie parę rzeczy.

Zagryzłam wargi, a potem spojrzałam w bok. Delikatnie chwycił mój podbródek i odwrócił głowę, zmuszając, bym popatrzyła na niego.

– Dawn – wypowiedział moje imię tak łagodnie, że natychmiast wyszło mi w ustach. – Ten pocałunek wczoraj...

– Nie musisz niczego wyjaśniać – wyszeptalam bezradnie.

– Może nie muszę, ale chcę.

– Przepraszam też nie musisz.

Po jego twarzy przemknął lekki uśmiech.

– Wcale nie zamierzam. Po prostu posłuchaj mnie. Tylko przez chwilę, proszę – głos Juliana brzmiał dziwnie ochryple.

Próbowałam przełknąć ślinę, lecz nie mogłam. Cudem zdołałam skiniąć głową.

– Ten pocałunek wczoraj... – powoli zrobił wydech i miałam wrażenie, że szuka właściwych słów. – Przez cały czas o nim marzyłem. Dokładnie, odkąd ujrzałem ciebie po raz pierwszy.

Przez kilka sekund siedziałam w całkowitym bezruchu, mój mózg nie był zdolny do innej reakcji. Powolutku zaczęłam rozumieć sens tej wypowiedzi.

– Od tamtego wieczoru na szczycie? – w końcu wydusiłam z siebie.

Potrząsną głową.

– Już wcześniej. Chociaż to mnie dobijało. Ale myślałem, że potrafię trzymać się od ciebie z daleka.

– Dlaczego? – zapytałam, kurczowo obejmując dłońmi kant stołu.

Julien spuścił wzrok. Odpowiedział dopiero po długim wahaniu.

– Lubię cię, Dawn. Nawet bardziej niż lubię. Ale... – zaciął wargi, a potem wyjaśnił: – To wszystko... – zatoczył ręką łokcie, co miało oznaczać szkołę i całe miasto – to tylko występy gołobite. Będę musiał stąd wyjechać. Zapewne już niebawem. A kiedy nadejdzie ten moment, nie chcę cię skrzywdzić. Zatem... – z trudem przełknął ślinę. – Zatem będzie lepiej, jeśli... no cóż, jeśli zachowamy wobec siebie dystans.

Milczałam.

– Dawn? – zapytał jakby bezradnie, kiedy po upływie paru sekund nie otworzyłam ust.

– A ten pocałunek wczoraj? – wyszeptalam wreszcie, przerywając ciszę.

– Poniósł mnie. Ja... Bardzo mi przykro.

Jego słowa sprawiały ból.

– A czy choć raz przyszło ci do głowy, żeby zapytać, czego ja chcę? – Sama byłam zaskoczona tym, jak ostro zabrzmiiał mój głos, chociaż mówiłam cicho. Julien najwyraźniej również zdębiał, bo kiedy zsunęłam się ze stołu, wykonał krok do tyłu. – Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że mogę czuć to samo co ty?

- Ja...

Uciszyła go sykiem.

- Tak, TY! TY chcesz. TY postanowisz. Ale TY już nie pomyślałeś!

- Dawn...

- Co? Sama potrafię zdecydować, czego chcę! Czy chcę być z Tobą, ryzykując zranienie, kiedy faktycznie w pewnym momencie odejdziesz, czy nie! - Zmierzyła go gniewnym wzrokiem z dołu do góry.

Po tym moim nagłym wybuchu zaległa niezręczna cisza. Im dłużej trwała, tym bardziej kretynsko się czułam. Oczekiwałam wręcz, że Julien mnie wyśmieje. Zamiast tego chrząknął. Na korytarzu dzwonek obwieścił początek następnej lekcji.

- Czy to znaczy, że jesteś... - nie dokończył, ponieważ otworzyły się drzwi i do środka zajrzał jeden z trójki wyrzuconych wcześniej dzieciaków.

- Wynocha! - syknęliśmy oboje, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Mały pospiesznie zniknął. Ponownie spojrzałam na Juliana. Bacznie mi się przyglądał.

- Nic o mnie nie wiesz - jęknął żałośnie.

- W takim razie powiedz mi to, co powinnam wiedzieć - odparowałam.

Spuścił wzrok. Przez krótką chwilę ujrzałam ból i rozpacz na jego twarzy. Potem znowu skierował na mnie swoje ręcione oczy.

- Nie mogę.

Powoli wdychałam i wydychałam powietrze.

- Czy to ma coś wspólnego z twoim przekonaniem, że lepiej dla mnie, jeśli nie będę się do ciebie zbliżał?

- Tak - skinął głową.

- Dlaczego?

Przez chwilę zdawał się szukać odpowiedzi, w końcu jednak dał za wygraną.

- Są rzeczy, o których po prostu NIE MOGĘ ci powiedzieć. Zacisnęłam dłoń w pięści.

- A jeśli obiecuję, że nie będę zadawała żadnych pytań na temat TYCH rzeczy?

Jego ciemne brwi uniosły się.

- Koniecznie tego chcesz, prawda?

- Owszem - to słowo miało zabrzmieć zdecydowanie, ale moje gardło zrobiło się tak wąskie, że wydałam z siebie tylko szep. Wyciągnęłam rękę i leciutko dotknęłam jego dłoni. - Owszem - powtórzyłam równie cicho jak przedtem.

Spojrzał na mnie, rozchylając usta w krzywym, bezradnym i nieco gorzkim uśmiechu. Przez moment sondował wzrokiem moje oczy, a potem wymamrotał coś pod nosem i zrobił głęboki wdech.

- Nie jestem nawet w połowie taki silny, jak myślałam, i nawet w ulamku tak honorowy, jak miałem nadzieję - oznajmił po chwili wahania, ujmując w dłoń moją rękę.

Nawet jeśli nie rozumiałam, o czym mówi, postanowiłam nie zadawać żadnych pytań. - Zrobię wszystko, żeby ciebie nie skrzywdzić - obiecałam dziwnie uroczyście.

Przez moment patrzyłam ze zdumieniem na nasze ręce.

- Czy to znaczy, że chodzimy ze sobą? - wydukałam kilka sekund później.

Jego uśmiech zmienił się.

- Tak, właśnie tak.

Nagle odniosłam wrażenie, jakby tymi paroma słowami rzucił wyzwanie całemu światu. O mało serce nie wyskoczyło mi z piersi, a w brzuchu - ni skąd, nie zowąd - pojawił się wielki rój motyli, które zaczęły trzepotać skrzydełkami jak szalone. Przechy-

liwszy lekko głowę, Julien przez moment lustrował mnie wzrokiem, potem pochylił się wpród i pocałował drugi raz. Był przy tym osobliwie napięty, jakby w ciągłej gotowości do odwrotu. Już nie raz odsakakiwał jak oparzony.

Natoczył chrząkanie przy wejściu sprawiło, że chwilę potem odsunęliśmy się od siebie. W drzwiach stał pan Arrons. Twarz dyrektora wyrażała najwyższe oburzenie z powodu jawnej rozwiązłości, natomiast stojący za jego plecami uczniowie wręcz wykreśli sobie szyje, próbując zajrzeć do środka. Krew zalała moje policzki. Julien wydał z siebie jakiś dźwięk, który również dobrze mógł być fuknięciem co przekleństwem.

Pan Arrons pogardliwym gestem położył dłoń na włączniku żaluzji i przesunął go do góry. Patrzył przy tym na nas z nieukrywaną dezaprobatą, jakbyśmy sami je opuścili, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń. Pomiędzy lamelki wdarło się boleśnie jasne światło słoneczne, które rozproszyło przyjemny półmrok. Julien sięgnął po leżące na stole okulary i szybko je założył.

- Myślę, że państwo również macie teraz lekcje - głos dyrektora brzmiał bardzo gniewnie.

- Tak, proszę pana - Julien chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę wyjścia.

Jednak przy drzwiach nauczyciel zatrzymał nas jeszcze.

- Panie DuCraine, pani Warden, oczekuję państwa oboje po tej lekcji w moim gabinecie.

Rany boskie, zachowywał się, jakby przyłapał nas na dzikiej orgii a nie zwykłym pocałunku! Rzuciwszy krótkie: „Dobrze, proszę pana”, które zabrzmiało niemal obraźliwie, Julien przecisnął się między mężczyzną a drzwiami, pomimo karzącego wzroku dyrektora nie puścił mojej ręki. Zwolnił tempo dopiero, kiedy skręciliśmy za następny róg.

- Wygląda na to, że mamy problemy - powiedział, zerknąwszy na mnie.

- A i owszem - potwierdziłam, szczerząc zęby.

Chodziłam z Julienem DuCraine'm, a to było warte wszystkich problemów tego świata. Nawet tych, które pewnie będę miała, kiedy wuj Samuel dowie się o nas. Kategorycznie zabronił mi sprowadzać do domu przyjaciół, dlatego nawet nie chciałam sobie wyobrazić, jak zareaguje na wieść o tym, że mam CHEŁOPAKA. Fakt faktem, zwykle przebywał daleko, bardzo daleko stąd. W tej chwili po prostu napawałam się własnym szczęściem, reszta była mi obojętna.

Julien trzymał moją dłoń, dopóki nie dotarliśmy do gabinetu historycznego. Na końcu korytarza stał pan Taylor pograżony w rozmowie z panem Barringsem, co oznaczało, że jeszcze nie spóźniłam się na lekcję. Przed klasą Susan żywo rozprawiła o czymś z paroma innymi uczestniczkami kursu historycznego. Na nasz widok oczy wyskoczyły im z orbit, a kiedy Julien łagodnie pogłaskał mnie po ramieniu, rzucając na pożegnanie: „To na razie”, zaliczyły przysłowiowy opad szczęki.

Patrzyłam za nim, dopóki Susan nie przestąpiła mi widoku. Przez moment lustrowała mnie, potem rzuciła okiem na pana Tyloba i pana Barringsa, a następnie pociągnęła kawałek dalej, tak aby pozostałe dziewczyny nie mogły nas usłyszeć.

- Mój Boże, Dawn, kręcisz z DuCraine'm? - zapytała prosto z mostu wielce zatroskanym głosem.

Skinęłam głową, spoglądając w kierunku, w którym odszedł. Julien właśnie zniknął za rogiem. Przyjaciółka chwyciła mnie za ramiona i mocno potrząsnęła, zmuszając do tego, abym ponownie skierowała na nią wzrok.

– Oszalała! Wiesz, jak krótko chodził ze swoimi dziewczynami! Koniecznie chcesz być następną ofiarą? – Susan aż trzęsła się z oburzenia. – Złamię tobie serce tak jak pozostałym.

Spojrzałam na nią zirytowana. Owszem, znalazłam złą sławę Juliena, ale tym razem było inaczej, to ON chciał trzymać mnie na dystans.

Stojący przy drzwiach gabinetu historycznego pan Tylor za wołał nas. Jak na komendę odwróciłyśmy się w jego stronę.

– No, moje damy, czy będą panie łaskawe wejść do środka. Chciałbym zacząć – z wyraźną niecierpliwością kiwnął ręką. Dostałam mu wdzięczną za to, że przynajmniej na chwilę oszczędził mi trudu wyjaśniania wszystkiego Susan i posłusznie ruszyłam w stronę gabinetu historycznego. Jednak przyjaciółka chwyciła mnie mocno za łokieć i ponownie zmierzyla wzrokiem.

– I nie zamierzasz z nim zerwać, prawda? – spytała rozgniewana.

– Nie! – potrząsnęłam głową.

Westchnęła. Nagle jej oburzenie gdzieś zniknęło. Pogłaskała moje ramię.

– Jeśli cię zrani i będziesz chciała z kimś pogadać, możesz zawsze do mnie zadzwonić. O każdej porze dnia i nocy! Pamiętaj o tym! Obiecuj, że tak zrobisz!

– Pani Warden, pani Jamis, mogę teraz prosić! – powtórzył nauczyciel.

– Obiecuję, chociaż nie będzie takiej potrzeby – zgodziłam się. – Dziękuję, Susan.

Posłała mi wymuszony uśmiech, a potem pognaliśmy do klasy, mijając po drodze zniecierpliwionego historyka. Przez całą lekcję czułam na sobie wzrok innych, zwłaszcza żeńskiej części naszej grupy. Również Susan kilka razy spojrzała na mnie podejrzliwie. Zdawała się nie być pewna, czy powinna dalej próbować

146

wybić mi z głowy DuCraine'a, czy też zaszkośli w ten sposób naszej przyjaźni.

Po lekcji Julien czekał już przed klasą. Pozdrowił skinieniem głowy towarzyszącą mi Susan, a ta zmierzyla go wzrokiem, w którym kryło się wyraźne ostrzeżenie. Na widok jego zniewalającego uśmiechu nogi ugięły się pod mną.

– Cześć! – wydusiłam z trudem. W gardle nadal miałam niepokojącą gulę. Jakaś część mnie wciąż nie była do końca przekonana, czy to wszystko nie jest cudownym snem i czy zaraz nie usłyszę dźwięku bezlitosnego budzika.

– Cześć! – odpowiedział, rozchylając usta w jeszcze większym uśmiechu. Jego głos przypominał czarny aksamit. Kąśliwy gbur, który zabijał wzrokiem i najeżdżał na ludzi przy byle okazji, po prostu zniknął. Najwyraźniej swoim wcześniejszym zachowaniem chciał mnie zrazić do siebie i trzymać na dystans. Poczułam satysfakcję i w głębi serca wyszczerzyłam zęby. Jego plan kompletnie nie wypalił!

– To co, idziemy? – zapytał, wskazując głową w dół korytarza w kierunku sekretariatu.

Stumiłam westchnienie, pomachałam Susan, a potem ruszyliśmy w drogę. Każde z nas niosło w rękach swoją torbę, szliśmy jednak bardzo blisko siebie – na tyle blisko, aby dłoń Juliena od czasu do czasu muskała moją albo moje ramię dotykało jego ramienia – wszyscy obracali się za nami. Nigdy wcześniej nie zauważałam, żeby jego dziewczyny wzbudzały taką sensację, teraz wyglądało na to, że jesteśmy w szkole głównym tematem rozmów. A przecież dopiero przed niespełną godziną postanowiliśmy być ze sobą! Najwyraźniej wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy. Ludzie wybaluszali na nasz widok gąły albo szepotali sobie coś na ucho. Czy właśnie tak czują się zwierzęta w zoo? Rany boskie, jak

147

on to wytrzymał przez cały czas?! Kilka dziewczyn omal nie zabiło mnie wzrokiem.

Sekretarka, pani Nienhaus została już uprzedzona, że przyjdziemy. Kazała nam usiąść na plastikowych krzesłach, które stały przy ścianie naprzeciwko lady, i poczekać na pana Arronsa. Chwilę potem dyrektor frygnąwszy przez drzwi, spojrzał na nas ze skrajną dezaprobata i skinieniem ręki nakazał, abyśmy poszli za nim. W gabinecie rozsiadł się za biurkiem i bez słowa wskazał stojące naprzeciwko krzesła. Usiadłam, próbując zachować pozory pokorności i uległości, po czym spojrzałam na słońce, które wpadało przez okno za plecami pana Arronsa. Julien, splótłszy ręce na piersiach, oparł się o szafkę z aktami, tak aby pozostać poza zasięgiem światła. Zanurzony w półcieniu zastygł w całkowitym bezruchu, przez co wyglądał nieco groźnie. Dyrektor wydawał się wcale niezadowolony z faktu, że musi specjalnie podnosić na niego wzrok, aczkolwiek nie skomentował tego ani słowem.

– To co widziałem wcześniej w salce komputerowej, już więcej się nie powtórzy, panie DuCraine – zaczął prosto z mostu, wbijając wzrok w Juliena. – Doniesiono mi o panu i pańskich... no, nazwijmy to wybrykach i nie zamierzam spokojnie patrzeć, jak szarga pan dobre imię kolejnej uczennicy Montgomery High. Będzie pan trzymał się z daleka od panny Warden.

Głośno chwyciłam oddech i ze zdumieniem spojrzałam na mojego towarzysza. Lekko schylił głowę, poza tym ani drgnął.

– A zatem? – dyrektor ponaglał, żądając odpowiedzi.

Julien ponownie zmierzzył go długim spojrzeniem, którego z uwagi na przyciemnione okulary nie można było jednoznacznie zinterpretować.

– Będę trzymał się od Dawn z daleka – oświadczył w końcu cicho. Zatkąło mnie.

Po chwili jednak dodał:

148

– Jeśli ona sobie tego życzy.

– Będzie pan robił to, co ja panu powiem, panie DuCraine! – Arrons poczerwieniał jak indyk i spanikowałam, że zaraz dostanie gwałtu serca. Pochylił się groźnie, a jego skórzany fotel zaskrzypiał. – Ta bezczelność pociągnie za sobą stosowne konsekwencje!

Julien rozchylił tylko usta w uśmiechu.

Nagle dyrektor zwrócił się do mnie.

– Oczekuję, że będzie pani rozsądna i weźmie sobie do serca moje polecenia, panno Warden. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym – dla pani dobra – musiał poinformować o tym incydencie pani wujka.

Spojrzałam na niego przerażona.

– Nie może pan tego zrobić! – wymknęło mi się.

Stojący za moimi plecami Julien przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i odepchnął się od szafki z aktami. Nagle poczułam niepokojącą bezradność. Jakim prawem ten człowiek chciał decydować o tym, z kim mam chodzić, a z kim nie?! W szkole było mnóstwo par. Dlaczego właśnie w naszym przypadku robił tyle balasu? Bo zostaliśmy przyłapani na pocałunku i stwierdził, że należy nas ukarać dla przykładu? Bo nie znośił Juliena? Nawet nie chciałam myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby poinformował o wszystkim wujka Samuela.

Pan Arrons zignorował mój protest. Najwyraźniej nie miał wątpliwości co do tego, że przynajmniej ja zastosuję się do jego poleceń, ponieważ odesłał nas z powrotem, mówiąc:

– Proszę teraz wrócić do swoich klas.

Wstałam na drżących nogach i poczłapałam do drzwi. Dopiero, kiedy dotarłam do nich, uświadomiłam sobie, że Julien nie idzie za mną. Odwróciłam się. Wciąż stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w dyrektora szkoły. Skinął głową, nie spojrzawszy na mnie.

149

– Zaraz przyjdę. Poczekasz na zewnątrz? Mamy z panem Arronsem jeszcze coś do omówienia – powiedział spokojnym i łagodnym głosem. Jednak właśnie to mnie przeraziło.

– Julienne...

Potrząsnął głową, a ja ugryzłam się w język, opuściłam biurko i zamknęłam za sobą drzwi. Usłyszałam jeszcze oburzony głos Arronsa:

– Na co pan sobie pozwala, DuCraine!

Potem rozległo się kasłanie i skrzypienie skózanego fotela, a drzwi zatrzasnęły się. Przerazona faktem, że Julien zamierza pójść na jakieś głupstwo, które ściągnie nam na głowę jeszcze większe problemy, przez moment rozważałam, czy nie wrócić do gabine tu, ale wiedziałam, że to tylko pogorszyłoby sytuację. Dlatego, chcąc nie chcąc, zdjęłam dłoń z klamki i odwróciłam się.

Pani Nienhaus spojrzała nieco zdziwiona, że sama opuszczam biuro, aczkolwiek nie skomentowała tego ani słowem. Na korytarzu oparłam się plecami o ścianę. Po raz enty rozsypywałam właśnie węzeł, który z nerwów zaplotłam na pasku torby, kiedy z sekretariatu wyszedł Julien.

Zerknęłam na niego niepewnie.

– Arrons zostawił nas w spokoju. Twojemu wujowi też nic nie powie – oświadczył, zanim zdążyłam się odezwać.

Wyrzeszczyłam oczy.

– Jak to zrobiłeś?

Zawahał się przez chwilę, jakby rozważał, co mi odpowie dzieć, a potem wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

– Zapytałam tylko o to, co jego zdaniem powiedzieliby przedstawiciele zarządu szkoły, gdyby usłyszeli, że pewien uczeń został ranny na lekcji chemii wskutek zaniedbania nauczycielki, która się na niego uwzięła.

– Szantażowałeś dyrektora?

150

Uśmiech stał się jeszcze bardziej złośliwy.

– Nie wiem. Być może. Tak to nazywają? Okropne słowo, prawda?

– I zgodził się bez słowa sprzeciwić? – wciąż nie mogłam powiedzieć, że Julien zrobił coś podobnego.

– Za bardzo zależy mu na dobrej opinii szkoły, żeby się nie spudłali. – W jednej chwili spowaźniał. Chwyć mnie pod ramię i odeszliśmy nieco od sekretariatu w stronę przejścia, które prowadziło do pokoju nauczycielskiego. – Dlaczego nie chciałaś, żeby twój wuj dowiedział się o nas? – zapytał cicho.

Coś w tonie jego głosu boleśnie mnie utknęło. Przez moment szukałam odpowiednich słów.

– Nie wiem, jak zareaguje, kiedy usłyszy, że mam chłopaką – wyznałam potem.

Julien pochylił głowę, czekając na dalsze wyjaśnienia.

Z nerwów zaczęłam mięgotlić pasek torby.

– Moi rodzice zostali zamordowani w Nowym Jorku podczas wypadku. Od tamtej pory jestem pod opieką wuja. Bardzo kochał moją mamę, chociaż byli tylko przyrodnim rodzeństwem. Dlatego nie nazywam się jak on – Gabbron, lecz Warden. Mama zachowała po ślubie panienskie nazwisko. Wuj z jakichś powodów nawet ochroniarzy, którzy łazili za mną krok w krok. Pół roku temu pokłóciliśmy się o to, teraz mogę sama chodzić do szkoły i dowolnie rozporządzać wolnym czasem. Ale wciąż nie życzę sobie, żebyśmy przeprowadzali do domu przyjaciół...

Julien zrozumiał to.

– I obawiasz się, że może nie być szczególnie zadowolony z faktu, że masz chłopaką.

Przygnębiona skinęłam głową.

– Tak, przykro mi.

151

Zaśmiał się.

– No problem! Twój wuj nie musi mnie lubić, ani zgadzać się ze mną. Dopóki taka sytuacja tobie opowiada, nie mam nic przeciwko temu.

Poprawił na ramieniu pasek swojego plecaka. Stał tuż przede mną, oparł ręce o ścianę po obu stronach moich ramion, w ten sposób, że byłam niejako schwytała pomiędzy nim a murem, i nachylił się:

– To znaczy, przyjdę do ciebie pod osłoną nocy i po kryjomu jak Romeo wślizgnę się przez okno. Mam nadzieję, że zły wuj nie złapie mnie i nie każe wtrącić do głębokich lochów... – szepnął cicho. Kąciki jego ust zadrgały szelmowsko.

Mało nie parsknęłam śmiechem. Po chwili oschłym tonem dodałam jeszcze:

– I że wasz system alarmowy nie jest zbyt dobry albo wyłączył go dla mnie.

Prawie kompletnie mnie rozbroił, a samoopanowanie niemal diabli wzięli. Kiedy jednak nachylił się nieco bardziej, słowa ugrzęzły mi w gardle. Odruchowo przywarłam do ściany. Jego oddech musnął moją skórę... Nagle, nie wiedząc czemu, napiął się i pospiesznie odsunął, chociaż mogłabym przysiąc, że właśnie zamierzał mnie pocałować.

Skołowana zamrugałam oczami.

– Co jest?

– Nie! – zapewnił gorliwie, chyba trochę nazbyt gorliwie i przeczesał sobie palcami włosy. – Tylko doszedłem do wniosku, że to chyba nie jest najlepszy pomysł, żeby tutaj... – wskazał znajdujące się kilka metrów dalej drzwi pokoju nauczycielskiego.

Miał rację. Tego dnia jeden pocałunek przerwany przez nauczyciela stanowczo wystarczył. Aczkolwiek chętnie zaryzykowałabym po raz drugi.

– Właściwie co teraz masz w planie? – zapytał, zerkając na zegarek.

– Matkę – wykrzywiłam twarz w grymasie. – A ty?

– Chemię. Ale chyba dopadła mnie spontaniczna alergia na gabinety chemiczne. Przynajmniej na pewien czas.

Skinęłam głową, rozciągając wargi w szyderczym uśmiešku.

– Rozumiem. Trauma czy coś w tym rodzaju. – Odepchnęłam się od ściany i spojrzałam na niego poważnie. – Cieszę się, że z twoimi oczami już lepiej. Naprawdę byłam zmartwiona ich stanem. To prawdziwy cud, że tak szybko się zagoiły.

Schwycił moją rękę, która była już w połowie drogi do jego twarzy.

– Dzięki, że nie powiedziałaś nikomu o moim... problemie. Zamierzasz iść na matkę czy dotrzymasz mi towarzystwa na wagarach?

– Chcesz od samego początku udowodnić, że masz na mnie jakiś wpływ?

– Może. To jak?

Przez cały czas ścisłał mój nadgarstek, teraz zmienił uchwyt i ujął dłoń.

– A co proponujesz zamiast matki i chemii?

Przez sekundę mierzył mnie wzrokiem, po czym zapytał:

– Umiesz grać w szachy?

– Oczywiście! – przybrałam moją najbardziej zadufaną minę. Simon mnie nauczył i do tej pory wciąż jeszcze grywalimy w szachy, nawet dosyć często. Ba, niekiedy wygrywałam.

– Świetnie! Wreszcie nie będę musiał w czasie przerwy obiadowej grać sam ze sobą! – oznajmił to takim tonem, jakbym to właśnie jemu zawdzięczała moją wiedzę o szachach.

Trzymając się za ręce, ale już nie tak blisko jak przed godziną, pomaszeraliśmy bocznymi korytarzami – żeby nie wpaść

na żadnego z nauczycieli – do biblioteki. W drugiej, mniejszej czytelnicy na regale stały szachownice. Właściwie należały do szkolnego klubu szachowego, ale kilka z nich było otwartych. Znaleźliśmy sobie stolik w spokojnym, zacienionym kącie; na szczęście, ponieważ po słonecznej kąpeli w biurze pana Arronsa moja alergia przypominała o sobie lekkim swędzeniem. Julien rozmieścił figury na szachownicy. Zostawił mi białe, tym samym mogłam wykonać pierwsze posunięcie.

Grał nieporównywalnie lepiej od Simona. Widziałam to już po paru ruchach. Pierwsza partycja nie trwała nawet dziesięciu minut, potem dostałam mata. Nie byłam dla niego żadnym wyzwaniem. Drugą partię rozgrywał już znacznie mniej agresywnie i nawet dwa razy zaproponował, żebym przemyślała swój ruch. Mimo to znowu wygrał. Fakt, że w trzeciej partii popełnił zdumiewająco dużo błędów i w końcu ją przegrał, wzbudził moje podejrzenia. Kiedy zarzuciłam mu, że zrobił to specjalnie, gruchnął śmiechem i wyjaśnił, że na tym polega jego taktyka: najpierw uspić czujność przeciwnika, a potem zniemacka uderzyć, tak jakoby był dla niego poważnym przeciwnikiem!

W trakcie następnej partii postanowiłam obrać własną taktykę! Julien zdjął okulary i wystarczyło, że dostatecznie głęboko patrzyłam mu w oczy, żeby zapominał, jaki ruch właśnie zamierzał wykonać. Jego dłoń wisiła nad szachownicą, a on wpatrywał się we mnie jak urzeczony. Jednak ten sam mechanizm działał również w drugą stronę, byłam uwięziona przez jego ręcione oczy. Nigdy nie sądziłam, że można się całować tylko spojrzeniem.

Wygrał i tę partię.

Nie rozmawialiśmy wiele. Od czasu do czasu padał jakiś krótki komentarz do danego ruchu albo Julien podkpiwał sobie ze mnie, a ja odpłacałam mu pięknym za nadobne. Ten werbalny pojedynek zwykle kończył się pogardliwym prychnięciem albo

wybuchem śmiechu. Przez większość czasu panowało jednak przyjemne, spokojne milczenie, a nasze dłonie leżały splecione z boków szachownicy. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek czuła się równie dobrze w czymś towarzystwie.

Żadne z nas nie słyszało dzwonka, który ogłosił koniec lekcji. Graliśmy przez całą przerwę obiadową, ani jego, ani mój żołądek nie przypominał o głodzie, i pewnie przegapilibyśmy również początek następnych zajęć, gdyby jak spod ziemi nie wyrosła obok nas Beth. Sterczący za nią Neal z nieukrywaną dezaprobatą patrzył na moją dłoń. Mimo to nie wysunęłam jej z dłoni Juliana.

Beth uśmiechnęła się do DuCraine'a, który w międzyczasie włożył założyc okulary, rzuciła mu na powitanie: „Cześć”, a potem spojrzała na mnie.

– Wszędzie cię szukałam. Pani Jenkins pytała o ciebie na matmie. Powiedziałam, że zrobiło ci się niedobrze i musiałas zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. To tak dla informacji, żebyś wiedziała w razie czego.

Z wdzięcznością kiwnęłam głową.

– Była wściekła?

– Nie bardziej niż zwykle. Ale gdybyś jeszcze dzisiaj na nią wpadła, to udawaj chorą. Nie wiem, czy mi uwierzyła, skoro nie pojawiałaś się przez całą lekcję. Idziemy razem na geografię? – przesunęła wzrok na Juliana, który zerknąwszy na zegarek, puścił moją dłoń i zaczął chować figury do pudełka.

Również spojrzałam na niego, szczerząc zęby. Najwyraźniej wszyscy, włącznie z Beth, byli przekonani o tym, że szybko zarażi mnie swoim nastawieniem do szkoły. Bez słowa odwzajemniłam uśmiech. Miałam wrażenie, że zna moje myśli i nie muszę ich głośno wypowiadać. Stado motyli zaczęło swawolić i wyciniać w moim brzuchu dzikie akrobacje.

– Jasne! Co masz teraz? – zapytałem Juliana, wstając z miejsca i przewieszając torbę przez ramię.

– Biologię.

To oznaczało, że musiał iść do przeciwległego skrzydła budynku. Również odsunął swoje krzesło i podniósł się. Chociaż Neal przez cały czas wbijał w niego wrogie spojrzenie, z kamienną twarzą odstawił pudełko, podniósł z podłogi plecak, stanął obok mnie i dopiero wtedy popatrzył nieruchomo w oczy zazdrośnika. Byłam mu niemal wdzięczna, że zrezygnował z ostentacyjnego demonstrowania swoich uczuć. Martwiła mnie jawna nienawiść, którą Neal okazywał Julienowi.

Razem opuściliśmy bibliotekę. Beth szła przodem, za nią Julien, dalej ja i na końcu Neal. Kilka razy obróciłam się w jego stronę. Wciąż obserwował go z nieukrywana złością. Postanowiłam z nim porozmawiać. I to koniecznie!

Tym razem Julien nie odprowadził nas do gabinetu geograficznego, aczkolwiek tak jak ostatnio na pożegnanie delikatnie pogłaskał mnie po ramieniu. Oczywiście ten czuły gest nie uszedł uwadze moich przyjaciół. Beth uśmiechnęła się, a Neal zrobił taką minę, jakby chciał ukatrupić Juliana na miejscu. Na szczęście musiał zaraz pędzić na wieżę o społeczeństwie, a klasa, w której miał zajęcia, znajdowała się zaledwie kilka metrów od nas. Dzięki temu oboje nie byli skazani na swoje towarzystwo. Pomachałam zarówno Julienowi, jak i Nealowi, a potem dziarsko ruszyliśmy na geografę. Kiedy jednak Neal krzyknął za Julienem: – Przyjdź! – na trening szermierki, DuCraigne? – stanęłam jak wryta, a potem odwróciłam się.

Julien również przystanął i odwrócił się.

– Tak – odparł spokojnym głosem. Był już niemal na zakręcie. Neal zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Widzimy się na planszy.

156

Te słowa zabrzmiały jak wyzwanie. DuCraigne ominął go spojrzeniem, zerknął na mnie, a następnie lekko przytaknął skłonieniem głowy.

– Jak chcesz, Hallern. Na planszy.

Wykonał zwrot i zniknął za rogiem. Neal również popatrzył na nas, a potem zdecydowanym krokiem pomaszerował do klasy.

Przez kilka sekund gapiłam się na pusty korytarz. Oglupieci! Jeden i drugi! Zanim Beth zdążyła mnie powstrzymać, pobiegłam za Julienem. Dogoniłam go w połowie drogi do gabinetu biologicznego.

– Nie chcę tego! – wyrzuciłam z siebie zdyszana. Spojrzał na mnie w milczeniu. – Nie chcę, żebyście się z mojego powodu... pojedynkowali! Żyjemy w XXI wieku, a nie w średniowieczu! Nie musicie rzucać się na siebie z mieczami, jak jacyś porąbani rycerze – dodałam zdenerwowana.

– Szpadami.

– Co? – zamrugałam zdezorientowana.

– Nie będziemy rzucać się na siebie z mieczami, ale ze szpadami, chociaż szczerze mówiąc właściwie preferuję włoski floret – wyjaśnił niewzruszony.

– Szpada, floret, miecz, wszystko jedno, czym będziecie walczyć – powoli traciłam cierpliwość. – Nie chcę, żebyście z mojego powodu zachowywali się jak pieprzeni maczo!

W jednej chwili spowaźniał.

– Zatem żądasz ode mnie, żebym nie stawał z Nealem na planszy?

– Tak!

Ku mojemu przerażeniu potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić. Wyzwał mnie na pojedynek.

– Ale przecież to nie oznacza, że musisz przyjąć jego wyzwanie.

157

– Już przyjąłem. I na pewno nie wycofam się jak tchórz – powiedział to tak spokojnie, jakby pojedynki były czymś najmniejszym na świecie.

– Proszę, nie rób tego Julienie.

Powolnym ruchem podniósł okulary i pojrzał mi prosto w oczy.

– Nie, Dawn, nawet jeśli trudno ci to zrozumieć: nie mogę się wycofać. – Raptem nie wyglądał już na dwadzieścia lat, lecz na znacznie, znacznie starszego. – W mojej... rodzinie honor ceniony jest nade wszystko, bo czasami jest jedyną rzeczą, jaka człowiekowi pozostaje. – Powoli uniosł ramiona, po czym je opuścił. – Twój przyjaciel, Neal, jako szermierz ma słabe pojęcie o honorze. On wyzwiał mnie na pojedynek i on musi to cofnąć. Ja nie mogę.

Chętnie zapytałabym go o to, gdzie dorastał, skoro wpojono mu takie archaiczne zasady, ale miałam dziwne przeczucie, że nie dostanę odpowiedzi. Poza tym obiecałam nie zadawać żadnych pytań. Dlatego stanęłam tuż przed nim i obiema dłońmi chwyciłam go za kurtkę.

– Proszę! Nie chcę, żeby któryś z was został ranny. Nie z mojego powodu!

Kurczowo zacisnęłam palce na materiale. Julien odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie. Jego oczy sprawiły wrażenie starych. Tak jakby widziały już rzeczy, których wołałyby nigdy nie oglądać. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

Dłonie Juliana były zimne, gdy położył je na moich.

– Nie cofnę. Ale pozwól mi dokończyć, Dawn – pogadałam wcześniej z trenerem, kiedy ten zobaczył, co się święci, nie wpuszczał nas na planszę. Nie po tym, co wydarzyło się ostatnim razem. Tu wszystko, co mogę ci zaproponować.

Patrzyłam na niego z niepokojem. Zamierzał zrobić dokładnie to, co powiedział. A ponieważ najwyraźniej nie miałam innego

158

go wyboru, skinęłam głową. Dziwne, lecz odniosłam wrażenie, że właśnie odetchnął z ulgą.

– Zobaczymy się po WF-ie? – zapytał po chwili cicho i łagodnie pogłaskał moje dłonie.

Zawahałam się.

– A dlaczego nie przed nim?

Czyby się bał, że będę jeszcze próbowała nakłonić go do zmiany decyzji?

– Jeśli chcę pogadać z trenerem, muszę przyjść przed twoim kumpłem Nealem.

– O, tak, przepraszam – zakłopotana zagryzłam wargę. – No to po WF-ie. Gdzie?

– Na ławkach pod klonem? Między parkingiem a kawiarnią. I może zastanowisz się, czy masz jeszcze ochotę po południu na małą wycieczkę ścigaczem. Dla ciebie będę przestrzegał ograniczeń, obiecuję!

– W takim razie przy ławkach!

Właściwie chciałam go pocałować na pożegnanie, ale Julien puścił mnie i zanim zdolałam wcielić mój zamiar w czyn, znowu odsunął się na pewną odległość.

– Spóźnisz się na geografę – przypomniał mi drwiąco, poprawiając na nosie okulary.

Prychnęłam pogardliwie, mimo to posłałam mu jeszcze jeden uśmiech, zrobiłam zwrot do tyłu i pobiegłam w stronę gabinetu. Kiedy ponownie odwróciłam się, w typowy dla siebie, bezszelestny sposób, zniknął za następnym rogiem.

Na szczęście Beth czekała przed klasą i podobnie jak u pani Jenkins usprawiedliwiła nasze spóźnienie moim złym samopoczuciem.

Najwyraźniej nie wyglądałam najlepiej, ponieważ pan Sander, człowiek wielce miłosierny, zapytał mnie, czy nie wolałbym

159

pójść do domu. Nie, nie wołałam! Musiałabym wtedy jakoś wytłumaczyć Elli wcześniejszy powrót ze szkoły, a wyjaśnienia w moim zdaniu: „Poczułam się niedobrze”, niechybnie przyniosłyby jeden skutek: kazałyby mi całe popołudnie przeleżeć na sofie i popijać herbatę rumiankową. Poza tym oszalałabym ze zmartwienia. W żadnym razie nie chciałam wracać do domu, zanim nie nabiorę pewności, że plan Juliana wypalił. Przez całą lekcję siedziałam jak na szpilkach, non stop zerkając na zegarek.

Kiedy dzwonek obwieścił koniec lekcji, pan Sander podszedł do mojego stolika i z troską w głosie zapytał, jak się czuję oraz co mam potem. Chociaż zapewniałam go, że już znacznie lepiej, to jednak słysząc, iż w planie są jeszcze dwie godziny WF-u, znowu próbowałam mnie wysłać do domu. Na szczęście z pomocą przyszła mi Beth, która obiecała mieć na wszystko oko, uspokojony dał za wygraną i pozwolił nam odejść.

Żeby nieco ukoić skołatane nerwy, postanowiłam wspomnieć się mega dawką cukru. Kupiłam w automacie czekoladowego batona i butelkę coli, jednak ani jedno, ani drugie nie przyniosło oczekiwanego efektu.

Cheerleaderki ćwiczące nowy układ taneczny na następnym mecz drużyny koszykówki zajęły obie połowy hali po lewej stronie. Dlatego moja grupa musiała przesunąć się nieco dalej. Tym sposobem znalazłyśmy się tuż obok szermierzy, od których dzieliła nas tylko gruba zasłona. Serce waliło mi jak oszalałe. Rozstawiając z pozostałymi dziewczynami równoważnię oraz maty, w napięciu próbowałam wyłowić z panującego wokół harmidru głos Juliana albo Neala. W ogóle nie słuchałam pani Hayn, która objaśniała, co zaraz będziemy robić. Potem nauczycielka kiwnęła ręką na Beth, aby ta zaprezentowała ćwiczenia. W sąsiedniej hali co chwila rozlegał się brzęk szpad przerywany krzykiem trenera. Czyżbym właśnie usłyszała głos Neala? Po Beth na równoważnię

wywołała Liza. Czy to Julien odpowiedział mi zinnym i ostrym głosem? Podciągnawszy kolana, mocno objęłam nogi rękoma. Beth znowu coś powiedział. Pani Hayn wywołała moje nazwisko i wskazała na równoważnię. Trener tubalnym głosem wydał jakieś polecenie. Brzęk szpad nagle ucichł. Rzuciłam szybko okiem na sąsiednią halę.

– Dawn, proszę skoncentrować się na tym, co pani robi! – wydmuchiła mnie zniecierpliwiona nauczycielka.

W napięciu zwróciłam się w stronę równoważni, wzięłam głęboki oddech i odskoczyłam i pewnie wskoczyłam na belkę. Głęboko wciągnęłam powietrze w płuca.

– DuCraine! Hallern! Weźcie swoje kaski i stańcie na planie! – polecił trener.

Serce przestało mi bić. Najwyraźniej coś poszło nie tak.

– Dawn! – głos pani Hayn brzmiał gniewnie.

Jeszcze raz zrobiłam głęboki wdech. Beth podniosła na mnie zaskoczony wzrok. Znowu rozległ się brzęk skrzyżowanych szpad. Znacznie szybszy i bardziej gwałtowny niż poprzednio. Zmusiłam swoje kończyny do poruszenia się. Wykonałam dwa kroki do przodu. Stanie na rękach. Zatrzymanie. Powrót. Trener ryknął znowu, co zabrzmiało jak przekleństwo. Zagryzłam wargi. Zachowałam równowagę, przebiegłam do stania na rękach, przewrót w przód, wyprostowanie. Brzęk szpad. Znowu ryk trenera. Zwrot w tył. Brzęk stawał się coraz bardziej gwałtowny. Dwa kroki do przodu, gławizda, obsunęłam się za bardzo na lewo, ześlizgnęłam, otarłam nogą o bok równoważni i wylądowałam na macie. Dziewczyny podniosły wrzask. Uderzyłam ręką o jedną ze śrub nastawczych. Krzyknęłam. Chwilę potem leżałam już na materacu, prawą dłoń mocno ściskając lewą. Pani Hayn przykucała obok, a przełożona reszta grupy otoczyła mnie wianuszkami. Brzęk w sąsiedniej sali ustał. Trener kłął jak szewc. Ręka bolała mnie okropnie.

Nauczycielka chwyciła ją delikatnie i zaraz potem zażądała, aby przyniesiono apteczkę. Z głębokiej rany w kancie dłoni sączyła się krew. Liza zerwała się z miejsca i ruszyła pędem do kantorki.

– Dawn! – jak spod ziemi wyrósł obok mnie Julien. W białym szermierczym stroju wyglądał niczym rycerz, który właśnie przybył na ratunek.

Wcisnął maskę i szpadę jednej z kompletnie oszołomionych dziewczyn, a następnie ukląkł przy mnie.

– Nic mi nie jest – zapewniłam go pospiesznie, chociaż w oczach paliły mnie łzy. – Zobacz, to tylko zwykłe zadrapanie! – podsunęłam mu wyrwaną wuefistce dłoń.

Rana prawie przestała krwawić.

Julien zastygł w bezruchu. Nagle jego oddech stał się gwałtowny i urywany. Z trudem przełknął ślinę, dwa, trzy, cztery razy i – ani na moment nie odrywając wzroku od mojej ręki – sztywno wstał z maty. Wykonał nagły zwrot do tyłu i ruszył pospiesznym krokiem w kierunku przebieralni. Zachowywał się tak, jakby go strasznie zemdliło, lecz mimo wszystko chciał zachować resztki honoru. Nie tylko ja patrzyłam za nim zdumiona. Do jutra pewnie cała szkoła będzie huczeć o tym, że DuCraine nie znosi wzdoku krwi.

Kiedy Liza wróciła z apteczką, pani Hayn zabandażowała moją dłoń, po czym wysłała mnie razem z Beth do przebieralni, a w dalszej kolejności do pielęgniarki po porządną opatrunkę. Poza tym kazała dziewczynom przynieść jeszcze jeden materac, który oparto o nieszczęsną śrubę, i dopiero wówczas podjęła prowadzenie przerwanych zajęć.

Pielęgniarka, drobna osóбка o przyjaznej, sercowatej twarzy i rozkazującym tonie głosu, którego nie powstydzili się żaden sierżant od musztry, posadziła mnie na szelongu i obejrzała zadrapanie. Gniewnie mlasnęła językiem, po czym wymamrotała

o głupim przypadku, sarkając, że też to właśnie ja musiałam trafić na śrubę. Zdezynfekowała ranę jodyną w sprayu, skutkiem czego łzy znowu napłynęły mi do oczu, potem musiałam odczekać aż wszystko wyschnie i dopiero wtedy owinęła dłoń bandażem, a jego koniec przytwierdziła do opatrunku paskami plastra. Następnie dokładnie zrelacjonowała całe zajście, aby mogła wypełnić sprawozdanie o wypadku. Cała procedura trwała tak długo, że ostatecznie wyszłam stamtąd dopiero wraz z końcem lekcji.

Chociaż noga po otarciu o równoważnię wciąż sprawiała mi ból i była dosyć sztywna – jutro bankowo na całym udzie pojawi się wielki siniak – pędziłam co tchu, żeby w porę dotrzeć na umówione spotkanie. Jednak ledwo skręciłam z brukowanej drogi na kawiarkę za kawiarnią, która wiodła prosto do miejsca, gdzie rosła grupka drzew, w tym nasz klon, a już z daleka zobaczyłam, że Juliana tam nie ma. Czyżby trening się przedłużył? Przez moment zahałałam się, rzuciłam okiem na zegarek. Nawet gdyby tak było i w dodatku gdyby specjalnie nie spieszył się pod przysznice, to i tak powinien już czekać. Wolnym krokiem przespacerowałam się wzdłuż zarośli, które okalały z tej strony budynek.

Czyżby uznał, że po upadku pojechałam prosto do domu i zrezygnował z wcześniejszych planów? Ogarnęło mnie rozczarowanie.

Dotarłam do rogu kawiarni, kiedy usłyszałam głos Neala:

– ... od niej z dala, DuCraine! – powiedział gwałtownie.

– Jeszcze coś, Hallern? Myślisz, że się ciebie boję? Precz z łapami – głos Juliana brzmiał nie mniej ostro.

Ostrożnie podeszłam bliżej i wyjrzałam zza zarośli. Obje stała przy ścianie narzędziowni, między kawiarnią a halą sportową. Neal chwycił Juliana za kurtkę w kurtkę i plecami przycisnął do ściany.

– Nie jesteś dla niej wystarczająco dobry, DuCraine! Dlatego zrób sobie tę przysługę i trzymaj się z dala od Dawn – ryknął.

– O co ci chodzi, Hallern? Że ktoś inny się nią interesuje, czy że to jestem ja?

Julien z zimną krwią oderwał Neala od kurtki i schwycił go mocno za przeguby dłoni.

– Tchórz, znasz Dawn, odkąd przyszła do Montgomery, i przez ten cały czas nie zdobyłeś się na odwagę, żeby wyznać jej, że jesteś w niej zakochany! – Odepchnął Neala z taką siłą, że chłopak zatoczył się dwa kroki do tyłu. – Nie mam zamiaru z twojego powodu zwniać miejsca. Niezależnie od tego, co zrobisz.

Przełknęłam głośno ślinę. Czy faktycznie był we mnie zakochany? Nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie dał po sobie tego poznać, a mi nie przyszło do głowy, że może nas łączyć coś więcej niż przyjaźń.

Jakby w odpowiedzi Neal rzucił się z pięściami na Julię, ten jednak wykonał tylko krok w bok, chwycił go za ramię, szarpnął z całej siły, przeciągnął obok siebie i grzmotnął nim o ścianę. Przy tym tak mocno wyłamał Hallernowi łokieć do tyłu, że chłopak aż syknął z bólu.

– Prześcienie! Oboje!

Jakby na komendę odwrócili się w moją stronę. Wyszedłam zza krzaków i ruszyłam w ich stronę. Julien puścił Neala i wyprostował się, ale napięcie w jego ciele nie ustąpiło. Potem spojrzął na moją dłoń i cofnął się o krok.

– Dawn... – zaczął zakłopotany Neal.

Nie dałam mu szansy dokończyć wypowiedzi.

– Kompletnie cię porąbało? Zachowujesz się jak skończony idiota! Czy ja jestem jakimś trofeum, żeby się o mnie bić? Odprawiacie rytuał godowy samców? Zwycięzca weźmie maczugę, spala jej mnie i zaciągnie do swojej jaskini? I niby mam jeszcze czuć się na koniec mile polechtana? – naskoczyłam na niego.

164

Neal aż rozdziawił usta. Kątem oka dostrzegłam złośliwy grymas na twarzy Julię. Próbował go ukryć, opuszczając głowę.

– Nie jesteś ani odrobinę lepszy – fuknęłam.

Uśmiech zgasł błyskawicznie, a kiedy zaczęłam obandażowaną ręką wymachiwać w jego stronę, szybko cofnął się jeszcze bardziej.

– Jaskiniowcy! Jeden z drugim! – krzyknęłam, wodząc wzrokiem po ich twarzach.

Kiedy już wyładowałam złość, zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwał je Neal.

– Wiesz, co ten typek zrobił innym dziewczynom. Myślisz, że ciebie potraktuje inaczej? Na pewno nie! Skończ z nim, zanim on skończy z tobą. Dawn, to nie jest odpowiedni facet dla ciebie.

Zacisnęłam dłonie w pięści. A przynajmniej tę jedną, bez opatrunku.

– Skąd ty możesz wiedzieć, co albo kto jest odpowiedni dla mnie? Sama potrafisz zdecydować! Nic ci do tego! – ofuknęłam go ostrzej niż zamierzałam.

– Nic o nim nie wiesz! – spróbował jeszcze raz ze złością.

– Nie twoja sprawa, co wiem o Julienie albo czego nie wiem! Jestem z nim, ponieważ chcę z nim być. To moja decyzja i oczekuję, że ją uszanujesz.

Miałam serdecznie dosyć tych wszystkich mądralińskich, którzy musieli się mieszać w moje życie.

Neal zmierzył mnie długim spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na Julię, a na koniec z powrotem na mnie.

– Jak chcesz – oznajmił szorstkim tonem i odmaszerował w kierunku parkingu, nie obejrząwszy się za siebie.

Wciąż jeszcze nabuzowana zwróciłam się w stronę Julię. Patrzył na mnie w milczeniu z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Też chciałbyś coś jeszcze powiedzieć? – syknęłam ze złością.

165

– On ma rację. Niczego o mnie nie wiesz – oznajmił cicho. Nie jestem odpowiednim facetem dla ciebie. – Powędrował wzrokiem po mojej obandażowanej ręce, a potem znowu spojrzął mi w oczy. – Powinniśmy dać sobie spokój, nic dobrego z tego nie wyniknie – oznajmił, potrząsając głową.

Gdybym była kotem, to zrobiłabym w tej chwili koci grzbiec i wrogo prychnęła na niego.

– Czy to znaczy, że wszystko, co powiedziałeś w sali komputerowej, to była zwykła gadka-szmatka i wcale mnie nie lubisz?

– Jedno nie ma z drugim nic wspólnego – wykonał krok w moim kierunku, ale zaraz znowu przystanął. Jego twarz zdawała udreknąć. – Oczywiście, że ciebie lubię, Dawn! Tak bardzo, że aż boli, ale...

– W takim razie pozwól mi samej zdecydować o tym, co dla mnie dobre, a co nie! Chyba, że chcesz ze mną zerwać.

Przez dłuższą chwilę zaszokowany patrzył mi prosto w oczy, a potem coś w jego twarzy zmieniło się i nagle skinął głową.

– Tak, właśnie tego chcę. To było nieporozumienie, skończymy tu tutaj. Neal się ucieszy – jego słowa znowu brzmiały jak wcześniej arogancko i opryskliwie.

Miałam wrażenie, jakby wymierzył mi cios prosto w brzuch.

– Nie... nie mówisz tego poważnie... – wyjąkałam zakłopotana.

Ku mojemu przerażeniu przytaknął skinieniem głowy.

– Owszem, jak najbardziej poważnie.

Oczy nabiegły mi łzami. Przekornie zamrugałam, chcąc się ich pozbyć. Nie zacznę teraz ryczeć. Nie tutaj. Nie przed nim.

– Świetnie! – głęboko wciągnęłam powietrze w płuca, dumna z tego, iż głos nie odmówił mi posłuszeństwa. – Czyli pobiliam wszelkie rekordy, jeśli idzie o twoje chodzenie z dziewczynami. Tak szybko nie splawiłeś chyba żadnej.

166

Nie odpowiedział.

Do gardła podchodził mi szloch. Zdławiłam go i fuknęłam:

– Idź do diabła, DuCraine! – zakręciłam się na pięcie i szybko krokiem ruszyłam w kierunku parkingów.

Julien nie pobiegł za mną ani nie krzyknął. W głębi duszy miałam nadzieję, że to uczyni. Nie spojrzalam za siebie. Szloch zmienił się w dławiacą kluchę w gardle, a oczy piekły mnie piorunowo. Dopiero, kiedy zatrzasnęłam drzwi audi, odważyłam się przysiąść przez ramię. Stał nieruchomo w polu drogi między kafetarią a parkingiem i patrzył za mną. Przetarłam dłonią oczy, zapaliłam silnik i pomknęłam jak strzała do domu.

Z piskiem opon wjechałam do garażu. Simon, który stał nad stwartą maską rollsa, na dźwięk zatraskiwanych drzwi, podniósł wzrok. Spojrzął na mnie zaskoczony i rzucił:

– Cześć, Dawn! Jak było w szkole?

W odpowiedzi lekko kiwnęłam głową, burknęłam coś pod nosem i wypadłam stamtąd jak z procy. W domu zignorowałam powitanie Elli, pomaszerowałam od razu na górę do mojego pokoju, padłam na łóżko i ukryłam twarz w kołdrze. Julien zerwał ze mną po tym, jak niemal sama go do tego zmusiłam. Skończona kretyńska!

W drodze do domu zdolałam powstrzymać płacz, ale teraz przy bezradności, rozpacz i wściekłości ciekły mi ciurkiem po twarzy.

Wymierzyłam leżącą na podłodze torbie solidnego kopniaka. Rozległo się łagodne pukanie do drzwi, potem do środka zajrzała Ella. Szybko odwróciłam się do niej plecami i otarłam łzy.

– Proszę, idź sobie – jęknęłam. Nie chciałam z nią rozmawiać. Ani z nią, ani z nikim innym.

Zawahała się, a potem westchnęła smutno.

– Jeśli będziesz mnie potrzebować, jestem na dole, kochanie

– powiedziała i zniknęła.

167

No tak, cudownie. Na dodatek zraniłam również Ellę. To wszystko wina Juliana! Cholerny idiota!

Torba zarobiła następnego kopniaka. Ta cała gadka-szmatka, że mnie lubi, ale nie jest dla mnie dostatecznie dobry – co to do diabła miało oznaczać? Dlaczego nie mógł zachowywać się tak jak pozostali chłopcy w szkole? Dlaczego postąpił w ten sposób? Kanalia bez serca! Wściekła wstałam z łóżka i zaczęłam przemierzać pokój w tę i z powrotem. Ruch w pewien sposób dobrze mi zrobił. Stwierdziłam, że muszę wyjść! Migiem zebrałam stare ciuchy do joggingu, wygrzebałam adidasy, przebrałam się, w biegu chwyciłam jeszcze odtwarzacz MP3 i z hukiem zbiegłam po schodach. Siedząca w pokoju Ella spojrzała na mnie zdumiona, kiedy krzyknęłam: Idę pobiegać! I już mnie nie było. Nastawiłam muzykę na cały regulator i pędem ruszyłam przed siebie. Skręciłam w pierwszą lepszą ścieżkę, która prowadziła przez las. Była z dala od miasta. Nie chciałam nikogo spotkać. Zupełnie nikogo. Potrzebowałam spokoju.

Już po krótkim czasie stwierdziłam, że nie jestem w formie. Mój oddech był zbyt szybki i nierówny, a na dodatek złapała mnie kolka. Poza tym czułam ból w nodze, którą rąbnęłam o równoważnię – oczywiście przez tego idiotę, Juliana. Rozgniewana, z wielką niechęcią zwolełam tempo i przeszłam do szybkiego marszu. Ale nie zawróciłam. Dotarłam do stromej ścieżki, która prowadziła z tego miejsca na szczyt i po chwili wahania skręciłam w nią. Postanowiłam chwilę odpocząć na górze. Miałam nadzieję, że na plateau zdołam poradzić sobie z nieznośnym, tępym ścisłkiem w żołądku, który zdusił motyle.

Ścieżka okazała się bardziej stroma niż sądziłam, a obmyte deszczem korzenie i kamienie sterczały teraz nagie z ziemi. Dobięgszy do jej końca, byłam zdyszana i spocona jak mysz, ale częściowo już wolna od złości i wewnętrznego bólu. Wreszcie stanęłam

na szczycie. Z naprzeciwka dobiegł mnie dźwięk przypominający pukanie dzięcioła, lecz jakby w zwolnionym tempie. Kiedy zorientowałam się, skąd pochodził, było za późno na to, by niepotrzebnie uciec. Na jednej z gładko obmytych deszczem skał siedział Julien i rzucał kamyczkami w drzewo. Parę z nich tkwiło w korze, co wyraźnie świadczyło o tym, z jak wielką siłą i złością zostały rzucone. Reszta spiętrzyła się u stóp drzewa w mały stosik, a zatem musiał oddawać się tej czynności już dłuższą chwilę. Ścisłaczka stał kawałek dalej, po mojej prawej stronie, nieopodal drogi, którą wjechaliśmy tutaj ostatnim razem. W tej samej chwili, kiedy odkryłam jego obecność, odwrócił się w moją stronę. Patrzyliście na siebie nieruchomo, w milczeniu.

– Co tutaj robisz? – zapytałam.

Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu.

– Bez obaw, już sobie idę.

Następny kamień, rzucony z wyjątkową wściekłością, trafił w drzewo i utkwił w nim. Julien, wstając, wytała rękę o dzinsy, a następnie ze spuszczonego wzrokiem ruszył w kierunku ścisłacza. Kiedy przechodził obok, schwyciłam go za ramię.

– Dlaczego? – zapytałam.

Przez sekundę spojrzął na moją dłoń, a potem uwolnił się z uścisku i cofnął o krok.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego ze mną zrywasz, po tym jak zaledwie kilka godzin wcześniej przemogłeś się i postanowiłeś dać nam szansę.

Dłuższą chwilę lustrował mnie bez słowa, a potem ruchem głowy wskazał na moją obandażowaną rękę.

– Jak to się stało?

Oszołomiona zmarszczyłam czoło.

– Co to ma wspólnego z zerwaniem?

– Po prostu odpowiedź na pytanie, Dawn.

– Spadłam z równoważni i skaleczyłam się o wystającą śrubę.
– A dlaczego spadłaś?

Na moment zagryzłam wargi.

– Zdekoncentrowałam się. Usłyszałam, że trener wysłał ciebie i Neala na planse.

Julien kiwnął głową, jakby właśnie potwierdziła jego domysły.

– Proszę, masz odpowiedź na moje pytanie. Zraniłaś się przeze mnie. Raz wystarczy.

– Dobrze wiesz, że to bzdura – energicznie potrząsnęłam głową. – Poza tym najwyraźniej nie jestem ci obojętna, skoro martwisz się o mnie. Jaki jest prawdziwy powód twojej decyzji?

– Już raz ci powiedziałem, moje towarzystwo nie wyjdzie ci na dobre – oznajmił, próbując mnie ominąć i przejść do motocykla.

Zastąpiłam mu drogę.

– A ja już raz tobie powiedziałam, że mam to gdzieś!

– Dawn, to jest niebezpieczne. Ja jestem niebezpieczny – jęknął niemal błagalnym tonem.

Ostrożnie położyłam dłoń na jego piersi.

– Powiedz mi, dlaczego, Julien. Wyjaśnij, dlaczego sądzisz, że mógłbyś być dla mnie niebezpieczny.

Wbił we mnie wzrok i jakby wstrzymał oddech. Trwało to chyba całą wieczność. Potem cofnął się i oświadczył:

– Nie mogę.

– Julienie...

– Nie! Nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Każde kolejne słowo naraziłoby ciebie na coraz większe niebezpieczeństwo. Zatem daruj sobie te prośby – ton jego głosu był bliższy rozpacz niż złości.

– Czyli faktycznie wplątałeś się w jakieś szwindle! A może ktoś depte ci po piętach i zostałeś objęty programem ochrony stadków?

– Wierz w to, co chcesz – odparł opryskliwie, przesuwał się obok mnie.

– Czy dlatego tak szybko zrywałeś z poprzednimi dziewczynkami? – drążyłam temat.

– One nie miały znaczenia – zatrzymał się przed ścisłaczem, ale nie wsiał na niego.

– A ja mam?

Zawahał się.

– Tak – w końcu wymamrotał pod nosem, nie patrząc na mnie.

– To dlaczego chcesz męczyć nas oboje?

Podniósł wzrok, lecz nie odezwał się ani słowem. Sekundy przechodziły w minuty, ciągnąc się niczym flaki z olejem. Wreszcie nie wytrzymałam i zebrałam się na odwagę.

– Kocham cię, Julienie DuCraine. I nie obchodzi mnie, jakie prawa złamałeś albo w jakim bagnie tkwisz po uszy. Chcę być z tobą, niezależnie od tego, czy jest to dla mnie niebezpieczne i jakie problemy ściągnie mi na głowę – wciągnęłam głęboko powietrze w płuca. – Mam nadzieję, że to, co powiedziałam, dotarło do twojej choleralnej łepety.

Patrzył na mnie nieruchomo i w milczeniu. Oddałabym wszystko, żeby w tej chwili móc odczytać jego myśli. Z każdą sekundą czułam narastające mdłości. Zimny podmuch wiatru uderzył o plateau, wzbili w powietrze opadłe liście, zmierzwił włosy Juliana, dmuchnął mi grzywkę na twarz i sprawił, że zaczęłam marznąć w moich przepoczonech rzeczach.

Czoło DuCraine'a przecięła ostra bruzda. Zdjął kurtkę i narucił mi ją na ramiona.

– Jeszcze się przeziębisz.

Prychnęłam gorzko, ale zastępnym w bezruchu, kiedy odgarnął mi z oczu kilka włosków, które wplątały się pomiędzy rzęsy. Przez moment zatrzymał wzrok na moim gardle, a potem błyskawicznie podniósł go i spojrzał mi prosto w oczy. Delikatnie przesunął dłoń w dół policzka, zatrzymał ją z boku szyi. Obserwował mnie w zamyśleniu, przez kilka sekund jakby nasłuchując tylko sobie wiadomych dźwięków. Potem wykrzywił usta w osobiwym uśmiechu.

– Złamałem już mnóstwo praw i wygląda na to, że z twojego powodu złamię jeszcze kilka kolejnych – oznajmił cicho, nie wiedziałam, czy mówi do siebie, czy do mnie. Powiodł dłoń w górę wzdłuż szyi, położył ją na ustach i kciukiem bardzo leciutko musnął moje wargi.

– Kocham cię, Dawn Warden. Ale mogę być z tobą tylko pod warunkiem, że obiecasz mi dwie rzeczy.

Motyły w moim brzuchu ponownie obudziły się do życia, serce zaczęło walić jak szalone i zupełnie zapomniałam o oddechu. Cudem zdołałam skinać głowę.

– Są pewne sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć. Jeśli nie chcesz o czymś mówić, to proszę, nie pytaj, a jeśli powiem, żebyś nie podchodziła za blisko, to spełnij moją prośbę. Bez dyskusji.

Z trudem przekłamałam sline.

– Obiecuj! – szepnęłam, po raz kolejny przytakując skinięciem głowy.

Kiedy jednak chciałam paść mu na szyję, cofnął się energicznie.

– Nie! – podniósł ręce w obronnym geście. – Pozwól mi jeszcze dzisiaj na trochę dystansu, dobrze?

Opuściłam ramiona i mocniej ścisnęłam wokół siebie jego kurtkę, próbując ukryć rozczarowanie. Najwyraźniej z miernym skutkiem, ponieważ ponownie podszedł bliżej i pogłaskała mnie po policzku.

– Jutro, obiecuję – zapewnił i wydawało mi się, że w tonie jego głosu słyszę żal.

W odpowiedzi przymusiłam usta do uśmiechu.

Nieporadnie wyszczerzył zęby.

– Mam cię odwieźć do domu? – zapytał po chwili.

– A nie proponowałeś wycieczki ścigaczem?

Sprawdził, jak wysoko jest słońce na niebie, potem zerknął na zegarek i z ubolewaniem potrząsnął głową.

– Dzisiaj już nie dam rady, Dawn. Muszę się jeszcze z kimś spotkać – musnął wzrokiem moją zabandażowaną rękę. – Ale jutro zaraz po szkole. W porządku?

Uległe skinałam głową.

– Przykro mi, naprawdę – spojrzał wzrokiem zbitego psa, który automatycznie mnie rozśmieszył. Nigdy nie widziałam, żeby patrzył w ten sposób. Lecz chichot ustał, kiedy uświadomiłam sobie, co oznaczałyby takie podwiezienie.

– Nie możesz mnie powtórnie odwieźć do domu – oznajmiłam jakby przestraszonym głosem.

– Dlaczego nie?

– Jeśli Ella albo Simon cię zobaczą, to doniosą o nas wujowi.

– A kim są Ella i Simon? – stanął za moimi plecami i przytrzymał kurtkę tak, abym mogła wsunąć ręce w rękawy.

– Ella to nasza gospodyni, a Simon jest właściwie moim ochroniarzem. Powiedzmy, w tej chwili pełni raczej rolę gospodarza domu oraz szofera – wyjaśniłam, zapinając zamek, a zadanie nie należało do łatwych, ponieważ rękawy sięgały koniuszków palców i była to ciężka, skórzana ramoneska.

– A masz coś przeciwko temu, żebyś podrzucił cię kawałek i wysadził na drodze? – pochyliwszy głowę, podniósł brwi i spojrzał na mnie zza okularów.

Zastanowiłam się. Mój dom stał na samym końcu ulicy, a sąsiadujące z nim budynki były tak bardzo od siebie oddalone, że praktycznie istniało niewielkie prawdopodobieństwo, aby nas zobaczono. Ktoś musiałby wyjeżdżać lub przejeżdżać obok dokładnie w tej samej chwili.

– Nic – oświadczyłam po chwili wahania.

Wyszczerzył do mnie zęby, wskoczył na siodełko, jednym kopniakiem zsunął motocykl z nóżki i ruchem dłoni nakazał mi wsiąść. Wgramoliłam się z tyłu i mocno objęłam go w pasie. Ścigacz jak zwykle z głośnym rykiem obudził się do życia. DuCraine zawrócił na plateau i powolutku zjechał do ulicy. Jednak ledwo skręciliśmy w drogę prowadzącą do miasta, dodał gazu. Moje przerażone piski i fakt, że zacieśniłam uścisk, wywołały uśmiech na jego twarzy, ale ograniczył prędkość. Mimo to idę o zakład, że nadal jechaliśmy za szybko, znacznie przekraczając dopuszczalną prędkość.

Zatrzymał się około stu metrów przed moim domem i pozwolił mi zsiąść. Ukradkiem rozglądałam się na wszystkie strony. Przez chwilę uniósł brew, a kiedy zdejmowałam ramoneskę, wyłączył silnik motocykla. Oddałam mu kurtkę, nasze dłonie musnęły się i poczułam bolesne ukłucie żalu, że dotknięcie trwało tak krótko.

– Widzimy się jutro – obiecał mi i lekko przesunął palcem po moim ramieniu, następnie skinał głową w kierunku wjazdu. – Idź już. Bo następnym razem nie będzie różnicy czy dowiozę cię tutaj czy pod same drzwi! – Ubrał kurtkę.

– Przykro mi – wymamrotałam zdruzgotana.

Julien wyszczerzył zęby i jeszcze raz pogłaskała moje ramię, po czym splótł swoje palce z moimi.

– Zupełnie niepotrzebnie, pomyśl o Romeo i Julii.

Wywróciłam oczami.

– Na końcu oboje zmarli.

Rozchylił wargi w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Nie musimy ich naśladować we wszystkim. A teraz idź!

Opuściłam jego rękę i podreptałam w kierunku wjazdu do naszej posiadłości. Dopiero kiedy skręcałam, usłyszałam za plecami, jak odpala silnik i odjeżdża.

Jeszcze dobrze nie zdążyłam zamknąć za sobą drzwi, a w progu salonu pojawiła się Ella.

– Wszystko w porządku, kochanie? – obrzuciła mnie zatroskanym wzrokiem.

A czy mogłoby nie być? Znowu chodziłam z Julienem! Padłam jej na szyję i mocno przycisnęłam kobietę do siebie.

– Wszystko w porządku – potwierdziłam szczęśliwa. Było mi przykro, że nie mogę jej zdradzić powodu mojej radości. Ella pracowała jednak dla wuja Samuela i gdyby tylko nabrała najmniejszych podejrzeń, że mogę mieć kłopoty przez Juliana, na pewno opowiedziałaby o wszystkim swojemu pracodawcy.

Rzecz jasna nie chciałam ani nie mogłam wечно ukrywać naszego związku, jednak wołałam, aby wuj usłyszał o nim ode mnie. I to dopiero wówczas, kiedy zyskam pewność, że niczego mi nie odmówi.

Moja euforia chyba nieco przeraziła gospodynię, która szybko wycofała się na bezpieczny teren.

– Przygotowałam na dziś wieczór stek ziołowy z serem owczym i prażonymi orzeszkami piniowymi. Jesteś głodna?

Gdybym wcześniej tak bardzo nie lubiła Elli, to musiałabym polubić ją w tym momencie. „Przygotowałam” – dobre sobie! Zatem padnę ze śmiechu! Doskonale wiedziała, że uwielbiam wszystko, co ma związek ze szpinakiem oraz serem owczym i pewnie dlatego zmieniła plany odnośnie do dzisiejszej kolacji.

– Wezmę tylko szybko prysznic i zaraz schodzę – skłębłam głową, ponownie przytulając się do niej i wbiegłam po schodach na górę.

Piętnaście minut później siedziałam już w kuchni w moim jaskrawoniebieskim szlafroku, z ręcznikiem owiniętym wokół mokrych włosów i podawałam Elli talerz do napełnienia. Stół był jeszcze dosyć krwawy, mimo to skonsumowałam go z wielkim apetytem, wprawiając gospozię w lekkie zdumienie, ponieważ do tej pory wolałam dobrze wysmażone mięso. Znacznie bardziej jednak zdziwiło ją to, że ledwo skubnęłam sera owczego. Nie mogłam powiedzieć Elli, że mój żołądek już po pierwszym kęsie zaczął się ostro buntować; z jakiego powodu – Bóg raczy wiedzieć. Wyraz jej twarzy mówił aż nadto wyraźnie, co sądziła o tym, że do steku zaparzyłam sobie filiżankę ulubionej herbaty. Jednak podobnie jak w przypadku bólu zębów, wystarczyło parę łyków, aby usmierzyć dolegliwości. Dzięki temu zdołałam przełknąć nawet połowę nałożonej porcji sera.

Dopiero teraz, podczas posiłku Ella zapytała mnie o rękę. Opowiedziałam o upadku z równoważni, nie zdradziłam jednak prawdziwych przyczyn zdarzenia. Zdołałam nawet przekonać gospozię, że incydent wcale nie był taki poważny i nie musi z tego powodu dzwonić do wujka.

Nie pozwoliła, żebym po kolacji szybko pomogła jej przy zmywaniu, dlatego wróciłam na górę do mojego pokoju. Za propozycję spędzenia wspólnego wieczoru przed telewizorem grzecznie podziękowałam; czekało na mnie jeszcze kilka zadań domowych do odrobienia. Myślałam wciąż jednak przy Julenie...

Ciągle rozpamiętywałam naszą rozmowę na szczycie. „Jestem niebezpieczny” – co chciał przez to powiedzieć? Fakt, obiecałam nie stawiać żadnych pytań, lecz nie dawało mi to spokoju. Potniekąd sam przyznał, że coś zataił. Ale co? Nielegalny interes?

Był pewno! Inaczej nie bałby się powiedzieć mi o tym i wciągnąć mnie w swoje życie. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że Julien ukrywa się przed kimś. A czy może być lepsza kryjówka od takiej dziury jak Ashland Falls? Tylko pytanie: przed kim? Przed policją? Przed jakimiś przestępcami, z którymi wcześniej przestawał? Kiedy uświadomiłam sobie, co też wyspekulowałam, aż potrząsnęłam ze zdumienia głową. Neal miał rację: nie wiedziałam o Julenie prawie nic. Mimo to nie wierzyłam, aby faktycznie mógł być poszukiwany przez policję.

Kiedy jakiś czas później zgasiłam światło i wczułam się do łóżka, przyszła mi do głowy inna myśl: a może Julien pracował dla policji. Albo wcześniej jako tajniak rozpracowywał struktury przestępcze i został zdekonspirowany, dlatego musiał zniknąć. To pasowałoby do jego zapowiedzi, że wkrótce będzie musiał stąd wyjechać. W każdym razie... Czy jednak nie był trochę za młody na taką działalność? Z drugiej strony, fakt faktem, przewyższał nas wiekiem.

Westchnąwszy, opłótłam rękoma poduszkę i zaczęłam obserwować srebrny czworokąt, który wymalowała na podłodze wpadająca przez okno poświata księżycy. Tylko od Juliana mogłabym dowiedzieć się prawdy, byłam jednak pewna, że w najbliższym czasie nie zamierzam jej wyjawić. A ja nie złamię danej obietnicy i nie będę zadawać pytań, nawet jeśli przyjdzie mi to z wielkim trudem. Z tą myślą zasnąłam.

Podobnie jak poprzedniej nocy śniłam o Julenie.



Nastuchiwał i czekał w całkowitym bezruchu. Drzwi pubu otworzyły się, wyszła z nich jakaś parka, a za nią młody człowiek. Mężczyzna już na pierwszym stopniu schodów zapalił papierosa, za-

ciągnął się głęboko, wydmuchwał dym prosto w nocne niebo, następnie skierował swoje kroki w lewo, w stronę parkingu za Mallem.

Po chwili wahania wynurzył się z cienia naprzeciwległego budynku i bezszelestnie ruszył za nim. Na parkingu stało zaledwie parę samochodów. Cały teren oświetlały dwie uliczne latarnie otoczone małymi klombami, w których rosła wysuszone trawa. Młody mężczyzna szedł w stronę ciemnego buicka.

Przyspieszył kroku i dopadł go, kiedy tamten otwierał drzwi wozu. Przestraszony chłopak, czując czyjąś dłoń na swoich plecach, gwałtownie obrócił się. Nie musiał stosować przemocy, żeby przywrócić gościa plecami do boku samochodu.

– Czego...? – odezwał się zaatakowany, kiedy jednak spojrział mu prosto w oczy, mężczyzna umilkł, stęknąwszy cicho. Uniesione w obronnym geście ręce, zawisły w pół drogi i opadły. Kluczyk z brzękiem uderzył o asfalt.

W jego górnej szczęce obudził się ów bliżej nieokreślony, znajomy ból. Odsunął na bok kołnierzyk mężczyzny, odsłonił jego szyję i zatopił zęby w tętnicy. Pił powoli, niespiesznie, zachowując jednak czujność i napięte myśli. Nieopodal stróż nocny robił obchód. Ofiara zaczęła powoli zsnuwać się po drzwiach wozu i o mało nie upadła na ziemię, dlatego mocno przytrzymał chłopaka za ramiona. W oddali rozległy się kroki. Były coraz bliższe. Rozpoznał stukot obcasów. Ostrożnie odsunął usta od szyi młodego mężczyzny i oblatwał dwie małe, okolone czerwienią dziurki, które pozostawiły jego zęby. Zasklepiły się niemal natychmiast. Kroki słychać było coraz bliżej. Kobieta szła nerwowo. Miał wrażenie, że czuje jej strach. Trzymając dłoń na piersi ofiary otworzył drzwi samochodu i pozwolił młodemu mężczyźnie osunąć się na siedzenie. Potem schylił się po kluczyk i wsadził go do stacyjki. Kroki były tuż tuż. Wsunął się z wnętrza buicka, wyprostował, zamknął drzwi i jednocześnie obrócił. W tej samej sekundzie kobieta zauważyła go i stanęła jak wryta. Powiodła

warokiem po nim, a następnie po samochodzie, przed którym stał; na kierownicy rozpoznała kontury na wprost przegarbionej postaci, potem znowu skierowała spojrzenie na jego twarz. Cała jej postawa wyraźnie świadczyła o tym, że najchętniej obróciłaby się na pięcie i dała drapak. Gdyby postanowił ruszyć za nią, nie miała jednak najmniejszych szans. W takich butach nie mogłaby daleko uciec. Obwiała, sięgająca kolan spódnicą, stanowiącą część jej granatowego konturu, bynajmniej również nie ułatwiała zadania.

Powoli odsunął się od drzwi samochodu.

– Przepraszam panią, ma pani może telefon komórkowy? Przyjaciel źle się czuje, a w mojej komórce akurat wyczerpała się bateria. Mogłaby pani pożyczyć mi swoją?

Natychmiast rozluźniła się nieco.

– Tak, oczywiście. A w czym problem?

Nie czekając na odpowiedź, otworzyła torebkę. Kiedy opuściła warok, żeby poszukać telefonu, wyrósł tuż przy niej. Sapnęła przemaszona, cofnęła się i zdumiona spojrzała mu prosto w oczy. Torebka wypadła jej z ręki. Zaciągnął kobietę w cień buicka, odgarnął jej podługie włosy i przyłożył usta do szyi. Znowu poczuł ten niejasny, znajomy ból towarzyszący wydłużaniu się kłobu, który minął, skoro tylko zatopił zęby w skórę. Krew wypełniła mu usta. Smakowała bardziej delikatnie niż ta młodego mężczyzny. Pił spokojnie i ostrożnie. Westchnęła cicho, niemal błogo. Jej głowa opadła nieco na bok. Trzymał ją mocno, dopóki nie zaspokoił pragnienia, potem znowu oblatwał ranę. Kobieta zawisła ciężko na jego ramieniu. Nie wypuszczając jej z rąk, poszukał w torebce kluczyka do samochodu. Tak jak naklecił, wóz miał alarm na podczerwień. Przycisnął guziczek w pilocie, stojące w pobliżu, ciemne volvo odpowiedziało mruganiem. Bez trudu wziął kobietę na ręce i zanosił do wozu, potem – podobnie jak poprzedniej ofierze – pozwolił jej bezwładnie opaść na siedzeniu kierowcy i wsadził kluczyk do stacyjki. Zamykając drzwi samochodu,

baczenie rozejrzała się wkoło. Nikt go nie obserwował. Spokojnie opuścił parking, po czym zniknął w mroku.

Dwie ofiary jednej nocy – to było wbrew prawu. Ale co mu tam.

180

Romeo i Julia

Kiedy następnego dnia rano budzik wyrwał mnie ze snu, za oknem panowała posępna szarówka. Wiszące na niebie ciężkie, ciemne chmury zapowiadały obfite opady deszczu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że po szkole trochę się przejaśni i obiecana wykładka motocyklowa z Julienem nie okaże się palcem na wodzie pisana – dosłownie.

Tym razem poranna toaleta zajęła mi znacznie więcej czasu niż zwykle. Jeśli człowiek może używać tylko jednej ręki, to ma naprawdę utrudnione zadanie. Dlatego znowu zdążyłam jedynie wyłopać filiżankę herbaty, na co Ella z dezaprobatą pokiwała głową. Posłałam jej błagający o przebaczenie uśmiech i wypadłam z domu jak burza.

Kiedy wjechałam na szkolny parking, zaczęło mżyć. O dziwo znalazłam wolne miejsce całkiem niedaleko wejścia i dzięki temu dotarłam do budynku w miarę sucha. Przystanąłam pod zadaszaniem i jeszcze raz rozejrzałam się po parkingu. Na tyle, na ile zdołałam ogarnąć wzrokiem pobliski teren, nie było widać śladzicza Juliana. Najwyraźniej jeszcze nie przyjechał. Spojrzałam w niebo. Nadciągało coraz więcej chmur. Jeśli się nie pospieszy, smoknie jak kura.

181

Po drodze do szafek towarzyszyły mi szepty i zazdrosne spojrzenia. Widocznie nasze gimnazjum jeszcze nie przeboleło faktu, że chodzę z DuCraine'm. Próbowałam zignorować tę nieprzyjemną popularność. Zostawiłam część książek w szafce i zamknęłam drzwiczki. W tej samej chwili jak spod ziemi wyrosła przede mną Cynthia wraz ze swoją świtą. Zmierzyła mnie z góry na dół pogardliwym spojrzeniem, a potem oparła rękę o jedną z szafek i pochyliła się w moją stronę.

– Wierz mi, rzuci cię równie szybko jak wszystkie twoje poprzedniczki – oznajmiła z szyderczym uśmiechem na ustach.

– Lepiej pilnuj swojego nosa! – fuknęłam, przewieszając torbę przez ramię.

Znowu spojrzała na mnie lekceważąco.

– Założyłyśmy się, Dawn! Monica sądzi, że po trzech dniach będzie miał ciebie dosyć. Moim zdaniem wytrzyma góra dwa. Jak uważasz, która z nas ma rację?

Zacisnęłam dłoń w pięść.

– Żadna.

– Na pewno? – Cyn posłała mi niewinne spojrzenie.

– Absolutnie! – ryknął jakiś głos i w tej samej sekundzie mocne ramiona w ciemnej ramonesce spoczęły na moich barkach.

Cynthia zrobiła krok do tyłu.

– Julien...

Wyglądała na tak bardzo zaskoczoną, jakby nagle wyłonił się z niebytu.

Spojrzałam za siebie. W jego włosach błyszczały krople deszczu. Miałam wrażenie, że dostrzegam oczy za przyciemnionymi okularami. Na widok TEGO uśmiechu nogi ugięły się pod mną. Julien wyglądał absolutnie powalająco. Ogarnął mnie czułym uściskiem i przyciągnął do siebie. Jeszcze bardziej przytuliłam się do jego piersi i popatrzyłam na Cynthię.

182

– Słyszysz?

– Zobaczymy – zmierzyła mnie jadowitym spojrzeniem, którym pocztowała również Juliana, odwróciła się na pięcie i odešla jak niepyszna.

– Zazdrosna koza – burknęłam za nią.

Zaśmiał się cicho.

– Ojjoj, cóż to za ton, *ma demoiselle*¹⁾ – drwiąco szepnęła mi do ucha.

Oparta o jego ramię odchyliłam się nieco w bok, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Zaprzeczysz?

Wyszczerzył zęby.

– Bynajmniej – jego twarz złagodniała, a głos przybrał aksamienny ton. – Dzień dobry!

Odebrało mi mowę.

– Dzień dobry – wydukałam po chwili.

Położyłam dłonie na jego ramionach i chrząknęłam.

– Żadnego dystansu więcej? – odważyłam się zapytać.

Przyciągnął mnie mocniej do siebie.

– Żadnego dystansu więcej – potwierdził i z wielkim trudem oparłam się pokusie, żeby go nie pocałować. Nie chciałam jednak dostarczać gapiom kolejnych powodów do plotek. Julien najwyraźniej był tego samego zdania, ponieważ rozchylił usta w uśmiechu i powoli wypuścił mnie z objęć.

Kiedy się obróciłam, ujrzałam Neala. Stał naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza i piorunował nas wzrokiem.

W ciągu kilku następnych godzin stwierdziłam ze zdumieniem, że również paru innych chłopaków, których dotychczas łączyłam do grona bliskich znajomych, nieoczywiście zareagowa-

¹⁾ Fr. *mademoiselle* [wym. madmuazel] we Francji: panna. Etym. od *ma demoiselle* – moja panna. (przyp. tłum.)

183

ło na Juliana. Może nie okazwali tak jawnej wrogości jak Neal, ale wyraźnie dawali do zrozumienia, że nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Susan wprawdzie nieufnie trzymała się z boku, nie wyglądała jednak na zupełnie neutralną i raczej podzielała opinię większości. Czułam okropną bezradność. Julien zdawał sobie z tego sprawę, co jeszcze bardziej mnie dobijało. Jedyłą osobą, która nie miała nic przeciwko mojemu związkowi, była Beth. Padła mi na szyję z radością oświadczając, że wiedziała, iż doskonale do siebie pasujemy.

Mimo powściągliwej postawy moich „przyjaciół” byłam nieźmiernie szczęśliwa. Cieszyłam się każdą sekundą spędzoną w towarzystwie Juliana. Kiedy roztawaliśmy się przed początkiem lekcji, już niecierpliwie odliczałam minuty do jej końca, ponieważ wiedziałam, że wtedy znowu będzie czekał przed drzwiami. W trakcie przerw zwykle otaczał mnie ramieniem albo stałam oparta plecami o jego pierś. Wbrew swojemu zwyczajowi towarzyszył mi nawet podczas obiadu w szkolnej kafeterii, ponieważ nie chciałam, abym została sama z „tymi hienami”, jak nazywał Cynthia i parę innych dziewczyn z naszego rocznika.

Jednak odrobina apetytu, jaką jeszcze miałam, przeszła mi zupełnie, kiedy zobaczyłam wzrok Neala. Siedział razem z całą paczką. Ruszyliśmy z Julienem w ich stronę, a wtedy przerwał rozmowę z Mike’em i Tyler’em. Przez moment zawahałam się i pewnie zaczęłabym szukać innego stolika, gdyby Beth nie pomachała w naszym kierunku i nie przesunęła się kawalek, dając do zrozumienia, że robi dla mnie miejsce. Kiedy dotarliśmy do nich, Neal ostantacyjnie wstał i wyszedł. Poczulałam, że policzki nabiegły mi krwią, i ukradkiem zerknęłam na Juliana. Jego mina była tak totalnie niewzruszona, iż nie mogłam odgadnąć, co sądzi o zachowaniu Neala.

184

Ale nie tylko ja dostałam wypieków, twarz Beth również płonęła, a Susan nie śmiała podnieść na mnie wzroku. Mike i Tyler chrząkali nieswojo. Usiedliśmy w milczeniu. Dłoń Juliana musnęła moją rękę. Nie byłam pewna, czy uczynił to celowo, czy też przypadkiem, dopóki na niego nie spojrzałam. Maleńki, nieustępliwy uśmiech na ustach mówił sam za siebie. W jednej sekundzie zachowanie paczki przestało mnie interesować. Julien był tutaj i to absolutnie mi wystarczało.

Mimo bohaterskich wysiłków ze strony Beth zmierzających do przerwania milczenia oraz aktywnej pomocy Susan, która – jak przypuszczałam – działała powodowana wyrzutami sumienia, nie zawiązała się żadna konkretna rozmowa. Dodatkowo cała sytuacja niekorzystnie wpłynęła na mój żołądek i ten już po kilku kęsach odmówił posłuszeństwa. Kiedy więc Julien uniósł brew w niemym pytaniu, wymownie spoglądając ku drzwiom, skinęłam głową. Pozostawiliśmy ich samym sobie i odnieśliśmy nasze tace. Przypadkiem rzuciłam okiem na talerz Juliana. Nie wiedziałam, że można tak zmasakrować kanapkę, i to nie tknąwszy ani kęsa.

Przez resztę lekcji unikałam towarzystwa Neala. Na szczęście ładne z nas nie miało z nim po południu wspólnych zajęć. Byłabym w stanie jakoś zdzierżyć fakt, że co rusz piorunował mnie wzrokiem, ale na samą myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby choć krzywo spojrzął na Juliana, czułam lekki strach.

Po ostatniej lekcji ruszyliśmy razem w kierunku parkingu. Kiedy usłyszałam, że ktoś za plecami woła moje nazwisko, przystanęłam i obejrzałam się. Julien uczynił to samo. Za nami biegła Susan. Deszcz ustąpił miejsca lekkiej mżawce, jednak chmury wyraźnie nie były zainteresowane rozproszeniem się. Wokół panował spory ruch, wszyscy pędzili co tchu do swoich samochodów. W końcu Susan dogoniła nas.

185

– Dawn, mogę z tobą porozmawiać? Na osobności – poprosiła zdyszana, usiłując nie patrzeć na Juliana.

Zdumiona skierowałam wzrok najpierw na nią, a potem na mojego towarzysza. Na moment uniósł brew, po czym skinął głową.

– Poczekam przy twoim wozie. Do zobaczyska, Susan!

Odprowadziła go wzrokiem, dopóki się nie oddalił, następnie zaczęła wyraźnie zakłopotana:

– Chodzi o piątek...

Susan chciała w piątek wyprawić zaległe urodziny. Zaprosiła całą paczkę, mnie również. Mielśmy iść do kina, a potem coś zjeść.

Czekałam w milczeniu.

Chrząknęła niezręcznie.

– Parę osób nie chce, żebyś przyprowadziła Juliana – powiedziała prosto z mostu.

Na moment totalnie mnie zatkało.

– Oczywiście ty nadal jesteś zaproszona – dodała szybko, kiedy zbyt długo nie odpowiadałam.

– Czy PARĘ INNYCH OSÓB ma również nazwiska? – zapytałam w końcu.

Zważywszy to, w jaki sposób moi „przyjaciele” potraktowali dzisiaj Juliana, nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby zaproponować mu udział w piątkowej imprezie i zmuszać do tego, aby ze względu na mnie znośli ich żenujące zachowanie. Jednak słysząc, że NIE CHCA go widzieć w swoim towarzystwie, po prostu wpadłam w furję.

Susan wzięła się jak piskorz.

– Dawn, zrozum... Neal jest jednym z moich najstarszych przyjaciół.

186

– Kazał ci wybrać: albo on albo Julien, tak? – obruszyłam się, a potem kategorycznie potrząsnęłam głową i oświadczyłam – Przyjdź z Julienem albo wcale.

– Dawn, proszę...

– W takim razie zapomnij. Bawcie się dobrze w piątek! Naraka, Susan! – zrobiłam gwałtowny zwrot do tyłu i pomaszerowałam do audi.

Julien stał oparty o błotnik. Na mój widok odepchnął się i ruszył naprzeciw.

– Wszystko w porządku? – zapytał w napięciu i spojrzął na Susan, która wciąż tkwiła w tym samym miejscu.

– Tak – próbowałam nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem wściekła. Najwyraźniej bez powodzenia.

– Czyżby? – chwycił mnie mocno za ramię, jakbym miała uciec, i badawczo przyjrzał się mojej twarzy.

– Tak! – Nie patrząc na niego, uwolniłam się z uścisku.

Zlustrował mnie sceptycznie.

– Na pewno?

Zaciskając dłoń w pięści, odwróciłam się w jego stronę.

– A może wyjątkowo raz ty nie zadawałbyś pytań? – fuknęłam.

Podniósł ręce w obronnym geście i cofnął się o krok. Natychmiast pożałowałam swojego wybuchu złości.

– Przepraszam.

Wzruszył ramionami, wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Już w porządku. Gdybym był na twoim miejscu, też miałbym zjechane nerwy – chwycił moją dłoń i przyciągnął mnie bliżej. – Co mogę zrobić, żebyś trochę się odprężyła?

Splótłszy palce z palcami Juliana, oparłam się o niego i zamknęłam oczy.

187

– Zabierz mnie stąd. Pojedźmy na wycieczkę, tak jak obiecałeś.

Poczułam poruszenie jego ciała. Spojrzał w szare, deszczowe niebo, a następnie potrząsnął głową.

– Lepiej, jeśli dzisiaj sobie odpuścimy. Pewnie zmoklibyśmy do suchej nitki jeszcze przed opuszczeniem miasta.

Westchnęłam zrezygnowana. Julien odsunął mnie lekko od siebie, aby spojrzeć w moje oczy.

– Zrobimy sobie wycieczkę, jak tylko pogoda trochę się poprawi – oświadczył z uroczystą powagą w głosie.

Na spełnienie tej obietnicy musiałam czekać dwa dni, bo wyglądało na to, że pogoda, podobnie jak moi przyjaciele, sprzyściła się przeciwko nam. Lało jak z cebra. A jeśli z chmur nie spadały ciężkie krople, to akurat mżyło. Krótkie chwile, kiedy ołowiana, szara powłoka rozrywała się i pozwalała wychynąć słońcu, można było bez trudu zliczyć na palcach obu rąk.

Każdą wolną minutę spędzałam z Julienem. Zrezygnowaliśmy z dalszych wspólnych wypadów do kafeerii¹², naszym azylem był teraz szachowy kąciak w bibliotece. Zawyczał wbrew przepisom przemyczał ze sobą lemoniadę i jakiś baton czekoladowy, ponieważ Julien nalegał, bym w porze obiadu również coś przekąsiła. Po szkole wpadałam do domu, przebierałam się i wyjeżdżałam do starej posiadłości.

Kiedy mżyło albo panowała sprzyjająca aura, siedzieliśmy na werandzie, zwróciwszy twarz w stronę jeziora, rozkoszując się swoją bliskością, a słońce, które od czasu do czasu wyzierało zza chmury, zamieniało świat w bajkowy krajobraz utkany z mgły oraz światła. Natomiast w chłodne lub mroźne dni zaszywałam się w salonie przed kominkiem, w którym Julien każdorazowo rozpałał ogień, i wtuleni w siebie leżeliśmy na poduszkach. Podczas wspólnego odrabiania zadań domowych ku własnemu przerażeniu stwier-

dziłam, że Julien jest takim samym geniuszem matematycznym jak Neal, różnił ich tylko punkt wyjścia. Dla Neala matematyka składała się z logiki i faktów, była w pełni policzalna i możliwa do ueludnienia, zaś Julien utożsamiał liczbę z harmonią i muzyką, resztą sam całym ciałem i duszą był muzykiem!

Kiedy po raz pierwszy poprosiłam go o to, żeby zagrał dla mnie na skrzypcach, próbował wykręcić się sianem. Po długich naleganiach w końcu jednak ustąpił. A potem za każdym razem było już coraz łatwiej. Nigdy nie przypuszczałam, że można zupełnie zatracić się w dźwiękach. To było jak magia! Czas stawał w miejscu, a ja tonęłam w muzyce. Nie znałam ani jednego utworu, który wykonywał, a kiedy pytałam o ich kompozytorów, przychylał lekceważąco. Wtedy uświadomiłam sobie, że sam je napisał. Wyjaśnił mi, że to „tylko” improwizacje i że grał melodię, która w danej chwili właśnie przyszła mu na myśl. Po tym wyznaniu mogłam przyznać rację jego matce, ojciec Julienu musiał uczyć się gry na skrzypcach u samego diabła i najwyraźniej przekazał swój talent synowi.

Nocami dalej śniłam o Julienie, ale nie stawał już u podnóża mojego łóżka, ani nie siadywał na jego brzegu, patrząc z góry, lecz kładł się obok i brał mnie w ramiona. Po przebudzeniu pokój był pusty i nic nie wskazywało na to, że owe wizje są czymś więcej niż tylko snem, chociaż z całego serca pragnęłam ich ziszczania. Ale gdyby nawet próbował przyjść do mnie nocą, to przecież mieliśmy w domu system alarmowy... Odkład zaczęłam śnić o Julienie, przestały mnie jednak dręczyć koszmary.

Dwa dni później, krótko po przerwie obiadowej, niebo nagle pokłóło i słońce zalało świat złotym strumieniem. Kiedy po następnej lekcji Julien stanął w drzwiach sali i lekko przechyliwszy głowę, spojrzał na mnie, nie musiał już o nic pytać. Postanowiliśmy

wyruszyć zaraz po szkole. Pożyczyłam od niego komórkę, bo własnej zapomniałam – zresztą nie po raz pierwszy, pewnie jak zwykle została w innej kurtce – zadzwoniłam do Elli i oznajmiłam, że nie wrócę do domu, ponieważ zamierzam spędzić popołudnie z przyjaciółmi. Chcemy wykorzystać piękną pogodę i zrobić mały wypad za miasto. Była do tego stopnia zaskoczona, że w pierwszej chwili wydukała tylko:

– Tak, oczywiście...

Nie dałam jej nawet czasu pozbierać myśli, lecz życząc miłego popołudnia, zakończyłam rozmowę.

Ostatnie lekcje ciągnęły się jak flaki z olejem. Jednak nawet Susan swoim pytaniem, czy nie chciałabym jeszcze raz przemysleć kwestii piątkowej imprezy, nie zdołała mi zepsuć dobrego humoru.

Po szkole pojechalśmy do starej posiadłości. Jak zwykle zaparkowałam audi kawałek dalej, w bocznej uliczce. Nawet jeśli do domu prowadziła tylko jedna droga dojazdowa i był on ukryty za drzewami, to wciąż bałam się, że jakiś przypadkowy spacerowicz mógłby rozpoznać mój samochód i donieść o tym Elli, Simonowi albo – o zgrozo – samemu wujowi.

Zostawiłam torbę wozie, tymczasem Julien pojechał wypakować podręczniki i zabrać ze sobą jakiś koc na wypadek, gdyby po drodze nasza nas ochota na krótki odpoczynek.

Nie przebyłam nawet połowy drogi do posiadłości, kiedy wyjechał mi naprzeciw. Tym razem z zestawem słuchawek przywiózł również kask. Wgramoliłam się na siodełko, objęłam Julienu w pasie i przywarłam doń całym ciałem. Wkrótce zostawiliśmy za sobą Ashland Falls i ruszyliśmy w kierunku Parku Stanowego Baxter¹³. Jadąc autostradą, tylko od czasu do czasu wyprzedzaliśmy jakiegoś tira. Julien dotrzymał słowa i nie pędził jak zwykle na złamanie karku. Mimo to drzewa po obu stronach drogi

¹³ Rezerwat przyrody w stanie Maine. (przyp. tłum.)

nie były obok nas, zamieniając jesiennie listowie w fascynującą grę kolorów: czerwieni, pomarańczy, złota i miedzi. W oddali Mount Kathadin¹⁴ wyciągał z lasów ku niebieskiemu niebu swój szary szczyt.

Jeszcze dobry kawałek przed granicami Parku Stanowego Baxter opuściliśmy w końcu autostradę i skręciliśmy w leśną drogę prowadzącą wzdłuż rzeki Penobscot. Sunęliśmy nią dłuższą chwilę, Julien jechał teraz bardzo powoli, ostrożnie omijając wyrwy w nawierzchni.

W pewnym momencie zauważyliśmy małą zatoczkę. Szczęście mówiąc, był to jedynie skrawek żwirkowej plaży rozciągający się u podnóża wysokich na niecały metr zarośli i okolony przez drzewa. Niemniej jednak miejsce wyglądało na cudowny, ustronny i cichy zakątek. Wystarczyły dwa słowa: „Spójrz tylko!”, aby kłamka zapadła. Postanowiliśmy, że właśnie tutaj zrobimy sobie krótki postój. Słońce wysuszyło i ogrzało żwir, tak więc spokojnie rozłożyłam koc. W tym czasie mój towarzysz szukał powyżej zarośli kawałka twardego, równego gruntu, gdzie mógłby postawić motocykl. Ze względu na oczy Julienu oraz moją alergię słoneczną wybrałam miejsce w cieniu rozłożystej korony. Właśnie odwróciłam się, kiedy z typową dla siebie gibkością przeskoczył kizaki i podszedł do mnie. Żwir prawie nie zgrzytał pod jego stopami. Wziął mnie w ramiona, a ja przytuliłam się do jego torsu. Stał się tak dłuższą chwilę, obserwując, jak słońce połyskuje na falach rzeki. Następnie Julien zdjął kurtkę, zmiął ją, aby mogła posłużyć za poduszkę i wygodnie wyciągnął całe ciało na kocu. Przymiadał obok niego. Przez kilka minut patrzyłam jeszcze na fale, a potem również położyłam się i oparłam głowę na jego pierś. Moje palce jakby bezwiednie wyszukały jego palce i splotyły się

¹⁴ Góra Kathadin (1.606 m. n.p.m.) jest najwyższym szczytem w stanie Maine oraz główną atrakcją Parku Stanowego Baxter. (przyp. tłum.)

z nimi, a jego dłoń spoczęła na moim karku i zaczęła go delikatnie głaskać. Gdybym tylko mogła, najchętniej zatrzymałabym czas. Lecz nie mogłam, dlatego nie pozostało mi nic innego, jak rozkoszować się każdą sekundą spędzoną w towarzystwie ukochanego.

Julien leżał tak cicho, że w pewnej chwili odwróciłam głowę, żeby sprawdzić, czy aby nie zasnął. Nic z tych rzeczy. Ospale śle dził wzrokiem wędrujące po niebie chmury. W kącikach jego ust zadrgały mały uśmiech. Jeszcze mocniej przycisnął mnie do siebie, a potem znowu odprężył ciało. Wtuliłam się głębiej w jego ramię i zamknęłam powieki. Szum wody i szelest liści nad naszymi głowami działały niesamowicie uspokajająco.

Głośne śmiechy i krzyki, które rozległy się jakiś czas później, zmusiły mnie do otwarcia oczu. Julien burknął coś pod nosem, ale ani drgnął. Trzy sunące po rzece kajaki miały właśnie zatoczyć. Siedzący w nich młodzi ludzie musieli być w naszym wieku. Skoro tylko nas zauważyli, zaczęli krzyczeć i wymachiwać rękoma. Podniosłam dłoń i odmachalam. Chłopak w drugim kajaku krzyknął coś, lecz nie zrozumiałam ani słowa. Popłynęli dalej. Znowu zaległa kojąca cisza.

Powiodłam za nimi wzrokiem. Nagle zadałam sobie pytanie co też Susan, Beth i cała reszta zaplanowali na dziś wieczór. Szybko jednak zreflektowałam się i zła na samą siebie próbowałam usunąć z głowy natrętną myśl. W końcu usiadłam, wbiłam spojrzenie w jakiś punkt ponad rzeką i nieświadomie zaczęłam bawić się strupem na dłoni. Julien kuksnął mnie lekko.

– Zostaw to, bo znowu zaczniesz krwawić – fuknął cicho, nie otwierając oczu.

Wykrzywiłam usta w grymasie, ale odsunęłam rękę. Moim zdaniem to wszystko łącznie z opatrunkiem wyglądało znacznie bardziej poważnie niż faktycznie było. Dzisiaj rano zrezygnowałam nawet z użycia plastra. Nie chciałam jednak, żeby na konie

Julien znowu dostał mdłości. Wiedziałam przecież, że nie znosił widoku krwi.

Jego dłoń delikatnie muskała moje plecy, wędrując w górę i w dół. Rozkoszowałam się tą pieśczętą, a zarazem walczyłam z towarzyszącą mi od dwóch dni złością, którą czułam na samą myśl o Susan i Nealu.

– Co się dzieje, Dawn?

Pytanie wyrwało mnie z zadumy. Dotyk nagle zniknął. Julien wsparł się na łokciu i położył głowę na dłoni.

– Nic – unikałam jego wzroku, dalej patrząc ponad rzeką.

– Powinnaś jeszcze trochę poćwiczyć kłamanie – w tonie jego głosu pobrzmiwał stłumiony śmiech, a zarazem troska. – Zatem, co się dzieje? Już od paru dni błądzisz myślami gdzieś daleko. Czyby wuj zapowiedział wizytę?

W poczuciu winy zagryzłam wargi. Miałam nadzieję, że tego nie zauważy.

– W takim razie co jest? Chcesz zerwać i nie wiesz, jak mi o tym powiedzieć?

Gwałtownie spojrzałam na niego.

– Oczywiście, że nie!

Pochylił głowę i czekał. Zdążyłam poznać Juliana na tyle, żeby wiedzieć, iż będzie nalegał tak długo, dopóki nie wyjaśnię, w czym rzecz. Dlatego opowiedziałam o rozmowie z Susan sprzed dwóch dni, o zaproszeniu na urodziny i tym, że solenizantka stanowczo nie chce GO tam widzieć. Jeszcze dobrze nie skończyłam relacji, a już odwrócił się po kurtkę i z kieszeni wyciągnął komórkę – jeden z tych bajeranckich gadżetów z klapką – po czym podał mi ją, żądając:

– Zadzwoń do niej! Powiedz, że przyjdiesz!

– Co?! Nie! – kategorycznie potrząsnęłam głową. – Bez ciebie tam nie pójdę!

– Owszem, pójdziesz! – telefon wylądował na moich kolanach, a Julien zaczął ubierać ramoneskę.

– Nawet o tym nie myślę! – oznajmiłam z uporem, skrzyżnawszy ręce na piersiach.

Westchnął przesadnie głośno, ukląkł obok, wyciągnął mi rękę spod ramion, tak aby mógł je ująć w dłonie.

– Dawn, wiesz, że kiedyś będę musiał wyjechać...

Natychmiast poczułam guł w gardle.

– A kiedy już nadejdzie ten dzień, to chciałbym, żebyś miała przyjaciół i nie czuła się zupełnie opuszczona.

Wbiłam wzrok w ziemię. Julian delikatnie uniośł moją brodę i spojrzął mi w oczy.

– Jeśli Neal i Susan nie życzą sobie mojego towarzystwa, to w porządku – lekceważąco wzruszył ramionami. – Dla mnie to bez znaczenia. Ale chcę, żebyś ty tam była. A to już nie jest dla mnie bez znaczenia. Dlatego teraz zadzwonisz do Susan i powiesz jej, że przyjdiesz. Proszę.

Pewnie oponowałabym dalej, gdyby nie to ostatnie „proszę”. Chcąc nie chcąc sięgnęłam zatem po komórkę.

– Naprawdę jest Ok? – zapytałam jeszcze raz, zanim otworzyłam klapkę.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Tak – zapewnił, a następnie przegonił mnie z koca, który zamierzał zwinąć.

Zeszłam mu z drogi i wystukałam numer Susan. Po wielu dzwoniach w końcu zgłosiła się poczta głosowa. Potraktowałam to jako znak od losu i przerwałam połączenie, jednak Julien powiedział mi na migi, że mam zostawić wiadomość i zapytać kiedy, o której i gdzie spotka się z całą ekipą oraz poinformować, że jestem osiągalna pod jego numerem. Zrobiłam tak, jak chciałam,

otraktowałam grzecznie numer jego komórki, a następnie rozłączyłam się.

Wólniej nie pozostawało mi nic innego, jak oddać telefon ponownie wgramolić się na siedelko. Chociaż również tym razem nie pędził jak szalony, powrót zajął nam znacznie mniej czasu niż dojazd do zatoczki. Kiedy wysiadłam obok audi, horyzont zasłaniał już barwien na czerwono. Susan jeszcze nie oddzwoniła. Julien obiecał, że w razie czego przekaże jej, iż jestem osiągalna pod własnym numerem, za to musiałam złożyć solenne przyrzeczenie, że jeśli przyjaciółka nie odezwie się w ciągu najbliższych dwóch godzin, wówczas dam mu znać i sam zadba o to, abym mimo wszystko mile spędziła dzisiejszy wieczór.

Przez krótką chwilę przytrzymałam jeszcze moją dłoń. W biały dzień nie odważyliśmy się na więcej. Potem wsiadłam do samochodu. Jak zwykle odczekał, aż uruchomię silnik i dopiero wtedy zobaczyłam we wstecznym lusterku – że odjechał.

Ella była zdumiona, że tak szybko wróciłam z wycieczki z przyjaciółmi, zapytała stroskana, czy wszystko w porządku i czy ma zrobić mi coś do zjedzenia. Kiedy wyjaśniłam, że tylko przebiłorę się i zaraz znowu wychodzę, wyraźnie się uspokoiła i życzała mi miłego wieczoru, wróciła przed telewizor.

W moim pokoju natychmiast zabrałam się za szukanie komórki. Tak jak myślałam, była w innej kurtce. Susan faktycznie dzwoniła i zostawiła wiadomość. Strasznie się ucieszyła na wieść o tym, że jednak przyjdę; miałam być o ósmej w *Ruthvens*. Rzut oka na zegarek uzmysłowił mi, że dwudziesta minęła dokładnie pół godziny temu! Spróbowałam ponownie złapać przyjaciółkę pod telefonem, lecz bez skutku. Pewnie w knajpie nie było zasięgu. Przez chwilę rozważałam, czy nie lepiej po prostu zadzwonić do Juliana i spędzić wieczór wspólnie z nim, ale potem zdecydowałam, że przynajmniej pojedę do *Ruthvens* i zobaczę, czy nie

spotkam tam paczki. Jeśli ich nie znajdę, to w drodze powrotnej zawsze mogę zahaczyć o posiadłość.

Idąc do łazienki przypominałam sobie, że Julien ostrzegł mnie, abym trzymała się z dala od tego klubu. Zawahałam się. Czy mam go poinformować, gdzie Susan wyznaczyła spotkanie?

Szybko odpędziłam od siebie tę myśl. Bo niby co złego może mnie spotkać? Przecież będą tam Susan, Beth, Neal, Ron, Tyler, Mike i jeszcze paru innych znajomych. Poza tym *Ruthvens* zawsze pękało w szwach. Owszem, nie leżało w najciekawszej okolicy, ale nigdy nie słyszałam o poważniejszych incydentach, wyjąwszy samotaniny podpitych gości, które zwykle kończyła błyskawiczna interwencja ochroniarzy. Uznałam, że nie ma potrzeby kłopotać Juliana, skoro nie wolno mi było zabrać go ze sobą.

Zdecydowanym krokiem ruszyłam do łazienki i zrobiłam sobie lekki makijaż. Wystarczyły: tusz do rzęs, cienka kreska na oczach, odrobina cieni na powiekach oraz trochę błyszczący na usta. Przed szafą z ciuchami musiałam już spędzić znacznie więcej czasu. Za oknem stopniowo zapadał zmrok. W końcu wybrałam parę wyblakłych dzinsów ozdobionych z zewnętrznej strony koralikami, bluzkę, którą zostawiłam rozpiętą do połowy, a pod spód założyłam ciemny, wąski top z błyszczącym kwiatem. Do tego botki na szerokim obcasie, niezbyt wysokim, bo nie miałam zamiaru skrócić sobie karku i dzinsowa kurtka. W wewnętrznej kieszeni schowałam portfel wraz z dowodem osobisty. Upewniłam się, że tym razem mam przy sobie komórkę, i to naładowaną, pożegnałam się z Ellą, a następnie pojechałam do *Ruthvens*.

Niestety, nie pomyślałam o tym, że jest piątek. Dopiero trzy przecznice dalej, w jednej z bocznych uliczek znalazłam miejsce do parkowania. Musiałam narzucić sobie jeszcze ostrzejsze tempo, dochodził kwadrans po dziewiątej. Noc zapadła dość szybko, zakrywające niebo chmury połknęły nawet księżyc. Przeszły mnie

przy chłód. Podniosłam kołnierz kurtki i przyspieszyłam kroku. Samochody sunęły obok, a garszka przechodniów, którą spotkałam po drodze, pędziła podobnie jak ja, każdy do swojego celu.

Ruthvens mieścił się w bocznej uliczce, na obrzeżach starej dzielnicy przemysłowej. Już z daleka dobiegło mnie dudnienie basów. Skręciłam w zaułek. Zimny poryw wiatru przeturlał obok pustą puszkę po coli. Z jednej strony wznosiła się opuszczona hala magazynowa, okna i drzwi budynku były kompletnie zabite deszczami. Po drugiej stronie ciągnął się płot z siatki drucianej, który oddzielał ulicę od terenu rozbiórki, hałdy gruzu upodabniały go do księżycowego krajobrazu. Padający w ciągu ostatnich lat deszcz naniósł aż do samego płotu i podmył pod nim warstwę szlamu, na której rosły jedynie pojedyncze kępki trawy oraz dmuchawce. Wszędzie stały tablice: *Wstęp wzbroniony!* Patrząc na liczne dziury w płocie można było jednak wnioskować, że nikt tego zakazu nie przestrzega.

W poprzek ulicy ciągnęła się srebrzyście połyskująca kałuża, która w ostatnich dniach najwyraźniej została zasilona przez zeptaną rynnę. Deska rzucona w charakterze kładki była przesunięta i częściowo zalana wodą. Postanowiłam ominąć małe bajorko bokiem, od strony gruzowiska i ostrożnie, po omacku dotykając dłonią oczek siatki, ruszyłam wzdłuż ogrodzenia. Kiedy w końcu podniosłam wzrok nad lepkiej, brązowej warstwy ziemi, którą miałam pod stopami, niespodziewanie wyrósł przede mną mężczyzna. Odskokczyłam z głośnym krzykiem. Plecami wyśladowałam na metalowej siatce. Nieznajomy uśmiechnął się i coś powiedział. Nie zrozumiałam co, nie znalazłam tego języka, ale głos – owszem. Słyszałam go w uliczce za *Bohemą*. Moje serce kilka razy zabiło gwałtownie. Właśnie tego typu, zdaniem Juliana, miałam się wystrzeżać! Czy również mnie rozpoznał? Tego nie wiedziałam, ale moje przerażenie najwyraźniej nie uszło jego uwagi, ponieważ

zbliżył się, szczerząc zęby w jeszcze bardziej aroganckim, a zarazem okrutnym uśmiechu.

Wyglądał niczym drapieżnik, który doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że ofiara nie może mu uciec. A ofiarą byłam ja! Płot zamykał mi drogę ucieczki. Wczepiłam się palcami w drucianą siatkę i desperacko próbowałam oddychać pomimo paniki, która z każdym ułamkiem sekundy coraz bardziej mnie paraliżowała.

– Co my tutaj mamy? – przystanął tuż przede mną.

Jego uśmiech zrobił się gnusny, nie stracił jednak nic ze swego okrucieństwa. W słabym świetle latarni ulicznej oczy nieznajomego błyszczały kolorem ciemnego orzecha, którego kora podbarwiła odrobiną czerwieni. Serce podeszło mi do gardła.

– Czego... czego pan chce? Proszę mnie przepuścić. Jestem umówiona z przyjaciółmi – wykonałam krok w bok, próbując nadać głosowi spokojny ton. Błoto plasnęło pod moimi stopami. Uczynił dokładnie to samo z pewnym niedbałym wdziękiem, który mimowolnie nasuwał skojarzenie z Julienem.

– Czy ON też jest z nimi? – zapytał, chwytając siatkę przy mojej głowie.

– ON? – Czyżby jednak wiedział, że to właśnie mnie spotkał za *Bohemą*? – Nie mam pojęcia. – Omal nie umarłam z przerażenia, kiedy nagle pochylił się nieco wprzód i tuż przy mojej szyi wciągnął głęboko powietrze w płuca.

– Niewątpliwie. Jeszcze pachniesz jego zapachem. – Nagle zachichotał. – Ale nie zastrzegł sobie prawa wyłączności na ciebie. Bardzo lekkomyślnie! – Uśmiech ani na sekundę nie schodził z jego ust.

Usiłowałam przelknąć ślinę, lecz z niewytłumaczalnych powodów nie mogłam. Ten koleś był powalony!

– Smakowity kąsek z ciebie! Powinien był podzielić się z bliźnim. Teraz dostanie figę z makiem – zamruczał, wyciągając rękę,

Nagle zrozumiałam, że jeśli wpadnę w łapy tego typu, to już po mnie. Spróbowałam przeslizgnąć się pomiędzy jego ramieniem a siatką, zanim jednak zdążyłam wykonać jakikolwiek ruch, chwycił mnie mocno za włosy, po czym odciągnął głowę do tyłu. Jęknęłam z bólu i zamierzylam się na niego. Ryknął śmiechem, chwycił brutalnie przeguby moich dłoni i pochylił się w moją stronę. Wiedziałałam, że powinnam zacząć krzyczeć, ale z gardła wydobył się jedynie wysoki, zdławiony jęk. Znowu odpowiedział śmiechem, jeszcze bardziej odchylił moją głowę do tyłu i na bok, jednocześnie wykręcając mi rękę. Świdrujący ból przeszył moje plecy. Tym razem jednak krzyknęłam. Miałam wrażenie, że wrzask zabrał ze sobą część strachu. W geście rozpaczki wczepiłam palce wolnej ręki w jego twarz i podniosłam wysoko kolano. Wydał z siebie sapnięcie i z głośnym przekleństwem odsunął się nieco na bok, aby jeszcze w tym samym momencie uderzyć. Rąbnął mnie w skroń. Pod wpływem ciosu zatoczyłam się i upadłam. Wyśladowałam na czworakach w błocie. Typ związał się z bólu niecały metr ode mnie, trzymając rękoma krocze. Oszołomiona zamarłam na sekundę w bezruchu, potem zdrowy rozsądek wrócił mi na tyle, że ociężale podciągnęłam się na siatce i zaczęłam uciekać. Moje nogi co rusz ślizgały się w błocie. O mało znowu nie upadłam, kiedy, próbując zachować równowagę, chwyciłam dłoń powiętrze. Przede mną ziała dziura w płocie. Usłyszałam za plecami warknięcie mężczyzny. Szybko obejrzałam się. Jeszcze krok i mnie dopadnie! Niewiele myśląc, przecisnęłam się przez otwór w ogrodzeniu i zaczęłam biec co tchu. Bałam się ponownie spojrzeć za siebie. I tak wiedziałam, że mnie ściga.

Grunt pod stopami był gąbczasty i maziowaty. Poślizgnęłam się kilka razy i o mały włos nie runęłam jak długa. Biegłam przez kałuże, które w słabym świetle latarni błyszczały od oleju, rozpryskując wodę. Kiedy dotarłam do hałd gruzu, zaryzykowałam rzut

oka przez ramię. Ani śladu po typie. Przeszłam przez ukośnie wystający z gruzowiska dźwigar stalowy i przycupnęłam z tyłu w jego cieniu. Zdyszana rozjeżdżałam się w półmroku. Światło ulicznych latarni rzucało na ziemię i gruzy zniekształcone cienie. Jakoś nie mogłam uwierzyć w to, że faktycznie zgubiłam prześladowcę. W napięciu wytyczyłam słuch. Poza cichym dudnieniem, które dochodziło tutaj z *Ruthvens*, panowała cisza jak makiem zasiał. W końcu przełamalam się i powoli wyprostowałam z zamiarem wybadania terenu wokół kryjówki. Stał niecały metr ode mnie, wykrzywiając wargi w tym swoim straszliwym uśmiechu. Przecież nie słyszałam żadnych kroków! Przez ułamek sekundy wbiłam w niego zdumione spojrzenie, potem wykonałam gwałtowny obrót i wyprułam do przodu. Złapał mnie za kurtkę. Zaczęłam krzyczeć, próbując się wyrwać. Jakimś cudem zsunęłam rękawy i znowu byłam wolna. Dałam drapaka, a kurtka została w jego rękach. Po raz kolejny usłyszałam za plecami śmiech. Ten dźwięk jeszcze bardziej ścisnął mnie za gardło. Wciąż gnałam na oślep przed siebie, zapuszczając się coraz dalej pomiędzy gruzy.

Nawet jeśli nie widziałam ani nie słyszałam go za sobą, to mimo wszystko był w pobliżu. Czasami zza przeciwległej strony hałdy, za którą właśnie się skryłam, dochodził chrzęst kamieni albo, gdy biegłam pochylona od jednej kryjówki do następnej, ni stąd ni zowąd, jego kroki rozlegały się za moimi plecami. Niekiedy wyrastał przede mną jak spod ziemi i niemal wpadałam mu w ramiona. Jakby cudem w ostatniej sekundzie udawało mi się zrobić unik i umknąć. W międzyczasie dopadła mnie straszliwa kłoka. Krew szumiała mi w uszach, nie mogłam złapać tchu. Moje rzeczy były zablokowane i porozdzierane. Podczas tej panicznej ucieczki kilka razy zaczęłam o jakieś wystające rury albo kawałki metalu. Poranione do krwi dłonie paliły jak diabli, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Czasami, kiedy przycupnięta za stertą

200

gruzu, modliłam się, aby nie usłyszał mojego sapania, wybuchął wyliczonym śmiechem. Stopniowo zaczęło do mnie docierać, że mimo usilnych prób i tak nie ucieknę. Byłam jak zwierzyzna łowna, zaś jemu polowanie najwyraźniej sprawiało frajdę. Poza tym śpieszył mnie coraz bardziej w głąb rumowiska. Dokładnie tam, gdzie chciał, żebym się znalazła.

Tym sposobem dobiegłam przed stalowy szkielet, który kiedyś służył pewnie za magazyn. Podjęłam kolejną próbę ucieczki, chociaż nie miałam już siły. Nonszalancko zastąpił mi drogę. Przystanąłam zdyszana. Światło ulicznej latarni ledwo majaczyło w oddali, tam, gdzie padało pomiędzy hałdy gruzu, błotniste kałuże połyskiwały srebrzyście.

– Dość tej zabawy – oznajmił z przerażającą uprzejmością, podchodząc do mnie. – Najwyższa pora, żebyśmy oboje oddali się właściwej rozrywce.

Zatoczyłam się do tyłu i uderzyłam o sterczący z ziemi stalowy dźwigar.

– Proszę, nie... – szepnęłam bezradnie.

Stałam tuż przede mną. Na jego ubraniu widniało zaledwie kilka odprysków błota, a dłoń, którą odgarnął mi z twarzy kosmyk, była zimna. Uśmiechnął się. Zapatrzona w jego usta, zamarłam bez tchu. Nawet wówczas, kiedy ujął mnie pod brodę, odchylił głowę do tyłu i odsonił szyję, nie mogłam oderwać od niego oczu. Byłam jak sparaliżowana, niezdolna do tego, żeby pomyśleć czy choć zadrzeć. Uśmiech zamienił się w szczerzenie zębów i raptem... uścisk na gardle zniknął. Osunęłam się po stalowym dźwigarze na ziemię, jakby moje kości stopniały niczym lód. Przede mną turlały się po ziemi dwie ciemne postacie. Po chwili obie skoczyły na równe nogi i pochylone stanęły naprzeciwko siebie w cieniu rzucałym przez hałdę gruzu.

201

Mężczyzna, który mnie ścigał, syknął coś w obcym języku. Odpowiedź mojego wybawcy przypominała ryknięcie. Próbowałam jeszcze zrozumieć, jak to możliwe, że ten głos brzmi tak samo jak głos Julienu, kiedy napastnik zaśmiał się przeraźliwie i znowu powiedział coś z przekąsem. W następnej sekundzie z hukiem upadł na hałdę gruzu. Z trudem zamrugałam, usiłując wyłowić wzrokiem coś więcej niż same kontury. Złowrogo warczał i fukał, znowu zaczęli przetaczać się po ziemi, aż w końcu wyładowali w srebrzystej kałuży. Wtedy rozpoznałam tego drugiego. To był Julien! Obcy chwycił go i uderzył jego głowę o ziemię, krzyknęłam. Julien wyszczerzył zęby, wbił palce w oczy mężczyzny, a kolannem rąbnął go w bok, po czym odepchnął od siebie. Kolejny znowu wpadł na gruzy. Próbował się podnieść, lecz przeciwnik błyskawicznie stanął nad nim, zasunął mu pięścią w brodę i kolanami przycisnął jego ramiona do rumowiska. Powiedział coś w obcym języku, a potem chwycił mężczyznę za włosy i odchylił jego głowę tak mocno do tyłu, aż ukazała się naga szyja. Mężczyzna fuknął, desperacko próbując go z siebie strząsnąć, jednak Julien wyszczerzył zęby i zaatakował szybko jak kobra.

Usłyszałam przeraźliwy ryk, który przeszedł w straszliwe gulgocie. Minęły chyba całe wieki, zanim DuCraïne w końcu się podniósł. Obiema rękoma chwycił głowę mężczyzny, potem wykonał nieznaczny ruch i gwałtowne szarpnięcie, po czym nastąpił trzask jakby łamanego drewna. Zaległa absolutna cisza, pomijając moje nazbyt pospieszne sapanie.

Czas stanął w miejscu. Julien powoli obrócił się. Patrzył na mnie z cienia. Wierzchem dłoni bezwiednie otarł usta. Jego oczy przypominały błyszczący obsydian z czerwoną podkładką, otoczony ciekłą rtęcią. Kiedy uświadomiłam sobie, co przed chwilą widziałam, rozum odmówił mi posłuszeństwa.

202

Sekundę później DuCraïne naprężył się. Miałam wrażenie, że w napięciu nasłuchuje odgłosów, które dla mnie były niesłyszalne, następnie gwałtownie wstał i podszedł. Oszołomiona partryłam, jak się zbliża. Wszystko to było osobliwie nierzeczywiste. Stałam nade mną. W kącikach jego ust tkwiły resztki ciemnej cieczy. Pozwoliłam, żeby ujął mój podbródek i odchylił na bok głowę. Słyszałam głośno wypuścić powietrze. Zabrzmiło to tak, jakby doznał ulgi.

Ktoś w oddali krzyknął moje imię. Julien gwałtownie obrócił się w stronę, skąd dobiegło wołanie, a zaraz potem prześwidrował mnie wzrokiem. Coś obcego pojawiło się w mojej głowie. Głos i wir obrazów. Poczulałam ból. Przycisnęłam rękę do czoła i z głównym westchnieniem zamknęłam oczy.

– Dawn!

To brzmiało jak krzyk.

– Tutaj! Tutaj jest! Znalazłam ją.

Kroki biegły z pluskiem przez błoto. Zostałam chwycona za ramiona i zaczęto mną potrząsać.

– Dawn, obudź się! Powiedz coś! Rozmawiaj ze mną! – błagał ktoś tuż obok.

– Mój Boże, Dawn! No już!

Głos przedzierał się przez ciemność w mojej głowie, drążył i nalegał, aż w końcu zdołałam unieść powieki. Miałam wrażenie, że mój umysł został owinięty grubą warstwą waty. Nade mną unosił się cień, który musiał być twarzą.

– Julien? – zapytałam oszołomiona.

Dlaczego było mi tak zimno? Z trudem próbowałam usiąść, lecz osunęłam się na sterczący za mną stalowy pręt.

– To ja, Susan. Na szczęście posłuchałam Beth i zadzwoniłam do Julienu. Powiedział mi, kiedy odwiózł cię do domu i że potem

203

chciała do nas dołączyć. Wtedy wyruszyliśmy na poszukiwania. Gdybyśmy tego tutaj nie znaleźli...

Owinęła mnie czymś. Dopiero po kilku sekundach rozpoznałam moją kurtkę, na którą zaraz potem narzuciła swoją skórę. Dlaczego leżałam w tym błocie? Zza pleców Susan wychyliło się kilka postaci. Rozpoznałam Beth i Neala.

– Jest ranna? – zapytał Neal, nachylając się ku nam.

Zamrugłam oszołomiona. Ranna? Mike, Ron, Tyler, Anna, Jeremy i Lisa wraz z paroma innymi osobami otoczyli mnie teraśką kółkiem.

– Myślę, że nie. Ale chyba w szoku – Susan pozwoliła mi zerknąć przez ramię, a potem zagadnęła:

– Dawn, co się wydarzyło? – Patrzyła na mnie z troską i wzrokiem, jakby szukając ewentualnych zranień.

– Paru koleś goniło mnie... Aż do tego miejsca. Ale potem... potem chyba ich zgubiłam. Pewnie nie chciało im się szukać, więc dali za wygraną i uciekli – wyklepałam te zdania jak wyuczoną na pamięć kwestię. Skołowała zmarszczyła czoło. Huczało mi w głowie. Nieporadnie wygrzebałam rękę z tych wszystkich kurtki i przycisnęłam ją do skroni.

Paru koleś? Co ja bredzę! Przecież to był tylko jeden typ. Szedł za mną aż tutaj, a potem... potem... próbowałam ominąć wzrokiem Beth, Susan i pozostałych, żeby zobaczyć coś za ich plecami. Nagle uzmysłowiłam sobie, że przy przeciwległej hałdzie gruzu musi leżeć trup. Jednak poza rozdeptanym błotem nikogo tam nie było.

Znajomi patrzyli po sobie wyraźnie poruszeni.

– Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby cię dopadli – wymamrotała wstrząśnięta Lisa. Reszta kiwnęła głowami.

– Musimy iść na policję – Neal podszedł bliżej i troskliwie pomógł mi wstać. – Dawn, możesz opisać tych typów?

204

– Nie! Wszystko działo się za szybko i było za ciemno – znowu odniosłam wrażenie, że powtarzam jakąś wyuczoną kwestię. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co właściwie zaproponował i przerażona potrząsnęłam głową. – Nie chcę iść na policję! Jeśli tam pójdę, wuj dowie się o wszystkim i już nie puści mnie na krok samej z domu. A tak czy owak nie potrafię zidentyfikować tych typów.

– Jesteś pewna... – trudno było nie zauważyć, co sądzi o moim sprzeciwie.

– Jeśli nie chce iść na policję, to nie musi – Beth podeszła bliżej, objęła mnie ramieniem i nie zważając na ubłocone rzeczy, przytuliła przez moment. – Chodź! – zaproponowała – Odwiozę cię do domu!

Na dźwięk jej słów, wzdrygnęłam się. Jeśli Ella albo Simon zobaczą mnie w takim stanie, to równie dobrze mogę iść na policję. Konsekwencje będą podobne. Mimo to nie odezwałam się ani słowem, kiedy przeprowadziła mnie między pozostałymi. W tych ubrudzonych ciuchach nie miałam innego wyboru. Liczyłam na to, że przy odrobinie szczęścia niepostrzeżenie wślizgnę się do domu. Neal zaproponował, że pojedzie drugim samochodem, żebyśmy potem nie musiały prosić Simona o odwiezienie Susan. Byli jeszcze zajęci omawianiem najlepszej strategii, kiedy nieporadnie próbowałam wyciągnąć z kieszeni kurtki kluczyki do samochodu. Moja komórka z pluskiem wyśladowała w błocie. Susan podniosła ją i oddała.

– Przykro mi, że spieprzyłam ci imprezę – wymamrotałam pod nosem.

Zaczerwieniła się, uciekając przed moim wzrokiem.

– Nie musi ci być przykro. Gdybym nie nalegała, żebyś przysłała bez Julię, nie doszłoby do tego.

Wbiłam w nią wzrok.

205

„Paru podejrzanych typów szło za tobą. Nie potrafisz ich opisać. Wszystko działo się za szybko i było za ciemno. Zaczęłaś uciekać, biegłaś aż do tego miejsca. Ukryłaś się. Ponieważ nie mogłaś cię znaleźć, odeszła im ochota na polowanie i dali sobie spokój. O wszystkim innym zapomnisz! Nie stało się nic niezwykłego.”

To Julien pochylał się nade mną! Jego głos był cichutki, przypominał syczenie, a zarazem jakby rozbrzmiewał w mojej głowie feerii obrazów. Jego oczy – połączenie rtęci z czerwono połyskującym obsydianem – wpatrywały się we mnie przenikliwie.

– Dawn, Dawn, wszystko w porządku?

Zamrugłam oszołomiona. Poczulałam przejmujący chłód, ale nie tylko z powodu przesiąkniętych błotem rzeczy.

Beth spojrzała na mnie z troską. Jej dłoń wciąż spoczywała na moim ramieniu.

– Mam cię zawieźć do lekarza?

W odpowiedzi zdołałam ledwo potrząsnąć głową. Nagle wszystko wokół stało się osobliwie nierzeczywiste. Beth powiedziała coś jeszcze, ale dopiero po chwili zrozumiałam, że pyta o auto. Wyjaśniłam jej, gdzie stoi, a potem jak zombie ruszyłam za całą paczką do samochodu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, chłopcy odłączyli się i skierowali kroki w kierunku, gdzie jak przypuszczałam, zaparkował Neal. Beth otworzyła mi drzwi i rzuciwszy jeszcze jedno zatroskane spojrzenie, przeszła na stronę kierowcy, po czym odpaliła silnik. Samochód zafurczał i ruszył z miejsca. Na zewnątrz przemyciły ciemności, a ja skulona wbiłam się w fotel. Wydawało mi się, że mój umysł zakrywa ciężka, mokra kołdra, która uniemożliwia myślenie. W głowie powracały wciąż te same, niewiarygodne obrazy – na myśl o nich chciało mi się krzyknąć.

– Mam wejść za tobą?

206

Słyszając pytanie Beth, podniosłam wzrok i zamrugłam. Audi stało przed naszym garażem. Zgasiła już nawet silnik. Dopiero po chwili dotarło do mnie sens jej słów i potrząsnęłam głową.

– Nie, dam radę – zapewniłam gorliwie. Spojrzałam na okna małego mieszkanca Simona, które znajdowało się nad garażem oraz domową kuchnię i salonem, ale wszystkie były ciemne. Wysładłam z niejasnym uczuciem ulgi. Beth obszła samochód i wręczając mi kluczyki, ponownie zmierzyła mnie zatroskanym wzrokiem.

– Naprawdę sobie poradzisz? – powtórzyła pytanie.

Skinełam głową.

– Tak, dzięki.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie ma za co. W razie czego dzwoń do mnie. O każdej porze dnia i nocy.

Dopiero, kiedy jej to obiecałam, zostawiła mnie samą i zbiegła w dół podjazd. Zaraz potem trzasnęły drzwi i usłyszałam odgłos odjeżdżającego samochodu.

Drżącymi dłońmi wprowadziłam kod pozwalający wyłączyć alarm, wygrzebałam klucze, otworzyłam zamek i weszłam do środka. W holu było ciemno i cicho. Zakradłam się po schodach na górę i po omacku, nie włączając światła, dotarłam do mojego pokoju. Dopiero, kiedy zamknęłam za sobą drzwi, odważyłam się nieco głębiej odetchnąć. Na moment zastępnym w bezruchu, wsłuchując się w ciemność, w co dokładnie – tego nie wiedziałam, potem zapaliłam światło i padłam jak kłoda na łóżko. Gapiłam się przed siebie, nie patrząc na nic konkretnego. Drżenie przeszło z rąk na wszystkie członki. Nie mogłam go opanować. Teraz, kiedy byłam sama, wróciło oszołomienie i obrazy. Jak lunatycka zdjęłam zabrudzone rzeczy, wskoczyłam w szlafrok i podreptałam do łazienki. Przynic, wytarcie ciała, umycie zębów – wszystkie

207

czynności wykonywałam mechanicznie. Po powrocie do pokoju wzięłam na łóżko, przyciągnęłam do siebie poduszkę, objęłam ją ramionami i podobnie jak poprzednio tępo wbiłam wzrok w kąt. Niezależnie od tego, czy miałam zamknięte czy otwarte oczy, wciąż widziałam to samo. Napastnik odchylił moją głowę na bok i odsłoniwszy szyję, pochylił się nisko, szeroko otwierając usta.

Potem Julien, który zaatakował mężczyznę niczym kobrą swoją ofiarę. Widziałam jego kły: białe, długie i ostre. Ich wyraźny kontur zaznaczył się również wtedy, kiedy pochylony nad mną, szeptał, że nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nie potrafiłam odwrócić od nich wzroku, nawet wówczas, gdy kazał mi zapomnieć o wszystkim, co zobaczyłam. Widziałam resztki ciemnej cieczy w kącikach jego ust, która mogła być tylko krwią. To było jak zapętłony film.

Powoli zamrugałam i głęboko wciągnęłam powietrze w płucach. Coś poszło nie tak. Nie zapomniałam tego, co zobaczyłam! A przynajmniej przypomniałam to sobie po chwilowej amnezji, chociaż racjonalna część mojego umysłu zaciekle broniła się, nie chcąc wierzyć oczom. Jednak fakt pozostaje faktem: widziałam, jak Julien ugryzł typa w szyję, pił jego krew, a następnie skrzył mu kark. Jeszcze mocniej ścisnęłam poduszkę. Coś tu nie pasowało. Z tego co wiem, te stwory nie znoszą słonecznego światła, a przecież codziennie widuję Julienu w szkole. Przeniućchowałam dzisiaj pół popołudnia, leżąc nad brzegiem rzeki. To się nie trzymało kupy! A jednak wzrok mnie nie mylił!

Ukryłam głowę w dłoniach i przez kilka minut próbowałam uporządkować panujący w myślach chaos. Bezskutecznie. Ta historia przypominała puzzle, w których brakowało jeszcze zbyt wielu elementów. Przetarłam dłonią twarz. Istniała tylko jedna możliwość złożenia tych wszystkich kawałków w całość, tak aby nikt się o tym nie dowiedział i aby nie uznano mnie za wariat-

kę. Z poduszką usiadłam przy biurku, włączyłam komputer, po czym weszłam do sieci. Po wpisaniu słowa „wampir” wyskoczyła siedmiocyfrowa liczba stron. Pominęłam te poświęcone książkom, filmom i ogólnie pojmowanej rozrywce, koncentrując się na mitach i legendach. Po dłuższej chwili znalazłam kilka wtyrtni i poważnymi informacjami na temat „wampirów” oraz zjawiska „wampiryzmu”.

Wiadomości w nich zawarte dokładnie pokrywały się z tym, co znałam z filmów grozy:

Wampiry zarówno rodzaju męskiego, jak i żeńskiego piją ludzką krew, która stanowi ich jedyne pożywienie. Aby ugasić swoje pragnienie, gotowe są dosłownie iść po trupach.

Wampiry przeważnie cechuje nieśmiertelność. Prawdopodobnie można to wyjaśnić faktem, iż właściwie chodzi tutaj o zmarłych, którzy za życia zostali ugryzieni przez wampira i na skutek tego sami przystoczyli się w krwiopijców. Jak konkretnie powstają – nie wiadomo, na ten temat istnieją niezliczone teorie.

Wiadomo, że wampiry nie tolerują światła słonecznego, a kontakt z nim może się dla nich zakończyć „ciężkimi poparzeniami”, bądź nawet „spopieleniem”. Dlatego za dnia nie opuszczają swojego legowiska, czyli zazwyczaj trumny lub grobowca. Zapadają wtedy w stan odrętwienia, podobny do śmierci, z którego nic nie może ich wybudzić. Stąd też dzieje stanowi ulubioną porę łowców wampirów. Nie wiadomo, czy istnieje jakaś stuprocentowa metoda zgładzenia tych stworów, ogólnie przyjęta procedura zaleca wbicie kołka w serce albo ścięcie głowy, a następnie spalenie „zwłok”.

Wampiry odznaczają się niezwykle bladą cerą, a zarazem nieprzeciętną urodą. Przynajmniej większość z nich. Kilka razy natrafiłam jednak na wzmiankę o częściowym zmumifikowaniu, które upodabnia te stwory raczej do starców, w takim przypadku

wypicie krwi pozwala im na krótki czas odzyskać postać zbliżoną do ludzkiej.

Poza tym mają widoczne, długie kły, są silniejsze i szybsze niż normalni ludzie, odznaczają się również większą gibkością ruchów.

W pewnym momencie opisy zaczęły się powtarzać i dawać sobie spokój. Piekiły mnie oczy. Zmęczona skrzyłam twarz w dłoniach.

Blady, o nieprzeciętnej urodzie – wypisz, wymaluj Julien! Kiedy pomyślałam o niebezpiecznej elegancji, z jaką się poruszał, oraz o tym, co zaszło w *Bohémie*, sformułowania „szybciej i zwiniej niż normalni ludzie” też wydały mi się nader trafne. Do tego wszystkiego dochodziło jeszcze dziwne zjawisko, w którym biernie uczestniczyłam dziś wieczorem. Julien pił krew mężczyzny, a potem skrzył mu kark. Jednak fakt, że koleś też był wampirem, kompletnie zbijał mnie z tropu. Na mur beton: widziałam z bliska jego kły! A przecież w żadnym z artykułów nie wspomniano o tym, aby wampiry piły krew swoich pobratymców. Lecz wzrok mnie nie mylił! Tak samo, jak nie myślałam się co do tego, że Julien próbował ingerować w moją pamięć. Na kilku stronach wzmiankowano, że wampiry potrafią wpływać na wolę zwierząt oraz ludzi. Zagryzłam wargi. Jakaś cząstka mnie wciąż jeszcze wzbierała się uwierzyć w to, że DuCraine faktycznie jest wampirem, bo przecież – jak uparcie argumentowała – codziennie spacerował w słońcu.

Próbując jakoś dojść z tym wszystkim do ładu, przypomniałam sobie, że podczas naszego wieczoru filmowego Ron wspominał, iż na żądanie Cynthii szukał w sieci informacji o Julienie. Znalazł coś o paru akrobatach sprzed wieku noszących to samo nazwisko. Z nader nieprzyjemnym uczuciem wrzuciłam do wyszukiwarki hasło *Julien DuCraine*. Na widok wyników guglowania po prostu oniemiałam.

Przed mną na ekranie pojawił się artykuł z *New York Herald Tribune* z 1901 roku. Anonsowano w nim występ słynnych braci DuCraine, którzy na rozpiętej pomiędzy dwoma budynkami linie mieli zaprezentować zapierające dech w piersiach widowisko, będące połączeniem akrobacji, ognia oraz muzyki, a wszystko na wysokości 30 metrów – co już samo w sobie na tamte czasy wydawało się dostatecznie niewiarygodne. Widniejące poniżej zdjęcie potrzebowało dużo czasu na załadowanie, dlatego Ron nic o nim nie wspominał, pewnie nie czekał wystarczająco długo i po prostu zamknął okno. Fotografia przedstawiała dwóch mężczyzn, którzy pewni siebie szczyrzyli zęby. Przymknęłam na chwilę oczy. Kiedy ponownie je otworzyłam, zobaczyłam dokładnie to samo. Jednym z chłopaków był bez wątpienia Julien! Zaś drugi... हुआ- to go przypomina! Bliźnięta! Pospiesznie przeczytałam artykuł. Wyglądało na to, że jeden z braci, Adrien, służył z zonglowania pionącymi pochodniami, natomiast drugiego, Julienu, zwano „diabelskim skrzyptkiem”, gdyż grał na linie z wirtuozerią godną największych sal koncertowych. Poza tym byli znani z rozmaitych szalonych popisów, jakie wspólnie wyczyniali na wysokościach. Żaden z nich nie zwykł pracować z liną zabezpieczającą czy z balsemem.

W *Bohémie* Julien zdradził mi, że pochodzi z rodziny lino-koczków. Miałam zimne palce, kiedy przesunęłam stronę nieco niżej.

Dramat na linie

Diabelski skrzyptek spada z wysokości 30 metrów

Julien DuCraine śmiertelnie ranny

Nagłówki wręcz były w oczy. Pospiesznie przebiegłam wzrokiem tekst. Oficjalnie uznano, że był to wypadek, jednak według informacji zamieszczonych przez reportera, krążyły też pogłoski

mówiące o sabotażu. Lina napinająca odwiązała się. Jak do tego doszło – nikt nie potrafił wyjaśnić, przede wszystkim dlatego, że przed swoimi występami bracia DuCraïne osobiście sprawdzali całe oprzyrządowanie, również maszyny i umocowania. Potem obciążano się również główna lina. Julien był już na górze, sam i zupełnie nieprzygotowany na taką ewentualność. Nagle szarpnięcie kosztowało go utratę równowagi. W chwili obecnej – czytałam dalej w artykule – lekarze walczą jeszcze o jego życie, aczkolwiek szanse są nikłe.

Moja dłoń kurczowo zacisnęła się na myszce. Poluzowałam uścisk.

Poza tym był tylko jeszcze jeden artykuł, w którym informowano, że Julien DuCraïne zmarł dwa dni po wypadku, nie odzyskawszy już przytomności, zaś Adrian odwołał dalsze występy.

Wbiłam wzrok w ekran monitora. Znowu powróciło uczucie otumanienia. Jak lunatyczka wydrukowałam artykuł oraz zdjęcie. Potrzebowałam czegoś, czego mogłabym się przytrzymać. Z kartkami w dłoni podreptałam do stojącego naprzeciwko łóżka i ściskając poduszkę, przyjęłam pozycję embrionalną. Budzik na nocnym stoliku wskazywał parę minut przed trzecią. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiłam sobie, że automatycznie, z czystego przyzwyczajenia wyłączyłam komputer oraz światło. Wpadająca przez okno księżycowa poświata wyrysowała srebrny czworokąt na moim dywanie. Gapiłam się przed siebie, prosto w ciemność, trzymając dłoń na wydrukach. Julien DuCraïne spadł w 1901 roku z liny i poniósł śmierć. Co wydarzyło się potem? Jak został wampirem? Bo że nim był, w tej chwili nie podlegało już dla mnie dyskusji. Inaczej nie sposób wytłumaczyć tego, co zobaczyłam, oraz faktu, iż po upływie ponad stu lat wciąż wyglądał tak samo jak na zdjęciu w *New York Herald Tribune*. A może jednak...? Ale przecież sam przyznał, że miał „wypadek”. Co zaszło w szpitalu?

212

Resztę nocy spędziłam, wpatrując się w pustkę i usiłując ją uporządkować chaotyczne myśli, aż wreszcie zapadłam w niepokojny półsen.

♦
Zrzucił zwłoki w bezpiecznej odległości od corvetty, na żwirowym brzegu rzeki, potem poszedł z powrotem do samochodu i wyciągnął z bagażnika karnister. Oblał benzyną ciało. Ostry zapach etylowy uderzył go w nozdrza. W myślach przeklinał siebie za to, że dał się ponieść złości. Ale nie miał innego wyjścia po tym, jak tamten zaczął mu grozić. Potrząsnął głową. Co by się stało, gdyby Książęta uszyli, że on... Nawet nie chciał sobie tego wyobrazić. Zagryzł zęby, odlatił na bok karnister, wyłowił z kieszeni spodni zapalniczkę, napalił ją, a następnie przystawił do nasiąkniętego ubrania. Kilka sekund później języki ognia lizały już łapczywie zwłoki, a płomień buchnął wysoko w górę. Jeśli ktoś zobaczy z daleka krwawą łunę, to zapewne pomyśli, że nastolatki zorganizowały sobie tutaj imprezę. Na dodatek po ostatnich, obfitych opadach deszczu ewentualny pożar nie zagrażał pobliskim lasom. Przez kilka minut śledził wzrokiem taniec płomieni, potem podniósł karnister, wrócił do corvetty i usiadł na kierownicy. Trzymając dłoń na otwartych drzwiach, przez dłuższą chwilę obserwował, jak ogień zaciera pozostawione przez noc ślady. Porzucenie jednych zwłok na ulicy – na to można sobie jeszcze pozwolić. Ale drugi trup ściągnąłby mu na głowę już poważne problemy. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, było zainteresowanie ze strony jakiegosi Vourdranja.

Upewniwszy się, że ogień dokładnie strawił wszystkie ślady, usiadł do corvetty i odjechał z powrotem do miasta. Jednak nawet gdyby przekroczył dozwoloną prędkość i tak dotarłby tam dopiero po wschodzie słońca.

213

W szponach przeszłości

Słońce niczym biała piłka wisiało już na szarym niebie, kiedy rankiem gwałtownie zerwałam się z koszmarnego snu, którego nie potrafiłam sobie przypomnieć. Rzuciłam okiem na zegarek – mimo wszystko przespałam pięć godzin. Czułam się zmęczona i rozbita, ale nie wyobrażałam sobie już powrotu pod koldnę. Ból zębów dokuczał mi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, na domiar złego światło dnia odśloniło ślady, których narobiłam w nocy swoimi ubłoconymi, przemokniętymi rzeczami. Klnąc pod nosem, szybko ściągnęłam brudne poszewki i wepchałam je razem z ciuchami do najdalszego kąta w szafie, żeby przypadkiem nie wpadły w ręce Elli, zanim będę miała okazję zrobić pranie. Potem przewlekłam pościel. Przez cały czas moje myśli krążyły wokół wydarzeń minionej nocy.

Kiedy wreszcie skończyłam, włożyłam szlafrok i poczłapałam do kuchni zaparzyć sobie filiżankę herbaty. Czekając niecierpliwie, aż nieco wystygnie, próbowałam uporządkować w głowie to, co się wczoraj wydarzyło, oraz informacje, które znalazłam w Internecie na temat Juliana. Nie byłam w stanie, przynajmniej nie tutaj. Musiałam wyjść z domu!

214

Teraz, natychmiast! Wielkimi haustami opróżniłam filiżankę, pognąłam na górę do pokoju i ubrałam się. Następnie złożyłam wydruki i wsadziłam je do kieszeni spodni. Dlaczego – sama nie wiedziałam. Na zostawionej na kredensie, pospiesznie nabazgrałam kartce poinformowałam Ellę, że znowu wyjeżdżam z PRZYJACIÓLMI, po czym wymknęłam się z domu. Simon krzyknął za mną z garażu, gdzie się wybieram i co do diabła wyprawiałam na hotelu pasażera, ale udałam, że go nie słyszę i zbiegłam z podjazdu, zanim wpadł na pomysł, żeby mnie gonić.

Nie miałam odwagi iść na szczyt z obawy, że mogłabym tam spotkać Juliana, a był ostatnią osobą, którą chciałam w tej chwili oglądać. Dlatego bez celu szwendałam się po mieście. Ignorowałam zimne poddmuchy wiatru, które co rusz wzbijały w powietrze leżące na chodniku, czerwonozłote liście. Podniosłam tylko kołnierz kurtki, naprężyłam plecy i wcisnęłam ręce głębiej do kieszeni. Od czasu do czasu mijano mnie jakieś auto, jednak większość mieszkańców Ashland Falls w taką pogodę najwyraźniej wolała siedzieć w swoich przytulnych domkach. Na dźwięk dzwonka komórki wzdrygnęłam się. Wyciągnęłam telefon i rzuciłam okiem na wyświetlacz. Rozpoznałam numer DuCraïne'a, wsunęłam aparat z powrotem do kurtki. Nie liczyłam, ile razy dzwonił w ciągu następnej godziny, ale kiedy w końcu definitywnie zamilkł, poczułam wielką ulgę. Nie chciałam rozmawiać z Julienem. Przynajmniej dopóki nie postanowię, co dalej.

Rany boskie! Racjonalna część mojego umysłu wciąż nie dopuszczała do siebie myśli o tym, że faktycznie był wampirem.

Kiedy skręcałam w Chestnut Street, usłyszałam za plecami znajomy ryk, który szybko się zbliżał. Przyspieszyłam kroku, lecz zanim Julien mnie dogonił, zdołałam tylko dotrzeć do następnej ulicy za rogajem. Przystanął obok.

215

– Nareszcie, szukam cię od paru godzin! Martwiłem się o ciebie.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęłam i ruszyłam dalej zdecydowanym krokiem.

– Co... – jęknął zaskoczony, potem silnik ścigacza zamarł.

Słyszałam, jak kopnięciem zsunął nóżkę i postawił motocykl.

– Dawn, poczekaj! – zawołał, biegnąc za mną.

Przyspieszyłam kroku, ale dogonił mnie i chwycił za ramię.

– Co się dzieje?

– Masz mnie zostawić w spokoju! – gwałtownie wyrwałam się i zamierzałam przejść na drugą stronę ulicy. Powietrze przeszły głośny klakson, zapisały hamulce, a ja wbiłam wzrok w wana, który właśnie nadjeżdżał z naprzeciwka. Ujrzałam przerażoną twarz kierowcy za szybą, a potem coś mnie gwałtownie porwało, przetrulałam się po ziemi i zanim zdążyłam rozsądnie pomyśleć, Julien znowu postawił mnie na nogi.

– Pogięło cię? – fuknął. Wyglądał na przestraszonego.

Trzasnęły drzwi samochodu. Kierowca hondu zjechał na prawo i siedział teraz w naszą stronę.

– Zwariowałaś, dziewczyno? Żeby tak po prostu wbiec na ulicę! Wszystko w porządku? – zapytał rozgniewany, a zarazem z ulgą w głosie.

– Zostaw mnie w spokoju! – ponownie wyrwałam się Julienowi.

Mężczyzna doszedł do nas. Zmierzył chłopaka nieufnym wzrokiem.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał.

– Proszę powiedzieć temu dupkowi, żeby dał mi spokój – burknęłam wściekła, robiąc krok do tyłu. Julien chciał iść za mną, lecz nieznajomy położył mu dłoń na piersi.

– Koleżko, słyszałeś, co mówi ta mała. Zostaw ją w spokoju albo zadzwonię po gliny.

DuCraine na chwilę wbił w niego spojrzenie. Mężczyzna był wysoki, silny i wyglądał na takiego, który raz dwa poradzi sobie z moim „przyjacielem”. Po dzisiejszej nocy już to wiedziałam. Po tym Julien znów spojrzał na mnie.

– Dawn, co...

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, Ok? – zażądałam jeszcze raz, obróciłam się na pięcie i wzięłam nogi za pas.

– Co ja ci zrobiłem? – krzyknął.

Nie spojrzałam na siebie. Uciekałam przez dłuższą chwilę. A ponieważ w mieście nie czułam się już bezpieczna, czmychnęłam do lasu. Włoczyłam się bez celu pomiędzy drzewami, aż w końcu opadłam półżywa na jakiś przewrócony pień.

W głowie wciąż kołatało mi pytanie Juliana: „Co ja ci zrobiłem?”. Jeśli miałabym być szczerą, to moja odpowiedź musiałaby brzmieć: Nic.

Wręcz przeciwnie, dzięki niemu w *Bohemie* nie zostałam przywalona przez pomost, a przed chwilą niemal wyciągnął mnie spod kół nadjeżdżającego samochodu, no i uratował przed wampirem. Nigdy nie wyrządził mi krzywdy, a miał po temu wiele okazji. W dodatku zawsze nalegał, żebym zachowała wobec niego dystans i nie przebierała w środkach, usiłując swoją gruboskórnością zniechęcić mnie do siebie. Dopiero, kiedy zauważył, że nie pozwolę się tak łatwo splawić, dał nam szansę. A ponieważ był wampirem, przez ten cały czas nie mogłam o nic pytać – teraz nabrałam co do tego pewności.

Najbardziej szalone w tym wszystkim było jednak to, że wciąż go kochałam.

Wciąż chciałam z nim być. Ale nie wiedziałam, jak.

Czy mam udawać, że faktycznie nie pamiętam, co zasłało? Czy mam zachowywać się tak, jakbym nie poznała jego tajemnicy? Okłamywanie Juliana w ten sposób wydawało mi się podłe. Oczywiście, on też nie grał w otwarte karty, lecz zawsze zdawałam sobie sprawę z tego, że jest coś, o czym nie powiedział.

Z drugiej strony nie mogłam zwyczajnie pójść i powiedzieć: „A tak na marginesie, wiem, że jesteś wampirem”.

Przesunęłam dłońmi po twarzy i wdrygnęłam się, przypominawszy sobie o otarciach. Dlaczego nie mogłam zakochać się w jakimś normalnym chłopaku z sąsiedztwa? Z Nealem wszystko byłoby cudownie proste. Ale nie, ja musiałam wybrać sobie takiego DuCraine'a!

Im dłużej rozmyślałam o tej całej sprawie, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że muszę porozmawiać z Julienem. Powinam przynajmniej dać mu szansę ustosunkowania się do tego wszystkiego. To, że mógłby mnie skrzywdzić, kiedy zostanie skonfrontowany z wiedzą, jaką zdobyłam, nawet nie przeszło mi przez myśl. Ponownie przesunęłam dłońmi po twarzy, poderwałam się z miejsca i ruszyłam z powrotem do Ashland Falls, a dokładnie rzecz biorąc do starej posiadłości.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak daleko zawędrowałam. Nawet jeśli początkowo szłam stosunkowo szybko, to jednak im bardziej zbliżałam się do starej posiadłości, tym wolniejsze stawały się moje kroki. Kiedy w końcu wyszłam z lasu i ujrzałam przed sobą polanę, na której stała, serce podeszło mi do gardła. Wręca zmusiłam się do tego, żeby pokonać ostatnie metry. W końcu stanęłam u podnóża schodów. Ostatnia chwila wahania i weszłam na górę. Moje ręce były mokre od potu. Wytarłam je o dzinsy. Poranione dłonie zaprostowały bólem. Po drodze rozważałam niezliczone scenariusze i różne kwestie, jednak teraz, stojąc przed drzwiami, nie mogłam sobie przypomnieć żadnej z nich. Wciąż

gnęłam głęboko powietrze w płuca i zapukałam. Żadnego poruczenia. Powoli policzyłam do dwudziestu i ponownie zapukałam. Znowu cisza. Dopiero po trzecim pukaniu rozległy się kroki. Chwilę potem Julien otworzył drzwi. Uniósł brwi na mój widok.

– Czy to znaczy, że już nie chcesz, abym zostawił cię w spokoju? – zapytał cynicznie.

Uniósłam ramiona, unikając jego wzroku.

– Muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

Przez moment lustrował mnie spojrzeniem, potem odsunął się na bok i gestem zaprosił do środka. Minęłam go i weszłam na korytarz. Kiedy zamknął drzwi, złożyłam dłonie, mocno przyklaskując je do siebie, ale zmusiłam się do tego, żeby pójść dalej. W salonie po raz ostatni zaważałam się i ostatecznie usiadłam na sofie. Julien, który siedział za mną, niezdecydowany przystanął w progu. Zamiast usiąść obok i objąć mnie, jak to zwykle czynił, zajął miejsce naprzeciwko w fotelu. Poniekąd byłam mu za to wdzięczna. Zapadło milczenie. Unikałam jego wzroku, aczkolwiek czułam, że nie spuszcza mnie z oka.

– A zatem, o czym chcesz porozmawiać po tym show, które odstawiasz rano? – zapytał w końcu, przerywając ciszę.

Po tonie głosu wyraźnie poznałam, że jest na mnie zły. Wprawdzie życzyłamby sobie, aby było inaczej, lecz rozumiałam tę irytację. Niepewna, od czego zacząć, zagryzłam wargi. W mojej głowie nagle zapanowała totalna pustka. W końcu wyciągnęłam z torby wydruki i podałam mu je. Z pytającym wzrokiem rozwinął kartki, a potem zamarł w bezruchu. Po jego twarzy przemknął cały kalejdoskop uczuć: przerażenie, ból i złość, kiedy jednak podniósł na mnie oczy, była ona już kompletnie pozbawiona wyrazu. Opuścił kartki.

– Co to ma być? – zapytał zatrważająco spokojnym głosem.

– Dokładnie pamiętam wydarzenia ostatniej nocy – wydulałam, głośno przelknąwszy ślinę.

Oczy Juliana zwały się.

– Co mianowicie?

– Że wczoraj w nocy byłeś na gruzowisku i uratowałeś mnie przed tym typem – miałam nadzieję, że nie słyszy drżenia w moim głosie.

– Jeśli przypominasz sobie, że cię wczoraj uratowałem, w takim razie rozumiem, dlaczego wcześniej nie chciałaś ze mną rozmawiać, a co to ma wspólnego z tym tutaj – pomachał wydrukami.

Powoli wciągnęłam powietrze w płuca.

– Widziałam, że ugryzłeś tego mężczyznę w szyję i piłeś jego krew. Potem skręciłeś mu kark. Twoje kły były... za długie jak na człowieka.

Zerwał się z miejsca i stanął za krzesłem, mocno ścisnął oparcie dłońmi.

– Pleciesz bzdury!

– Proszę, nie graj ze mną w żadne gierki, Julienne! Powiedziałaś: „Wszystko zapominisz!” i: „Nic niezwykłego się nie wydarzyło!”. Ale twoje magiczne formułki najwyraźniej nie zadziałały.

Wbił we mnie zdumione spojrzenie i faktycznie na moment zdębiał. Szybko jednak doszedł do siebie i zakomunikował chłodnym tonem:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O tym, że rosną ci kły i pijesz krew. Myślę, że zmarłeś w 1901 roku – ścisk w żołądku powoli ustępował miejsca złości.

Zagryzł usta, tak że przypominały teraz wąską kreskę. Skierował wzrok na trzymane w dłoni wydruki. Najwyraźniej nie wiedział, że artykuł i zdjęcie są dostępne w sieci.

– Kim jesteś, Julienne?

220

Spojrzał na mnie, mijają sekunda za sekundą. W końcu gwałtownym ruchem przejechał dłonią po włosach.

– Jeszcze raz powtarzam: nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz.

Nagle zbrzydła mi ta gierka.

– W takim razie ja powiem tobie, kim jesteś: wampirem!

Przez moment miałam wrażenie, że po jego twarzy przemknęła złość, potem jej rysy zastygły w zimną, odpychającą maskę, na widok której bezwiednie przywarłam plecami do oparcia sofy.

– Nie wiesz, co mówisz.

Kategorycznie potrząsnęłam głową.

– Owszem, wiem. Widziałam, jak piłeś krew tego typu. Widziałam, jak go zabiłeś. I pamiętam, że w jakiś sposób chciałaś mnie zmusić do tego, bym o wszystkim zapomniała.

Maska zaczęła się kruszyć. Wyzierała spod niej złość.

– Ten koleś chciał cię zabić.

– Był taki sam jak ty – odparowałam.

– Nie, to był wampir.

Czyli jednak! Wybuchnęłam krótkim, gwałtownym śmiechem.

– Ty również nim jesteś. Widziałam twoje kły i krew na ustach. Czy dlatego zabroniłeś mi zadawać pytania?

Najwyraźniej odruchowo podniósł dłoń do ust. Kiedy zauważył, co robi, natychmiast ją opuścił.

– Nie jestem wampirem! – ponownie zaprzeczył.

– W takim razie kim?

Zawałał się przez moment i powoli wciągnął powietrze do płuca. Po minucie, która zdawała się nieskończenie długa, w napięciu potrząsnął głową.

– Jestem lamią – te słowa zabrzmiały tak, jakby wypowiedział je wbrew własnej woli.

221

Znowu przejechał gwałtownie dłonią po włosach, w ten sam sposób co wcześniej.

Patrzyłam na niego w milczeniu i czekałam.

– Dawn... – powiedział tylko moje imię, a następnie bezradnie zamilkł.

Nie odezwałam się ani słowem.

Trwało niemal całą wieczność, zanim znowu potrząsnął głową.

– Więcej nie mogę ci powiedzieć – jego głos brzmiał chłodno i odpychająco.

– Dlaczego?

Zacisnął zęby.

– Ponieważ każde kolejne słowo, które dowiesz się o mnie i moim życiu, narazi cię na coraz większe niebezpieczeństwo – odpowiedział w końcu ostrym tonem i z odrazą odrzucił komputerowe wydruki. Kartki papieru spadły na podłogę.

Przez moment patrzyłam na niego zdumiona, a potem prychnęłam gorzko.

– Wiem już, że jesteś wampirem albo lamią, zwał jak zwał. Widziałam, jak kogoś zamordowałaś. Co niby miałoby narazić mnie na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

– Nie masz o niczym pojęcia.

– To mnie oświeć!

Stanął nade mną tak szybko, że nie miałam nawet czasu krzyknąć, chociaż ogarnięta przerażeniem pomyślałam o tym. Przywarłam jeszcze mocniej plecami do oparcia. Jego dłoń spoczęła na mojej szyi. Delikatnie, a mimo to w sposób jednoznaczny. Drugą oparł na skórzanej sofie tuż przy mojej głowie i nachylił się bardzo blisko.

– Według najwyższego z naszych praw muszę cię zabić, ponieważ odkryłaś, kim jestem – coś w wyrazie jego twarzy zmieniło się. Nadal był zniewalająco przystojny, ale teraz w jakiś dzi-

222

ki, śmiertelny sposób. Zza uchylonych warg połyskiwały długie, ostre kły. – Chcesz tego?

Próbowałam przelknąć ślinę, lecz nie mogłam. Drżały mi dłonie. Przywarłam plecami do leżącej za mną poduszki.

Pieczące dłoni pomogło mi przelknąć gulę, która ze strachu wyrosła w gardle. Powolotku odchyliłam na bok głowę na tyle, na ile pozwalała jego dłoń.

Julien wbił we mnie zdumione spojrzenie. W następnej sekundzie rąbnął pięścią tak mocno o oparcie obok mojej głowy, że aż huknęło, puścił mnie i cofnął się.

– Cholera, Dawn! Przez ten krótki czas, odkąd cię znam, złamałem więcej praw mojego świata, niż w ciągu całego życia – znowu gwałtownie przesunął dłonią po włosach. – Zabiłem dla ciebie, ale tobie nie mógłbym wyrządzić krzywdy, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Cokolwiek sobie o mnie myślisz.

– Wiem – odparłam.

Zrobił wielkie oczy, lecz ani na moment nie oderwał ode mnie wzroku – trwało to chyba całą wieczność, następnie odwrócił się i podszedł do okna.

Przez kilka minut obserwowałam, jak stoi w milczeniu i patrzy przed siebie. W końcu odważyłam się chrząknąć.

– Co będzie, kiedy inne... lamie odkryją, że mnie nie zabiłeś?

– Wyślą kogoś, żeby zabił nas oboje.

Wzruszyłam ramionami.

– Skoro narażam życie tylko dlatego, że odkryłam, kim jesteś, to nie sądzisz, że byłoby fair, gdybym poznała resztę historii? – zapytałam po kolejnej minucie milczenia.

Julien zerknął na mnie kątem oka. W końcu odwrócił się i oparty o okienną ramę zaczął mi się przypatrywać. Trwało to tak długo, iż pomyślałam, że już nie odpowie.

223

– Masz rację. Jeśli mają cię powiesić za to, że zastrzeliłaś zająca, to przynajmniej niech będzie ci wolno go skosztować.

Usłyszawszy to dziwaczne porównanie, musiałam chyba zabić głupią minę, ponieważ po jego twarzy przebiegł lekki uśmiech. Julien skrzyżował ręce na piersiach.

– Od czego mam zacząć?

– Może od tego, jaka jest różnica między wampirem a lamią?

Teraz, kiedy pozwolił mi zadawać pytania, nagle poczułam dziwne skrępowanie.

Skinął głową.

– Najważniejsza polega na tym, że rodzimy się lamiami, a oni zostają przez nas stworzeni.

– Rodzimy się? – zaskoczona powtórzyłam jak echo, ponownie wywołując krótki uśmiech na twarzy Juliana.

– Lamie rodzą się jako zupełnie normalni ludzie. Dopiero między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia przechodzą metamorfozę. Od tego momentu przestajemy się stać i żyjemy tylko krwią.

Przelknęłam głośno ślinę.

– Ludzką?

– Ludzką – potwierdził.

– A krew zwierząt...

Potrząsnął głową.

– Jedyne przez krótki czas możemy żywić się krwią zwierząt, jednak nie zaspokaja ona pragnienia. Wręcz przeciwnie, dodatkowo je podsyca. W końcu żąda staję się na tyle gwałtowna, że musimy jej ulec i znowu szukać krwi człowieka. A wierz mi, naprawdę trudno się opanować, kiedy pragnienie pali w żyłach i myśl o ukojeniu straszego bólu przesłania wszystko inne. Tylko nieliczni spośród nas są dość silni, żeby przestać w chwili, kiedy

224

ofiarę jeszcze bije i w ciele jest dostatecznie wiele krwi, aby mogła przeżyć.

– Czy to znaczy, że normalnie nie zabijacie swoich ofiar? – spytałam zdumiona.

Prychnął.

– Oczywiście, że nie. Nasze prawo tego zabrania. Pozbawione krwi zwłoki wzbudziłyby zbyt duże zainteresowanie. Zwykle lamie piją co trzecią albo co czwartą noc. Im dłużej się zwleka, tym więcej potrzeba. Wampiry muszą pić częściej, ale one też zwykle nie zabijają swoich ofiar.

– Jak często pijesz?

– Odkąd jestem z tobą, co noc. I to więcej niż mi właściwie potrzeba – zagryzł wargi. – Kolejne prawo, które lamie z twojego powodu.

Stłumiłam lekkie poczucie winy, które się we mnie odezwało.

– Piłeś krew kogoś, kogo znam?

– Pojedyncze przypadki – odparł, nie patrząc na mnie.

– Czyją?

Dopiero po dłuższej chwili wymienił imiona dziewczyn, z którymi chodził oraz Beth i Susan.

– Piłeś krew Beth i Susan?! – byłam zmieszana.

Julien odpowiedział na moje oburzenie wzruszeniem ramion.

– Dawn, to absolutnie nie ma znaczenia, że piję czyjąś krew.

– Owszem, ma znaczenie! Piłeś krew moich przyjaciółek! – ze zdumieniem stwierdziłam, że jestem o nie ZAZDROSNA. Szybko zmieniłam temat. – Dlaczego wampiry muszą pić częściej niż lamie?

Na sekundę zmarszczył czoło.

– Ponieważ są słabsze. W przeciwieństwie do nas nie mogą również żyć za dnia. Pod wpływem promieni słonecznych po-

225

stu ulegają spaleniu, a kiedy jest jasno, popadają w bardziej letargiczny stan niż lamie.

– Czy to znaczy, że słońce osłabia również lamie? – spytałam na niego przestraszona.

Julien pochylił nieco głowę.

– Nie w takim stopniu jak wampiry, ale owszem, osłabia nas. Jeśli jesteśmy zmuszeni dłużej przebywać za dnia na dworze, wtedy potrzebujemy więcej pić. To jedna z naszych słabości. Pozostałe już znasz.

– Ta sprawa z twoimi oczami?

Niechętnie wykrzywił twarz i skinął głową.

– A co z krzyżem, wodą święconą i czosnkiem?

– Krzyże i woda święcona to zabobonne bzdury. Znam lamie, które uczestniczyły w wyprawach krzyżowych i pozwoliły poświęcić siebie oraz swoje miecze wodą święconą. Mój ojciec miał w gabinecie złoty krzyż z XII wieku. Tylko ta informacja z czosnkiem zgadza się częściowo. Jesteśmy drapieżnikami. Mamy znacznie bardziej wystrzone zmysły niż ludzie. Nie znosimy olejków eterycznych zawartych w świeżym czosnku, cebuli i innych tego rodzaju roślinach. Ale na tym koniec.

Takie wyjaśnienie brzmiało logicznie. Lustrowałam Juliana wzrokiem – stał przy oknie, najwyraźniej czekając na kolejne pytanie.

– Wczoraj wieczorem chciałeś, żebym zapomniała o tym, co widziałam. Jak to zrobiłeś?

Jego twarz zaszepiła się.

– Właściwie powinnaś była wymazać z pamięci wszystko, co zobaczyłaś. Jeszcze nigdy nie przytrafiło mi się, żeby ktoś był na to odporny.

– Jeszcze nigdy? – spojrzałam na niego zdumiona.

– Nie, jeszcze nigdy – potwierdził ponuro.

226

– A co to oznacza?

Julien wzruszył ramionami.

– Przypadek? Za dużo adrenaliny? Nie mam pojęcia.

– Często manipulujesz pamięcią innych ludzi?

– Za każdym razem, kiedy piję. Nie wolno nam postępować inaczej. Przynajmniej w stosunku do ludzi. Za bardzo rzucałoby się w oczy, gdyby ciągle przypominali sobie jakieś szczegóły. Ale potrzebuję bezpośredniego kontaktu wzrokowego, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

– A co z takimi jak ty?

– Z lamiami ten chwyt nie zadziała, ze starymi i potężnymi wampirami również. Jeśli idzie o świeżo stworzonego, to dla mnie jeden problem – z jego głosu biła pewna zarozumiałość.

– Stworzonego? – Zmarszczyłam czoło.

– Wampira. Tak my, lamie, nazywamy wampiry.

– Jak właściwie zostaje się wampirem?

Zanim odpowiedział, przez moment lustrował mnie wzrokiem.

– Nie wystarczy samo ugryzienie, to nie choroba. W tym przypadku potrzebna jest świadoma decyzja lamii albo wampira.

– Czy to oznacza, że również wampir może zamieniać innych w wampiry? Nie tylko lamia?

Stężał na twarzy.

– Tak. Ale właściwie nie wolno im tego robić pod karą śmierci.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, powstrzymał mnie przed dalszym drażnieniem tematu.

– A jak można zabić lamie albo wampira?

Julien uniósł brew.

– Jestem gotów złamać dla ciebie każde prawo, Dawn, za wyjątkiem tego. Nie gniewaj się.

Zrozumiałam i przytaknęłam skinieniem głowy.

227

– Jak to jest, kiedy ktoś staje się lamią? – mój wzrok padł na leżące na podłodze wydruki. – Co się wtedy – wskazałam dłońmi kartki – naprawdę wydarzyło?

– Dokładnie to, co tam napisano. Jakimś sposobem jedna z lin napinających obluźowała się, a potem główna lina ustąpiła pod naciskiem, straciłem równowagę i spadłem – nagle jego głowa zabrzmiała szorstko.

– Znasz te artykuły? – spojrzałam na niego zdumiona.

Julien skinął głową.

– Oczywiście. Niemal na pamięć.

– Myślisz, że pogłoski o sabotażu są prawdziwe?

– Nie zdołaliśmy niczego udowodnić – pochylił głowę. – Ale istniały pewne podejrzenia. Przed występem, zresztą jak zwykle, osobiście sprawdziliśmy wszystkie naciągi. Lina nie mogła się obluźować. – Przez moment jego usta wykrzywił bolesny uśmiech. – Byliśmy sławni, Dawn. Miasta płaciły nam horrendalne gaje, ludzie zabijali się, żeby móc nas zobaczyć, a co za tym idzie – mieliśmy naturalnie zazdrosnych wrogów. Zwłaszcza z pewną amerykańską trupą dochodziło do ciągłych zatargów. Może dlatego, że mimo naszego europejskiego pochodzenia, zdobyliśmy w ich ojczyźnie większą sławę niż oni. Zabiegali o ten występ w Nowym Jorku, jednak w końcu to my dostaliśmy angaż, chociaż właściwie wcale nam na tym nie zależało. – Dłuższą chwilę patrzył przez okno, jakby zadumany.

Obserwowałam grę światła i cienia na jego twarzy.

– Czy już wtedy byłes lamią?

Julien znowu spojrzał na mnie.

– Nie. Dopiero wypadek wyzwolił przemianę. Za wyjątkiem kręgosłupa miałem połamane wszystkie kości, jakie tylko można sobie połamać. Umarłem, lecz moje ciało nie chciało zaakcep-

tować tego faktu, chociaż zasadniczo byłem jeszcze za młody na przeistoczenie.

– Jakie to uczucie? – zapytałam, pochylając się do przodu.

Buchnął gorzkim śmiechem.

– Istne piekło! Normalnie nasze ciała, kiedy nadejdzie pora, zmieniają się bardzo powoli. Człowiek stopniowo traci apetyt, pojawia się wrażliwość na słońce...

– Myślałam, że wam, lamiom, jego obecność nie robi żadnej różnicy – zaskoczona wpadłam mu w słowo. Skarcił mnie spojrzeniem.

– Owszem, „dorostłym” lamiom nie robi, ale krótko przed transformacją i zaraz po niej większość z nas reaguje dosyć wrażliwie na promienie słoneczne – wyjaśnił, a potem kontynuował opowieść. – W moim przypadku wszystko wydarzyło się naraz. Poza tym ciało próbowało jeszcze leczyć obrażenia i oczywiście nikt nie mógł się dowiedzieć, że zamierzam przeżyć upadek z trzydziestu metrów. Kolejnym problemem było to, że w trakcie przemiany koniecznie musiałem pić, a pismaki oblegały szpital jak stado hien. – Przejechał dłońią po włosach. – Mój brat stracił majątek na łapówki, które pozwoliły wielu ludziom zapomnieć o tym, że dzieje się coś dziwnego.

– Dlaczego po prostu nie wpłyną na ich pamięć, tak jak ty wczoraj próbowałaś wpłynąć na moją... – urwałam w połowie zdania i spojrzałam na niego, wybaluszając oczy. – To w ten sposób skłoniłeś pana Arronsa do milczenia, prawda? Wcale go nie szantażowałaś – wyrwało mi się.

Julien lekceważąco wzruszył ramionami.

– To było najprostsze rozwiązanie. Zasugerowałam mu jedynie, że MÓGŁBYM udać się do władz szkoły, jeśli będzie nam stwarzał problemy.

– Nie masz zbyt wielkich skrupułów, prawda? – zapytałam, wciągając nogi na sofę.

– Jeśli w grę wchodzi bliscy mi ludzie, to nie – przyznał szczerze.

Ten fakt przerażał mnie równie mało, jak to, że istotnie był wampirem, o – pardon! – lamią.

– Czy jest was dużo w mieście? – Objęłam kolana rękoma.

– Nie, ta dziura zabita dechami jest na to za mała – na chwilę jego usta zacisnęły się, tworząc cienką linię, a potem mówił dalej: – Z tego co wiem, żyje tutaj tylko jedna lamia i dwa albo trzy wampiry, jej pomiot.

Nagle odniosłam wrażenie, że znowu coś przemilczał.

– Pomiot?

– W ten sposób określa się stworzone przez lamie wampiry.

– Znasz go?

– Znam, to za dużo powiedziane. Raz albo dwa razy miałem z nim do czynienia – spojrzał na mnie kątem oka. – Jest właścicielem *Ruthvens*.

Natychmiast pomyślałam o Beth i gwałtownie wyprostowałam się. Julien jakby odgadł moje myśli.

– Bez obaw, pracownicy są pod jego ochroną. Nikt ich nie tknie, inaczej miałby z nim do czynienia, a gość jest dostatecznie stary, dlatego lepiej z nim nie zadzierać.

– Czyli jednak są tutaj jeszcze inne lamie?

Julien wzruszył ramionami.

– Parę, tak zwanych przejazdem. Niewielu z nas zabawia dłużej w jednym miejscu. Z takich czy innych powodów.

Zawahałam się.

– A dlaczego TY tutaj jesteś, Julienie?

Milczał przez moment.

– Szukam kogoś – oznajmił cicho. Jego wzrok powędrował ku leżącym na podłodze wydrukami.

– Twojego brata? – Znowu poczułam dziwną guł w gardle.

Skinął głową.

– Co się stało?

Gwałtownie odwrócił się do mnie plecami. Ujrzałam mocno napięty kark.

– Wiem tylko tyle, że zniknął bez śladu – oparł się o ramie okienne, a dłońmi zacisnął w pięści.

– Podejrzewasz, co mogło się wydarzyć? Masz jakieś wskazówki?

Wstałam, podeszłam do niego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Jedną. – Odwróciwszy głowę, spojrzał na mnie. – I jednoznacznie wynika z niej, że został zamordowany. – Walną ręką tak mocno w ścianę, że aż się wzdrygnęłam. – Ale nie dopuszczam do siebie tej myśli. Jesteśmy bliźniętami. Wiedziałaby, gdyby Adrien zmarł. On żyje. – Jego ręcione oczy gapily się w pustkę. – Żyje – powtórzył zrozpaczony.

Ponieważ nie wiedziałam, co powiedzieć, objęłam go. Przez moment nie poruszył się, a potem oplótł mnie ramionami i przyciągnął do siebie. Staliśmy tak parę minut. Julien wczepił się we mnie, a ja w pewnej chwili uświadomiłam sobie, że głaszczę go po plecach. W końcu poluzowałam nieco uścisk, ale nie wypuściłam go zupełnie.

– Co teraz będzie?

Potrzebowałam dobrej sekundę, żeby zrozumieć sens jego pytania. A potem na pozór lekceważąco wzruszyła ramionami.

– A co ma być? Wprawdzie nie jesteś do końca tym, kim myślałam, że jesteś – zignorowałam jego oburzone sapnięcie – ale nie ma problemu. Poza tym, jeśli mam zginać z powodu wiedzy,

jaką zdobyłam o tobie, to równie dobrze możemy dalej być ze sobą. – zdecydowanie spojrzałam mu w oczy. – Nigdy mnie nie skrzywdziłeś, Julienie, wręcz przeciwnie. Chroniłeś mnie i uratowałeś mi życie. Sam mówisz, że z mojego powodu łamiesz prawo. Dlaczego miałabym z tobą zerwać?

– Jestem lamią.

– A dalej? Ja jestem człowiekiem.

– Piję ludzką krew.

– Ale mojej dotychczas nie tknąłeś. W czym problem?

Potrząsnął głową i ujął w ręce moją dłoń.

– Jesteś szalona, Dawn Warden. Ktoś ci to kiedyś mówił?

– Słyszałam już miłsze komplementy. A kiedy właściwie piłeś krew Susan i Beth?

To pytanie spadło na niego jak grom z jasnego nieba. W chwili ominięcia moje spojrzenie.

– Powiedz, skoro to nie ma znaczenia, możesz mi chyba zdradzić szczegóły – nalegałam.

Zerknął na mnie kątem oka i westchnął teatralnie.

– Krew Beth piłem tego wieczora, kiedy jej garbus rozkraczył się na drodze, a Susan po tym incydencie na chemii, kiedy poszła po samochód. – Posłał mi gorzki uśmiech. – Gdybym wtedy tego nie uczynił, to najpóźniej w aucie rzuciłbym się na ciebie.

Zamknęłam oczy i przelknęłam ślinę. „A ja przez cały czas uparcie snulałam się za nim jak cień, chociaż za wszelką cenę próbowałam nie spławić...”

– Przykro mi – wymamrotałam skruszona.

Unióśł brew i skinął głową.

– Właściwie to w jaki sposób piją lamie? – zagadnęłam z innej beczki.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Wiesz już... – zaczął, ale zaraz zamilkł, chrząknął i przeczeł palcami włosy. – Jak na filmach – dokończył.

– Gryziecie wasze ofiary? – powiedziałam głośno to, co najwyraźniej nie przeszło mu przez gardło.

Julien z sykkiem wciągnął powietrze w płuca.

– Tak – wyznał niechętnie po chwili.

W zamyśleniu lustrowałam go wzrokiem.

– W szyję?

Znowu syknął.

– W szyję albo w nadgarstek. Lamie o tym nie rozmawiają.

– Oh, przepraszam. Ale skoro piłeś krew Beth i Susan, to dlaczego nie było widać żadnych śladów? – Zadałam to pytanie, chociaż wiedziałam, że jest dość niezręczne. Julien znowu zaważał się, zanim udzielił odpowiedzi.

– Rany po zębach dość szybko się zamykają, jeśli je polizemy.

Wyrzeszczyłam oczy.

– Pewnie naukowcy oddaliby fortunę za to, żeby poznać mechanizm tego procesu.

Twarz Juliana przybrała gorzki wyraz.

– Posiadamy wiele niezwykłych zdolności i niejedna instytucja byłaby gotowa zapłacić bająską sumę za ich poznanie. Dlatego tak ważne jest, żeby nikt nie dowiedział się o naszym istnieniu.

Jego słowa sprowadziły mnie na ziemię.

– Nikomu nie pisać ani słówka! Obiecuję! – zapewniłam ze śmiertelną powagą.

– Gdybym nie był tego pewien, nie powiedziałbym tobie o niczym, Dawn.

Dopiero kiedy oderwał ode mnie spojrzenie swoich ręcących oczu, zauważyłam, że moja dłoń wciąż tkwi w jego dłoni. Zerknęłam na nasze splecione palce. Podążył za moim wzrokiem,

a następnie ponownie skierował oczy na mnie. Na jego wargach igrał uśmiech. Nagle Julien zmarszczył czoło.

– Czy twoja mama miała na imię Isabelle Christine? – zapytał prosto z mostu. Zamrugalam zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Tak. Dlaczego pytasz?

Julien potarł dłońią kark.

– Znalazłem na strychu pamiętnik pisany przez Isabelle Christine Warden.

– Ale moi rodzice mieszkali w Nowym Jorku – odparłam zdumiona.

– Wiem, dlatego to nie ma sensu, chyba że istniała jakaś druga Isabelle Christine Warden... – wzruszył ramionami. – Leżała w skrzyni, która została jeszcze po poprzednich właścicielach. Przedwcześniej strasznie padało, woda zaczęła przeciekać przez dach, musiałem wszystko odsunąć na bok, żeby przynajmniej podstawić wiadro. Jeden z kufrów nieoczekiwanie otworzył się i kiedy zbierałem rozsypane rzeczy, wpadł mi w ręce pamiętnik. Przynieść go?

Skinęłam głową. Z wyraźną niechęcią puścił moją dłoń i poszedł na górę. Patrzyłam za nim nieco oszołomiona. Skąd tutaj pamiętnik mojej mamy?

Julien wrócił parę minut później i wręczył mi wąski, oprawiony w twarde okładki notes.

Gapiąc się na leżącą w moich dłoniach niewielkich rozmiarów książeczkę, podreptałam w kierunku sofy, a następnie usiadłam. Była owinięta w ciężki, poślółki, jedwabny papier ozdobiony japońskimi znakami oraz malunkami, które już wyblakły i stały się niemożliwe do rozpoznania. Ostrożnie powiodłam po niej palcami. Czy rzeczywiście należała do mojej mamy? Julien miał rację – o ile przypadkiem nie istniała druga osoba o takim imieniu oraz

na wisku, to pamiętnik musiał stanowić jej własność. Opuszkami palców przesunęłam po brzegach okładki. Serce waliło mi jak młotem. Czy wreszcie dowiem się o mamie czegoś więcej niż tych kilka zdawkowych informacji przekazanych przez wujka Samuela? A o tacie? Podniosłam oczy. Julien usiadł na stojącym naprzeciwko krześle i obserwował mnie w milczeniu.

Znowu skierowałam wzrok na notes. Nie miałam odwagi zajrzeć do środka. Kiedy w końcu przemogłam się, pomiędzy kartek wypadło zdjęcie ultrasonograficzne. Podniosłam je z wahaniem. Dłonie mi drżały. Ostatecznie powolutku otworzyłam dziennik. Pośród okładki a pierwszą stroną leżał zasuszony kwiatek. Jego bladeżółte liście były zupełnie postrzępione na końcach. Mój wzrok padł na bogato zdobioną w zawijasy i oplecioną kwiatnym wzrokiem cyfrę 5. Pod spodem widniał podpis: Isabelle Christine Warden i dwie daty 1989 oraz 1990. W 1989 roku wyszła za mojego ojca, rok później przyszedł na świat, a rodzice zginęli. Czyżbym miała przed sobą jej ostatni pamiętnik? Wzruszenie chwyciło mnie za gardło i z trudem przelknęłam ślinę. Zaczęłam go ostrożnie wertować.

Mama najwyraźniej prowadziła zapiski bardzo nieregularnie. Daty notatek rzadko następowały bezpośrednio po sobie, zwykle dzieliło je kilka dni, niekiedy nawet całe tygodnie albo jeszcze więcej. Najwyraźniej pisała tutaj tylko o rzeczach naprawdę dla siebie istotnych. Atrament był wyblakły, a pismo wręcz niemożliwe do odczytania. Przez kilka dobrych minut próbowałam odczytać poszczególne litery, ale na próżno, w końcu poprosiłam o pomoc Juliana. Usiadł obok i ostrożnie wyjął mi z rąk notes. Przez chwilę kartkował go niezdeterminowanie.

– Gdzie mam zacząć? – zapytał w końcu, spoglądając na mnie.

Odczytanie wyblakłych wersów ewidentnie nie stanowiło dla niego problemu.

Pochyliłam się nad nim, spoglądając na pozótkę kartki, a potem potrząsnęłam głową.

– Nie wiem. Gdziekolwiek.

Przytaknął, znowu przerzucił kilka stron i zaczął czytać półgłosem.

23 marca 1990. Alex przez cały czas nie wierzył, że faktycznie jestem w ciąży. „Niemożliwe” – tak to nazywał. (Kiedy po raz pierwszy zasugerowałam mu, że wkrótce możemy być już we troje, nawet przez moment nie zakładał, iż mogłabym go zdradzić. We troje! Na myśl o tym chce mi się śmiać. Od czasu ślubu jestem lepiej strzeżona przez ochroniarzy niż klejnoty brytyjskiej królowej; wszystko ze strachu, że rodzina Alexa przedwcześnie dowie się o moim istnieniu i przedsięwzięciem jakieś kroki przeciwko naszemu związku.) Jednak od dzisiaj nie może już kwestionować tego faktu, nazywając go „niemożliwym”. Obok mnie leży jednoznaczny dowód. Zdjęcie ultrasonograficzne. Pierwsze. Był obecny przy jego wykonaniu. Wprawdzie niewiele na nim widać, ale jedno ulega wątpliwości. Jestem w ciąży. I Alex zostanie ojcem. Podczas całego badania nie mogłam oderwać wzroku od jego twarzy. Kiedy lekarz, wskazując na monitor, powiedział, że tutaj jest jego dziecko, dosłownie zaparło mi dech w piersiach. Potem pocałował moją dłoń i oznajmił, że nie mógł mu zrobić większego prezentu. Nigdy wcześniej nie widziałam Alexa równie szczęśliwym jak w tym momencie. Jest jednak coś, co go martwi. Czuję to. Przez całą drogę do domu milczał i patrzył przez okno, ani na chwilę nie puszczając mojej ręki. Gdyby tylko powiedział, w czym rzecz. Pytałam, ale twierdzi, że wszystko w porządku.

29. marca 1990. Wyjeżdżamy stąd. Alex poinformował mnie dzisiaj, że kupił starą posiadłość w Ashland Falls, w stanie Maine.

Julien spojrział na mnie. Teraz nie było już żadnej wątpliwości, że te słowa faktycznie pisała moja mama. Skinęłam głową, żeby czytał dalej.

236

Nigdy nie słyszałam o tym mieście. Pewnie jest tak maleńkie, że każdy zna tam każdego. Co za koszmar. Jednak Alex nalega. Chce więc stąd tak daleko, jak to tylko możliwe. Wszystko już przygotowane. Muszę jeszcze spakować rzeczy.

Gdyby nie obawiał się o zdrowie moje albo dziecka, to pewnie spędzilibyśmy następne miesiące, podróżując po świecie, żeby nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Będą nam towarzyszyć tylko jego najbardziej zaufani ludzie. Chciałabym, żeby mi wyznał, co go tak trapi.

20. kwietnia 1990. Mój dziennik jakimś sposobem zsunął się na samo dno torby i to właśnie tej, którą Alex dał Davidowi. Dopiero dzisiaj dostałam go z powrotem.

Mąż ma małego learjeta, ale starty i lądowania tych maszyn są odnotowywane na wszystkich lotniskach, a on nie chciał, żeby ktoś mógł prześledzić naszą trasę, dlatego jechaliśmy samochodem przez pół kontynentu. Setki kilometrów. Ani razu nie zapłacił kartą kredytową. Zawsze gotówką. Powoli Alex popada w prawdziwą paranoję.

Przedwczoraj w końcu dotarliśmy do Ashland Falls. Byłam tak emocjonowana, że padłam na pierwsze lepsze łóżko i spałam prawie przez 24 godziny.

Mamy dom jak marzenie. Stoi na polanie, pośrodku lasu, kawałek od drogi i nieco poza miastem. Za nim znajduje się małe jezioro okolonie ogromnymi, prastarymi klonami. Woda jest tak kryształicznie czysta, że człowiek ma wrażenie, iż widzi samo dno. Wokół całego budynku biegnie zadaszona weranda. Można na nią wyjść niemal z każdego pokoju na parterze. Taka elewacja pasowałaby raczej do Nowego Orleanu niż tutaj. Wewnątrz jest cudownie jasny i przestronny. W salonie mamy prawdziwy kominek! Na pierwszym piętrze Alex urządził sobie gabinet i bibliotekę. Mówi, że kiedy wszystko zostanie już „zalatwione”, to ściąganie tutaj swoje ukochane, stare książki. Na strychu chce urządzić dla mnie atelier. W końcu

237

będę mogła znowu pracować. Na samą myśl o tym, że wkrótce pozwolę pod palcami kamień i metal, swędzą mnie dłonie!

Już wiem, gdzie i jak urządzić pokój dziecięcy.

David siedzi naprzeciwko mnie i nie może powstrzymać się od szczerzenia zębów. Myślę, że wyglądam nieco śmiesznie w tym moim zachwycie. Nie, nie śmiesznie – stwierdza, – lecz absolutnie czarująco. Na dworze słychać wjeżdżający samochód. Wrócili Alex i Samem. Mam nadzieję, że przywieźli lody truskawkowe i marynowane oliwki.

Julien wzdygnął się nieco.

– Lody truskawkowe i oliwki – wymamrotał pod nosem z lekko kim obrzydzeniem na twarzy, a potem wrócił do lektury. Siedziałam obok, wsłuchując się w jego głos. Czego mój tata tak bardzo się bał? Z zapisków mamy wynikało, że porzucił całe swoje dotychczasowe życie i przywiózł ją tutaj, żeby chronić i ukryć przed kimś lub przed czymś. Jaki to miało związek z jego rodziną i kim byli ludzie, którzy towarzyszyli moim rodzicom? Ochroniarzami! Najwyraźniej posiadał dość znaczny majątek, skoro bez problemu nabył nowy dom i mógł ot tak, po prostu spalić za sobą wszystkie mosty. Czyżby on albo jego rodzina byli uwikłani w jakieś ciemne interesy? Skoncentrowałam się znowu na Julienie, który właśnie przerzucił kolejną stronę. Tak mocno zatopiłam się w myślach, że najwyraźniej przegapiłam jeden albo dwa wpisy.

7. maja 1990. David wczoraj zniknął. Nasi ludzie przeczesali cały las oraz miasto. Ani śladu. Alex bardzo się martwi.

9. maja 1990. To potworne. Dziś wieczorem znaleźli Davida. Alex nie chciał mnie nawet dopuścić w pobliże ciała. Michail wraz z Antonim wynieśli zwłoki i pochowują je. Słyszałam, jak Alex roz-

238

mawiał z Samem. Sądzą, że to była egzekucja. Informacja i ostrzeżenie dla Alexa. Tak bardzo się boję.

11. maja 1990. Alex i Sam klócili się dzisiaj przez pół nocy. Sam skłócił Alexa na czym świat stoi, ba, wręcz mu groził. Nawet teraz, kiedy piszę te słowa, aż trudno mi w to uwierzyć. Sam jest dla niego kimś w rodzaju przyjaciela. Alex ślepo mu ufa. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby różnili się w poglądach na jakiś temat. I właśnie teraz drą ze sobą kory. Co z tego wyniknie? Gdybym tylko mogła w czymś pomóc...

13. maja 1990. Ręka drży mi tak bardzo, że aż utrudnia piśmienie. Wreszcie Alex wyjaśnił, w czym rzecz. Wciąż jeszcze nie mogę zebrać myśli. To przerażające. Wiedziałam, że nigdy nie powinnam była dowiedzieć się, kim jest naprawdę. Wiedziałam, że ożenił się ze mną wbrew prawu. Ale teraz, ponieważ oczekuję jego dziecka i to dziecko jest dziewczynką...

Mój Boże, jego ojciec i wujowie są trzema najpotężniejszymi Książętami, a mimo to się boi. Twierdzi, że jedynym, który może złotałby go zrozumieć i byłby gotowy nam pomóc, jest wuj Vlad.

Kiedy Julien wymówił to imię, jego głos nagle przybrał osobliwie napięty, niemal pytający ton. Spojrzałam na niego zdumiona, ale czytała dalej.

Jeśli nam nie pomoże, Książęta każą nas zabić.

Z każdym słowem głos Julienu stawał się coraz bardziej zduszony.

Mnie, nasze dziecko i mężczyznę, którego kocham. Tylko dla czego? Rany boskie, nie mogą ot tak, po prostu go zabić. To przecież Alexej Tejpi...

Julien zamilkł. Jego twarz zdradzała szok i przerażenie. Wlepił we mnie wzrok.

– Alexej Tejpani Andrejew jest twoim ojcem? – po dłuższej chwili wykrztusił z siebie z wielkim trudem.

239

Skołowana skinęłam głową.
– Tak, ale...
Reszta zdania uwięzła mi w gardle, ponieważ nagle wstał. Aż odskoczyłam przed nim.
– Wynocha! Spadaj stąd! – fuknął.
Pamiętnik mamy wylądował z głośnym płaskiem na podłodze. Chciałam go podnieść, ale Julien chwycił mnie za ramię i siłą wyciągnął z domu. Już nic z tego nie rozumiałam. Dopiero, kiedy niemal dotarliśmy do szopy, odzyskałam głos.
– Co to ma znaczyć? Co się dzieje? – wydukałam, stawiając opór jego ręce.
Miałam w głowie totalny mętlik.
Jednym szarpnięciem pociągnął mnie, ruszyłam za nim, potykając się bezradnie.
– Twoja noga tu więcej nie postanie! Omijaj ten dom szerokim łukiem i nie waz się do mnie zbliżać! – ujrzałam złowrogo wyszczerzone zęby. – Zrozumiałaś?
Cofnęłam się na tyle, na ile pozwalał uścisk.
– Ale...
– Nigdy więcej! Zapomnij o tym, co między nami było! W ogóle zapomnij, że mnie znasz! – gwałtownym ruchem otworzył drzwi szopy. Skierował kroki w stronę ścigacza, a ja – chcąc nie chcąc – ruszyłam za nim. Wskoczył na siodełko i zmusił mnie, abym usiadła z tyłu. Kątem oka zauważyłam jeszcze czarny worek sportowy. Po chwili Julien nacisnął na pedał gazu, silnik obudził się z rykiem i musiałam mocno wcześcić się w ubranie DuCrabne'a, żeby nie spaść. Z szaloną prędkością wyjechał z szopy i zjechał w drogę wjazdową. Tyłne koło niemal zabuksowało, kiedy skręcił w ulicę. Reflektor przecinał ostrym światłem nadciągającą ciemność. Ryczałam, próbując zagłuszyć pęd powietrza, szarpałam Juliana za koszulkę i robiłam wszystko, żeby choć na chwilkę

zwrócić na siebie uwagę. Dwa razy sięgnął ręką do tyłu, żeby upobiec mojemu upadkowi, ale poza tym nie reagował. Patrzył tylko przed siebie. Każdy centymetr jego ciała był sztywny i spięty. Najwyraźniej miał coś wspólnego z zapiskami w pamiętniku i z nazwiskiem ojca. Tylko co?

Szybciej niż oczekiwałam, dotarliśmy do mojego domu. Na skutek ostrego hamowania gwałtownie przywarłam do jego pleców. Chwycił mnie za ramię, ściągnął z motocykla i odepchnął. Choć nie potrafiłam zinterpretować wyrazu jego oczu, to ciarki przeszły mnie po plecach.

– Trzymaj się ode mnie z daleka i zapomnij o tym, że się znamy. Skończone! Finito! – zagrzmiał raz jeszcze, a potem zawrócił kółkami w miejscu i tyle go widziałam.

Oszołomiona, zraniona, a jednocześnie wściekła patrzyłam na oddalającym się tylnym światłem motocykla, aż zupełnie nie zniknęło. Co się wydarzyło? Dlaczego tak nagle wpadł w złość? Nic z tego nie rozumiałam.

Kiedy w końcu odwróciłam się, w drzwiach wejściowych stał wuj Samuel. Nie wiedziałam, że miał zamiar wpaść z wizytą. On również w dziwnym napięciu patrzył za Julienem, a potem skierował wzrok na mnie.

– Co masz wspólnego z tym chłopakiem? – zapytał ostro i dopiero po chwili dorzucił: – Kto to był?

Unikałam jego badawczego spojrzenia.

– Julien. Mój eks, chyba tak można go nazwać.

Z wsuniętymi pod ramiona dłońmi, minawszy wujka, ruszyłam do góry. Nie miałam ochoty na przesłuchanie. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w moim pokoju. W oczach paliły mnie łzy. Nie musiał widzieć jak płacę. Byłam już w połowie schodów, a on nadal stał w tym samym miejscu, odprowadzając mnie wzrokiem. Biegiem pokonałam resztę stopni, z hukiem zatrzasnęłam

za sobą drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Nie chciałam nikogo oglądać! Nikogo! Wszystko przed moimi oczami rozplywało się i ikając, padał na łóżko. Julien znowu ze mną zerwał, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Ukryłam twarz w poduszce i rozplakałam się.

Przykre prawdy

Poranne słońce powitało mnie promiennym blaskiem, jakby chciało sobie zadrwić z mojej rozpacz. W górnej szczęce czułam pulsujący ból, a w ustach gorzki smak. Wciąż jeszcze miałam na sobie wczorajsze ubranie. Było mi mdło i niedobrze, jakbym przez całą noc nie zmrużyła oka. Julien zerwał ze mną! Na samą myśl o tym łzy napłynęły mi do oczu, a głos uwiązł w gardle. Z trudem zwlokłam się z łóżka i poczłapałam do łazienki. Moje oczy były zaczerwienione i podpuchnięte. Zimna woda niewiele pomogła, chociaż przez kilka minut trzymałam na twarzy nasączoną myjkę. Wbiłam wzrok w lustrzane odbicie. Odpowiedziało takim samym spojrzeniem. Skołowanym, zranionym i poniekąd gniewnym. Dlaczego mnie rzucił? Co takiego zrobiłam? Albo czego nie zrobiłam? Przecież wszystko było w porządku, dopóki nie wymienił nazwiska mojego ojca... cholera! Dziennik mamy! Tak nagle wywłócił mnie z domu, że nawet nie miałam możliwości podnieść go z ziemi. Cisnęłam myjkę do zlewu, rozebrałam się, weszłam pod prysznic i odkręciłam wodę pełnym strumieniem. Gorące krople spływały po moim ciele, a ja stałam z rękoma opartymi o kafelki, próbując uporządkować myśli. Stopniowo złość brała górę. Nie pogodzę

się łatwo z faktem, że Julien ni stąd, ni zowąd wyrzucił mnie ze swojego życia!

Powiedział: „Trzymaj się ode mnie z daleka i zapomnij o tym, że się znamy. Skończone! Finito!”. Idiota! Koniec, finto! Może i tak, ale dlaczego? Do diabła, chyba mam prawo poznać przyczynę! Jego decyzja na pewno ma jakiś związek z zapiskami mamy na mur beton. Zmuszę Julię, żeby mi wyjaśnił, o co dokładnie chodzi. Poza tym chciałam odzyskać notes.

Energicznie zakręciłam kurek, wyłożyłam ręką ręcznik i opuściłam kabinę.

„Trzymaj się ode mnie z daleka”. Tak czy owak porozmawiam z nim w szkole!

Gorąca woda nie zdołała całkowicie zmyć śladów przerywanej nocy, musiałam więc skorzystać z pomocy korektora i lekkiego make-up'u. Potem ubrałam się, chwyciłam torbę do szkoły i zeszłam na dół. W kuchni czekały na mnie filiżanka herbaty oraz Ella.

– Wuj chce ciebie widzieć w swoim gabinecie na górze – zakomunikowała smutnym głosem gospodyni.

Poszłam do niego z niemiłym uczuciem w żołądku. Siedział za biurkiem. Lampa stojąca w rogu pokoju oświetlała grzbiety książek, które piętrzyły się na sięgających sufitu regałach. Zasłony były zaciągnięte i nie wpuszczały do środka porannego słońca. Za wujem opierało się o ścianę dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałam. Od kiedy tak jawnie otaczał się ochroniarzami? Przystanąłam pomiędzy skórzanymi krzesłami, ustawionymi przed ciężkim, mahoniowym biurkiem. Nie zostawił mi nawet czasu na to, abym powitała go kurtuazyjnym „dzień dobry”, lecz od razu przystąpił do rzeczy.

– Jestem tobą bardzo rozczarowany, młoda damo. Próbuję ciebie chronić, a ty za moimi plecami włączysz się z kryminalistami,

244

– Julien nie jest żadnym... – więcej nie zdołałam powiedzieć.

– Nie waż mi się sprzeciwiać, dziewczyno! – fuknął tak ostro, że aż cofnęłam się o krok. Nadepnęłam na stopę stojącej tuż za mną osobie. Odwróciłam się przestraszona. Kolejny ochroniarz wuja patrzył na mnie z kamienną twarzą. Nie słyszałam, jak wzdęł. Położył dłoń na moim ramieniu i ponownie obrócił mnie w stronę wuja. Ten skinął na niego ręką, nakazując zwolnienie ulcisku, a następnie kontynuował wywód.

– Zasięgnąłem informacji na temat twojego przyjaciela. Ma znacznie więcej na sumieniu, niż w ogóle potrafił sobie wyobrazić. Nigdy więcej go nie zobaczysz.

Oszczędziłam sobie kąśliwej uwagi, że Julien tak czy owak nie chce mnie już widzieć. Jednak najwyraźniej inaczej odczytał milczenie.

– Wygląda na to, że nie masz zamiaru przestrzegać naszej umowy, dlatego poniesiesz konsekwencje swojego zachowania. Zarządzam areszt domowy. Do odwołania.

Oburzona złapałam oddech.

– To nie fair! Co ja takiego zrobiłam?

– Włączyłaś się z tym bękartem Du Cranierów, nikomu o tym nie mówiąc! Nawet Ella ani Simon nie wiedzieli, że masz chłopaka! – Sposób, w jaki zaakcentował słowo „chłopaka” sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, czy konkretnie pije coś do Julię, czy też w ogóle chce mi zakazać chodzenia z kimkolwiek. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że to przecież moja rzecz, czy mam chłopaka czy nie, ale gniewnym gestem nakazał mi milczenie.

– Nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa, dziewczyno. Od tej chwili koniec z twoimi impertyncjami. Paul – wskazał dłonią stojącego za moimi plecami mężczyznę – będzie cię od teraz zawoził do szkoły i odbierał.

– Dlaczego on? Dlaczego nie Simon? – oburzyłam się.

245

Wuj spiorunował mnie wzrokiem.

– Ponieważ Simon został zwolniony, podobnie jak Ella. Obaj nie spełnili oczekiwań, zarówno jeśli idzie o twoje wychowanie, jak i bezpieczeństwo.

– Nie możesz tego zrobić!

Zamiast odpowiedzieć, skinął głową stojącemu za moimi plecami mężczyźnie, ten chwycił mnie za ramię i wypchnął z gabinetu. W holu czekała Ella. Wyrwałam się Paulowi i padłam jej na szyję. Sztynno jak manekin pogłaskała mnie po plecach, powiedziała, że mam być odważna i jestem dość dorosła, aby radzić sobie bez niej, potem obiecała pisać i odsunęła mnie na bok. Zobaczyłam, że również ma łzy w oczach.

Pożegnała się cichym stwierdzeniem:

– Spóźnisz się do szkoły.

Paul ruszył za mną, jakby chciał mi odciąć drogę powrotu. Przed drzwiami wejściowymi czekał rolls-royce. Z wahaniem wsiałam do środka. Drzwi zamknęły się za mną z przerażającym, ostatecznym trzaśnięciem. Paul usiadł za kierownicą i odjechał. Spojrzałam przez okno. Ella stała na schodach, machając na pożegnanie. Nagle ogarnęło mnie uczucie, jakbym to ja, a nie ona miała wkrótce stąd odejść. To po prostu nie fair!

Oczywiście wjazd rolsem na parking od razu wzbudził powszechne zainteresowanie. W miarę możliwości jeszcze w samochodzie zatuszowałam ślady łez, żeby przynajmniej nie było po mnie niczego widać. Tak czy owak będę głównym tematem plotek, niekoniecznie z tego powodu.

Poranek jakoś przeżyłam. Kiedy Beth i Susan pytały z troską, co się ze mną dzieje, odpowiadałam wykrętnie, że pokłóciłam się z wujem, ponieważ zabronił mi dalszych spotkań z Julienem i z tego powodu zarządził areszt domowy.

246

O tym, co zaszło między mną a Julienem, nie pisałam słówkiem. Nie mogłam. Miałam wrażenie, iż wypowiedzenie tego głośno oznaczałoby przyznanie się przed samą sobą, że wszystko między nami skończone. Byłam wdzięczna za to, iż nie drążyły tematu i zaakceptowały moją potrzebę samotności. Pozostawienie mnie samej sobie nie przyszło im jednak łatwo, zwłaszcza Beth nie chciała odpuszczać.

W czasie przerw szukałam Julię. Bez skutku. Wszyscy, których o niego pytałam, potrzebowały tylko głowę. Tego dnia nie pokazał się jeszcze na oczy. Ścigacza też nie było na parkingu. Najwyraźniej nie przyjechał do szkoły. Czy wagarował tylko dlatego, żeby mnie nie spotkać? Całkiem możliwe. Nie wiedziałam, czy śmiać się z tego powodu, czy płakać. Podczas następnych lekcji coraz częściej łapałam się na tym, że bezwiednie obracam w dłoni komórkę. Za każdym razem wsadzałam ją z powrotem do torby wódeczka na samą siebie. Dopiero na krótkiej przerwie, tuż przed ostatnią lekcją, przełamałam się i zadzwoniłam do niego. Odebrała poczta głosowa. Przerwałam połączenie, nie pozostawiając żadnej wiadomości.

Po szkole już czekał na mnie Paul. W milczeniu otworzył drzwi rollsa i zamknął je, kiedy wsiałam. Przez przyciemnione szyby widziałam stojącą obok garbusa Beth. Patrzyła w moją stronę jak gdyby dzieliły nas lata świetlne. Raptem znowu powróciło tamto dawne, przemożne uczucie. Ponownie trafiłam do złotej klatki, ale tym razem nienawidziłam jej znacznie bardziej niż wówczas, kiedy nie zaznałam jeszcze wolności normalnego życia.

W domu powitała mnie przynębiająca cisza. Ella i Simon już wyjechali. Właściwie nie byłam zaskoczona, choć w głębi duszy miałam nadzieję, że przynajmniej będę mogła się z nimi pożegnać.

Paul zakomunikował mi, że wuj ma spotkanie w interesach i wróci dopiero wieczorem. Przyjęłam to do wiadomości i ruszy-

247

lam – właściwie sama nie wiedząc dlaczego – do kuchni. Na kuchence czekało lasagne ze szpinakiem. Ella na pożegnanie przyrządziła moją ulubioną potrawę! O mały włos nie wybuchnęłam płaczem. Jednak skoro tylko poczułam jego zapach, odeszła mnie ochota na jedzenie. Zostawiłam nietknięty obiad, zaparzyłam sobie ulubioną herbatę i wycofałam się do mojego pokoju. Rzuciłam torbę na biurko, włożyłam płytę do odtwarzacza i podciągnąwszy nogi, usiadłam na parapecie. Przez dłuższą chwilę bezwiednie obcierałam w dłoniach filiżankę, patrząc przez okno i od czasu do czasu dmuchając na parującą herbatę, żeby szybciej wystygła. Po pierwszym łyku wykrzywiłam wargi. Dzisiaj smakowała inaczej. Jakoś ciężiej, bardziej trąciła solą i miedzią. Na moment przypomniał o sobie ból w górnej szczękę i to tak silny, że odruchowo zakryłam dłonią usta. Szukając jego źródła, przesunęłam językiem kolejno po zębach, ale bez skutku. Niepewnie wzięłam następny łyk. Ból ustąpił, a po czterech albo pięciu kolejnych łykach zniknął zupełnie.

Gdy opuściłam miejsce przy oknie i przystąpiłam do odrabiania zadań domowych, na dworze było już ciemno. To znaczy właściwie próbowałam je odrabiać, ponieważ mój wzrok przez większość czasu spoczywał na komórcie. Co rusz wyciągałam po nią rękę i po chwili w powrotem cofałam. Chyba tyle samo razy wybierałam numer Julienu, lecz zawsze odpowiadała poczta głosowa, dzwonek nawet się włączył. Każdorazowo przerywałam połączenie, aż w końcu rzeczywiście przemogłam się i zostawiłam wiadomość, choć było to tylko lapidarne i bezradne stwierdzenie: „Musimy porozmawiać. Proszę, odezwij się!”.

Powoli zapadał wieczór, a ja na próżno czekałam, aż Julien oddzwoni. Z dołu co rusz docierał dźwięk trzaskających drzwi. Czasami słyszałam nawet jakieś głosy, ale były tak stłumione, że nie potrafiłam ich rozpoznać, ani zrozumieć, co mówią. Mimo-

248

wolnie nasunęło mi się pytanie, ilu mężczyzn wuj sprowadził tutaj ze sobą? Czy wszyscy byli jego ochroniarzami? Dziwne. Nie wiedziałam, że miał aż tylu wrogów, iż musiał otoczyć się całą armią.

W pewnej chwili mój żołądek przypomniał o swoim istnieniu i to z tak jednoznacznym życzeniem, iż odważyłam się opuścić pokój i zejść do kuchni. Ledwo dotarłam do górnego podestu, stojący u podnóża schodów mężczyzna obrócił się. Przez moment wbił we mnie oczy, a potem w milczeniu skinął głową. Mijając go, nieco niepewnie odpowiedziałam tym samym. W progu kuchni gwałtownie przystanąłam. Wuj stał przy mikrofalówce z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni. Chociaż byłam pewna, że szłam bezszelstnie, odwrócił się. Spojrzał na mnie w sposób chłodny i pogardliwy, tak iż poczułam się jak towar oceniany pod kątem swojej wartości i przydatności. Wraz z każdą sekundą tego niemięgo lustrowania nieprzyjemne odczucie przybierało na sile.

– Chciałam sobie tylko odgrzać kawałek lasagne – wydukałam w końcu niespokojnie, kiedy wzrok wuja i grobowa cisza stały się nie do zniesienia.

Kąciki jego ust drgnęły przez chwilę.

– Naturalnie, rób co chcesz, moje dziecko. Nie jesteś przecież więźniem, nawet jeśli masz areszt domowy – przypomniał mi raz jeszcze, po czym wskazał stojącą na kredensie filiżankę. – Chciałem ci właśnie zanieść na górę trochę twojej herbaty i życzyć dobrej nocy.

– Dziękuję. – Wykrzywiłam usta w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech. Między nami znowu zapadło nieprzyjemne milczenie. W końcu spuściłam wzrok i przesunęłam się obok niego. Lasagne wciąż jeszcze stało na kuchence. Jednak podobnie jak po południu wystarczył mi już sam zapach szpinaku i sera, żebym zupełnie straciła apetyt. Ba, jeszcze gorzej: dostałam mdło-

249

ści, dlatego pospiesznie wsadziłam naczynie z obiadem do lodówki. Widząc pytające spojrzenie wuja, bąknęłam jakieś wyjaśnienie w rodzaju:

– Jednak nie mam ochoty na lasagne. Herbatą stanowczo wystarczy.

Chwyciłam filiżankę i szybko opuściłam kuchnię. Kątem oka zauważyłam jeszcze, że przez ułamek sekundy na usta wuja Samuela wystąpił zimny, triumfujący uśmiech.

Zapach herbaty zadziałał dokładnie odwrotnie niż lasagne. Już na schodach wzięłam pierwszy łyk. Smakowała również osobliwie jak poprzednio, może nawet jeszcze bardziej trąciła solą i miedzią, jej aromat w niewytłumaczalny sposób był cięższy oraz... pełniejszy. Pewnie wuj otrzymał tym razem przez pomyłkę inną mieszankę. Podobnie jak po południu pierwszy łyk wywołał ból w górnej szczękę, ale przy drugim i trzecim dolegliwości zniknęły. Gdy dotarłam do pokoju, filiżanka była już w połowie opróżniona. Rzuciłam okiem na komórkę, chcąc sprawdzić, czy Julien nie zadzwonił. Niestety. Spakowałam na następny dzień torbę do szkoły i nagle poczułam w członkach dziwne zmęczenie, które z sekundy na sekundę przybierało na sile. Kiedy pospiesznie myślałam zęby i ubierałam koszulę nocną, miałam trudności z utrzymaniem otwartych oczu. Zdołałam jeszcze zabrać z biurka komórkę, wczółgam się do łózka, położyłam ją obok jaśka, a wtedy zmęczenie przycisnęło mnie ołowiem i skulona pod kołdrą zasnąłam.

Rankiem obudziło mnie bolesnie jaskrawe światło. Jego oślepiający blask przenikał nawet przez zamknięte powieki. Potrzebowałam dobrych paru minut, żeby dojść do siebie i zrozumieć, że nie stoję w świetle jupiterów. Rzut oka na budzik uprzytomnił mi, że nie słyszałam jego dzwonięcia i muszę się pospieszyć, jeśli chcę zdążyć do szkoły na czas. Najwyraźniej spałam jak zabita, ponieważ przegapiłam trzy telefony. Po odsłuchaniu poczty glo-

250

wowej moje nadzieje na to, że dzwonił Julien, rozwiały się. Dwa razy dzwoniła Beth, która sądząc po tonie głosu, była bardzo zaniepokojona z mojego powodu; a trzeci raz – Susan. Ona również pytała o moje samopoczucie. Wykasowałam te informacje i spróbowałam złapać Julienu. Znowu włączyła się poczta głosowa. Na dźwięk jego głosu, który z lekkim przekąsem zakomunikował: „Wiesz jak jest! Streszczaj się!”, aż ścisnęło mnie w gardle.

– Proszę, odezwij się, Julienie, musimy pogadać! Wyjaśnij mi przynajmniej, dlaczego nie chcesz mnie więcej widzieć. Proszę, zadzwoni!

Aż nazbyt dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, jak desperacko musiało to brzmieć. Przez dłuższą chwilę gapiłam się na wyświetlacz komórki, jakbym próbowała w ten sposób zmusić Julienu do zadzwonięcia, a potem z ciężkim sercem odłożyłam ją na bok i poszłam do łazienki. Może przyjdzie dzisiaj do szkoły.

Kiedy krótko potem zeszedłam z torbą pod pachą na dół, Paul czekał już u podnóża schodów. Pozwoliłam zaprowadzić się do rolisa, który podobnie jak wczoraj stał zaparkowany przed drzwiami, a następnie posłusznie wsiadłam do środka. Mężczyzna zamknął za mną drzwi i w milczeniu usiadł za kierownicą. Chociaż jechał znacznie szybciej niż ostatnim razem, nie zdołał dowieźć mnie na czas do szkoły. W sumie to i lepiej, ponieważ nie musiałam znosić ciekawskich spojrzeń.

Chytkiem wślizgnęłam się na matkę do pani Jekens, wymamrotałam jakieś „przepraszam” i udając, że nie słyszę jej kąśliwego komentarza, zajęłam miejsce obok Beth. Ledwo usiadłam, przyjaciółka bez słowa chwyciła moją dłoń i ścisnęła ją mocno. Spojrzałam na nią z wdzięcznością, usiłując przywołać na twarz uśmiech. Bez skutku.

Juliena znowu nie było w szkole. Próbowałam wiele razy złapać go przez telefon, ale wciąż zgłaszała się poczta głosowa.

251

Po fizyce na drugiej godzinie spotkałam na korytarzu dyrektora, pana Arronsa. Zatrzymał mnie i dość szorstkim tonem polecił, bym przekazała mojemu przyjacielowi – to słowo zaakcentował w taki sposób, jakby nasz związek był przestępstwem, – iż będzie miał poważne problemy, jeżeli jego ciągle, nieusprawiedliwione nieobecności wreszcie się nie skończą. W odpowiedzi skinęłam jedynie głową i uciekłam na następną lekcję. Przez większość czasu gapiłam się w okno, rozmyślając nad tym, czy Julien widział numer mojego telefonu na wyświetlaczu i dlatego nie odebrał. Ale czy w takim razie nie powinno minąć kilka dzwonek, zanim zgłosi się poczta głosowa? Na następnej przerwie pożyczłam telefon od Lizy, ponieważ jej numeru na pewno nie znał, i spróbowałam ponownie. Z takim samym skutkiem co poprzednio.

Najwyraźniej istniała tylko jedna możliwość porozmawiania z nim: spotkanie w cztery oczy. Wiedziałam jednak, że wuj Samuel nie pozwoli na to, nawet wówczas, kiedy areszt domowy dobiegnie końca. Może po prostu powinnam pójść tam teraz, w trakcie lekcji, Beth albo Susan na pewno pożyczą mi samochód... Hmm, ale jeśli będę miała pecha, to któryś z nauczycieli zgłosi moją nieobecność i wuj dowie się o wszystkim! Proszenie Paula, żeby w drodze powrotnej zahaczył o starą posiadłość, nie miało najmniejszego sensu, przełożony na pewno wtajemniczył go we wszystko. Zatem nie pozostało nic innego, jak wymknąć się z domu po zmroku. Już wcześniej, zanim wuj odprawił ochroniarzy, nie raz wyzłaziłam przez okno. Dach zimowego ogrodu, który był połączony z dużym pokojem, znajdował się około pół metra, na ukos poniżej mojego okna. Aby bezpiecznie dotrzeć na dół, wystarczyło trzymać się metalowych podpór, które scalały i wspierały poszczególne części dachowego pleksiglasu. Pozostało tylko mieć nadzieję, że ludzie wuja podobnie jak wtedy nie będą patrolować ogrodu.

252

Reszta lekcji minęła niezbyt ciekawie. Na biologii zatopiłam preparaty mikroskopowe w roztworze, którym mieliśmy je zabarwić, tak że były kompletnie nieużyteczne i musiałam jeszcze raz zaczynać wszystko od początku. Podczas przerwy obiadowej sam widok sałatki kartoflanej i pałeczki rybnej wystarczył, żebym straciła apetyt. Pod wpływem nacisków Beth kupiłam jeszcze lemoniadę oraz deser w postaci zielonej galaretki – przyjaciółka i tak dostała połowę porcji. Na WF-ie graliśmy w ręczną. Pomimo moich usilnych protestów, zostałam postawiona w bramce. Nie obroniłam ani jednego gola. Wreszcie lekcja dobiegła końca. Wzięłam długi prysznic, nie spiesząc się zanadto.

Kiedy wyszłam z hali, parking prawie świecił pustkami, tym trudniej było przeoczyć rollsa. Paul otworzył mi drzwi, informując, że wuj wyjechał w interesach i wróci dopiero wieczorem. Skinęłam głową na znak, że przyjąłem to do wiadomości, po czym wsiadłam do środka. Podróż jak zwykle upłynęła w milczeniu.

Gdy dotarliśmy do willi, wyskoczyłam z samochodu i bez słowa poszłam do domu. W środku znowu oczekiwała mnie przynębiająca cisza. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim przywyknę do braku Elli i Simona. Wszystko wskazywało na to, że zostaliśmy z Paulem sami, chociaż dochodziło już późne popołudnie. Najwyraźniej los choć raz mi sprzyjał. Oznajmiłam cerberowi, że jestem zmęczona i zamierzam uciąć sobie drzemkę, po czym ruszyłam na górę do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Chciało mi się ulubionej herbaty, ale zapanowałam nad pragnieniem. Nie mogłam sobie teraz pozwolić na marnowanie czasu i czekanie, aż woda zagotuje się, a potem herbata naciągnie. Jeśli załatwię sprawę dostatecznie szybko, to mogę zjadąć przed powrotem wuja.

Torba wylądowała przy biurku, później wygrzebałam z szafy ciemną koszulkę i dżinsy. Błyskawicznie przebrałam się, otworzyłam okno i oceniłam sytuację. W ogrodzie nie było żywego

253

ducha. Ostrożnie weszłam na parapet i zwisając na rękach, przesunęłam się w stronę zimowego ogrodu. Potem, rozpostarwszy ramiona, ruszyłam po metalowych podpórkach ku jego krawędzi. Balansowałam jak na linie. Znowu potoczyłam wzrokiem dookoła, zsunęłam się po rynnie na beczkę z wodą, a następnie zeskoczyłam na ziemię. Żeby wrócić do środka, będę musiała przebiec przez garaż, ale skoro dotarłam już tak daleko, reszta stanowiła dziecienną igraszkę.

Pochylona przebiegłam wzdłuż ściany domu aż do samego rogu od strony lasu. Czujnie rozejrzałam się wkoło i nastawiałam ucha. Od pierwszych drzew dzieliło mnie czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów. Na tym odcinku nie było niczego, za czym mogłabym się ukryć. Jeśli Paul wyjrzy przez okno w chwili, kiedy akurat będę przebiegać, to na pewno mnie zobaczy. Skoro jednak zależało mi na rozmowie z Julienem – nie miałam innego wyjścia, musiałam postawić wszystko na jedną kartę. Nie zamierzałam dłużej czekać, aż wróci do szkoły albo pan Arrons wyśle po niego policję. Wykonałam ostatni głęboki wdech i wystartowałam. Za moimi plecami panowała kompletna cisza. Kilka sekund później zanurzyłam się w cieniu drzew. Z rozędu dobiegłam jeszcze parę kroków dalej i przystanąłam zdyszana. Kiedy mój oddech w końcu wrócił do normy, odwróciłam się i spojrzałam na dom. Tonał w ciszy. Bardzo dobrze! Poszukałam ścieżki prowadzącej do posiadłości i ruszyłam pędem. Im bliżej byłam celu, tym większa ogarniała mnie niepewność. Co mam powiedzieć Julienowi? Jak zareaguje na mój widok? Czy nie będzie wściekły? Czy w ogóle zechce ze mną rozmawiać? A może wcale nie ma go w domu?

Kiedy w końcu wyszłam zza drzew, moje ręce były wilgotne od potu, a usta suche jak pieprz. Stary dom, ciemny i cichy stał na polanie skąpany w świetle wieczornego słońca. Wytarłam wnętrza dłoni o spodnie, przemogłam się i ruszyłam dalej. Okna wyglądały

254

jak powleczone pokostem z pomarańczowego złota. Pierwsze cienie zagnieżdżyły się purpurą w kątach pod dachem werandy. Wszystko jakby zastygło w bezruchu.

Obrałam najkrótszą drogę. W napięciu obeszłam róg szopy i przystanąłam, widząc że łańcuch luzno zwisa z jednego ze skrzydeł drzwi, które w dodatku było tylko uchylone i jakby samo się przymknęło. Zwykle Julien zawsze dokładnie je zamykał, nawet jeśli przebywał w domu. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Nieufnie podeszłam bliżej i ostrożnie przekroczyłam próg szopy. W środku panował ponury półmrok. Ścigacza nie było. Tylko wóz sportowy, który widziałam już dwa dni temu, stał wciąż w tym samym miejscu. Był to czarny chevrolet corvette sting ray. Niepewnie podeszłam bliżej i zajrzałam do środka przez przyściemnione szyby. Na obitym jasną skórą fotelu pasażera leżała płyta Meatloaf, poza tym nic więcej. Skąd Juliana stać na taki wóz i na ścigacza? Dlaczego słówkiem nie wspomniał o corvettecie? Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale idąc po motocykl, faktycznie ani razu nie zabrał mnie ze sobą do szopy. Czy dlatego, żebym nie widziała chevroleta? Jeszcze raz przeslizgnęłam się wzrokiem po pomieszczeniu – wyjąwszy corvette, było puste – a następnie przeszłam do posiadłości. Osobliwe uczucie niepokoju wzmoгло się, kiedy zobaczyłam, że jej drzwi również są tylko zatrzasknięte. Otworzyłam je i przekroczyłam próg domu. W korytarzu przystanąłam i po omacku zaczęłam szukać kontaktu. Odrobina światła dobrze zrobiłaby moim nerwom. Kiedy go włączyłam, rozległ się suchy trzask, na tym koniec. Wciąż było ciemno. Zakląłam w duchu.

– Julienie! – krzyknęłam, przerywając ciszę, a potem zaczęłam nastuchiwać odpowiedzi. Zero odzewu. Czy spodziewałam się czegoś innego? Nie ma ścigacza, nie ma Juliana. No dobrze, w takim razie poczekam, przynajmniej tak długo, jak będę mogła.

255

Powoli ruszyłam korytarzem i dotarłam do pokoju. Mój wzrok od razu spoczął na pamiętniku mamy. Wciąż jeszcze leżał na podłodze, dokładnie tam, gdzie spadł, kiedy Julien podskoczył jak oparzony. Dlaczego go nie podniósł? Co to miało znaczyć? Niepokój przeszedł teraz w strach. Nerwowo rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wszystkie wyglądało dokładnie tak, jak w chwili, gdy siłą wywłókł mnie z domu. Nie zamknął wtedy drzwi, ani nie zaryglował szopy. Czyżby już tutaj nie wrócił? Dlaczego? Co się stało? Uprzedził mnie, że kiedyś będzie musiał odejść, ale chyba nie tak nagle! Czyżby miał wypadek? Szybko wyciągnęłam komórke, zadzwoniłam na informację i poprosiłam o połączenie z miejscową jednostką policji. Głos mi drżał. Na pytanie, czy w ciągu ostatnich dwóch dni doszło do wypadku z udziałem motocyklisty, w którym ktoś został ranny i odwieziony do szpitala, uprzejmy oficer odpowiedział: Nie. Poza tym nie odnotowano niezidentyfikowanych denarów, ani nie aresztowano osoby odpowiadającej rysopisowi Juliana. Policjant zaproponował, abym zgłosiła zaginięcie przyjaciela, w tym celu muszę jednak pofatygować się osobiście na posterunek. Podziękowałam i odłożyłam słuchawkę. Jeśli pójdę na policję, wuj Samuel na pewno dowie się o tym. Pomijając fakt, że w ogóle nie powinno mnie tutaj być, bo przecież zabronił mi dalszych kontaktów z Julienem. Jednak coś się wydarzyło. I im dłużej o tym myślałam, tym bardziej się martwiłam. Podchodząc do sofy, jeszcze raz omiotłam spojrzeniem pokój, a potem podniosłam z podłogi pamiętnik. Starannie wyglądałam zgięte kartki, zamknęłam go i wsadziłam za pasek od spodni.

Może jednak znajdę jakąś wskazówkę, która pozwoli mi zrozumieć, co tak naprawdę zaszło? Tylko gdzie? W pierwszej kolejności przyszedł mi do głowy pokój Juliana. Nigdy w nim nie byłam, ale ponieważ znałam – przynajmniej pobieżnie – wszystkie

pomieszczenia na parterze, mógł znajdować się tylko na piętrze. Kiedy wchodziłam na górę, stopnie trzeszczały i skrzypiały przy każdym kroku. Poręcz pod palcami pokrywała gruba warstwa kurzu.

Schody kończyły się korytarzem, z którego po obu stronach odchodziły drzwi. Kawałek dalej znajdował się otwarty właz na strych. Prowadząca nań drabina nie budziła zaufania. Wszędzie leżał kurz. Nawet podłoga była nim pokryta. Odciski stóp Julien prowadziły wyraźnie do drabiny oraz sąsiadujących z nią drzwi. Nigdzie więcej. Idąc ich śladem, zajrzałam do środka. To była łazienka; cała, aż do sufitu wyłożona kremowobiałymi kafelkami, powleczonymi ledwo widocznym, niebiesko-zielonym marmurkowym wzorkiem. Na wysokości oczu, wokół całego pomieszczenia biegła bordiura ozdobiona zielonymi, niebieskimi i srebrnymi ornamentami. Pod wąskim, wysokim oknem stała wanna na nóżkach. Leżące na jej brzegu ręczniki znajdowały się na wyciągnięcie ręki od zainstalowanej w rogu półokrągłej kabiny prysznicowej. Nad zlewem wisiało zabrudzone lustro. Wyposażenia dopełniała stojaka obok toaletka.

Zawahałam się, a potem wróciłam na korytarz i jeszcze raz spojrzałam na ślady stóp Juliana. Faktycznie nie prowadziły do żadnego pomieszczenia za wyjątkiem łazienki. Jak to możliwe? Czyżby nie spał tutaj? To w takim razie gdzie? Rzuciłam okiem w głąb korytarza. Jasne kwadraty na ścianach zdradzały, w którym miejscu wisiały obrazy. Tapeta zupełnie wyblakła i poślizkała na krawędziach. Kilka drzwi było otwartych. Powoli przespacerowałam się korytarzem. Moi rodzice mieszkali tutaj – przynajmniej przez chwilę – zanim na krótko przed moimi narodzinami przenieśli się do Nowego Jorku. Tam zginęli w napadzie rabunkowym.

Nagle przystanąłam. A może w ogóle nie było żadnego napadu? Po tym, co przeczytałam w pamiętniku mamy, równie dobrze

mogło dojść do morderstwa. Poczulałam ścisk w gardle i suchota w ustach. Z trudem przelknęłam ślinę, po czym ruszyłam dalej. W napięciu i poniekąd ze strachem zaglądałam do poszczególnych pokoi. W każdym z nich stały meble zakryte białymi prześcieradłami. Dlaczego rodzice ot tak, po prostu wszystko zostawili? Pomagałam dziennik mamy. Może w nim znajdę odpowiedź? Z ubolewaniem potrząsnęłam głową. Na to będzie czas później. Teraz muszę dociec, co właściwie zaszło i gdzie jest Julien. Obliczawszy sobie w głębi ducha, że jeszcze tutaj wrócę, niezdecydowanie przesuwałam wzrokiem po ścianach. Zajrzałam do następnego pomieszczenia. Sypialnia. Tutaj także wszystkie sprzęty, włącznie z łóżkiem, okrywały białe pokrowce. Wreszcie dotarłam do ostatnich drzwi przy końcu korytarza. Były na wpół uchylone. Zawahałam się, zanim je pchnęłam. Moim oczom ukazało się pomieszczenie będące swego rodzaju połączeniem gabinetu z biblioteką. Przy dłuższej ścianie stało ukosem, częściowo skierowane w stronę wejścia eleganckie biurko z ciemnego drewna i szkła, a za nim skórzany fotel z wysokim oparciem. Ściany były zabudowane sięgającymi aż do sufitu regałami. Światło wpadało do środka przez dwa wielkie okna albo – dokładnie rzecz biorąc – wpadałoby, ponieważ na dworze zapadł już wieczór i nieubłaganie nadchodziła noc. Zwykle wuj przyjeżdżał do domu wraz z zapadnięciem ciemności. Musiałam się pospieszyć, jeśli chciałam wrócić w porę do pokoju.

Właśnie miałam wyjść, gdy moją uwagę przykuły wielkie plamy na jasnym parkiecie, które przebijały nawet przez grube warstwy kurzu. Czyżby to była...? Niemożliwe! Serce waliło mi dzikim staccato, kiedy przekroczyłam próg, ukłękłam obok jednej z nich i starłam ręką szarą warstwę. Nie, nie myliłam się. To była krew! Stara, ogromna plama krwi, która zdążyła już wsiąknąć w parkiet. Tuż obok druga, równie duża. Przez kilka sekund

popłamałam się na nie, próbując sama przed sobą przyznać, co znaczą te dwie zaschnięte kałuże: ktoś tutaj zmarł. Dwie plamy – dwoje ludzi. Tyle krwi! Kim były ofiary? Ta myśl zdawała się na tyle przerażająca, że rozum wzbraniał się, żeby dopowiedzieć ją do końca. A poza tym, czy wuj Samuel nie powtarzał, że rodzice zginęli w Nowym Jorku?

Moja ręka niemal bezwiednie powędrowała w stronę pamiętnika mamy i wyciągnęła go zza paska. Przez moment patrzyłam niezdecydowanie na wyblakłą oprawę, a potem wyszukałam wpis, na którym Julien przerwał lekturę. 10 maja rodzice jeszcze tutaj mieszkali. Zatem przeprowadzka do Nowego Jorku musiałaby nastąpić później. Mama na pewno uznałaby ją za dostatecznie ważną, aby wspomnieć o tym w dzienniku. Pospiesznie przewertowałam strony. Pozostało jeszcze tylko parę zapiszków, może dziecięć, góra piętnaście. Ostatni był datowany dwa dni po moich narodzinach. Niestety, odczytanie wyblakłego pisma sprawiło mi równie wiele trudności jak poprzednio. Wyjawszy daty, zdołałam odcyfrować ledwo kilka wyrwanych fragmentów zdań. Jednak to, co przeczytałam, bynajmniej nie wskazywało na żadną przeprowadzkę...

Przelknęłam głośno ślinę, wyciągając rękę w kierunku plam. To oznaczało, że musieli tutaj zostać zamordowani. W tej posiadłości. Ba, prawdopodobnie nawet w tym pokoju. Drżącymi dłońmi zamknęłam notatnik. A zatem wuj Samuel przez cały czas mnie okłamywał. Dlaczego? I po co przywiózł mnie znowu do tego miasta? Żeby w końcu wyjawić prawdę? W takim razie dlaczego zwlekał i nie uczynił tego już dawno temu? Mieszkałam w Ashland Falls od ponad roku! Przetarłam dłońmi twarz. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Najchętniej pobiegłabym do domu i natychmiast zażądała wyjaśnień, jednak zmusiałam się do tego, żeby wykonać kilka głębszych oddechów i spróbowałam ze-

brać myśli. Prawda o śmierci rodziców, jakkolwiek niezmiernie ważna dla mnie, i tak nie przywróci im już życia, dlatego najpierw należało odnaleźć Juliana. Musiałam dociec, co się z nim stało. Przede wszystkim dlatego, że najwyraźniej wiedział coś o moim racie... Nieco opieszale wstałam z podłogi, oderwałam wzrok od płam i opuściłam pokój.

Przed drzwiami zawahałam się. Nic nie świadczyło o tym, żeby Julien zamieszkiwał jeden z pokoi na piętrze. Jednak na parterze również nie znalazłam żadnych śladów, które by na to wskazywały... Był lamią, urodzonym wampirem. Czyżby więc obrabiał sobie piwnicę za kwaterę? Czy w tym domu w ogóle istniało coś takiego? Na odchodne jeszcze raz spojrzałam za siebie, a następnie zeszałam po schodach. Czas pomału uciekał.

Poszukiwanie wejścia do piwnicy rozpoczęłam od holu na parterze. Odnalazłam je bardzo szybko. Pod schodami znajdowały się drzwi, a stopnie za nimi wiodły w ciemną otchłań. Przez moment rozważałam, czy nie przynieść jednej ze świec, którymi po zmroku uprzyjemnialiśmy sobie nasze wieczory przy kominku, ale potem przyszła mi na myśl wpięta do pęku kluczy mała lampka halogenowa.

Wyrzebałam ją z torby, odczepiłam od reszty, wsadziłam klucze z powrotem na miejsce i oświetliłam sobie drogę wąskim snopem niebieskawego światła. Ujrzałam wnętrze murowanej piwnicy; otwartą przestrzeń tu i ówdzie przerywały masywne, czworokątne filary podtrzymujące sufit, który zarazem stanowił podłogę parteru. Obok schodów piętrzyły się stare kartony, poza tym były tu jedynie pająki, kurz i może parę myszy. Jakiś wyjątkowo dobrze odżywiony okaz przemknął właśnie po podłodze, a następnie zniknął w mysiej dziurze. Zdziwiona podeszłam bliżej do ściany, w której najwyraźniej zamieszkało stworzonko. Była zbudowana z czerwonego kamienia, natomiast trzy pozostałe z szar-

260

tego. Szybko jeszcze raz omiotłam wzrokiem piwnicę, próbując w głowie porównać jej wielkość z wielkością podłogi na parterze. Pomieszczenie było znacznie mniejsze. Istniały dwa wyjaśnienia tego faktu: albo nie podpiwniczono całego budynku albo ktoś postawił potem ściankę działową, co zresztą wyjaśniałoby jej odmienny kolor. Jeśli się nie myliłam, to nad niewidocznym, wydzielonym obszarem musiała znajdować się kuchnia. Biorąc po dwa stopnie na raz popędziłam schodami do góry i pobiegłam do kuchni. Gwałtownym pchnięciem otworzyłam drzwi mieszczącej się za nią spiżarni. Przy wszystkich czterech ścianach stały wysokie do sufitu, puste, pokryte kurzem regały. Gdy weszłam do środka, pod moimi stopami zaskrzypiały deski. Zbadałam podłogę, szukając widocznych szpar, które mogłyby wskazywać na istnienie drzwi zapadowych. Bez skutku. Znalazłam jednak szczelinę między dolną półką regału a deską po lewej stronie. Dokładniej obmacałam to miejsce i odkryłam w nim zagłębienie. Włożyłam do środka palec, leciutko pociągnęłam, a wtedy regał cicho odsłodził w moją stronę. Ujrzałam prowadzące w dół schody. Ostrożnie poświeciłam w dół latarką. Stopnie kończyły się przed następnymi drzwiami. Znowu nastawiłam uszu, żeby mieć pewność, iż jestem sama w domu, a potem zeszałam.

Za drugimi drzwiami znajdowało się małe pomieszczenie. Światło lampki padło kolejno na pobielone ściany, krzesło oraz umieszczony w najdalszym kącie materac, na którym leżało kilka zmierzłych koców. Nieopodal stał zniszczony, oparty o skrzynkę plecak. Podłoga pod moimi stopami była stara i popękana.

Opanowałam narastający niepokój. Rany boskie, przecież to zwykła nora, jakaś mnisia cela! Czy Julien faktycznie tutaj mieszkał? Dlaczego nie wybrał jednego z pomieszczeń na górze? Tylko dlatego, że wolał spać w absolutnej ciemności, a może była inna przyczyna? Wyglądało to niemal tak, jakby nie chciał, aby ktoś

261

dowiedział się o jego obecności. Czy dlatego nie sprowadził elektryka, który naprawiłby skrzynkę rozdzielczą? Światło zdradziło by, że znowu ktoś tu mieszka... Czy to rzeczywiście była kryjówka Juliana? Przed kim? W napięciu potoczyłam dookoła wzrokiem. Jeśli w ogóle znajdę jakieś odpowiedzi, to tylko tutaj.

Czułam się jak intruz, uważnie lustrując wnętrze pomieszczenia. Plecak był na wpół otwarty, wystawała zeń niedbale zwisająca koszulka. Po chwili wahania, uklękawszy na rogu materaca, przyciągnęłam go do siebie, powoli rozchyliłam i zajrzałam do środka.

Dżinsy, bluzy, parę swetrów, a między tym wszystkim mnóstwo koszułek. Dokładnie takie rzeczy, które Julien nosił na co dzień. Jeśli wcześniej potrzebowałam jeszcze dowodu na to, że coś mu się stało, to teraz trzymałam ten dowód w rękach. Nawet gdyby po zerwaniu ze mną po prostu odszedł, to chyba nie zostawiłby tutaj swoich ciuchów. Wsunęłam dłoń głębiej do plecaka i poczułam się jak zdrajczyni. Julien mi ufał, a ja teraz grzebałam w jego rzeczach. Z wielkim trudem zdołałam zapanować nad wyrzutami sumienia. Coś mu się stało! I tylko tutaj mogłam znaleźć wskazówkę, która pozwoli odpowiedzieć na pytanie: „co” oraz „dlaczego”.

Na początek wyciągnęłam plik banknotów. Po ich pospiesznym przeliczeniu aż zakręciło mi się w głowie. Kwota, którą trzymałam w dłoni, wystarczałaby na to, żeby pożyczyć sobie na niezłym poziomie i to przez dłuższy czas. Jak, do diaska, Julien zdobył tyle kasy? Z dość niemiłym uczuciem odłożyłam pieniądze na bok i szukałam dalej. Znacznie głębiej znalazłam skórzaną aktówkę. W jej przedniej kieszeni znajdowały się artykuły z gazet, wśród nich ten znany mi już z internetu, oraz parę zdjęć: stare fotografie z charakterystycznym, żółtym odcieniem i kilka wyraźnie nowszych. Jedna ze starszych fotek przedstawiała młodego, szczuple-

262

go, przystojnego mężczyznę o długich włosach, który obejmował ramieniem filigranową, przecudnej urody kobietę. Oboje siedzieli na ławce. U ich stóp klęczeli dwaj chłopcy w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, podobni do siebie jak dwie krople wody; oboje szczerzyli zęby, jakby chodziło o jakąś nagrodę. Siedząca pośrodku, między nimi dziewczynka wręcz tonęła w koronkach swojej sukienki. Mogła mieć góra pięć lat. Zaborczo ścisnęła obu małych za ręce i wydawało się, że już nigdy nie zamierza ich wypuścić.

Sama nie mogłam wyjść z podziwu, jak dobrze w słabym świetle małej kieszonek lampki potrafię rozpoznać szczegóły. Papier na rogach był postrzępiony, a zdjęcie strasznie wyblakłe i zniszczone, jednak podobieństwo obu chłopców do ojca mocno rzuciło się w oczy, natomiast dziewczynka już zdradzała znamiona odziedziczonej po matce wielkiej urody. Na odwrocie zdjęcia widniała data i zapewne miejsce, gdzie je wykonano, a poniżej parę imion.

– 1889, Marseille –

Sebastien et Claire Du Cranier
Adrien, Julien et Catherine

Przelknęłam głośno ślinę. Julien wcale nie nazywał się Du-Cranie, lecz Du Cranier i miał przynajmniej ze 125 lat!

Moje dłonie trzęsły się lekko, kiedy przeglądałam pozostałe zdjęcia. Była wśród nich kolejna, czarno-biała fotografia rodziców oraz inna, kolorowa, już znacznie nowsza. Ta ostatnia przedstawiała młodego mężczyznę; miał nie więcej niż 25 lat i ludzko przypominał Juliana. To zapewne jego brat-bliźniak, Adrien. Po-tem zdjęcie młodej kobiety, która sądząc po podobieństwie do Claire Du Cranier uwieczniona na fotce z 1889 roku, musiała być ich siostrą. Poza tym jeszcze parę innych fotografii podpisa-

263

nych: Londyn, Paryż, Genewa, a nawet Moskwa i opatrzonych datami: 1897, 1898 oraz 1900. Najwyraźniej zostały zrobione przy okazji najbardziej spektakularnych występów Adriena i Juliana. Ostatnia pochodziła z roku 1901 i powstała w Nowym Jorku, wtedy Julien doznał śmiertelnego obrażenia na skutek upadku z wysokości.

Ostrożnie zebrałam fotografie i wsadziłam z powrotem do pierwszej kieszeni teczki. Kiedy zajrzałam do drugiej, po prostu zamurowało mnie. Były tam paszporty. Siedem sztuk. Jeden niemiecki, dwa francuskie, angielski, amerykański, szwajcarski, a nawet kanadyjski. Przewertowałam je pospiesznie. W każdym widniało to samo zdjęcie, powtarzało się również imię. Jeden z francuskich paszportów wystawiono na nazwisko Julien Du Cranier, natomiast amerykański na Juliana DuCraine. W pozostałych nazwiska brzmiały podobnie, różniły się jednak pisownią. Różne były również daty urodzenia. Każdemu paszportowi odpowiadało stosowne prawo jazdy. Przez dobrą minutę gapiałam się zdumiona na te papiery, próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. No dobrze, jeśli człowiek się nie starzeje i w znacznym stopniu jest nieśmiertelny, to oczywiście musi posiadać „dopasowane” dokumenty. Ale żeby aż siedem tożsamości! Na moment zamknęłam oczy. Co jeszcze Julien ukrywał przede mną poza faktem, że jest łamią? Pieniądze, fałszywe papiery... a może rzeczywiście był uwikłany w jakieś ciemne interesy? Czy wuj Samuel miał rację?

Wuj Samuel! Cholera! Spojrzałam na zegarek. Już parę po ósmej. Na pewno zdążył wrócić do domu. Szybko wrzuciłam dokumenty z powrotem do teczki i postarałam się umieścić ją mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie została przeze mnie znaleziona. Snop światła padł na skrzynkę. Zawahałam się. Skoro miałam szansę znaleźć wskazówkę, która mogłaby odpowiedzieć mi, co stało się z Julienem, to nie powinniśmy przepuścić takiej okazji.

264

Zdecydowanym ruchem zsunęłam leżący na wierzchu sweter i otworzyłam skrzynkę.

Zmieszana zastygłam w bezruchu i oświetliłam jej zawartość. W środku również znajdowały się męskie ubrania, ale były znacznie bardziej wytworne i eleganckie od tych, które zwykły nosić Julien. Co to wszystko miało znaczyć? Parę koszulek i swetrów wyglądało na niedawno używane; potem ktoś je złożył i ponownie schował do skrzyni. W co on grał? Wolną rękę wsunęłam pomiędzy koszulki, kaszmirowe swetry i spodnie, szukając jakiegoś pożytecznego tropu; starałam się przy tym pozostawić jak najmniej śladów. Tutaj również znalazłam skórzaną aktówkę zawierającą fotografie oraz rozmaicie datowane artykuły prasowe, a poza tym zastraszającą ilość gotówki. Znowu odruchowo zadałam sobie pytanie, skąd może pochodzić, jednak natychmiast odsunęłam je od siebie. Tak czy owak nie potrafiłabym odpowiedzieć. Spośród tych wszystkich zdjęć dwa szczególnie przykuły moją uwagę. Pierwsze ewidentnie przedstawiało Juliana, nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Fotka z zaskoczenia. Zostało zrobione w warsztacie lub w garażu. Julien kłęczał w koszulce wysmarowanej olejem albo czymś jeszcze gorszym obok swojego ścigacza, trzymając w dłoniach coś co wyglądem przypominało układ wydechowy, i właśnie odwrócił się w stronę fotografa. Jego twarz rozpromieniał typowy uśmiech małego chłopca, który jest zajęty swoją ulubioną zabawką. Za nim znajdowała się otwarta brama do garażu, która na przestrzał odsłaniała cudny widok. Zachód słońca ponad ciągnącym się w oddali, poszarpanym i powleczoneym bielą łańcuchem górskim. Ze smutkiem odłożyłam to zdjęcie do pozostałych i obejrzałam drugie. Przedstawiało młodą kobietę o włosach koloru srebrny blond i anielskiej twarzy, która łagodnie uśmiechała się do oglądającego. Ponad dolnym rogiem widniał ukryty napis: *Dla A. Kocham Cię. L. Dla A.? Czyżby chodziło o Adriena?*

265

Sięgnęłam ręką do drugiej kieszeni teczki i – zgodnie z oczekiwaniami – wyciągnęłam z niej kupkę fałszywych papierów podobnych do tych, które znalazłam w poprzedniej teczce. Dowody osobiste oraz prawa jazdy. Dokładnie siedem sztuk. Z tą różnicą, że wszystkie wystawiono na Adriena, a chłopak na zdjęciu wyglądał nieco dorosłej niż ten z dokumentów ukrytych w plecaku. Poza tym figurowało w nich to samo nazwisko oraz te same daty urodzenia. Czyżby więc rzeczy ze skrzynki nie należały do Juliana, ale do jego zaginionego brata? Rzuciłam okiem na paszporty. Z każdą sekundą spędzoną w tym miejscu stawałam sobie coraz więcej pytań. Odpowiedzi jednak nie było.

Chowając rzeczy skrzynki, natrafiłam dłonią na coś twardego, co leżało ukryte dosyć głęboko, pomiędzy swetrami. Ostrożnie wyciągnęłam przedmiot i... mało brakowało, a upuściłabym go z wrażenia. Mój żołądek skurczył się gwałtownie. Jezu Chryste! Pistolet. Zaskokowana wbiłam wzrok w czarny metal. Fałszywe papiery, kupa kasy, broń... Cóż, łamie też muszą jakoś zdobywać środki na życie. Nie chciałam uwierzyć w to, co podpowiadał mi zdrowy rozsądek. To niemożliwe. Zdecydowanym ruchem schowałam pistolet na miejsce, energicznie zatraszałam wieko skrzyni i zakryłam je swetrem. Nie wierzę, aby Julien miał z tym coś wspólnego, przecież to rzeczy Adriena.

Wstając z materaca, po raz ostatni rozejrzałam się po piwnicy i wtedy przyszła mi do głowy zupełnie inna myśl. Może informacja o moim związku z Julienem jakimś sposobem dotarła do lamii i to ONE są odpowiedzialne za jego zniknięcie? Momentalnie wrócił strach, a wraz z nim uczucie paraliżującej bezradności.

Gdyby problem polegał tylko na tym, że Julien nie chce ze mną rozmawiać! Niestety, wszystko wskazywało na to, że po prostu zniknął i najprawdopodobniej wpadł w poważne tarapaty.

266

Potrzebowałam pomocy. A jednym człowiekiem, który mógł mi jej udzielić, był właśnie wuj. Nawet jeśli zabronił dalszych spotkań z Julienem, to w sytuacji, kiedy gra idzie o najwyższą stawkę, na pewno nie zostawi mnie na lodzie. Gotowa byłam pogodzić się z kłopotami, jakie z tego wynikną. Chciałam mieć pewność, że z Julienem wszystko w porządku.

Pospiesznie opuściłam starą posiadłość. Na dworze już przez dłuższy czas musiało być ciemno. Błady sierp księżycy wisiał ponad drzewami, a pomiędzy nimi zdawały się przemykać cienie. Gnałam do domu co sił w nogach. Kilka razy potknęłam się o wystające gałęzie i o mało nie zwichnęłam sobie nogi na kamieniach, lecz nie zwolniłam tempa. Kiedy w końcu dotarłam na skraj lasu, złapała mnie straszliwa kolka. Na moment przystanęłam, wyrównałam oddech i spojrzałam na stojący naprzeciwko budynek. W większości okien paliło się światło. Czyżby wuj miał gości? Kurczę, oby nie! Nie byłby zachwycony, gdyby odkrył że zlekceważyłam jego polecenie i ukradkiem wymknęłam się z pokoju. Ale jeśli przeszkodzę w spotkaniu biznesowym, to wpadnie w szal.

Może jednak będzie najlepiej, jeśli nie dowie się, że próbowałam spotkać Juliana i zgodnie z tym, co planowałam na początku, niepostrzeżenie wślizgnę się z powrotem do siebie. Teraz każda ociupina jego przychylności była na wagę złota, wołałam więc nie igrać z ogniem.

Co sił w nogach pokonałam otwartą przestrzeń między lasem a domem, potem pochyłona przebiegłam wzdłuż ściany w kierunku garażu. Przez ostatnie metry kierowałam się czerwonym, mrugającym światełkiem czujnika alarmowego. Właśnie dotarłam do drzwi, kiedy zza rogu doleciał odgłos powolnych, aczkolwiek nieprzerwanie zbliżających się kroków. Cholera, wuj Samuel zaczął swoim ludziom patrolować teren wokół domu! Prędko wklepałam na tabliczce kod dezaktywujący system alarmowy, który

267

zabezpieczał również garaż. Kroki były już niemal za rogiem, kiedy mała lampka zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Szybko wślizgnęłam się do środka i możliwie bezgłośnie zamknęłam za sobą drzwi. Przez świetlik wpadała do garażu odrobina księżycowej poświaty, która rozświetlała nieco ciemności. Tuż przed mną wyrastał masywny cień jakiegoś wielkiego samochodu. Z zapałem tchem zaczęłam nasłuchiwać dobiegających z zewnątrz odgłosów. Kroki dotarły do drzwi i przystanąły przed nimi. Usłyszałam ciche przekleństwo, jakby osoba po drugiej stronie – kłopotliwie to był – odkryła, że instalacja alarmowa jest wyłączona. Klamka poruszyła się. Czmychnęłam za stojący najbliżej samochód. Sekundę później pomieszczenie zalało elektryczne światło. Wstrzymałam oddech. Panowała kompletna cisza. Najwyraźniej mężczyzna podobnie jak ja nasłuchiwał podejrzanych odgłosów. Po dłuższej chwili doszedł chyba do wniosku, że nikogo tutaj nie ma, ponieważ zgasił lampę i zamknął drzwi. Odważyłam się wziąć oddech, w tym samym momencie usłyszałam piszczenie, które oznaczało aktywację systemu alarmowego. Gdy kroki wreszcie oddaliły się, wyciągnęłam mini lampkę i zaświeciłam ją.

Zdumiona spojrzałam na samochód, za którym przykucałam. Był to jeden z tych ciężkich, terenowych pick-up'ów, które miały reflektory na dachu, a przed osłoną chłodnicy zderzał z orurowaniem.

Od kiedy wuj posiadał taki samochód? A może wóz należał do kogoś z ochroniarzy? W takim razie dlaczego stał tutaj? Przesunęłam snopem światła po bocznej stronie pick-up'a. Jakiś błysk na powierzchni ładunkowej zwrócił moją uwagę na leżący tam przedmiot, który w znacznej części przykrywała plandeka. Chcąc sprawdzić co to takiego, wspięłam się na tylne koło i uniosłam nieco płachtę. Jezu Chryste! Sapnęłam, wbijając wzrok w fireblada. Ścigacz Juliana! Bezradnie przeknęłam ślinę. Nadawał się już

268

zabezpieczał również garaż. Kroki były już niemal za rogiem, kiedy mała lampka zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Szybko wślizgnęłam się do środka i możliwie bezgłośnie zamknęłam za sobą drzwi. Przez świetlik wpadała do garażu odrobina księżycowej poświaty, która rozświetlała nieco ciemności. Tuż przed mną wyrastał masywny cień jakiegoś wielkiego samochodu. Z zapałem tchem zaczęłam nasłuchiwać dobiegających z zewnątrz odgłosów. Kroki dotarły do drzwi i przystanąły przed nimi. Usłyszałam ciche przekleństwo, jakby osoba po drugiej stronie – kłopotliwie to był – odkryła, że instalacja alarmowa jest wyłączona. Klamka poruszyła się. Czmychnęłam za stojący najbliżej samochód. Sekundę później pomieszczenie zalało elektryczne światło. Wstrzymałam oddech. Panowała kompletna cisza. Najwyraźniej mężczyzna podobnie jak ja nasłuchiwał podejrzanych odgłosów. Po dłuższej chwili doszedł chyba do wniosku, że nikogo tutaj nie ma, ponieważ zgasił lampę i zamknął drzwi. Odważyłam się wziąć oddech, w tym samym momencie usłyszałam piszczenie, które oznaczało aktywację systemu alarmowego. Gdy kroki wreszcie oddaliły się, wyciągnęłam mini lampkę i zaświeciłam ją.

Zdumiona spojrzałam na samochód, za którym przykucałam. Był to jeden z tych ciężkich, terenowych pick-up'ów, które miały reflektory na dachu, a przed osłoną chłodnicy zderzał z orurowaniem.

Od kiedy wuj posiadał taki samochód? A może wóz należał do kogoś z ochroniarzy? W takim razie dlaczego stał tutaj? Przesunęłam snopem światła po bocznej stronie pick-up'a. Jakiś błysk na powierzchni ładunkowej zwrócił moją uwagę na leżący tam przedmiot, który w znacznej części przykrywała plandeka. Chcąc sprawdzić co to takiego, wspięłam się na tylne koło i uniosłam nieco płachtę. Jezu Chryste! Sapnęłam, wbijając wzrok w fireblada. Ścigacz Juliana! Bezradnie przeknęłam ślinę. Nadawał się już

268

tylko na złom. Karbonowa osłona była kompletnie roztraskana, poszczególne części, takie jak kierunkowskazy, uchwyty oraz podnóżki – oderwane albo straszliwie podrapane i wygięte. Z tylnego koła zwisały resztki rozerwanej na strzępy opony. Wcześniej zauważony przez mnie błysk pochodził z odbicia światła latarki w tym, co pozostało po przyciemnianej szybie.

Zmroziło mi krew w żyłach, gdy pojęłam, co to oznacza. Wuj miał coś wspólnego ze zniknięciem Juliana! Nagle poczułam się, jakby ktoś dzielił mnie obuchem w głowę. Co takiego zaszło? Czyżby wysłał za nim swoich ludzi, żeby zapobiec naszemu ponownemu spotkaniu? Dlaczego? Co z Julienem? Czy został ranny? Zważywszy stan ścigacza, trudno spodziewać się czegoś innego. To byłby cud, gdyby wyszedł z tego bez szwanku! Ciemne plamy, które – jak mi się wydawało – widziałam na powierzchni ładunkowej, równie dobrze mogły być krwią. Opuściłam plandekę.

Czy ktoś się o niego troszczył? Gdzie teraz przebywał? W szpitalu?

Dlaczego w takim razie policjant nie wiedział nic o wypadku motocyklowym?

A może tutaj w domu? Dlaczego wuj to zrobił? Jak złożyć tę układankę? Może doszło do wypadku i wuj Samuel próbował wszystko zatuszować, żeby nie zaszkodzić swojemu dobremu imieniu, albo...

Nagle coś sobie przypomniałam. Przecież nie podałam wujowi nazwiska Juliana! Na mur beton! A mimo to dwa dni temu zarzucił mi, że „zadaje się z tym bękartem DuCraine'ów”. Nie... Nie powiedział „DuCraine'ów”, lecz „Du Cranierów”!

O mało nie upadłam z wrażenia. W ostatniej chwili chwyciłam ręką krawędź. Skąd wiedział, że Julien naprawdę nazywa się Du Cranier? Co tutaj było grane?

269

tylko na złom. Karbonowa osłona była kompletnie roztraskana, poszczególne części, takie jak kierunkowskazy, uchwyty oraz podnóżki – oderwane albo straszliwie podrapane i wygięte. Z tylnego koła zwisały resztki rozerwanej na strzępy opony. Wcześniej zauważony przez mnie błysk pochodził z odbicia światła latarki w tym, co pozostało po przyciemnianej szybie.

Zmroziło mi krew w żyłach, gdy pojęłam, co to oznacza. Wuj miał coś wspólnego ze zniknięciem Juliana! Nagle poczułam się, jakby ktoś dzielił mnie obuchem w głowę. Co takiego zaszło? Czyżby wysłał za nim swoich ludzi, żeby zapobiec naszemu ponownemu spotkaniu? Dlaczego? Co z Julienem? Czy został ranny? Zważywszy stan ścigacza, trudno spodziewać się czegoś innego. To byłby cud, gdyby wyszedł z tego bez szwanku! Ciemne plamy, które – jak mi się wydawało – widziałam na powierzchni ładunkowej, równie dobrze mogły być krwią. Opuściłam plandekę.

Czy ktoś się o niego troszczył? Gdzie teraz przebywał? W szpitalu?

Dlaczego w takim razie policjant nie wiedział nic o wypadku motocyklowym?

A może tutaj w domu? Dlaczego wuj to zrobił? Jak złożyć tę układankę? Może doszło do wypadku i wuj Samuel próbował wszystko zatuszować, żeby nie zaszkodzić swojemu dobremu imieniu, albo...

Nagle coś sobie przypomniałam. Przecież nie podałam wujowi nazwiska Juliana! Na mur beton! A mimo to dwa dni temu zarzucił mi, że „zadaje się z tym bękartem DuCraine'ów”. Nie... Nie powiedział „DuCraine'ów”, lecz „Du Cranierów”!

O mało nie upadłam z wrażenia. W ostatniej chwili chwyciłam ręką krawędź. Skąd wiedział, że Julien naprawdę nazywa się Du Cranier? Co tutaj było grane?

269

Dziwnie oszołomiona zeskoczyłam z tylnego koła na cementową podłogę garażu. Wylączyłam lampkę, następnie przez kilka minut gapiałam się w ciemność, próbując uspokoić myśli i zrozumieć, co to wszystko znaczy. A jednak nie udało mi się, pomimo usilnych starań. Wręcz przeciwnie, miałam coraz większe wrażenie, że w tej chaotycznej grze brakuje jednego elementu układanki, bez którego nie zdołam uzyskać ani pojęcia kompletnego obrazu. Bądź co bądź w tej chwili liczyły się tylko dwie rzeczy: Julien był w poważnych tarapatach, natomiast wuj miał z tym coś wspólnego i dlatego nie mogłam go poprosić o pomoc. Głęboko wciągnęłam powietrze w płuca i spojrzałam w kierunku prowadzących do domu drzwi. Nie pozostało mi nic innego, jak przeczekać naszą willę, a kiedy już znajdę Juliana – jakoś go stąd wyciągnąć, przy tym oczywiście mieć nadzieję, że mój opiekun o niczym się nie dowie. Potarłam twarz dłońmi. Wuj zabronił mi sprowadzać do domu przyjaciół, a ja zawsze przestrzegałam tego zakazu, dlatego w tej chwili nie mogłam nawet prosić żadnego z nich o pomoc, nie budząc jego podejrzeń.

Kiedy ponownie opuściłam rękę, moja dłoń była zwartą w pięść. Sterczenie tu i biadolenie nic nie pomoże. Podeszłam do drzwi, które prowadziły do kuchni, i nastawiłam uszu, próbując wy badać, czy dobiegną stamtąd jakieś dźwięki. Potem nacisnęłam delikatnie na klamkę i uchyliłam je. Znowu wytryczałam słuch. Wciąż nic.

Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, wślizgnęłam się do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Światła zauważone wcześniej w oknach jadalni i salonu, były teraz zgaszone, paliło się tylko w holu. Gdzie wuj ukrył Juliana? W jednym z pokoi gościnnych na piętrze? Raczej nie. Istniało zbyt duże niebezpieczeństwo, że mogłabym coś zauważyć. A gdyby chciał, żeby wuj wiedział o obecności Juliana, nie omieszkałby powiedzieć o tym. Zatem pozosta-

270

wała tylko piwnica. Simon składał w niej zimowe opony, a wuj urządził sobie małą piwniczkę na wino, ale wchodziło się tam tylko z jego prywatnych pokoi i tak naprawdę nigdy nie widziałam jej od środka. Reszta była dość mocno zagracona, ogólnie dostępna i w znacznej mierze widoczna ze schodów. Wyjątek stanowiła kotłownia – małe, duszne pomieszczenie, w tylnej części prawego skrzydła, tuż obok piwniczki na wino. Stał tam piec gazowy. Klitka nie miała nawet okna, jedynie szyb wentylacyjny, za to dość masywne drzwi. Idealne miejsce, żeby kogoś ukryć! Drzwi wejściowe do piwnicy znajdowały się pod schodami w holu, a ten był akurat jasno oświetlony. Zakradłam się pod sam próg i wyjrzałam na zewnątrz. Ani żywego ducha, ale z gabinetu wuja docierały odgłosy ożywionej rozmowy. Na chwilę zamieniłam się w słuch, jednak nie mogąc zrozumieć ani słowa, dałam za wygraną. Jeszcze raz obejrzałam się za siebie, a potem śmignęłam na drugą stronę, do piwnicy i szybko wślizgnęłam się do środka. Zamknęłam za sobą drzwi i zapaliłam latarkę kieszonkową. Stwierdziłam, że skoro w holu paliło się światło, to nikt nie zauważył jej słabego blasku. Wciąż bacznie nasłuchując ewentualnych odgłosów, zesłam na dół. Wprowadzić wątpił, czy jakiegokolwiek dźwięki dotarłyby stąd na górę, dla ostrożności ominęłam jednak skrzypiące stopnie w dolnej części schodów.

Snop światła powędrował po skrzyniach i dawno zapomnianych rupiecicach. Nawet mój stary rower jeszcze tu stał! W porównaniu z wielką piwnicą starej posiadłości, w naszej panował niezmierny chaos. Idąc do kotłowni, słyszałam, jak moje stopy cichutko skrobą o cementową podłogę. Stanęłam przy jej drzwiach i nastawiłam uszu. Niczego nie było słychać. Pewnie nawet cicha rozmowa nie dotarłaby przez nie, a co dopiero mówić o oddechu. Przez kilka sekund patrzyłam niepewnie na połyskujący srebrno metal, w końcu powoli nacisnęłam na klamkę. W środku pano-

271

wała ciemność oraz, pomijając ciche mrużenie kotła, kompletna cisza. Po omacku znalazłam włącznik i zapaliłam wiszącą na suficie żarówkę. Pomieszczenie było dokładnie takie ciasne i duszne, jakim je zapamiętałam. Poza tym świeciło pustkami. Nie przetrzymywano tutaj Juliana. Nie wiedziałam, czy powinnam czuć ulgę z tego powodu. Czyżby mój opiekun kazał go zabrać gdzieś indziej? Ale w takim razie, dlaczego nie wyładowano tam również ścigacza? Nie! Julien był w naszym domu! Dokładnie przyjrzałam się ścianie, która oddzielała kotłownię od piwniczki wuja. Istniało tylko jedno miejsce, w którym mógł być! Żeby tam dotrzeć, musiałabym jednak przejść przez salon i gabinet! Mój wzrok powędrował w kierunku sufitu. Kurczę, że też właśnie teraz miał gościć! Nie pozostało mi nic innego, jak czekać, aż zostanie sam. Wtedy mogę spróbować wywabić go stamtąd. Albo cierpliwie poczekać do jutra w nadziei, że Julien nie jest zbyt ciężko ranny, a wuj znowu na cały dzień wyjedzie w interesach...

Na samą myśl o tym, że najprawdopodobniej tylko jedna ściana dzieli mnie od ukochanego, a ten pewnie wije się z bólu, wpadłam w rozpacz.

Może potrzebował lekarza? Wątpiłam, żeby wuj naraził się na ryzyko sprowadzenia go tutaj. Rany boskie, czy później w ogóle będę mogła zabrać Juliana na badania? Przecież każdy medyk od razu zobaczy, że nie ma do czynienia z „normalnym człowiekiem”! Gwałtownie potrząsnęłam głową, żeby wyrzucić z niej tę myśl. Najpierw muszę zabrać DuCraine’a w jakieś bezpieczne miejsce, potem przyjdzie pora na martwienie się o inne sprawy. Wylączyłam żarówkę i wróciłam schodami na górę. Przez szczeplinę w drzwiach wciąż wpadało światło, dlatego oświetliłam sobie stopnie i dopiero w ostatnim momencie wylączyłam latarkę. Właśnie wyciągałam dłoń w kierunku klamki, kiedy dobiegł mnie odgłos nadchodzących kroków i rozmowy. Na sekundę

272

zamarłam w bezruchu, a potem w napięciu pochyliłam się do przodu. Próbując oddychać możliwie jak najpłycej i zupełnie bezgłośnie, popchnęłam drzwi, aby zrobić w nich małą szparę. Wuj wraz z jednym z współników opuścił właśnie gabinet, oboje weszli do holu i kierowali się w stronę drzwi wyjściowych. Za nimi w dyskretnej odległości zmierzają ochroniarz. W pewnej chwili ominął mężczyzn, wyprzedził i wyszedł z domu, zapewne po to, żeby upewnić się, że na zewnątrz nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Oboje rozmawiali dalej, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Nieznajomy sprawiał wrażenie niepewnego i zatroskanego.

– Czy to aby nie jest trochę ryzykowne? Jeśli dziewczyna nie będzie jeszcze gotowa... – W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało powątpiewanie.

Jednak wuj Samuel ostro wpadł mu w słowo.

– Już raz tobie powiedziałem. Dziewczyna jest gotowa. Zaufaj mi, zadbałem o to. A dłużej czekać już nie możemy. Nie wiemy, co Vourdranj doniosł Książętom.

– Może trzeba było od początku kupić sobie jego lojalność.

– Lojalność Du Craniera? Jeśli ktoś jest nieprzekupny, to właśnie Vourdranj z rodu Du Cranierów. Poza tym nie wiedziałem, że bawi w mieście. Owszem, niewybaczalny błąd. Ale nawet do głowy nie przyszło mi, że ośmieli się wrócić z wygania po tym, jak sprzątnęliśmy tego drugiego...

Tego drugiego? Adriana? I... „sprzątnęliśmy”? Czyżby miał na myśli morderstwo? Pochyliłam się jeszcze nieco do przodu, próbując zrozumieć, o czym mówią.

W holu wuj uczynił pogardliwy gest ręką, a potem ciągnął dalej.

– Nie po to czekałem niemal dwadzieścia lat, aż Książniczka Strigoja będzie dość dorosła, aby móc przejść przemianę, żeby

273

teraz ryzykować wszystko ze strachu i niezdeterminowania. Nadeszła pora, zrobimy to dziś w nocy. Wróć z pozostałymi za dwie godziny.

„Przemiana”? Julien również użył tego słowa. Co to wszystko miało znaczyć?

Mężczyzna skinął głową i, kiedy podchodzili do drzwi, wymamrotał coś niezrozumiałego. Potem pochłonęła ich ciemność. Serce waliło mi w gardle dzikim staccato. Nawet jeśli nie do końca zrozumiałam, o czym mówili, to jedno było dla mnie jasne: muszę jak najszybciej znaleźć Juliana i zabrać go stąd.

Dla pewności jeszcze raz rzuciłam okiem na drzwi wejściowe, potem przemknęłam przez hol, wślizgnęłam się do gabinetu wuja, po czym na paluszkach ruszyłam w kierunku salonu. Bez przerwy spoglądałam za siebie.

W salonie paliło się kilka lamp, dając przyjemne, przytłumione światło. Mimo to natychmiast wywołam wzrokiem kręcone schody w tylnej części pomieszczenia. Na pierwszy rzut oka prowadziły tylko do góry, ale kiedy szybko przemierzłam pokój, zobaczyłam również stopnie wiodące do piwnicy. Przystanąłam i zlustrowałam je. Dolna część tonęła w egipskich ciemnościach. Światło lamp docierało zaledwie do pierwszego zakrętu. W napięciu zaczęłam nasłuchiwać ewentualnych odgłosów, wokół panowała jednak cisza jak makiem zasiał. Jeszcze kontrolny rzut oka na drzwi i zaczęłam schodzić. Wielce wątpliwe, żeby któryś z ludzi wuja siedział na dole po ciemku, czekając na takich intruzów jak ja. Za pierwszym zakrętem odważyłam się zapalić lampkę. Snop światła padł na regały z książkami. Przystanąłam zdumiona. Były wręcz zapchane woluminami, których skórzane grzbiety częściowo zdobiły złote napisy. Moje oczy zdumiewająco szybko przywykły do słabego światła; schodząc w dół, dalej wędrowałam wąskim strumieniem po wnętrzu czegoś, co ani trochę nie wyglądało na

piwniczkę z winami. Fakt, że schodami odkryłam kilka wpuszczonych w ścianę, glinianych rur, z których sterczały zakurzone szyki butelek, ale poza tym pomieszczenie przypominało raczej bibliotekę albo galerię, ewentualnie pokój wielkiego miłośnika książek i sztuki. Przy dłuższych ścianach stały sięgające sufitu regały, do granic możliwości wypełnione książkami. Na skos, naprzeciwko ostatniego stopnia schodów wzrok przykuwało potężne, mahoniowe biurko. Strumień światła rzucanego przez lampkę błysnął w solidnym kryształowym komplecie złożonym z karafka oraz koniaków, a następnie przesunął się dalej. Całą wąską ścianę za biurkiem zajmował obraz przedstawiający bitwę morską. Pod nim znajdowała się wygodna sofa oraz kilka pasujących do niej krzesel rozstawionych wokół niskiego stolika.

W niszy, niemal zupełnie ukryty, stał zdobny w zawijasy szeszlong, zaś rozmaitej wielkości lampy rozstawione na małych stolikach tylko czekały na to, aby pozwolono im zanurzyć wszystko w świetle. Tuż przy schodach, częściowo schowane pod obrazem dziewczyny znajdowało się coś, co wyglądało jak przymiotnik kontakt. Z lewej i prawej strony sofy, obok biurka i przed regałami stały rozstawione na sztalugach obrazy. Na pulpicie do czytania leżało jakieś otwarte, oprawione w skórę tomiszcz. Z wahaniem zeszedłam w końcu ze schodów. Moje stopy natychmiast zatoneły w grubym orientalnym albo indyjskim dywanie, który zakrywał całą podłogę. Zapalenie lamp natychmiast zdradziło moją obecność każdemu, kto wejdzie do gabinetu, postanowiłam więc nie korzystać z ich pomocy. Ostrożnie zapuszczałam się coraz dalej w głąb zdumiewająco przestronnego pomieszczenia. Co to było? Jakaś sekretna samotnia? Już sama myśl o tym wydała mi się niedorzeczna. Wuj zwykle nikogo nie wpuszczał do tej części domu. Nawet Elli pozwolił jedynie wchodzić do swojego pokoju. Dlaczego więc miałby tak elegancko urządzać piwnicę, a w dodatku twierdzić, że

jest zwykłym składzikiem na wino? Powiodłam światłem lampki po znajdujących się naprzeciwko książkach i obrazach. Pośrodku postawiono okazały, otwarty kominek, nad którym wisiał komplet starodawnych szabli i prawdopodobnie jeszcze starszy od nich pistolet skałkowy¹⁵, przed nim zaś leżał... Julien!

Lekceważąc wszelkie zasady ostrożności, ruszyłam pędem przez pokój. Ukłękłam przy ukochanym, a lampka wylądowała na podłodze, bezlitośnie oświetlając jego podarte rzeczy. Lewa strona ciała była jedną wielką otartą raną. Leżał zwrócony do mnie plecami, skulony, z głową schowaną w ramionach. Balam się go dotknąć.

– Julienie... – wyszeptalam, pochylając się nad nim.

Odpowiedziało mi ochryple jęknięcie. Poruszył się nieznamennie, a przy tym coś jakby cicho brzęknęło. Idąc w ślad za dźwiękiem, skierowałam wzrok na jego dłoń. Z trudem złapałam powietrze. Kajdanki! Ktoś założył mu kajdanki, a dodatkowo zakutego w ciężki łańcuch przytwierdzonego do rusztu, który był wmurowany w kominkową podłogę. Kolejne jęknięcie sprawiło, że przeniosłam spojrzenie na twarz Juliana. Właśnie próbował nieco odwrócić się w moją stronę. Niewiele pozostało po jego gibkości i elegancji ruchów. W połowie gestu zadrżał, na chwilę jakby zastygł, a potem powolutku skierował ku mnie twarz. Po lewej stronie, od czoła do szczęki, była mocno otarta.

– Julienie... – oszołomiona powtórzyłam jego imię.

Chciało mi się wyc.

– Dawn? – wymamrotał pytająco i kilka razy zamrugał.

Wyglądało na to, że dopiero teraz dotarło do niego, kto kłęczy obok. Widziałam, że wyraźnie odetchnął z ulgą, a napięcie w jego plecach ustąpiło. Po chwili jednak znowu naprężył się.

¹⁵ Pistolet skałkowy – krótka broń palna z zamkiem skałkowym, rozpowszechniona na przełomie XVII i XVIII wieku. (przyp. tłum.)

– Nie podchodź za blisko! – zażądał przerażony, odwracając głowę.

Spojrzałam na niego zakłopotana. Czyżby obwiniał mnie za to, co zrobił mu wuj? Ostrożnie położyłam dłoń na jego plecach. Jeszcze bardziej napiął się i próbował odsunąć.

– Nie podchodź! Proszę! – jęknął, chowając głowę w dłoniach, na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki. Łańcuch głośno otarł się o ruszt. Odniosłam niemal wrażenie, że słyszę coś w rodzaju gardłowego warknięcia.

Zacisnęłam mocno wargi i pochyliłam się nad Julienem, opierając za nim rękę.

– Musisz stąd uciekać. Chcę ci pomóc...

Reszta zdania uwięzła mi w gardle. Zamartłam z przerażenia. Julien zakutymi w kajdanki rękoma chwycił przegub mojej dłoni. Tak mocno, że aż poczułam ból. Tym razem warczenie było wyraźnie słyszalne. Powolutku odwrócił ku mnie twarz. Dotychczas widziałam tylko krew i otarcia, ale teraz... Jego skóra nie była już blada, lecz szara. Pod oczami miał ciemne kręgi, a źrenice przybrały kolor śmiertelnej czerni, która w swojej głębi zdawała się płońać czerwonym płomieniem. Jak urzeczona patrzyłam na ostre kły – połyskiwały złowrogo i znacznie przewyższały długością wszystkie zęby, jakie kiedykolwiek widziałam. Serce na chwilę zamarło mi w piersi, a kiedy znowu zaczęło bić, nie mogło odnaleźć dawnego rytmu. Fakt, że jego górna warga uniosła się i drżała jak u drapieżnika, który zwęszył zdobycz, bynajmniej nie polepszał sytuacji.

– Nie rozumiesz? Po raz ostatni piłem w noc poprzedzającą naszą rozmowę. Nie wiem, czy zdołam się opanować, jeśli podejdziesz za blisko.

Powiedział to błagalnym tonem, ale jego dłonie bynajmniej nie zwolniły uścisku, nawet go nie poluzowały, jakby żyły wła-

nym życiem i kierowały się własną wolą. Zauważyłam, że drżał. Wpił się wzrokiem w moje nadgarstki, które od jego ust dzieliła góra dwadzieścia centymetrów. Obliznął wargi. Pomimo panujących ciemności widziałam niebieskie tętnice pulsujące pod jego skórą. Miał krótki, urywany oddech. Wyprostował się w pół drogi, przychylił kawałek do przodu i nieco bardziej rozchylił usta.

Kły polyskiwały w świetle lampki kieszonkowej. Bezradnie przelknęłam ślinę. Zbliżyłam się za bardzo.

– O Boże, Dawn!

Niespodziewanie puścił mnie. Najwyraźniej wcześniej, pod wpływem jego uścisku nieświadomie odchyliłam się do tyłu, dlatego teraz, kiedy zwolnił go tak gwałtownie, straciłam równowagę i zatoczyłam się, a odzyskawszy ją, pospiesznie cofnęłam jeszcze bardziej. Wyciągnął ręce, jakby chciał mnie złapać i uchronić przed upadkiem, ale nie śmiał tego uczynić. Z wyrazem udręki na twarzy opuścił ramiona. Słyszając brzęk jego kajdan, szybko otrząsnęłam się z szoku. Ostrożnie podjęłam kolejną próbę podejścia bliżej. Obserwował mnie niczym zwierzę zapędzone w róg klatki, z jego gardła znowu dobyło się przeraźliwe warknięcie.

– Dawn, proszę – jęknął błagalnym tonem. – Nie!

Kategorycznie potrząsnęłam głową.

– Musisz stąd uciekać. Myślisz, że dasz radę iść?

Przesuwał wzrokiem to na mnie, to na kajdanki. Po jego minie wyraźnie widziałam, że wąpi w mój zdrowy rozsądek. Kiedy ponownie uklękłam tuż obok, poczułam ścisk w gardle.

– Mam zamiar wyprowadzić cię stąd – oznajmiłam możliwie jak najbardziej spokojnym tonem. Jednak ręka mi drżała, gdy wyciągnęłam ją w stronę Juliana nadgarstkiem do góry.

– Bierz, czego potrzebujesz.

Wbił we mnie oczy. Minęła sekunda, dwie, trzy... cała wieczność. Potem gwałtownie odsunął się z desperackim krzykiem:

278

– Nie!

– Julenie, musisz...

– Nie! Czy wciąż jeszcze nie rozumiesz? W moim stanie... Pragnienie jest zbyt silne! Nie wiem... Nie wiem, czy zdołam się opanować. Nie wiem, czy potrafiłbym przerwać w odpowiedniej chwili. Mogłbym cię zabić.

– Ale właśnie przed chwilą zdołałeś się opanować i nie ugryzłeś mnie – bezradnie próbowałam odeprzeć jego argument, podnosząc nieco wyżej rękę.

Nie do wiary! W każdej chwili wuj albo któryś z jego ludzi mógł zejść na dół, a ja dyskutowałam z wampirem, *poradon* – z lamią, czy ma pić moją krew czy nie. Czyste szaleństwo!

Julien fuknął cicho, odtrącając rękę.

– Nie rozumiesz, Dawn? To coś zupełnie innego. Ale jeśli już zakosztuje twojej krwi, to prawdopodobieństwo, że zdołam oderwać usta w porę, zanim będzie dla ciebie za późno, jest jak jeden do miliarda.

– Dasz radę. Zaufaj mi! – zapewniłam, siłąc się na spokój, chociaż serce wciąż waliło jak oszalałe.

– Ale ja sobie nie ufam! Nie teraz! Nie, jeśli chodzi o TWOJĄ krew! – naskoczył na mnie i w geście bezsilnej rozpaczki pogroził mi pięścią przed nosem.

Próbując łańcucha łączącego nadgarstki Juliana z kominkowym rusztem przypomniało mi o innym problemie. Postanowiłam chwilowo zawiesić naszą bezowocną dyskusję o krwi i zupełnie ignorując zdumiony wzrok chłopaka, skoncentrowałam całą uwagę na kajdankach. Łańcuch był przeciągnięty przez ruszt, a oba jego końce przytwierdzono do kajdanek za pomocą blokady rowerowej, która wyglądała na dosyć solidną. Julien nie spuszczał mnie z oka, przy tym odchylił się do tyłu równie mocno, jak ja pochyliłam się do przodu, żeby zbadać zamek. Zerknę-

279

łam na nieszczęśnika. Jego zęby cofnęły się w szczękę, aczkolwiek tylko odrobinę. Może to pragnienie tak wyraźnie obnażyło teraz jego prawdziwą naturę. Albo kombinacja: pragnienie plus moja bliska obecność.

Serce znowu zaczęło mi mocniej bić. Zęby Juliana zareagowały natychmiast, górna warga zmarszczyła się. Jęknął i jeszcze bardziej odchylił się ode mnie. Przeklinając siebie w duchu, zmusiłam uwagę do ponownej koncentracji na zamku. Jeśli dłużej będę tak się guzdrać, to wuj albo któryś z jego ludzi na pewno nas złapią.

To była jedna z tych nowoczesnych, masywnych zabawek. Szansa, że zdołam otworzyć blokadę bez pomocy specjalnych narzędzi do cięcia metalu, była równa minus nieskończoność, a nawet gdybym je miała – prawdopodobnie równo zeru. Również łańcuch ani ruszt nie dawały żadnego punktu zaczepienia. A zatem pozostawały tylko kajdanki, te jednak wyglądały dość solidnie. Spojrzałam na Juliana, stukając w nie znacząco palcem.

– Wiesz, gdzie wuj trzyma kluczyk?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie byłam całkiem przytomny, kiedy zakładali mi to cholerstwo. Ale podejrzewam, że je zabrał.

Sfrustrowana rozejrzałam się dookoła, próbując wyłowić wzrokiem coś, co nadawałoby się do wyłamania zamka. Mój wzrok padł na pogrzebacz, który ktoś przezorny umieścił wraz z pozostałymi narzędziami kominkowymi poza zasięgiem wycięcia. Kiedy chciałam wstać, Julien ponownie chwycił przegub mojej dłoni. Znowu zastygłam w bezruchu. Jego oczy zamieniły się w wąskie szparki, lecz nie płonęły już czerwienią, zaś ich czerń wydawała się mniej groźna. Uścisk nie był tak mocny jak poprzednio. Odważyłam się wykonać powolny wydech.

280

– Co zamierzasz? – w jego głosie wciąż jeszcze słychać było to dziwne warczenie.

Na ułamek sekundy powrócił strach, ale przekornie zdławiłam go.

– A jak myślisz?

Naprawdę nie miałam czasu odpowiadać na głupie pytania.

– Chcę cię stąd wyciągnąć – próbowałam uwolnić rękę. Oczywiście bez powodzenia. Powinam już była do tego przywyknąć.

Kategorycznie potrząsnęłam głową.

– Musisz uciekać, Dawn! Natychmiast! – zażądał i nie wypuścił dłoni.

– Tylko z tobą! – oznajmiłam z uporem w głosie, wysuwając do przodu podbródek.

Jeszcze mocniej zacisnął palce na moim ramieniu. Jedno nagłe szarpnięcie i znaleźliśmy się nieomal oko w oko.

– Nie jestem zainteresowany. Znikniesz stąd, Dawn! I to już! – jego głos zamienił się w warczenie.

Otworzyłam usta, żeby zaprzeczyć, ale mi nie pozwolił.

– Nie! Nie dyskutuję z tobą na ten temat! – nagle w jego tonie pojawiła się jakaś natarczywość. – Musisz stąd uciekać. Musisz wyjechać z Ashland Falls. I to jeszcze dzisiejszej nocy. Nikt nie może ciebie widzieć, a przede wszystkim twój wuj ani jego ludzie.

Uścisk jego dłoni zelżał, lecz ton głosu nie zmienił się. Julien mówił szybko, nie odrywając wzroku od moich oczu.

– Leć pierwszym samolotem do Paryża i idź na plac Denfert-Rochereau. Tam znajduje się wejście do paryskich katakumb. Jeden z przewodników, który oprowadza turystów po podziemnych korytarzach, nazywa się Jean-Claude Salind. Poszukaj go, podaj nazwisko swojego ojca i powiedz, że masz wiadomość dla Księcia. On zaprowadzi ciebie do kogoś, kto może ci pomóc. Po-

281

każ temu mężczyźnie pamiętnik swojej matki – musisz go ze sobą zabrać – ale tylko jemu. On zatroszczy się o ciebie.

– Ale dlaczego mam...

Puścił moje ramię i ujął w dłoń twarz.

– W tej chwili nie mogę ci wyjaśnić, dlaczego. Zrób po prostu to, co powiedziałem. Proszę! Musisz mi zaufać, Dawn – za błągał cicho, potem definitywnie puścił mnie i równie szybko jak poprzednio dodał: – W starej posiadłości pod jadalnią znajduje się ukryta piwnica. W kącie leży plecak. Znajdziesz tam pieniądze, weź je i...

– Wiem już o pieniądzach – przerwałam mu. – A także o pistolecie. Ale nie odejdę stąd. Przynajmniej dopóki nie słyszę, co jest grane. I nie odejdę bez ciebie. Kim jesteś, Julienie? Co jeszcze przemilczałeś? – zaważałam się przez ułamek sekundy, a potem zapytałam: – Dlaczego wuj cię tutaj więzi?

– Ponieważ muszę cię przed nim chronić, moja dziewczyno. Otóż twój wspaniały przyjaciel został wysłany, żeby ciebie zamordować – uprzejmie wyjaśnił za moimi plecami głos wuja Samuela.

Lampy zapaliły się i zanurzyły wszystko w swoim ciepłym świetle. Julien wyszczerzył na niego odsłonięte zęby i fuknął, mrużąc oczy pod wpływem tego nagłego zalewu jasności. Również odwróciłam się. Przeżona wędrowałam wzrokiem od jednego do drugiego.

Sens jego wypowiedzi powolutku docierał do mojego umysłu.

– To nieprawda! – próbowałam zaoponować w sposób zdecydowany i kategoriyczny, sama zauważyłam jednak, że mój głos zabrzmiał raczej jak pytanie. Skierowałam oczy na Juliana w oczekiwaniu, iż odeprze oskarżenie. Ale tego nie uczynił. Wręcz przeciwnie, unikał mojego spojrzenia, fiksując wziutkimi oczkami wuja, który zszedł z ostatniego schodka i powoli ruszył w naszą stronę. Pośrodku pomieszczenia zatrzymał się.

282

– Nie? Naprawdę nie? Dlaczego w takim razie nie zaprzeczy? – przechyliwszy nieco głowę w bok, zmierzył nas wzrokiem, a przy tym uśmiechnął się osobiście.

Coś w jego postawie nagle mnie przestraszyło.

– No to jak?

Kiedy Julien dalej milczał, jeszcze bardziej rozszerzył wargi w drwiącym uśmiechu.

– Widzisz sama, moje dziecko. Jest dokładnie tak, jak powiedziałem. Twój przyjaciel to Vourdranj. Co oznacza ni mniej ni więcej tylko „myśliwy”. To killerzy. Każdy jeden. Zabijają na rozkaz. – Uniósł na moment kącik ust. – A niekiedy również dla pieniędzy.

Pomyślałam o małej fortunie, jaką znalazłam w piwnicy starej posiadłości oraz o pistolecie. Spojrzałam na Juliana.

– To nieprawda, mam rację? – zapytałam cicho z bezradną niewiarą w głosie.

– To nie było tak... – zaczął i zamilkł udrczony.

Wciąż jeszcze unikał mojego wzroku. Nagle poczułam ścisk w gardle.

– Nie? To w takim razie jak było? – Wuj Samuel współczująco potrząsnął głową, uśmiech ani na moment nie zszedł z jego ust. – Powiem ci, jak było, moje dziecko. Twój przyjaciel przybył tutaj, żeby doprowadzić do końca zlecenie, które powierzono jego bratu.

– Co wiesz o Adrienie? Gdzie on jest? – Julien skoczył na kolana szybciej niż zdążyłam mrugnąć. Kominkowy rozeń zatrzeszczał w podstawach, kiedy łańcuch nagle naprzężył się. – Cokolwiek mu zrobiłeś, pożałujesz tego!

– Nie jesteś w stanie mi zagrozić, Vourdranj. Co się zaś tyczy twojego brata... Już nie wejdzie mi więcej w paradę. Po dzisiejszej nocy ty również.

283

Z wściekłym krzykiem na ustach Julien pociągnął za łańcuch. Oszołomiona cofnęłam się.

– Czy to znaczy, że... zabiłeś jego brata?

To był jakiś koszmar. Zaraz się obudzę. MUSZĘ się obudzić. Wuj Samuel ruszył w moją stronę, ale, kiedy zrobiłam krok do tyłu, przystanął.

– Nie miałem innego wyboru, Dawn. Jego brat przybył tutaj, żeby ciebie zamordować. Musiałem cię chronić – zapewnił gorliwie.

Cofnęłam się przejęta dreszczem zarówno na dźwięk jego słów, jak i bolesnego jęku Juliana, który przeszedł w ryk przepelniony najgłębszą nienawiścią. Wuj wyciągnął ku mnie rękę.

– Nie wyobrażasz sobie, jak wielkie było moje przerażenie, kiedy ustyszałem, że to właśnie ON jest twoim chłopakiem albo przynajmniej udawał, że nim jest.

Poczułam narastające od środka drżenie, szybko objęłam się rękoma, żeby nie ogarnęło całego ciała.

– Nie wiesz na pewno, że chciał mnie zabić – bezradnie próbowałam odeprzeć jego zarzut. Desperacko uczepliłam się tej myśli. Julien miał po temu niejedną okazję, a jednak nigdy nie wyrządził mi najmniejszej krzywdy. Wręcz przeciwnie: nawet kilka razy uratował mi życie.

Wuj z ubolewaniem pokiwał głową.

– Zabiłby ciebie, moje dziecko. Musiał doprowadzić do końca to, co zaczął jego brat. Tylko dlatego odważył się wrócić z wygnania. Po tym, jak brat zawiódł, pragnął zrehabilitować rodzinę. – Spojrzał Julienowi prosto w oczy, a jego głos przybrał pogardliwy ton. – A dla lamii honor rodziny znaczy bardzo dużo. Znacznie więcej niż cokolwiek innego. – Zaśmiał się cicho, kiedy Julien warknął, szczerząc zęby.

Zdumiona patrzyłam na wuja Samuela.

284

– Ty... ty wiesz, kim on jest?

Zamiast niego odezwał się Julien.

– Oczywiście, że wie. W końcu jesteśmy do siebie dosyć podobni. – Pochylił się nieco wprzód. – Kto to był? Kto popełnił ten błąd, żeby taką szumowinę jak ty uczynić wampirem? – Pogarda w jego głosie dorównywała tej pobrzmiwającej w tonie adwersarza.

Wuj Samuel uśmiechnął się. Zatkąło mnie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam jego kły. Rany boskie, znałam go, odkąd sięgam pamięcią. Jak mogłam nie zauważyć czegoś takiego? Ale, czy kiedykolwiek widziałam go przed zapadnięciem zroku? Nie. Czy kiedykolwiek widziałam go jedzącego? Odpowiedź była ta sama: nie. Przeżona zatopiłam paznokcie w ramionach. Wuj, wciąż uśmiechając się, podszedł do biurka i nalał sobie kieliszek. Dopiero teraz zauważyłam, że ciecz w karafce miała czerwony kolor. Żołądek automatycznie podszedł mi do gardła. Przycisnąwszy dłoń do ust, desperacko starałam się sprowadzić go na swoje miejsce.

Wuj przez chwilę obracał ciecz w kieliszku, a następnie wziął łyka i ponownie skierował wzrok na Juliana.

– Był takim samym aroganckim bękartem lamii jak ty. Aroganckim, despotycznym i durnym głupcem, który nie widział władzy nawet wówczas, gdy podtykano mu ją pod nos. Stał się mi na drodze, więc go zabiłem – wyjaśnił tak obojętnie, że bezwiednie cofnęłam się.

Julien ze świstem wciągnął powietrze w płuca i powiedział coś w języku, którego nie rozumiałam. Ton jego głosu był zimny i twardy. Wuj Samuel zaśmiał się drwiąco, po czym odpowiedział w tym samym języku. Przez sekundę mierzyli się wzrokiem.

Miałam wrażenie, że ktoś usunął mi grunt spod nóg i stoję nad przepaścią.

285

– A kiedy chciałeś wyznać jej prawdę? – to z pozoru niewin-
nie brzmiące pytanie sprawiło, że dostałam gęsiej skórki, ponie-
waż pochylał głowę w moją stronę.

Wuj Samuel prychnął.

– Dowiedziałyby się wystarczająco wcześniej, żebym...

– Nie mówię o tobie, stworzony! – Julien przerwał mu szorst-
ko i spojrzął na mnie. – Kiedy chciałeś wyjaśnić jej, że jest w po-
łowie lamia?

– Co? – Ziająca pod moimi stopami nicota groziła mi defini-
tywnym pochłonięciem. – Wujcu Samuelu! Proszę... – zwróciłam
się do niego błagalnie, lecz sama dobrze nie widziałam, o co go
właściwie proszę. Zanim zdążyłam wydobyć z siebie następne sło-
wo, Julien podjął wątek.

– Wuju... Samuelu?!

Ruszt kominkowy znowu zgrzytnął na skutek szarpnięcia
łańcucha, kiedy chłopak stanął na wpół ugiętych nogach. Wpił
się wzrokiem w wuja. Jego twarz wyrażała jednocześnie jakby zro-
zumienie i przerażenie, które następnie przeszły we wstręt i złość.

– Ty pieprzony dupku! Teraz to wszystko ma sens! – Ponow-
nie szarpnął za kajdany. Jego dłonie przypominały szpony. – To
byłeś ty! Ty zabiłeś Alexeja Tępjani i jego żonę!

– Stul pysk, Vourdranj! – wuj gwałtownie odstał na biurko
koniakówkę.

Julien nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, lecz patrząc
na mnie, szybko mówił dalej:

– Pamiętasz, co było napisane w pamiętniku twojej mamy?
Ciągle wspominała o jakimś Samie, jednym z ludzi twojego ojca.
Odnotowała, że między nim a jej mężem doszło do kłótni. To
właśnie ów Sam!

– Cooo? – tym razem mój głos przypominał zdumione jęk-
nięcie.

286

– Masz się zamknąć! – Wuj ruszył przez pokój wściekłym
krokiem, żeby uciszyć Juliana.

Ten tylko spojrzął na niego, a potem znowu skierował oczy
na mnie.

– Żaden z niego wuj. Zamordował twoich rodziców!

Zatoczyłam się i wpadłam na ścianę z grzbietów książek.
W tej samej chwili wuj Samuel dosięgnął Juliana i wymierzył mu
taki cios, że usłyszałam gruchnięcie szczęki. Julien wpadł plecami
na obudowę kominka, a potem osunął się na podłogę.

– Powiedziałem, że masz zamknąć ryja, Vourdranj – warknął,
groźnie pochylając się nad ofiarą.

– Albo co? Chcesz mnie zabić? – Julien podpierając się, wstał
powoli. – Tak czy owak przez cały czas zadaję sobie pytanie, dla-
czego jeszcze tego nie zrobiłeś? Musi być jakiś ważny powód, że
nadal żyję, dlatego daruj sobie te swoje groźby. Jestem ci do cze-
goś potrzebny, prawda? – z pogardliwym uśmiechem wytarł so-
bie krew z wargi. – Samuelu, dlaczego Alexej i jego żona musieli
umrzeć? Ponieważ nie chciał wykorzystywać córki do tego, żeby gó-
rować ponad wszystkimi innymi Książętami?

Ręka mojego wuja albo raczej mężczyzny, którego przez cały
czas uważałam za wuja, zamknęła się tuż pod brodą, wokół szyi
Juliena i przycisnęła jego głowę do ściany kominka. Próbę wyswo-
bodzenia się z tego uścisku udaremniły kajdanki. Mój rzekomy
krewny odsonił w uśmiechu długie kły.

– Jak już powiedziałem, Alex był głupcem, nie widział wła-
dzy nawet wówczas, kiedy ta spadała mu prosto z nieba.

Julien fuknął, szczerząc zęby.

– Wiesz, co Rada robi z takimi jak ty, którzy zabijają swoich
stworców?

„Wuj Samuel” ścisnął go jeszcze mocniej.

287

– To był miśczak, zakochał się w śmiertelniczce, a potem nie
chciał wykorzystać daru losu: prawdziwego dziecka miłości. Swój
jej córki. Pół lamii, pół człowieka.

– Nic dziwnego, że miałeś go za głupca – Julien ledwo zdołał
wykrztusić z siebie te słowa, ponieważ mężczyzna tak niemilosier-
nie mocno ścisnął go za gardło, że nie mógł złapać oddechu. – Nie
rozpoznałbyś miłości ani honoru nawet wówczas, gdyby przema-
szerowały tuż przed twoim nosem.

W odpowiedzi Samuel tak mocno uderzył jego głową o ka-
mienię kominka, że wydawało mi się, iż usłyszałam trzask kości.
Julien jęknął i opuścił ręce.

Zrobiłam pół kroku do przodu, ale znowu przystanąłam, kie-
dy mężczyzna, który – odkąd sięgam pamięcią – udawał mojego
wuja, pochylał się nad swoją ofiarą.

– Masz rację, Vourdranj, jesteś mi jeszcze potrzebny. To przy-
kre, lecz w tej chwili nie można już nic zmienić. Nie ma jednak
powodu, dla którego musiałbym choć sekundę dłużej znosić two-
ją przemądrzałą jadaczkę. A od zaszczytu ust jakoś nikt nie umarł.
Wielce kuszący pomysł i nie ukrywam, że miałbym ogrom-
ną ochotę to zrobić. Chciałbyś jeszcze przeżyć coś podobnego
w ostatniej godzinie swojego nędznego żywota? Wystarczy jedno
słowo, a pošlę któregoś z ludzi po igłę i nici.

Może Julien był w tej chwili zbyt oszołomiony, żeby odpowie-
dziec, a może po prostu – podobnie jak ja – nie miał wątpliwości,
że Samuel jest gotów natychmiast wcielić swoją groźbę w czyn,
tak czy owak milczał. Mój rzekomy krewniak prychnął pogar-
dliwie, a potem, rzucił jakąś inwektywę, której nie zrozumiałam,
puścił go i wyprostował się. Kiedy odwrócił wzrok w moją stronę,
zamarłam w bezruchu jak mysz na widok węża. Stojący przy ko-
minie chłopak, kaszląc i nie mogąc złapać oddechu, bezwładnie
osunął się na bok.

288

– Chodź ze mną na górę, Dawn. Porozmawiamy o wszyst-
kim, ale nie tutaj.

„Wuj” wyciągnął ku mnie rękę. Potrząsnęłam głową, to była
jedyna reakcja, na jaką zdołałam się zdobyć. Stałam jak wryta
w ziemię.

– No chodź, moje dziecko. Wprawdzie jest skuty łańcu-
chem, ale mimo to nie chciałabym zostawiać ciebie z nim sam na
sam. Jest prawdziwą bestią.

– Ty również! – wyrwało mi się. Natychmiast zakryłam dło-
nią usta i zrobiłam krok do tyłu. Znowu przywarłam plecami do
ściany książek.

Miałam wrażenie, że przez ułamek sekundy po jego twarzy
przebiegła złość, szybko jednak zapanował nad sobą i westchnął
jakby zatroskany.

– Moja droga, nie powinnaś mu wierzyć. Owszem, zrobiłem
kilka złych rzeczy, ale tylko po to, żeby ciebie chronić. – Brzmiał
niemal rozpaczliwie.

Tak bardzo chciałam mu wierzyć, jednak to, co powiedział
Julien – o zgrozo – również miało sens. A w przeciwieństwie do
rzekomego wujaszka, on nigdy mnie nie okłamał. Owszem, prze-
milczał pewne rzeczy, lecz nie robił z tego tajemnicy. Natomiast
„wuj Samuel” lgał celowo.

– Dlaczego powiedziałaś, że moi rodzice zostali zabici pod-
czas napadu w Nowym Jorku?

– Ponieważ tak było. Dawn, nie daj się...

Moje katoryczne potrząsanie głową zmusiło go do milcze-
nia.

– Czytałam pamiętnik mamy. Mieszkali tutaj. Naprzeciwno,
w starej posiadłości. Nie wyprowadzili się przed moimi narodzi-
nami.

Oczy Samuela przypominały teraz wąskie szparki.

289

– Kto ci dał ten pamiętnik? On? – wskazał ręką na leżącą postać. – To falsyfikat!

– Kłamca! Dlaczego miałbym to robić? – Julien zakaszłał, podnosząc się powoli. Samuel kopnął go w żebra, chłopak zwinął się z bólu i ponownie osunął na bok.

– Widziałam krew na podłodze w gabinecie – powiedziałam, zagłuszając jego stęknienie.

– Czego tam szukała? – naskoczył na mnie. Nagle sprawiał wrażenie niebezpiecznie czujnego.

Z jakichś bliżej nieokreślonych powodów do tej pory ludziem się nadzieję, że to wszystko jest tylko jednym wielkim nieporozumieniem. Przecież mogłam coś pominąć w pamiętniku mamy. Jego reakcja pozbawiła mnie jednak wszelkich wątpliwości. Nagle poczułam się przeraźliwie samotna, a ból i strach, przeszły w bezradną złość. Odepchnęłam się od stojących za plecami książek.

– Prawdy! – odpaliłam w odpowiedzi na jego pytanie i zanim zdążył przemówić, wyrzuciłam z siebie jednym tchem: – Czy fakt, że jestem w połowie lamii oznacza, że kiedyś stanę się taka jak wy i będę piła krew? Czy to jest powód mojej alergii na słońce? A co z porannym bólem zębów w górnej szczęce? Czy to również znak, że coraz bardziej upodabnam się do was? Co jest w herbacie, którą dla mnie sprowadziłeś, a która sprawia, że zaraz po jej wypiciu ból zębów ustaje?

Samuel spojrział na mnie z nieukrywaną złością, a Julien, usłyszawszy ostatnie zdanie, wyprostował się zatroskany.

– Herbacie? – zaszokowany powtórzył jak echo. Jego głos nadal był surowy i niejako pozbawiony tchu. – O prawie słonym, metalicznym smaku?

Kiedy skinęłam głową, dosłownie spiorunowałam wzrokiem Samuela, a potem skoczył na równe nogi i rzucił się na niego.

290

Kajdany raptownie zakończyły atak i siłą sprowadziły go na kolana. – Ty pieprzony gnojku! Ona jest jeszcze o wiele za młoda. Jak możesz to zrobić? Dobrze wiesz, co się stanie, jeśli za wcześniej wymuszisz przemianę – ryknął na Samuela, a jego głos ze złości przeszedł w dyszkant.

Wodziłam wzrokiem od jednego do drugiego. Przemiana? O jakieś przemianie, która ma nastąpić, Samuel rozmawiał ze swoim współnikiem, gdy odprowadzał go do drzwi. I o tym, że czekał dwadzieścia lat, aż Księżniczka Strigoja będzie dostatecznie dorosła, żeby móc jej dokonać. Nagle poczułam lodowate zimno.

– Ta „przemiana” to moment przeistoczenia w lamie, tak?

Oboje spojrzeli na mnie: Samuel z wyrazem pogardliwego triumfu, twarz Juliana wyrażała natomiast skrajną rozpacz. Powoli zaczerpnęłam tchu, jakby w obawie, że każda dodatkowa odrobina powietrza rozerwie mnie na kawałki.

– Czy to właśnie ma się wydarzyć za dwie godziny? Chcesz mnie wtedy zamienić w lamie? Dzisiejszej nocy?

Julien wybałuszył oczy, jakby nagle pojawił, co tu NAPRAWDĘ jest grane. Otworzył usta, ale po chwili przełknął to, co zamierzał powiedzieć, i zamknął je. Spojrzenie, które posłał Samuelowi, było jednak zabójcze.

– Ty gnoju bez skrępułów! Obys został przekleństwem! – wyduślił przez zaciśnięte zęby.

Samuel odpowiedział mu zimnym uśmiechem, po czym z drwiącą naganą potrząsnął głową.

– Ale, ale... Dokładnie rzecz biorąc to właśnie ty, Vourdranj, wszystko nieco przyspieszyłeś. Gdybyście nie pojawili się tutaj z bratem, zostawiłbym tej małej trochę więcej czasu. A tak... Kto tam wie, co naopowiadałeś Księżętom.

Julien zagryzł zęby.

291

– Księżęta o niczym nie wiedzą. Nie mają pojęcia, że tutaj jestem.

Cała jego postawa świadczyła o tym, z jak wielkim trudem przychodziło mu wypowiedzenie każdego kolejnego słowa.

– No proszę, teraz nagle stałeś się rozmowny. Jeszcze dwie noce temu plułeś na mnie, gdy o to pytałem. Jaką mam gwarancję, że nie kłamiesz, Vourdranj. Wszak powodów ci nie brak.

– Nie kłamie. Nie złożyliśmy do tej pory relacji Księżętom, ani Adrien ani ja. Nie wiedzą nawet, że wróciłem z wygnania. Spojrzal na mnie, a potem znowu skierował wzrok na Samuela.

– Nie ma powodu do pośpiechu, spokojnie możesz dać jej jeszcze trochę czasu.

Nagle poczułam, iż żebrze o moje życie.

Samuel przewrócił oczami, wzdychając przy tym teatralnie, spojrzal na sufit, położył rękę na sercu i oświadczył:

– Ach, miłość! Ona karze nam łamać prawa, poświęcać honor, ba, kornie pełzać przed wrogami – wyrecytował patetycznym tonem, po czym pochylony nad ofiarą wycedził przez zęby: – Mylisz się, Vourdranj. Istnieje jeden powód: TY. Twoja rodzina jest niemal równie stara jak jej. Byłbym głupcem, gdybym przepuścił taką okazję.

Nawet jeśli nie rozumiałam, co miał na myśli, to Julien owszem. Zerknął na mnie, a potem znowu spojrzal na niego i skinął głową.

– Daj jej więcej czasu, a ja nie będę sprawiał żadnych problemów.

Brzmiało to tak, jakby dobijali interesu.

Samuel zaśmiał się i przez moment zdawał rozważać jego propozycję, potem jakby konfidencjonalnie pochylił się jeszcze kawałek wprzód.

– Kusząca oferta, Vourdranj. Odpowiedź brzmi: NIE.

292

Julien skoczył ku niemu z wyszczerzonymi zębami. Jednak chybił celu, zaledwie o włos rozminął się z szyją Samuela i tylko dlatego, że ten w ostatniej chwili, z przekleństwem na ustach, odskoczył do tyłu. Przez kilka sekund mierzyli się rozświeczonym wzrokiem, oddaleni niecały metr od siebie. Na ustach Juliana zawisł arogancki, a zarazem niebezpieczny uśmiešek, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do tego, że zabiłby, gdyby mężczyzna podszedł dostatecznie blisko. Dotychczas dobrze ukrywał przede mną tę drugą, ciemną stronę swojego ja. Może z obawy, że gdy ją poznam, to nie będę chciała mieć z nim nic wspólnego. Faktycznie, przerażała mnie, jednak – ku mojemu własnemu zaskoczeniu – nie napawała strachem. I nie zmieniła niczego, jeśli idzie o uczucia, jakie do niego żywiłam.

Nienawiść i pogarda widoczne na twarzy Samuela były już czymś zupełnie innym.

Warknął:

– Pożahujesz tego, Vourdranj! – Po czym z wyraźnym trudem odprężył się, strzepnął z garnituru wymagowanego paprocha i wyciągnął ku mnie rękę. Na jego wargi ponownie wrócił uśmiešek.

– Chodź ze mną na górę, Dawn! – Tym razem to już nie była prośba, lecz wyraźny rozkaz.

– Nie! – potrząsnęłam głową, robiąc krok do tyłu w kierunku Juliana.

– Jak chcesz! – uśmiešek zamienił się w szyderczy półuśmiešek. – Mógłbym pomyśleć, że to déjà vu – obrzucił mnie pogardliwym wzrokiem. – Twoja matka była równie głupia jak ty, dziewczyno. Też nie chciała zostawić Alexa, ba, zaatakowała mnie nożykiem do otwierania kopert, kiedy mąż leżał już martwy. – Wzruszywszy ramionami, odwrócił się od nas i ruszył w kierunku schodów. – Zatem rozgość się tutaj, dopóki nie wrócę.

293

W połowie drogi przystanął i spojrzał na mnie.
– Nie rób sobie tylko złudnych nadziei, że zdołacie stąd uciec.
Zostawię w salonie mojego człowieka.

I nie obejrzawszy się więcej za siebie, wszedł na górę.
Nagle nogi ugięły się pod mną. Niepewnym krokiem ruszyłam w kierunku Juliana i tuż przed nim osunęłam się na podłogę. Oderwał wzrok od krętych schodów, podnosząc ręce w geście, który jednocześnie wyrażał prośbę i obronę.

– Nie podchodź! Nadal odczuwam straszliwe pragnienie! – Jego kły wciąż wyraźnie wystawały ponad innymi zębami.

Posłusznie odsunęłam się kawałek. Rozpacz ścisnęła mnie za gardło.

– Rodzice musieli z powodu umrzeć? Ich śmierć miała coś wspólnego z tym, że jestem półlamią, prawda? I do tego dziewczyną. Wszystko moja wina. I to, że Samuel chce ciebie zabić, również. Dlaczego? Co jest we mnie takiego wyjątkowego? – wyszeptalam nieszczyśnym głosem, przerywając milczenie, jakiego zapadło między nami.

Julien, na tyle, na ile mógł, pochylał się w moją stronę.

– Za żadną z tych rzeczy nie ponosisz winy, Dawn. Żadną! – wbił we mnie natarczywe spojrzenie.

– W takim razie dlaczego to wszystko?! – wybuchnęłam szlochem. Szczepie nienawidziłam tych łez, lecz nie mogłam ich powstrzymać.

Dopóki fałszywy wuj przebywał na dole, wściekłość na niego najwyraźniej trzymała mój strach w ryzach, teraz jednak pochłonięła mnie niczym gigantyczna fala.

Jakimś sposobem Julien zdołał dosięgnąć koniuszkami palców moich dłoni.

– Ponieważ ktoś taki jak ty rodzi się raz na tysiąc lat.

294

Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc. Powędrował wzrokiem w kierunku schodów, jakby chciał się upewnić, czy jesteśmy sami, po czym znowu skierował go na mnie.

– Pomijając już fakt, że nasze prawo zakazuje związków między ludźmi i lamiami, to te dwa gatunki nie są ze sobą... kompatybilne. Taki związek nie może... nie może mieć dzieci. Właściwie nie może. I zapewne dlatego Alex nie uwierzył na początku, że twoja mama jest w ciąży.

– Czyli jestem jakimś freakiem? – skonstatowałam gorzko.

– Nie! – Julien zdecydowanie potrząsnął głową. – Cudem!

I gdybyś była chłopcem, pewnie nie robiono by tyle hałasu wokół małżeństwa twojego ojca ze zwykłą śmiertelniczką. Jest tak mało lamii, że każde dziecko, które przejdzie przemianę, uchodzi za prawdziwy dar niebios. Łaskawie przyknięto by oko na piętno ciążyące na twoich narodzinach... – zawałał się. – Ale jesteś dziewczyną.

Zanim podjął wątek, ponownie spojrzał na schody. Tym razem odniosłam jednak wrażenie, że po prostu potrzebował chwili do namysłu.

– Według legendy lamia i człowiek już raz poczęli córkę. Wszystko było dobrze do czasu jej przeobrażenia. Stała się wtedy Księżniczką Strigojną, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: królową nocnych istot. Każda lamia, która potem znalazła się choćby w pobliżu niej, ulegała jej czarowi. Dlaczego tak się działo, tego do dziś nikt nie potrafi wyjaśnić, jednak wszyscy bez zezmrania spełniali życzenia Strigoji, nie mówiąc już o rozkazach. Tylko kilka bardzo starych lamii oraz stworzone przez nie stare wampiry z trudem potrafiły oprzeć się tej władzy.

Do tamtej pory lamie i wampiry żyły pośród ludzi, nierozpoznane przez nich. Księżniczka zniósła jednak stare prawa chroniące człowieka przed nimi, a nas przed dekonspiracją. Nastąpiła

295

bardzo złe czasy. Za jej panowania lamie i wampiry wszczęły ze sobą wojnę, a na domiar złego zaczęli na nie polować ludzie. Kiedy w końcu udało się zniszczyć Księżniczkę Strigoję, na świecie pozostała zaledwie garstka lamii i wampirów. Ze strachu przed powtórzeniem tego scenariusza, a zarazem całkowitym wyginięciem naszego gatunku, ustanowiono prawo zakazujące związków między lamiami i ludźmi, aby nie mogły narodzić się z nich żadne dzieci. Tego, kto złamie ów zakaz, jak również jego żonę i potomka miał czekać wyrok śmierci.

Cofnęłam ręce i opuściłam głowę.

– Czyli zabijając moich rodziców, Samuel postąpił zgodnie z prawem!

– Nie! – krzyknął Julien i walcząc z łańcuchem, próbował mnie dosięgnąć. Na próżno. – Twój ojciec pochodził z bardzo potężnego, starego rodu. Jego ojciec i dwaj wujowie to wielce szanowani Książęta, wzbudzają ogromny lęk. Istniało duże prawdopodobieństwo, że dla niego... uchylono by ten zakaz. Przynajmniej dopóki nie byłoby pewne, czy faktycznie stanowisz zagrożenie. Sądzę, że Samuelowi zależy raczej na władzy Księżniczki Strigoji. Krążą liczne legendy o niej oraz o mocach, jakie rzekomo skrywa jej krew. A jeśli zdoła podczas przemiany związać ciebie ze sobą, wówczas będzie mógł cię kontrolować, a za twoim pośrednictwem również wszystkie lamie i wampiry. – Potrząsnął głową. – Gdyby Samuel faktycznie przestrzegął prawa, to powinien był zabić też dziecko, ale tego nie uczynił. Chciał cię mieć żywą, a twoi rodzice stali mu na drodze. Poza tym – jest tylko wampirem, nie wolno mu podnosić ręki na twojego ojca. Za to grozi kara śmierci. Tylko Książętom przysługuje prawo wydawania wyroków, a przede wszystkim wyroków śmierci. I potrzeba przynajmniej trzech głosów, żeby taki wyrok nabrał mocy prawnej. Dopiero wtedy może zostać wykonany i to tylko przez Vourdranja.

296

Spojrzałam na niego.

– Przez Vourdranja. – Powoli wciągnęłam powietrze w płuca.

– Czyli miał rację, przysłano cię tutaj, żebyś mnie zabił?

Julien zamknął oczy. Na jego twarzy malował się wyraz udręki. Kilka razy potrząsnął głową.

– Niezupełnie – wyjaśnił cicho po paru sekundach. – Powierzono to zlecenie mojemu bratu. Kiedy nagle zniknął, przyjechałam, żeby ustalić, co się z nim stało. Wszystko wskazywało na to, że został zamordowany – zamilkł nagle. Przez dłuższą chwilę walczył z bólem, który wciąż jeszcze pobrzmiwał w jego głosie. Potem podjął wątek: – Postanowiłem wytropić jego mordercę i go unieszkodliwić, a zarazem dokończyć misję Adriena: znaleźć Strigoję i ją zabić. – Znowu spojrzał na mnie. – Wyruszając na poszukiwania, znałem tylko nazwę miasta i twojej szkoły. Tak więc zacząłem od tego miejsca, no i spotkałem ciebie. Ale nie wiedziałem, że jesteś Księżniczką, dopóki w pamiętniku nie przeczytałem nazwiska twojego ojca. Wtedy... już nie mogłem...

Chociaż nie powiedział tego głośno, wiedziałam, co ma na myśli. Nie mógł zabić. Zamiast tego wysłał mnie do diabła i złał mi serce!

Julien odchylił głowę do tyłu i popatrzył na sufit. Pod jego rozdartym kołnierzem błyszczał cieniutki, złoty łańcuszek.

– Tym samym po raz kolejny naraziłem na szwank honor mojej rodziny – jego cichy śmiech brzmiał gorzko. Skierował na mnie wzrok. – Ale nie żałuję tego.

Nagle spojrzał mi prosto w oczy. Wyglądał jak oczekujący na wyrok skazaniec. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co usłyszysz, przyjmie wszystko bez słowa sprzeciwu.

Powoli wyciągnęłam ręce do przodu, tak aby znowu mógł ich dotknąć. Po ustach Juliana przemknął uśmiech. Na krótką chwilę

297

jego oczy jakby odzyskały swój szarortęciowy kolor, ale zaraz znowu zrobiły się czarne. Zniknął również uśmiech.

– Musimy cię stąd wydostać.

Zamrugiałam oczami. Ta nagła zmiana tematu nieco mnie zaskoczyła.

– My? – popatrzyłam znacząco na jego kajdanki.

Powędrował spojrzeniem za moim wzrokiem, a potem znowu skierował oczy na mnie i pochylając nieco w bok głowę, zapytał poważnym tonem: – Myślisz, że sama dasz radę?

Uświadomiłam sobie, że jeśli powiem „tak”, to będzie należało, abym poszła bez niego.

Moja odpowiedź była wyraźna i jednoznaczna:

– Nie! Nigdy w życiu!

Abstrahując od tego, że nie wiedziałam, jak miałabym przejsz obok straży ustawionej przez Samuela na końcu schodów, jeśli faktycznie stał tam tylko jeden człowiek, nie zamierzałam zostawić tu Juliena na pastwę losu.

Przesunęłam dłońmi po spodniach.

– Ok, co robimy?

Podniósł się na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch i rozejrzał wkoło. Obrzucił pogardliwym spojrzeniem schody, po czym skinął głową w kierunku biurka.

– Sprawdź, czy znajdziesz tam trochę drutu, spinacze albo coś w tym rodzaju.

Pobiegłam do mahoniowego kolosa, włączyłam stojącą na nim lampkę i w wielkim pośpiechu rozpoczęłam poszukiwania. Idealnie wypolerowany blat był prawie pusty, poza skórzaną podkładką do pisania oraz kosztownym pojemnikiem na pióra, nie leżało tam nic więcej, wyjąwszy rzecz jasna, wypełnioną czerwonym płynem karafkę oraz opróżniony do połowy kieliszek. Wzdrygnęłam się z obrzydzenia, oderwałam od nich wzrok

i przystąpiłam do przetrząsania szuflad. Znalazłam ciężki czerpany papier, stylowe koperty, nożyk do otwierania listów w kształcie szpady, a nawet coś co wyglądem przypominało pieczęć i wosk. Poza tym wpadła mi w ręce jednorazowa strzykawka z igłą oraz buteleczka opatrzona etykietą „Ketamina”¹⁶ z podaną ilością substancji w miligramach.

Widziałam, że to środek uspokajający. Po co Samuel go potrzebował? Postanowiłam nie zaprzątać sobie tym myśli, uznawszy rzecz za mało istotną. Moja uwaga skoncentrowała się na najniższej szufladzie, która była zamknięta. Bez skrupułów chwyciłam za nożyk do otwierania listów i zaczęłam ją wyważyć. Potrzebowałam kilku podejść, ale w końcu odskoczyła z nieprzyjemnym trzaskiem. Drewno szpeciła teraz brzydka rysa. W środku leżały jakieś papiery, które na pierwszy rzut oka przypominały urzędowe dokumenty. Zważywszy ich pożółkły kolor, musiały mieć dobrych parę lat. Kilka z nich było złączonych spinaczami. Zdjęłam je, nie dbając o to, czy później ktoś dojdzie do ładu z tym wszystkimi i szybko wróciłam do Juliena.

Z wyraźną niecierpliwością wzięłam ode mnie jeden ze spinaczy, następnie wygiąłem go w odpowiedni sposób.

– Dlaczego wcześniej nie próbowałeś uciec? – zapytałam, obserwując jego ruchy. Zdawał się dokładnie wiedzieć, co robi.

– Ponieważ na to nie wpadłem – z gorzkim uśmiechem na ustach podniósł wygięty spinacz, a potem jego mina stężała. – I ponieważ Samuel naszprycował mnie jakimś świństwem, kiedy doszedł do wniosku, że mimo przekonujących argumentów jego ludzi, nie powiem mu tego, co chciałby usłyszeć. Nie potrafię na-

¹⁶ Ketamina oprócz wywoływania narkozy ma także działanie przeciwbólowe. Wykorzystywana jest w anestezjologii do wprowadzenia do znieczulenia złożonego oraz rzadko jako samodzielny lek anestetyczny. Ketamina stanowi jedną z najpopularniejszych używek klubowych. (przyp. tłum.)

wet sprzecywać, jak długo tutaj przebywam. Zanim się pojawiłaś, przez większość czasu byłem nieprzytomny.

Przeknęłam głośno ślinę. To do tego Samuel potrzebował ketaminę!

– Wnosząc po pragnieniu, jakie mi doskwiera, musiały to być dwie albo trzy noce – Julien gwałtownym szarpnięciem usunął łańcuch z drogi, a potem spróbował wsadzić zgiętą końcówkę spinacza w jeden z zamków. Kajdanki były tak mocno zaciśnięte, że nie pozostawiały mu najmniejszej swobody ruchów. Do tego łącząca je kłódka pozwalała tylko na wykonywanie ruchów w jednym kierunku. Dopiero czwarta próba zakończyła się sukcesem.

– Dzisiaj jest trzecia noc – pochyliłam się wprzód, żeby móc lepiej zobaczyć, co robi.

– Aha!

Jego spojrzenie i prawdopodobnie nieświadome zmarszczenie górnej wargi sprawiły, że nieco się odsunęłam.

– Przepraszam... – wymamrotałam z poczuciem winy.

Przez myśl mi nie przeszło, że Julien mógłby stanąć dla mnie jakieś zagrożenie, nawet po tym, co zobaczyłam.

– Już dobrze. Jak właściwie mnie znalazłaś? – zapytał, dłubiąc spinaczem w zamku. Zaklął głośno, kiedy drucik przez nieuwagę wyslizgnął mu się z placów i wyśladował poza zasięg ręki.

Podniosłam spinacz i podałam go Julienowi.

– Chciałam z tobą porozmawiać, ponieważ... ponieważ myślałam, że ze mną zerwałeś.

Wzdrygnął się, lecz nie skomentował tego ani słowem. Milcząc, po raz kolejny spróbował umieścić wygiętą końcówkę w zamku.

– Ale przez dwa dni nie zjawili się w szkole, a twoja komórka nie odpowiadała. Dlatego pojechałam do posiadłości. Sądziłam, że tam ciebie zastanę, jednak wszystko wskazywało na to, że już

nie wróciłeś do domu, po tym, jak... – zawałałam się i dopiero po chwili dodałam: – No tak, i wtedy zaczęłam się martwić.

Julien wciąż milczał. W międzyczasie najwyraźniej znalazł wewnątrz zamka punkt, którego szukał, ponieważ teraz poruszał drucikiem w inny sposób. Nie powiedział również ani słowa, kiedy wyznałam, że znalazłam piwnicę pod jadalnią i szukając wskazówek mogących naprowadzić mnie na jego ślad, przejrzałam plecak.

– Pomyślałam, że inne łamie dowiedziały się o nas i zabrały cię, dlatego zamierzałam nawet poprosić wujka o pomoc.

Parsknął sardonicznie, zaraz jednak zaklął pod nosem, ponieważ umieszczony wewnątrz zamka drucik zsunął się z zapadki. Mój kompan zacisnął wargi i ponownie zaczął szukać tego samego punktu.

Wzięłam głęboki wdech, a potem mówiłam dalej.

– Kiedy po powrocie wślizgnęłam się przez garaż do domu, zobaczyłam twojego ścigacza na skrzyni ładunkowej pick-up'a.

Rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym na nowo podjął walkę z zamkiem.

– To już totalny złom, prawda?

– Obawiam się, że tak – stwierdziłam ze smutkiem.

Na moment zamarł w bezruchu, jego ramiona uniosły się i znowu opadły.

– Trudno oczekiwać czegoś innego po tym jak z nim przezołkowałam.

– Przezołkowałam? – spojrzałam na niego zdumiona w nadziei, że po prostu źle usłyszałam.

Julien skinął głową, wsunął drucik nieco głębiej i ostrożnie odciągnął w bok.

– Tego wieczora, kiedy ciebie... – tak jak ja wcześniej zawałałam się. – Wtedy Samuel wysłał za mną paru swoich ludzi. Sądzi-

lem, że przyjechali na zlecenie wampira, który był odpowiedzialny za zniknięcie Adriena i że w końcu zbliżył się do typu na tyle, aby go wypłoszyć z kryjówek. Miałem rację, ponieważ.

Coś skrobno i dźwięk wyslizgnął się z zamka. Julien zaklął, ale wsadził go ponownie do środka. Zaczął mówić dalej, lecz pod wpływem napięcia i z trudem tłumionego rozdrażnienia ledwo cedił słowa przez zaciśnięte zęby.

– Zaczęli strzelać. Pomyślałem, że chcę mnie sprzątnąć, tak jak Adriena, dlatego dodałem gazu. Właściwie powinien był bez problemu zgubić pick-up'a, ale najwyraźniej ktoś go stuningował. W końcu zmęczeni się i postanowili przestrzelić mi oponę w tylnym kole. – Zerknął na mnie zza swoich długich rzęs. – Wierz mi, to żadna frajda koziółkować przy ponad 200 kilometrach na godzinę.

Niewiele myśląc, wyciągnęłam ku niemu rękę. Potrząsnął głową.

– Zapominasz, że nie jestem człowiekiem. Potrzeba trochę więcej niż wypadku motocyklowego i paru drabów, żeby mnie wyeliminować z gry. Nie wystarczył nawet upadek z liny zawieszona na dużej wysokości. Moje ciało posiada zdolność samoregeneracji i zdrowieje znacznie szybciej niż w przypadku normalnego człowieka. Na pewno pomogło mi to, że w noc poprzedzającą ten incydent zaspokoilem pragnienie i gdybym później mógł to zrobić, nie byłoby już ani śladu.

Wzdrygnęłam się. Zabrzmiało to tak, jakby wszystkie jego rany, za wyjątkiem kilku ostatnich, zbliżyły się. Wielkie nieba, w takim razie, jak musiał wyglądać zaraz po wypadku! Pomyślałam o plamach na powierzchni załadunkowej pick-up'a i stwierdziłam, że wolę tego nie wiedzieć.

– Później przywieźli cię tutaj?

302

– Tak, pamiętam, że straciłem kontrolę nad motocyklem, zaliczyłem bliskie spotkanie z asfalem, ścigacz przeleciał nad moją głową, a potem urwał mi się film. Następne ujęcie: leżę związany tu na dole, a Samuel stoi nade mną i pyta, ile Książęta wiedzą o nim i o tobie. Wtedy zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, przynajmniej z grubszą. – Po jego ustach przemknął zimny uśmiech. – Przypuszczam, że na początku pomylił mnie z Adrieniem.

W pierwszej chwili byłam totalnie skołowana, ale zaraz potem zaskoczyłam: oczywiście, są bliźniakami!

– To znaczy, on wierzy, że twój brat nie żyje, aczkolwiek nie ma co do tego absolutnej pewności? – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

Uśmiech zniknął z twarzy Juliana.

– Dokładnie tak – potwierdził cicho.

Nadzieja wyraźnie słyszalna w jego głosie ścisnęła mnie za gardło. Zanim zdołałam jakoś zareagować, ponownie skoncentrowałam uwagę na zamku, po chwili jednak znowu zastygłam w bezruchu i spojrzałam na mnie.

– Dwa dni temu... – zaczął, ale natychmiast zamilkł i bezradnie potrząsnął głową. Potem spróbował jeszcze raz od początku: – Przykro mi! Nie chciałem cię skrzywdzić. Kiedy dotarło do mnie, że to właśnie TY jesteś osobą, której szukam... Nie wiedziałem, co począć. Rozumiesz? To znaczy... Ja... Ty... Cholera! Porozmawiamy spokojnie, kiedy to wszystko się skończy. Ok? Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że jest mi strasznie przykro i z całą pewnością nie pragnę zakończenia naszego związku! – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Zamrugałam i głośno przełknęłam ślinę.

– Ok – przytaknęłam.

303

Spojrzałam na niego niemal rozpaczyliwym wzrokiem, potem skinęłam głową i ponownie skoncentrowałam się na kajdankach.

Przez dłuższą chwilę obserwowałam, jak w zaciekłym milczeniu walczy z wykrzywionym spinaczem i z zamkiem. W końcu rozległo się ledwo słyszalne kliknięcie i lewa obręcz otworzyła się. Odechnął z ulgą i mruczając z zadowolenia, zaczął potrząsać uwolnioną ręką, żeby szybciej odzyskać w niej czucie. Posłał mi cudny uśmiech, a następnie chwycił dźwięk w lewą dłoń i zabrał się za otwieranie następnego zamka. Teraz, kiedy mógł swobodnie poruszać rękoma, ten nie stawiał zbyt długo oporu i po niespełna minucie Julien definitywnie zrzucił kajdanki. Przez chwilę masował swoje nadgarstki. Podniosłam się i wyciągnęłam ku niemu rękę, żeby pomóc mu wstać. Chwycił ją szybciej niż zdążyłam złapać powietrze. Rękawy mojej koszulki były podciągnięte do łokci. Przez parę sekund oboje patrzyliśmy na niebieskie tętnice widoczne pod skórą po wewnętrznej stronie przedramienia. W jego oczach znowu pojawił się czerwony żar, który ciemniał i nabierał mocy wraz z każdym moim napiętym oddechem. Z cichym pomrukiem Julien nachylił się do przodu i lekko rozwarł usta. Stałam jak sparaliżowana, gapiąc się na niego. Suchość w gardle nie pozwalała mi przełknąć śliny. Musnęłam oddechem moją skórę i nagle zadałam sobie pytanie, czy ugryzienie będzie bolało.

– Nie!

Mimo woli wciągnęłam powietrze w usta, wydając przy tym cichy krzyk.

– Nie! – powtórzył rozpaczyliwym głosem niczym głodny, który odmawia sobie kęsa upragnionej od dawna potrawy. Puścił moje ramię tak gwałtownie, jakby go poparzyło.

– Spadajmy stąd! Następnym razem mogę się już nie opamiętać!

304

Wskazał ręką na schody. Oszołomiona ruszyłam tyłem w ich stronę. Po prostu bałam się odwrócić do Juliana plecami. Skwitowałam to smutnym skinieniem głowy, które bardziej było przeznaczone dla niego samego niż dla mnie, pochylili się po pogrzebaczu i ruszyli za mną. Przy schodach minął mnie, gestem nakazującym czekanie i absolutną ciszę, a potem wszedł po stopniach na górę.

Nastawiłam uszu. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że słyszę coś w rodzaju sapania, a potem uderzenie. Wstrzymałam oddech. Co by było, gdyby nas teraz nakryli? Na widok Juliana odechnęłam z ulgą. Wyłonił się na końcu schodów i kiwnął na mnie, wyraźnie przycisnął jednak palec do ust, nakazując milczenie. Skinęłam głową i na paluszkach zakradłam się na górę. Oczekiwał mnie w napięciu. Przystanąłam przestraszona. Na podłodze, nieopodal schodów, częściowo przesłonięte przez krzesło, leżało nieruchome ciało mężczyzny. Rozpoznałam jednego z ochroniarzy. Miał głowę przekreśloną pod bardzo dużym kątem i przetrącony kark. Na jego gardle widniały ślady krwi. Przełknęłam głośno ślinę. Julien przesunął się między mną a tym człowiekiem, odwracając moją uwagę od trupa i kierując ją na siebie. Czy wzrok mnie mylił, czy faktycznie miał krew w kącikach ust? Oderwałam od nich oczy. Ponownie nakazał mi być cicho i ręką wskazał drzwi prowadzące do gabinetu Samuela. Były lekko uchylone. Dobiały zza nich odgłosy ożywionej męskiej rozmowy. Właśnie odezwał się „wujaszek”. Nie rozumiałam co, mówił, lecz odpowiedział mi przytakujący pomruk. Nicco bezradnie spojrzałam na mojego towarzysza. Salon znajdował się na tyłach domu. Prowadziły do niego tylko te jedne drzwi. Julien w lot pojął, o co chodzi, skinął głową w kierunku okien, przed którymi wisiały zaciągnięte kotary i kierując się w ich stronę, bezszelestnie przemierzył pokój. Jego ruchy odzyskały dawną kocią gibkość. Chociaż zaspokoilem pragnienie, wciąż trzymał między nami bez-

305

pieczny dystans, jakby sam sobie nie ufał. Szybko podążyłam za nim, starając się być równie cicho.

Dotarłam do niego, dokładnie w chwili, kiedy wyciągał rękę w stronę klamki okiennej. Chwyciłam go za ramię. Zastygł w bezruchu i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– System alarmowy! – wyszeptałam bezgłośnie.

Z sykiem opuścił dłoń, przez chwilę nasłuchiwał odgłosów dobiegających z sąsiedniego pokoju, a potem pochylił się do przodu, żeby sprawdzić sytuację na dworze. Właśnie odwrócił się w moją stronę, gdy w gabinecie zaszurzały krzesła. Nie minęła nawet sekunda, a drzwi otworzyły się i do salonu wpłynęło światło. Potem wszystko wydarzyło się równocześnie. Usłyszałam zdumiony okrzyk. Julien rzucił pogrzebaczem w stojących w drzwiach mężczyzn, gwałtownie otworzył okno, wtedy alarm zaczął wycieć w niebiegłoty, tak że można było ogłuchnąć; DuCraine chwycił mnie w pasie, podniósł wysoko i ani się nie spostrzegłam, jak wylądowałam na trawniku. Samuel wyrykiwał rozkazy. Jak spod ziemi wyrósł obok mnie Julien, złapał moją rękę i pociągnął za sobą. Biegłam co sił w nogach, na oślep, nie wiedząc dokąd. Za naszymi plecami rozległy się głosy. Skręciliśmy za róg, poslizgnęłam się i wpadłam na Julię, ale on pędził dalej, nie zważając na nic. Alarm ucichł.

Trawa pod moimi stopami zamieniła się w żwir. Podjadłam. Zrozumiałam, że biegniemy na ulicę. Ulica jest miejscem publicznym, a miejsce publiczne oznacza ludzi. Gdybyśmy zostali złapani, nie mogliby nas na oczach świadków siłą zaciągnąć z powrotem. Żwir skrzypiał pod stopami naszych prześladowców. Ktoś objął mnie w pasie, podniósł i pociągnął do tyłu. Poczulałam bolesne szarpnięcie, moja dłoń nie trzymała już dłoni Julię. Chłopak wykonał gwałtowny obrót, wyszczerzył zęby i pokazał

306

szpony. Zaczęłam bić na oślep, wierząc nogami i krzycząc jak szalona w nadziei, że ktoś mnie usłyszy.

– Ucisz ją! – rozkazał Samuel.

Czyjaś ręka spoczęła na moich ustach, dławiąc krzyk i utrudniając oddychanie. Zaczęłam ciężko sapać, rzucać się jak w ukropie i rozpaczliwie targać ramię napastnika. Skóra pod moimi palcami była niczym zimny, powleczony woskiem marmur.

Za plecami usłyszałam dziki, wściekły ryk. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos Julię. Moje płuca domagały się powietrza. Desperacko wierznęłam. Ręka docisnęła jeszcze mocniej. Przed oczami widziałam migotanie mgły – ciemnej, a zarazem przesiąkniętej jaskrawymi plamami. Wyniesiono mnie, nie bacząc na bezradny opór, który stawiałam. Do moich uszu docierały fuknięcia, warczenie i dziwne, glucho odgłosy. Twarze przesuwały się obok jak w kalejdoskopie. Światło, książki, schody. Kierunek w dół. W końcu zostałam posadzona na szeslongu. Ręce puściły mnie wolno. Powietrze! Chłonęłam je tak łapczywie, że aż zaczęłam kaszleć. Mój wzrok powoli odzyskiwał zdolność widzenia. Poczulałam ścisnącą za gardło rozpacz, ta równie bardzo pozabawiała tchu, co przyciśnięta wcześniej do ust ręka. Znowu byłam w piwnicy! Nade mną stał jeden z ochroniarzy. W głowie kołatały mi tylko dwie myśli: *Co z Julię?* i: *Ucieka!* Nadepnęłam mężczyznę na stopę. Sapnął zaskoczony i cofnął się o krok. Wstałam, chwytając krokiem ruszyłam w kierunku schodów. Dostałam cios od tyłu i upadłam na kolana. Nagle przed oczami wyrósł mi ostatni stopień, a ból i ciemność eksplodowały w głowie, wysyłając mnie prosto w wielką pustkę.

307

Krew

Nade mną unosiły się twarze dwóch mężczyzn. Przypomniałam sobie, skąd ich znam. Byli to współnicy „wuj”. Za nimi rozpoznałam sylwetki paru innych drabów, wspólnie próbowali związać rozwścieżonego Julię. Chłopak na skutek ciosu rąbnął w regał z książkami. Pulpit do czytania upadł z hukiem na podłogę i pękł na kawałki. Jęknęłam: „Julienie...”, po czym cofnęłam się, widząc nad sobą pochylonego Samuela.

– Twój odważny, honorowy Vourdranj.

Odsonił kły w drwiącym uśmiechu.

– Mógł uciec, gdyby cię zostawił. Ale gdzie tam, nie odstąpił cię ani na krok. Jeśli będziesz grzeczna i zrobisz, co ci każę, to może będziesz mogła go zatrzymać... Co ty na to? Dobry pomysł? Cieszysz się? Chciałabyś taką zabawkę tylko dla siebie?

Patrzyłam na niego dziwnie oszołomiona i bezradna. Mówił, jakbym była małym dzieckiem. Nie spuszczając oczu ze mnie, dał znak otaczającym nas mężczyznom. Zostałam chwycona za ramię i nogi. Zaczęłam krzyczeć, rzucałam się i kopałam, lecz równie dobrze mogłabym walczyć ze skałą. Zapewne tak jak on byli wampirami. Moje ramię zostało odciągnięte w bok i boleśnie napięte. Któryś z drabów obwiązał je powyżej łokcia cieniątką,

308

gumową rurką i mocno ścisnął. Jak spod ziemi wyrósł przede mną Samuel ze strzykawką. Wierzałam i piszczałam. Ostrożnie wycisnął z igły stróżkę żółto-brązowej cieczy. Potem w zgieściu łokcia wyszukał żyłę. Za moimi plecami Julien ryknął przeraźliwie:

– Nie!

Poczulałam ukłucie, a Samuel nacisnął kolbę strzykawkę. Ciecz dotarła do krwi i rozpałała ją żywym ogniem. Krzyknęłam. Świat eksplodował feerią barw, jaskrawości i bólu. Mężczyźni puścili mnie. Zwinęta w kłębek wilałam się, kwiliłam, jęczałam i wrzeszczałam z bólu, paląc się od środka i czując, że górna szczeka roztopia się niczym lawa. Jak przez mgłę słyszałam wściekły, zniekształcony głos Julię, warczenie Samuela oraz plaśnięcie. Wszystko rozpadło się na ciemność i katusze.

Kiedy świat wokół mnie znowu zaczął składać się w całość, leżałam już na czymś miękkim. Marzłam i płonęłam jednocześnie. Moje członki drżały, chociaż nie mogłam się ruszyć. Lekko zamrugałam i jęknęłam cichutko, kiedy niespokojny blask światła poraził moje oczy. Pragnienie! Wręcz umierałam z pragnienia! Jakież cienie pochylały się nade mną. Jeden bardziej niż pozostałe. Wcisnęto mi coś do ust.

– Pij, dziewczyno – powiedział głos tuż przy moim uchu.

Za mną ktoś krzyknął:

– Nie!

Głos obok warknął. Usłyszałam plaśnięcie i huk, a potem jęk. Ponownie zamrugałam i spróbowałam podnieść głowę, żeby ustalić, skąd dobiegają te odgłosy. Wokół mnie stały rozstawione metalowe mise, w których płonął ogień. Wszystko wciąż jeszcze było zamazane i rozmyte. Zanim zdążyłam rozpoznać coś więcej, jakaś ręka chwyciła mój podbródek i odwróciła głowę do tyłu. Znowu przystawiono mi szklankę do ust. Tym razem bardziej kategorycznie.

309

– Pij! – powtórzył głos.

Ciecz przeszła przez wargi i wpłynęła do gardła. Była słona, gorzka i zwietrzała. W górnej szczęce eksplodowały ból oraz żądz. Moje ręce uniosły się. Kurczowo ścisnęłam szklankę w obawie, że ktoś mi ją zabierze. Piłam, jakbym konała z pragnienia. Chłód i pieczenie ustąpiły. Nade mną gruchnął rozbawiony śmiech. Nieopodal, za moimi plecami ktoś jęknął. Żołądek skręcał mi się z bólu. Krzyknęłam i wyplułam to, co właśnie miałam w buzi. Wokół rozległo się zaskoczony i gniewny mamrotanie. W moim brzuchu szalało jakieś monstrum z pazurami, które od środka rozrywało go na strzępy. Objęłam się w pasie, a potem zgięłam w pół, wijąc i jęcząc. Znowu ktoś chwycił mnie za podbródek i przystawił szklankę do ust. Broniłam się, wiałam jak piaskor, próbując odepchnąć od siebie Samuela. To właśnie jemu „zawdzięczałam” teraz stalowy uścisk.

Coś we mnie wyło ze strachu, chociaż otumaniony umysł zupełnie nie wiedział, dlaczego. Moje usta ponownie wypełniła ciecz. Za dużo, za szybko. Zaczęłam się krztusić, kaszleć i dławić. Potwór jeszcze głębiej zanurzył szpony w moim brzuchu. Z bólu nie mogłam oddychać, ciężko dysząc i jęcząc wiałam się na szezlongu, który jakimś sposobem zawędrował na środek pokoju.

Samuel syknął, siłą otworzył mi usta i wlał do środka ciecz.

– Pij! – fuknął.

Ponownie zachłysnęłam się. Następny potok zalał moje gardło. Nie mogłam złapać powietrza. Zaczęłam desperacko wymachiwać pięściami i jednocześnie próbowałam odepchnąć go od siebie. Trafiłam ręką na jego ramię. Kieliszek przechylił się, a cała zawartość chlusiła na mnie. Samuel zaklął i puścił chwyt. Upadłam z powrotem na szezlong. Znowu usłyszałam mamrotanie nad głową. Wyraźnie pobrzmiwała w nim troska. Rozgiewany „wuj” uciszył je.

310

– Przyprowadź go! – rozkazał szorstko.

Za moimi plecami rozległ się szelest i szuranie. Dwóch bladych mężczyzn wywlokło z ciemności po drugiej stronie ognia trzeciego. Pochwycony walczył z ich uściskiem pełen złości i desperacji. Mrugałam tak długo, aż go rozpoznałam. To był Julien! Wampiry musiały użyć całej swojej siły, żeby przytrzymać nie-szczęśnika. Spojrzał na mnie. Jego twarz wyrażała przerażenie i udrękę. Jedna wykręcona ręka spoczywała na plecach, a drugą ciągnęli go do przodu. Stawiał zacieklej opór. Nagle w dłoni Samuela błysnął nóż. Mężczyźni obrócili przedramię chłopaka wewnętrzną stroną do sufitu. Osobnik podający się za mojego wuja z uśmiechem na ustach naciął mu żyły wzdłuż. Julien fuknął z bólu. Jego ręka zeszywniała. Z rany trysnęła krew. Patrzyłam zafascynowana, jak spływa po skórze i kapie na podłogę.

W górnej szczęce znowu odezwał się ból. Tym razem poczułam, że rosną mi kły! Julien całym ciałem stawiał opór, kiedy wampiry pociągnęły go do przodu, w moją stronę. Dopiero po dłuższej chwili zdołały zmusić go do tego, aby udknęła przede mną na kolanach i wtędy podsunęły mi pod nos jego ramię. Krew polyskiwała w świetle ognia niczym ciemne rubiny. Wołała mnie. Pochyliłam się do przodu i ujęłam w dłonie jego rękę.

– Dawn, nie! – jęknął boleśnie, gdy zatopiłam kły w przegubie.

Krew wypełniła moje usta. Przełknęłam ją. Była słodka a zarazem słona. Zostawiła na języku posmak miodu, miedzi i aksamitu. Przypominała trochę napój, który Samuel próbował przed chwilą we mnie wmusić, miała jednak znacznie pełniejszy, ciemniejszy i bardziej czysty aromat. Płynęła ciepła między wargami. Nieprzerwany strumień pulsujący w rytmie uderzeń serca Juliana. Bestia w moim brzuchu schowała pazury i skuliła się w kłębek, mrucząc z rozkoszy. Piłam jak zahipnotyzowana, nie mogąc prze-

311

stać. Po chwili zauważyłam, że chłopak ma nierówny puls, a bicie serca ustaje.

Nagle wrócił mi zdrowy rozsądek i oprzytomniałam. Przerazona własnym zachowaniem otworzyłam oczy. Obiema dłońmi ścisnęłam kurczowo ramię Juliana, a z rany na przegubie wciągnęły płynęła krew. Na dodatek moje zęby pozostawiły w jego skórze małe dziurki okolone czerwoną obwódką. Szklistem wzrokiem patrzyłam na niego z przerażeniem, a zarazem fascynacją. Wampiry wciąż mocno go trzymały. Kilka razy jakby w zwolnionym tempie zamrugał oczami. Jego place poruszyły się w mojej dłoni. Nieznaczne drgnięcie zwróciło moją uwagę na czerwoną stróżkę, która wciąż spływała mu po skórze, kapiąc na moje udo.

Ten widok ponownie obudził niejasny ból w górnej szczęce wraz z dziwnym odczuciem, w którym – o zgrozo! – rozpoznałam żądzę krwi. Zaczęłam drżeć. Nie! Nie chciałam tego! Zatopiłam paznokcie w skórze Juliana tak głęboko, że aż jęknął. Przestraszona podniosłam oczy. Mimo na w pół przymkniętych powiek zawisnął na mnie wzrokiem i przesunął językiem po wargach.

Zawahałam się przez moment, a potem znowu przystawiłam nadgarstek Juliana do ust. Jego palce zastępyły w mojej dłoni. Poczulałam na języku wyborny smak miedzi i miodu. Wraz z bólem w górnej szczęce wróciła żądz! Ale tylko na krótką chwilę, bo szybko przegnałam ją z myśli. To przecież Julien! To była jego krew! Powoli i delikatnie przesunęłam koniuszkiem języka po ranach. Chłopak wydał odgłos, który przypominał jednocześnie westchnienie i jęk. Zobaczyłam, że rozcięcie i dziurki, czyli ślad po moich zębach, zasklepiają się i przestają krwawić.

Usłyszałam nad sobą rozwścieczone fuknięcia. W następnej sekundzie została pochwycona i pociągnięta za głowę do góry. Rękę Juliana wyszarpanięto z mojego uścisku. Znowu ostre przejechało po jego żyłach. Tym razem krzyknął. Nóż upadł obok

312

mnie. Dłoń Samuela zwała się na moim karku i gwałtownie przycisnęła mi do ust nadgarstek chłopaka.

– Pij więcej! – rozkazał.

– Nie! – desperacko próbowałam wyrwać się z uścisku. Krew Juliana kapiała mi z podbródka. Żądz obudziła się na nowo. Nie! Nie chciałam tego!

Nagle Samuel puścił mnie i odtrącił ramię Juliana. Ten zachwiał się. Z rany na przegubie wciągnęły płynęła krew. Zauważyłam pożądlive spojrzenia dwóch trzymających go wampirów; to była ta sama żądz, którą odczuwałam jeszcze przed chwilą. Wzdrygnęłam się. Samuel przyciągnął mnie do siebie.

– Będziesz pić! – warknął.

Kły polyskiwały blade w jego ustach. Krzyknęłam, kiedy raptownie pochylał się nade mną i zatopił je w mojej szyi. Ból rozzerwał mi gardło i sprawił, że łzy napłynęły do oczu. Miałam wrażenie, że ktoś wbił mi w szyję rozżarzone noże. Mój przeraźliwy krzyk zmieszał się z drugim, jeszcze bardziej dzikim. Coś spadło z hukiem na podłogę. Zgromadzone wampiry zaczęły przeraźliwie ryczeć, wzajemnie się zagłuszając, tymczasem z każdym łykiem Samuela żyły były coraz bardziej suche. Ktoś zawył. Znowu huk. Coś ciężkiego gruchnęło o ziemię. W powietrzu wisiał gryzący dym. Usta „wuja” paliły mi skórę. Wierzgałam, zapierałam się rękoma o jego plecy i krzyczałam, krzyczałam, jeszcze raz krzyczałam. Wokół zapadła ciemność, która pochłonęła cały świat. Nagle Samuel gdzieś zniknął. Po mojej skórze płynęła krew. Ktoś mnie pochwycił i ściągnął w dół z szezlongu. Gwałtownie pchnięcie i kolejny huk. Buchnął ogień. Rozległo się przeraźliwe wycie, a wokół zatańczyły płomienie. Czyżby ramiona objęły mnie. Tuż przy uchu usłyszałam sapanie, a potem odpłynęłam.

– Wszystko będzie dobrze! Wytrzymaj! – zapewnił docierający z ciemności głos Juliana.

313

Próbowałam odpowiedzieć, lecz moja głowa ciężko opadła na jego plecy. Ciepła wilgoć wyczuwalna w okolicach szyi zaczęła powoli ogarniać całe ciało i koszulka przykleiła się do skóry. Z naprzeciwka powiało chłodem. Za nami było piekło. Wyraźnie czułam jego ogień. Nagle uderzenie. Julien zatoczył się i upadł. Usłyszałam jego fuknięcie, a potem pochłonęły mnie ciemności.

– Nie, proszę, Dawn... nie... Dawn, proszę, wracaj! Nie rób mi tego! Proszę!

W mroku odezwał się głos Juliana, był tak bardzo przestraszony, że zadałam sobie pytanie o powód lęku. Czułam mocne objęcie ramion. Kołysał mnie, w kółko powtarzając: „Dawn, Dawn, Dawn...”. Łagodny powiew powietrza musnął moją twarz i przyniósł ze sobą zapach spalenizny. Bolała mnie szyja. W ustach miałam gorzki smak, jakbym zwymiotowała.

– Wytrzymaj! Proszę... Dawn – błagał bezradnie, uciskając dłońmi moją szyję. Mimo to wciąż czułam spływające po skórze ciepło. Było mi zimno.

Gdzieś w pobliżu rozległ się przeraźliwy huk. Fala uderzenia przyparła mnie do ziemi, wyciskając resztkę powietrza z płuc. Poczulałam na sobie Juliana. Wokół nas coś spadało z łoskotem na ziemię, niczym nagły grad. Ogień trząskał i trzeszczał.

Potem dudnienie minęło i Julien znowu przyciągnął mnie do siebie, objął i jeszcze mocniej przycisnął do piersi.

– Dawn, proszę, nie umieraj! – jego głos brzmiał tak, jakby zaraz miało mu pęknąć serce.

Zmarszczyłam czoło. Przecież nie zamierzałam umierać! Muszę mu to powiedzieć. Powieki ciążyły mi ołowiem, ale mimo wszystko zdołałam je nieco otworzyć. Nade mną rozpościerało się niebo. Było przecudne! Gra kolorów: fioletowego, niebieskiego

314

i złota, a w tle zachód słońca – po prostu odebrało mi mowę. Znowu miałam wrażenie, że szybuję nad ziemią. Obok mnie Julien wciąż wołał: „Dawn, Dawn, Dawn...!”. Nicco bardziej zmarszczyłam czoło. Byłam tak strasznie zmęczona. Marzyłam tylko o tym, żeby spać i dalej płynąć w powietrzu...

Z wielkim trudem, ale jednak udało mi się nieco obrócić ku niemu głowę i podnieść rękę.

„Tak, muszę zasnąć. Koniecznie”.

Głośno wciągnął powietrze w płuca, a potem nacisnął mocno moją pierś.

– Dawn! O Boże, Dawn!

Moja ręka opadła.

Zobaczyłam, że płacze. Ale dlaczego? Przecież nie było powodu. Chciałam mu to powiedzieć, lecz gwałtownie potrząsnął głową.

– Szszsz... nic nie mów! Wszystko będzie dobrze! Tylko wytrzymaj jeszcze trochę. Wszystko będzie dobrze!

Jego ręka dotknęła mojej szyi. Zabolalo i jęknęłam. Chłód powoli ogarniał całe ciało. Leżałam na podjeździe. Za plecami Juliana zobaczyłam mój dom. Stał w płomieniach.

Świat wokół mnie był jakiś nieostry. Zamrugałam oczami, próbując skoncentrować wzrok na DuCrainie. Miał nadpalone włosy oraz ubranie. Ostre kły wystawały nad innymi zębami, a z jego oczu wyzierały pragnienie, ból i rozpacz. Drżał na całym ciele.

– Wszystko w porządku – zapewnił mnie gorliwie. Te słowa brzmiały przerażająco surowo. – On już ciebie nie skrzywdzi. Tyłko zostań przy mnie!

On? Jaki on? Później zapytam, kogo miał na myśli. Teraz chciało mi się spać. Byłam tak strasznie zmęczona. Z łatwością zamknęłam oczy.

315

– Dawn! Nie! – Julien ryknął panicznie, potrząsając mną. Ponownie otworzyłam powieki. Po szyi spływało mi gorąco. Wbiłam oczy w przerażonego Juliana. Miał dłonie we krwi. Cały był we krwi. Nagle zrozumiałam: wszystko było umazane moją krwią, która nieprzerwanym strumieniem wypływała z rany na szyi. Tę ranę zadał mi fałszywy wuj, aby w ten sposób zmusić mnie do wypicia większej ilości krwi ukochanego. Znowu padłam Julienowi w ramiona i uczepiłam się go kurczowo. Wykrwawiałam się! Umierałam!

– Nie! Nie! Pomóż mi! Spraw, żeby przestała cieknąć! – błagałam, wbijając paznokcie w jego skórę.

Twarz chłopaka wykrywił grymas bólu i bezradnej rozpacz. Wydał z siebie żalonne westchnienie, a potem potrząsnął głową.

– Proszę! Nie chcę umierać! – zdołałam ledwo wyszeptać. Moje palce rozwarły się wbrew woli. Usiłowałam przesunąć rękę na jego kark.

Ponownie westchnęłam ciężko, niczym zwierzę schwyte w pułapkę, z której nie ma ucieczki.

– Proszę! – powędrowałam dłońmi aż do pleców ukochanego i chociaż stawiał opór, przyciągnęłam jego głowę w dół, do siebie. Nie wiedziałam, skąd we mnie tyle siły. Może po prostu sprawił to ciężar ramienia, które teraz ważyło chyba tonę.

– Nie chcę umierać – wyszeptałam cichutko, przycisnąwszy jego usta do mojej szyi. Byłam tak bardzo zmęczona.

Próbował się cofnąć.

– Proszę! – powtórzyłam błagalnym tonem.

Tuż przy uchu usłyszałam szloch, który brzmiał jak: Kocham cię.

Przyłożył chłodne wargi do mojej skóry. Poczulałam jego zęby i w ten samej chwili świadomość zatonała w ciemnościach.

316

Szybowałam w powietrzu, a ziemia trzęsła się; wreszcie drganie ustalo i wrócił spokój. Od czasu do czasu mrok rozświetlały błyski. Potem stopniowo zaczął znikać, aż w końcu został całkowicie wyparty przez światło, któremu towarzyszyło jasne, irytujące pikanie. Moja dłoń była uwięziona w stalowej kłamrze i coś mocno obejmowało moją szyję. W całym ciele czułam ołowiane zmęczenie. Zmusiłam ciężkie powieki do tego, aby uniosły się odrobinkę. Wszystko wokół było białe. Zamrugałam. Z bieli powolutku zaczęły wyłaniać się kontury. Ściany, sufit, okna z żaluzjami, drzwi. Trwało dłuższą chwilę, zanim uświadomiłam sobie, że leżę w pokoju szpitalnym. Z trudem odwróciłam głowę. Szyję przeszył ból. Jęknęłam. Stalowa kłamra otworzyła się i w następnej sekundzie ujrzałam nad sobą pochylonego Juliana. Siniec pod jego okiem niemal zupełnie wyblakł.

– Chwała Bogu! Jesteś przytomna! – na twarzy chłopaka malowała się ulga.

Chciałam podnieść rękę, żeby go dotknąć, lecz nie mogłam. Coś tkwiło w grzbietach moich dłoni. Zabolalo mnie.

– Szszsz. Spokojnie. Wszystko w porządku. Odpoczywaj. Jesteś bezpieczna – pogłaskał mnie po policzku, a potem ostrożnie ujął moją rękę.

Dopiero teraz zobaczyłam, że wbito w nią igły; cieniutkie, przezroczyste rurki łączyły je ze stojącą obok łóżka kropłówką, która wisiała na chromowanym stojaku. Nad głową słyszałam ciągłe: pip, pip, pip.

Za ciężkich powiek spojrzałam na Juliana. Jego oczy nie miały już tego śmiertelnego, czarnego koloru, chociaż wciąż jeszcze był bardzo blady, nawet jak na siebie.

– Zrobiłeś to – mówienie sprawiało mi ból. Czułam w gardle nieprzyjemne tarcie, jakbym połknęła papier ścierny. Mimo to uśmiechnęłam się lekko.

317

Nie zapytał, co mam na myśli. Dobrze wiedział. Przez kilka sekund patrzył na mnie z góry, a potem, powoli, wciąż jeszcze jakby zdumiony, skinął głową.

– Chociaż nie wiem, jakim cudem zdołałem opanować pragnienie. Ufasz mi bardziej, niż ja sobie.

Wyczerpana, aczkolwiek z uśmiechem na ustach opadłam nieco głębiej na cieniotką, szpitalną poduszkę. Zmęczenie nie chciało dać za wygraną.

Nagle przypomniałam sobie o czymś i radość zniknęła z mojej twarzy.

– Samuel... – wyjąkałam przerażona, ale Julien przerwał mi kategorycznie.

– Nie żyje. Nie może ci już nic zrobić – wyjaśnił z niekłamną satysfakcją.

– Nie żyje? – wyszeptalam i spojrzałam na niego oszołomiona. – Co się stało?

Przyciągnął nogą do wezłowia łóżka jedno z obitych skórą krzesel, a następnie usiadł na nim. Najwyraźniej przez cały czas czekał, aż odzyskam świadomość. Pochylił się nieco, nie wypuszczając z ręki mojej dłoni. Zamiast podartych, brudnych rzeczy miał na sobie czyste i świeże ubranie, które jednak nie wyglądało na jego własne.

– Jeśli mam być szczerzy, to nie wiem dokładnie. Piwnica stała w płomieniach, kiedy zabierałem cię na górę...

– Stała w płomieniach? – nic z tego nie rozumiałam.

Utrzymanie otwartych oczu sprawiało mi trudność.

Unikając mojego wzroku, wyjaśnił:

– Samuel kazał na dole rozstawić kilka staromodnych czar ognia. Nie pytaj mnie, dlaczego. Może chciał w ten sposób stworzyć stosowny nastrój, nie wiem. Tak czy owak były wypełnione olejem. Kanister z tym paskudztwem stał obok kominka. Kie-

dy próbowałem oderwać od ciebie „wuję”, jedna z mis upadła. Wszystko natychmiast zajęło się ogniem. Dywany, obrazy, książki niemal w jednej sekundzie stanęły w płomieniach. Zabrałem cię na górę, ale zdołałem dotrzeć jedynie do podjazdu. Zaraz potem dom wyleciał w powietrze. Ani Samuel, ani nikt z jego przyjaciół czy święty nie uszedł z życiem. Resztę już znasz.

– Dlaczego oni również nie uciekli?

Julien milczał i zacisnąwszy zęby, utkwiał wzrok w przewodzie do kropłówki.

Przełknęłam głośno ślinę.

– Julienie? – zapytałam ostrożnie, lekko unosząc głowę.

Powoli skierował na mnie spojrzenie.

– Lepiej, jeśli o niektórych rzeczach nie będziesz wiedziała.

Chociaż mówił cicho, te słowa zabrzmiały w sposób zdecydowany.

Powoli wykonałam kilka wdechów i wydechów. Cokolwiek zrobił, zdawałam sobie sprawę z tego, że zawdzięczał mu życie i nie byłoby nas tutaj, gdyby TEGO nie uczynił.

Jakby nieco się odprężył.

– Straż pożarna zakłada, że doszło do eksplozji gazu. Ogień zajął instalację grzewczą i wszystko wyleciało w powietrze.

Przerażona przełknęłam ślinę.

– Straż pożarna?

I dlaczego szyja bolała mnie również od środka?

Po jego twarzy przemknął smutny uśmiech.

– Też wolałbym, żeby się nie zjawili, podobnie jak policja, ale trudno było nie zauważyć ognia.

– I co im powiedziałaś?

– Na początku nic. Wykręciłem się szokiem. Byłem totalnie skolowany, strasznie się bałem, że możesz umrzeć, nawet po czę-

ściowym zasklepieniu rany na twojej szyi – pogłaskał moją dłoń. – Pewnie pomyśleli, że mają przed sobą wariata.

Zważywszy to, jak oboje wyglądaliśmy – przynajmniej na tyle, na ile potrafiłam sobie przypomnieć – to prawdziwy cud, że Julien siedział tu obok mnie, a nie w więzieniu.

– A co im potem powiedziałaś?

– Policja sądzi, że Samuel był członkiem jakiegoś fanatycznej sekty satanistycznej, która chciała złożyć ofiarę z dziewicy. A ja, czyli twój chłopak, przypadkiem znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Albo wręcz przeciwnie, bo inaczej nie mógłbym cię uratować. Podczas ceremonii doszło do wybuchu ognia, który w mgnieniu oka zajął budynek. Potem eksplodowało ogrzewanie gazowe.

Zastanowiłam się nad tym. Zmęczenia spowolniło tok moich myśli, mimo to nasuwało mi się jedno pytanie.

– Jak to możliwe, że uciekliście, skoro inni już nie zdołali?

Nagle zdjął mnie strach.

– Julienie, policja w trakcie dochodzenia ustali, że kłamałeś! – kurczowo ucpełam się jego ręki. Aparatura zaczęła sztybnąć i pikać.

– Nie, nie ustalili! – wstał raptownie. – Uspokój się, Dawn. Nikt niczego nie zauważył. Nie będzie żadnego dochodzenia i nie musisz składać zeznań. Wszystko już załatwione. Sprawa została oficjalnie zamknięta.

Skołowana próbowałam zrozumieć, jak to możliwe. Czyżbym przez kilka tygodni leżała w śpiączce?

– Jakim cudem? – zapytałam słabym głosem, po czym opadłam z powrotem na poduszkę.

Pikanie stopniowo wróciło do normy.

– Ponieważ to my jesteśmy ofiarami! Przynajmniej dla policji. Czy myślisz, że mnie nie przesłuchiwali? Powiedziałem im, że wpadłem na chwilę, żeby porozmawiać z tobą po naszej kłótni.

Zadzwoń, a ponieważ mimo zapalonego światła nikt nie odpowiadał, zaszedłem dom od tyłu i – przyznaję bez bicia – nielegalnie wślizgnąłem się przez okno do środka. Wtedy włączył się alarm i złapali mnie ochroniarze twojego wuja, dali kilka razy po pysku i zawlekli do piwnicy. Leżałaś tam nieprzytomna na szeszlunku, a ci koleś odprawiali wokół ciebie jakieś czary-mary. Próbowałem się do ciebie dostać, doszło do niezłej przepychanki. I wtedy wybuchł pożar. Co się konkretnie stało, nie potrafię powiedzieć, bo byłem w szoku. Złapałem cię i daliśmy nogę. Wcale mnie nie interesowało, dlaczego twój wuj i jego kumple nie ruszyli za nami w pościg. I nie muszę umieć tego wyjaśnić. Byliśmy już na podjeździe, kiedy dom wyleciał w powietrze.

Najlepsze w tej całej historii jest to, że nie musisz nawet potwierdzać mojej wersji, ponieważ oficjalnie dopiero tutaj, w szpitalu odzyskałaś przytomność – pochylili się nade mną i musnął dłońią mój policzek. – Wierz mi, nie ma powodów do obaw.

– A jeśli mimo to mnie przesłuchają? – szepnęłam bezradnie.

– To powiesz, że poszłaś wieczorem do łóżka wcześniej niż zwykle, bo byłaś skonana i obudziłaś się już w szpitalu. Nie pamiętasz, co się z tobą działo w międzyczasie. Pomyśl, że wuj podał ci jakieś środki nasenne i na tym poprzestaną.

Zamknęłam oczy. To wszystko, co mówił, brzmiało tak prosto i jasno, byłam zbyt zmęczona, żeby teraz się martwić.

Poczułam na włosach delikatny dotyk.

– Śpij, Dawn. I przestań o tym myśleć. Będzie dobrze.

Z cichym westchnieniem przytuliliłam się do jego dłoni. Ruch znowu obudził ból w szyi.

– Udało mu się? – zapytałam sennym głosem, obracając w kierunku Juliana głowę.

– Co takiego? – podparł się na łokciu i zaczął ponownie głaskać moje włosy.

– Przeobrazić mnie w lamię?
Jego dłoń zamarała w bezruchu. Przez chwilę słychać było tylko pikanie.

Otworzyłam oczy.

– Julienie?

– Nie.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i potrząsnął głową. Miałam wrażenie, że słyszę ulgę w jego głosie; nie rozumiałam, dlaczego.

– Nalegałem na to, żeby zrobili ci płukanie żołądka. Poza tym straciłaś dużo krwi i potrzebna była transfuzja. Ostatecznie w twoich żyłach pozostało za mało serum, które ta kreatura podała ci dla wymuszenia przemiany, oraz mojej krwi, żebyś mogła zostać lamią – ponownie pogłaskała mnie po policzku. – Tak jest lepiej, wierz mi.

– Dlaczego?

Kiedy Samuel chciał ją wymóc siłą, broniłam się. Teraz jednak byłam – nie wiedzieć czemu – rozczarowana.

– Czy na zawsze chciałaś pozostać uwięziona w ciele siedem-nastoletki? – zapytał łagodnie.

– Ty też nie jesteś dużo starszy – zamrugałam, walcząc ze zmęczeniem. Powieki ciążyły mi oliwami i z trudem powstrzymywałam je przed opadnięciem.

Obracał w palcach kosmyk moich włosów.

– Moja przemiana została wyzwolona przez wypadek, a ciało zdecydowało, że jest na nią gotowe.

– Może też byłabym ...

– Nie byłabyś, wierz mi – zaprzeczył cicho. – Cieszę się, że mu nie wyszło.

– A co w tym złego, gdyby wyszło? – Skapitulowałam i zamknęłam oczy.

– Co trzecia przedwcześnie wymuszona przemiana, kończy się śmiercią. A z tych, którzy przeżyli, tylko co piąta osoba zachowuje pełnię władz umysłowych. Do tego stopnia bał się, że Księżęta mogliby usłyszeć o tobie od Adriena albo ode mnie, że zaryzykował twoim zdrowiem i życiem – jego głos przybrał ostry ton. – A może po prostu było mu na rękę, gdybyś postradała zmysły. Może myślał, że mógłby wtedy łatwiej kontrolować i wpływać na obłąkaną Księżniczkę Strigoję.

– Oh... – wymamrotałam prawie przez sen. W tym momencie inny komentarz jakoś nie przychodził mi do głowy. Julien wciąż głaskał mnie po włosach. Westchnęłam z rozkoszy.

– Ale w końcu chyba przejdę przemianę, prawda?

Jego dłoń znowu zastygła w bezruchu. Zaniepokojona otworzyłam oczy.

– Prawda?

Dopiero po paru sekundach oderwał wzrok od pikającego monitora, który wisiał nad moją głową, i spojrzał na mnie.

– Nie wiem – wyznał z pewnym ociąganiem. – Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby...

Zamilkł i wykonał półobrót w kierunku drzwi. Do środka zjazała pielęgniarka. Widząc, że mam otwarte oczy, rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu.

– Obudziłaś się. To dobrze. Poinformuję lekarza, żeby zaraz ponownie do ciebie przyszedł.

Skinęła głową na kogoś, kto stał za jej plecami.

– Można do niej wejść.

Głos powiedział coś niezrozumiałego. Pielęgniarka zniknęła, a w drzwiach stanął mężczyzna.

Julien zerwał się z miejsca, czujny i napięty. Nieznajomy był szczupły, barczysty i średniego wzrostu. Jego twarz okalały czarne, kręcone włosy. Miał orli nos, a obramowane długimi, ciemny-

mi rzęsami, zielone oczy lustrowały chłopaka chłodnym spojrzeniem. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu nieznajomy przekroczył próg pokoju i zamknął za sobą drzwi. Z nonszalancką gibkością podszedł do nas i przystanął u podnóża łóżka, ani na moment nie spuszczać Juliena z oka. Pikanie przyspieszyło. Poza tym panowała cisza jak makciem zasiał.

– Jesteś młodszym z bliźniaczych synów Sebastiena Du Craniers. Słyszałem o tobie. Ale nic dobrego – powiedział w końcu na powitanie i ponownie zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

Julien w milczeniu odpowiedział mu spojrzeniem. Jego dłonie były zwarte w pięści. Nie odprężył się nawet wówczas, gdy nieznajomy nagle zaśmiał się cicho.

– Teraz rozumiem, dlaczego skazano cię na banicję. Niewiele w twoim wieku odważyłoby się tak MNIE przyjąć. Wielka szkoda, że twoja rodzina musiała opuścić Marsylię. Obecność w Radzie osoby twojego pokroju byłaby... powiedzmy, uroczą.

– Nawet gdybyśmy nie musieli opuszczać Marsylii, to przecież i tak Adrien zasiadałby w Radzie – Julien zdawał się mówić przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna pogardliwie machnął ręką.

– Eh tam! Jesteście bliźniakami. A poza tym, doszły mnie słuchy, że przez ostatnie tygodnie w mieście podawałeś się wśród naszych za swojego brata i to z wielkim powodzeniem. Oszukanie paru dekadencek głupków nie byłoby więc dla ciebie problemem.

Julien jeszcze mocniej zacisnął zęby. Wzdrygnęłam się, kiedy nagle spojrzenie zielonych oczu spoczęło na mnie.

– Zatem tak ona wygląda... – Mężczyzna zmierzył mnie chłodnym a zarazem przenikliwym wzrokiem. – Faktycznie jest podobna do Alexeja. – Skrzydełka jego nosa nadęły się. – Jeszcze nie przeszła przemiany. – Spojrzał na Juliena. – To była twoja zasługa?

– Tak – odpowiedź zabrzmiała naprawdę wrogo.

– Doskonała robota. Najwyraźniej Sebastian wydał na świat mądrych synów. Gniewnych, lecz mądrych. W ten sposób zyskamy trochę na czasie.

– Czy to znaczy, że pan nam pomoże? – zapytał Julien.

Mężczyzna pochylił ku mnie głowę.

– Jej pomogę. Po to chyba do mnie dzwoniłeś? Tobie nie ujdzie na sucho. Za samowolny powrót z wygnania staniesz przed trybunałem. A Gérard wciąż ma wielu przyjaciół... Ale najpierw powierzam tę dziewczynę twojej opiece, Vourdranj. – Z sztycherem uśmiechem na ustach przesunął wzrokiem po naszych twarzach. – Chociaż właściwie nie wydaje mi się, aby to było konieczne. Mam wrażenie, że wpadłeś w tę samą pułapkę, co ja z Miną i Alexej z jej matką przed 20 laty. Zostaniecie w mieście i będziecie udawać, że nic się nie stało. Załadam, aby wysłuchano mi parę przysług i zobaczę, co da się zrobić.

Julien nieznacznie skinął głową.

– Dlaczego? Kim pan jest? – Do tej pory w milczeniu przysłuchiwałam się rozmowie. Teraz z trudem wsparłam na łokciu, żeby móc lepiej widzieć nieznajomego. Julien natychmiast pospieszył mi z pomocą. Opadłam na jego ramiona.

– Nie wiesz, kim jestem? – Mężczyzna patrzył na mnie szczerze zdumiony. Zaraz jednak sam odpowiedział sobie na pytanie. – Nie, oczywiście, że nie. Bo i skąd miałabyś wiedzieć. Mam na imię Vlad i jestem twoim dziadkiem wujczym. Twój ojciec był moim bratankiem, najmłodszym synem mojego młodszego brata Radu. Ulubionym bratankiem, dokładnie rzecz biorąc, co niektórzy nazywaliby nader wątpliwym zaszczytem. Jako córka Alexeja należysz więc do rodziny. A tym samym jesteś pod moją ochroną. Podobnie jak pod ochroną drugiego dziadka wujcznego, Mircei oraz dziadka Radu. Nie pozwolimy na to, aby wypel-

niono rozkazy innych Książąt odnośnie do twojej osoby. – Rzucił Julienowi niemal ubawione spojrzenie. – Chociaż Vourdranj wykonał bardzo mądre posunięcie, w pierwszej kolejności zwracając się właśnie do mnie o pomoc.

Kiedy wrócił wzrokiem na moją twarz, jego zimne, zielone oczy były już zdumiewająco łagodne.

– Jesteś zmęczona, dziewczyno. Możemy porozmawiać na spokojnie w innym czasie i w bardziej przyjemnym miejscu. Na ten moment pozostawiam cię pod opieką przyjaciela i życzę spokojnej nocy oraz przyjemnych snów.

Uklonił się lekko, a następnie skinął Julienowi głową.

– Vourdranj, może wrócimy do tematu Marsylii, kiedy już dopniez tutaj wszystkie sprawy na ostatni guzik. W ciągu paru najbliższych dni przekażę ci informację dotyczącą wnuczki mojego brata. – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i opuścił pokój w równie wdzięczny sposób, w jaki doń wszedł.

– To był mój wuj? – spojrzałam zdumiona na Juliana, gdy drzwi zamknęły się za gościem.

– Dziadek wujeczny – poprawił mnie, wstrząsając poduszką, na którą po chwili pozwolił mi opaść.

Ledwo się położyłam, a znowu wróciło zmęczenie. Próbowałam znaleźć jakąś wygodną pozycję, w której nie bolałaby mnie szyja, i mogłabym patrzeć na Juliana.

– Co o nim wiesz?

– Że lepiej mu schodzić z drogi – ponownie przysunął do mnie krzesło i usiadł na nim.

– Czy mój drugi wuj i dziadek są tacy sami?

Na myśl o „nowej” rodzinie czułam ekscytację. Podobnie jak poprzednio Julien oparł łokieć na poduszce, ale tym razem położył głowę na dłoni.

– Książę Radu jest ponoć nieco mniej zapalczywy niż jego bracia.

– KSIĄŻĘ Radu? – zamrugałam, nie chcąc pozwolić oczom, żeby ot tak, po prostu się zamknęły.

– Książęta Mircea, Vlad i Radu należą do najstarszych i najpotężniejszych lamii. Tylko skończony idiota mógłby z nimi zadzierać.

Ostrożnie ujął moją dłoń. Miałam nadzieję, że wkrótce zobędę się tej głupiej krolewki.

– A co to dla nas oznacza? – zamknęłam oczy.

– Otóż mogę mieć całkowitą pewność, że na razie nikt cię nie skrzywdzi. – Wrócił dłonią na moje włosy.

– Co miał na myśli, mówiąc, że prosiłeś go o pomoc?

Julien chrząknął.

– Właśnie on załatwił dla nas sprawę z policją – wyznał po chwili.

Tak, już to widzę! Mój dziadek wujeczny prosi policję w Ashland Falls, żeby umorzyła postępowanie w sprawie wnuczki brata. Dobre sobie! Ale coś jeszcze nie dawało mi spokoju. Zmarszczyłam czoło.

– Dlaczego powiedział, że bez zezwolenia wróciłeś z wygnania?

Julien westchnął cicho tuż przy moim uchu.

– Powinnaś spać, Dawn.

Uniosłam nieco powiekę. Jego głowa spoczywała na poduszce, tuż obok mojej głowy.

– Dlaczego to powiedział? – drażyłam temat.

Rtęciowe oczy odzajemniły spojrzenie.

– Ponieważ tak jest. Oficjalnie nie powinienem tu być.

– A co, jeśli ktoś się o tym dowie? – ostrożnie podsunęłam się kawałek bliżej.

– Pewnie będę miał kłopoty.

– Oh... – wymamrotałam sennie i znowu zamknęłam oczy. Myślisz, że to coś pomoże, jeśli porozmawiam z wujem i z dziadkiem, żeby wstawili się za tobą przed tym trybunałem?

Prychnął.

– Może. Ale dopóki na polecenie Księcia Vlada odpowiadam za twoją ochronę, nie będą żądać mojej głowy.

– Dobrze – zadowolona splótłam palce z jego palcami. Powoli odkryłam, w jaki sposób mogę poruszać ręką, żeby nie bolała. Zasnęłam przed przybyciem lekarza.

Księżniczka Strigoja

Wciąż jeszcze ledwo trzymając się na nogach, wsparta silnym ramieniem Juliana stanęłam przed starą posiadłością i zaniemówiłam z wrażenia. W czasie mojego pobytu w szpitalu, na polecenie dziadka wujecznego dom został wyremontowany i przywrócony do stanu używalności. Wykonanie tych wszystkich prac w tak krótkim czasie musiało kosztować majątek, ale teraz budynek znowu zachwycał swoim dawnym urokiem i doskonale rozumiałam, dlaczego mama była nim taka zachwycona. Po willi, w której dotychczas mieszkałam, pozostały tylko zgłiszcza. Zamierałam więc wprowadzić się do Juliana.

Zatrzymali mnie w szpitalu jeszcze przez siedem pełnych dni, poza tymi dwoma, które jak się wcześniej dowiedziałam, spędziłam nieprzytomna. Julien nie odstępował mnie ani na krok, a przynajmniej nie odchodził od łóżka na dłuższy czas. Podejrzewałam, że do woli sycił pragnienie, korzystając ze szpitalnego banku krwi. Kiedy zapytałam go o to, wykrzywił z obrzydzenia twarz i wyjaśnił oburzony, że nie lubi sztucznej karmy. Od tamtej pory przyglądałam się uważniej pielęgniarce i lekarzom, ale nie potrafiłabym powiedzieć, czy to właśnie wśród nich wyszukiwał swoje ofiary.

Kiedy okazało się, że – mimo usilnych zabiegów personelu – nie zamierza iść do domu, zaczęto mu współczuć i dostawiono w moim pokoju drugie krzesło, żeby mógł wygodniej spędzić noc. Pewnie nikomu nie przyszło nawet do głowy, iż do perfekcji opanował sztukę spania na krawędzi szpitalnego łóżka.

Po dwóch dniach po raz pierwszy mogli mnie odwiedzić przyjaciele. Jako pierwsza w drzwiach stanęła Beth. Nad jej głową powiewał bajecznie kolorowy balonik na sznureczku, w dłoni trzymała bukiet kwiatów, a pod pachą pudełko z ciastkami, które upiekła dla mnie jej babcia. Rzuciłam się na nie z wilczym apetytem. Chociaż wciąż jeszcze było mi niedobrze po czosnku, to jednak odzyskałam apetyt. Zdaniem Juliena, wszystko dzięki temu, że nie otrzymywałam już codziennie zawartego w herbacie narkotyku, który miał przyspieszyć przemianę. To wyjaśniło, dlaczego wpadł w taką wściekłość, kiedy usłyszał o „ziółkach”.

Potem zjawili się Susan, Mike i Ron. Cieszyło mnie, że wciągnęli do rozmowy również Juliena. Zachowywali się tak, jakby próbowali mu pokazać, że gdyby tylko chciał, to może dołączyć do paczki. Kiedy w końcu przyszedł z wizytą Neal, w pierwszej chwili byłam przerażona. Przede wszystkim dlatego, że nie wiedziałam, jak zareaguje na niego Julien. Istotnie nadal krążyli wokół siebie jak psy, które walczą o tę samą kość. Jednak najwyraźniej Neal był na tyle mądry, żeby wreszcie zaakceptować fakt, iż owa kość jest nieodwołalnie stracona.

Kiedy przychodzili goście, Julien siadał na stojącym w kącie krześle, lecz nie opuszczał pokoju. Świadomość, że wciąż jest tutaj i czuwa, on – Vourdranj, Łowca – wzbudzała we mnie dziwne uczucie, lubiłam je.

– Na pewno nie jesteś zbyt zmęczona? – zapytał po raz nie wiem który w drodze do domu.

Zabrał mnie ze szpitala czarna corveta, która, jak zdążyłam się dowiedzieć, należała do jego brata.

– Wszystko w porządku – ponownie zapewniłam go, siłąc się na spokojny ton.

Będę musiała nieźle się namęczyć, żeby go przekonać o tym, że zadanie, jakie przed nim postawiono nie wymaga obchodzenia się ze mną jak z jankiem. Ponieważ teraz oficjalnie był moim ochroniarzem. Ochroniarzem Księżniczki Strigoji.

Siedząc na szpitalnym łóżku i podejmując kolejnych lamijskich ksiąząt, którzy jeden po drugim przychodzili do mojego pokoju w towarzystwie wujka, czułam się niczym bohaterka filmu o włoskiej mafii, jakbyśmy właśnie kręcili scenę, w której grube ryby podziemia przyrzekają lojalność ojcu chrzestnemu. Wszyscy jak jeden mąż zapewniali, że uznają we mnie Księżniczkę Strigoję i absolutnie nie żywią wobec mojej osoby żadnej urazy; oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko tyle, że nie muszę się niczego obawiać, o ile nie napadnie mnie szaleństwo i nie zechcę panować nad nimi. Było oczywiste, że nie ma takiego niebezpieczeństwa, dopóki nie nastąpi przeistoczenie i nie stanę się lamią. A zważywszy fakt, że po pierwszej, zakończony fiaskiem próbie wymuszenia przemiany, powodzenie drugiej było mało prawdopodobne, właściwie nie musieli się martwić.

Na sekundę zamknęłam oczy. Nigdy nie zostanę lamią. Nigdy nie będę taka jak Julien. Na myśl o tym objęłam się rękoma. Oczywiście, on mógł uczynić ze mnie wampira. Ale po pierwsze to nie byłoby to samo i już nigdy nie mogłabym za dnia spacerować w słońcu – co wcale mi się nie uśmiechało, a po drugie: nie chciał tego zrobić. Rozmawialiśmy na ten temat jeszcze tego samego dnia, kiedy usłyszałam od brata dziadka, że moja transformacja prawdopodobnie już nigdy nie będzie możliwa. Właściwie klóciliśmy się, tak ostro, że pielęgniarka wyrzuciła Ju-

liena z mojego pokoju i pozwoliła mu wrócić dopiero po trzech godzinach.

Podszedł bliżej i przyciągnął mnie do siebie. Miał doskonałą intuicję, która podpowiadała mu, kiedy potrzebuję objęcia jego silnych, męskich ramion.

– Wejdźmy do środka. Marzniesz, poza tym muszę ci jeszcze pokazać twój pokój.

Wiedział, co zrobić, żeby mnie podejść. Przecież umierałam z ciekawości, jak wygląda moje nowe królestwo.

Kiedy o mały włos nie potknęłam się na schodach, wziął mnie na ręce i zaniósł do domu, a potem prosto na pierwsze piętro. Pokój znajdował się na tyłach i miał widok na jezioro. Przez duże, szklane drzwi balkonowe wpadało do środka słońce. Ostrożnie posadził mnie na łóżku i w napięciu czekał na komentarz.

Odjęło mi mowę. Trzeba przyznać, że idealnie trafił w mój gust, aż do najmniejszego szczegółu. Wprawdzie fotel bujany z ratanu wyglądał na nieco staromodny, ale byłam pewna, że siedzenie w nim i czytanie sprawi mi wielką frajdę. Wnętrze miało nowoczesny, jasny, a zarazem niewiarygodnie przytulny wystrój. Od razu poczułam się tam dobrze.

– I? – zapytał w końcu, nie mogąc wytrzymać z ciekawości.

Rozpromieniona spojrzałam na niego

– Jest cudowny! Dziękuję!

Przejechał dłonią po włosach i wyszczerzył zęby.

– Dla siebie wybrałam pokój niedaleko, dzieli nas tylko dwa drzwi. Łazienkę mamy wspólną. Zgoda?

– Oczywiście! – skinęłam głową, potem jednak zawahałam się i chwyciłam jego dłoń. – Co będzie dalej, Julienie? Od czasu naszej kłótni w szpitalu unikaliśmy tego tematu.

Przysiadł obok mnie.

– Zrobimy dokładnie to, co powiedział Książę Vlad. Będziemy żyć tak, jak do tej pory. Skończysz szkołę, a potem zobaczymy.

– Nie to miałam na myśli – stwierdziłam cicho.

– Wiem – oświadczył, patrząc mi prosto w oczy. – Ale moja odpowiedź pozostaje niezmienna. Jeśli faktycznie przemiana nie jest już możliwa, to nie uczynię z ciebie wampira. Albo będziesz lamią albo pozostaniesz człowiekiem.

Wciągnęłam głęboko powietrze w płuca.

– Jak długo muszę czekać, żeby się o tym przekonać?

– Pięć albo sześć lat. Adrien przeszedł transformację dopiero w wieku dwudziestu pięciu lat. – Po jego twarzy przemknął ból.

– Zatem bez obaw, czas ci nie ucieknie – dodał z pozornym spokojem, ale w głosie słyszałam drżenie.

Wciąż jeszcze nie natrafił na żaden ślad swojego brata. Co gorsza, żeby móc zostać przy mnie, musiał podawać się za niego, ponieważ Julien Du Cranier oficjalnie przebywał na wygnaniu. Jeśli Książęta odkryją, że nie ma go w Dubaju, dokąd został wysłany, zaczną na niego polować. Ponieważ teraz uchodził za ADRIENA, to bliźniakiem, którego de facto będą ściagać, będzie nie Julien, lecz właśnie Adrien, a ten nawet nie przeczuwał, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie.

Zatem Julien musiał jako pierwszy odnaleźć brata. Wiedziała, że nie spocznie, póki nie dopnie swego. Ja również nie zamierzałam tak łatwo złożyć broni. Postanowiłam, że znajdę sposób, który – mimo wszystko – pozwoli mi zostać lamią.

Oparłam się o Juliena i zamknęłam oczy, kiedy objął mnie ramieniem. Na razie byłam zadowolona z istniejącego stanu rzeczy. Ale tylko na razie.

Spis treści

Kot i pies.....	9
Skrzypce w nocy.....	43
Deszczowa rozmowa.....	78
Kto igra z ogniem.....	105
Honor i sumienie.....	138
Romeo i Julia.....	181
W szponach.....	214
przeszłości.....	243
Przykre prawdy.....	308
Krew.....	308
Księżniczka Strigoja.....	329